

Ryszard Ćwirlej

Mocne uderzenie

rozdział I

festiwal muzyki rockowej jarocin '88,

piątek, 5 sierpnia 1988

godzina 9.40

Gucio leżał na trawie i patrzył na bezchmurne niebo. Było jeszcze dość wcześnie, jednak słońce świeciło ostrym blaskiem, a żar lał się z góry strumieniami. Mimo to Guccio nie miał ochoty ruszyć się z miejsca, w którym zaległ jakieś pół godziny temu. Nie miał nic do roboty, więc postanowił na sam koniec imprezy, jeszcze przed wyjazdem do domu, trochę się opalić. Dlatego zdjął swoją skórzaną lotniczą kurtkę i czarną koszulkę z napisem „Republika”, zwinął to wszystko niedbale w kłębek i wcisnął sobie pod głowę. Spodni moro, przefarbowanych na czerwono, i ciężkich wojskowych butów nie ściągnął, bo nie starczyło mu już sił. Zresztą, jakby ściągnął, to teraz leżałby nago, bo nie miał pod spodem majtek. Te ostatnie, które mu zostały, podobnie jak trzy pary innych, wsadził gdzieś głęboko do plecaka. Trochę był zły na siebie, że nie wziął jeszcze kilku par dodatkowych na zmia-

nę, ale przed wyjazdem liczył na to, że to, co zabierze, będzie można na miejscu jakoś przeprać. Szybko okazało się, że był w wielkim błędzie, bo Jarocin i tutejsze pole namiotowe to nie obóz harcerski. O praniu bielizny w tych warunkach nie było mowy. Zresztą na takie prozaiczne czynności i tak

5

brakowało czasu. Na dobrą sprawę tu, na festiwalu w Jarocinie, na nic nie było czasu. Od kilku dni tylko zabawa, picie i podrywanie dziewczyn. Wszystko to wyczerpywało straszliwie, więc takie zwyczajne, codzienne czynności, jak mycie czy pranie, trzeba było odłożyć na później. Pierwszego dnia nawet dopchał się do umywalni. Stał prawie godzinę w kolejce i jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie, bo kiedy już znalazł się pod prysznicem, woda się skończyła. Wrócił do namiotu brudny, a na domiar złego jego koledzy, nie czekając na powrót kompana, wypili wszystkie wina, które przywieźli ze sobą. Kupili je w Poznaniu, bo tam mieli przesiadkę. Dwie godziny oczekiwania na pociąg do Jarocina wykorzystali na kwerendę po okolicznych sklepach monopolowych. Na Głogowskiej, tuż koło Rynku Łazarskiego, udało im się natrafić na niewielki sklepik, w którym prócz wódki na kartki, a karteń oczywiście nie mieli, na półkach stały wina. Kupili więc dziesięć butelek, bo sklepowa dzieliła towar i sprzedawała tylko po dwa na głowę. Na szczęście nie chciała nawet dowodów osobistych, bo z okazaniem zielonej książeczki każdy z nich miałby kłopot. Wszyscy skończyli zaledwie po siedemnaście lat i chodzili jeszcze do szkoły średniej. No, ale jechali na najważniejszy w Polsce koncert muzyczny, dlatego

chcieli koniecznie poczuć się jak dorośli. Samo palenie papierosów nie dodawało wieku. Potrzebny był jeszcze alkohol.

Już w pociągu wypili pięć pierwszych win, no a te następne miały być na wieczór już pod namiotem. Tyle że wieczorem Gucio zniknął na dłużej w poszukiwaniu prysznic i spragnieni koledzy zaopiekowali się jego działką. Gdy wrócił, ponarzekał trochę, poprzeklinał, ale w sumie nawet nie żałował, bo po tej pierwszej butelce opróżnionej w pociągu było mu cały czas niedobrze. Wcześniej nigdy nie pił jaboli, jednak na takim wyjeździe nie wypadało nie tknąć wina. W końcu

6

przyjechał tu z kumplami, którzy twierdzili, że niejedno mieli już na swoim koncie. Inicjacja dla Gucia okazała się potwornym przeżyciem. Pochłonął zawartość butelki w ekspresowym tempie i stwierdził w myślach, że ten jabol nie jest nawet taki najgorszy. Naprawdę najgorsze było nagłe bulgotanie w żołądku, skurcze, a później...

Ledwo zdążył dopchać się do okna, które jakaś litościwa ręka otworzyła w ostatniej chwili, dzięki czemu udało mu się zwrócić wszystko, co wypił, a nawet więcej.

Jeszcze teraz na samo wspomnienie smaku tego paskudztwa robiło mu się niedobrze. Przez to wino leżał w tej chwili sam przed namiotem, a jego kumple poszli do dziewczyn, które poznali wczoraj w nocy po koncercie. Okazało się, że został im spory zapas alkoholu, więc było po co iść. Pochwaliły się, że mają jabolki, toteż Guciovi zrobiło się od razu niedobrze i zrezygnował z wizyty. Teraz było mu trochę żal, bo Elka, taka brunetka z kręconymi włosami, w długiej hipisowskiej

spódnicy i robionym na drutach swetrze, od razu wpadła mu w oko. Wczoraj rozmawiali ze sobą prawie godzinę. Ale co robić. Przecież nie pójdzie tam, żeby się zbłąźnić, gdyby mu się zebrało znowu na wymioty po pierwszym łyku.

Przymknął oczy, gdy promienie słońca wpełzły mu na twarz.

Nie miał ciemnych okularów, bo ukradli mu je jeszcze w pociągu, więc teraz zaczął się zastanawiać, czym zasłonić oczy.

Nagle poczuł, że jakiś cień odgradził go od jasnego światła.

Otworzył powieki. Elka stała nad nim z głupią miną. Gucio natychmiast podniósł się i usiadł po turecku. Wczoraj, gdy jej koleżanki poszły na stadion na koncert t. Love, ona została z nim przy bramie. Nie mógł się zdecydować, czy iść za swoimi kumplami, którzy wybrali amfiteatr i kapelę Zielone Żabki, czy też posłuchać Chłopców z Placu Broni z Łyszkiewiczem. W końcu, namówiony przez dziewczynę, ruszył za

7

nią przez stadionową bramę akurat wtedy, gdy grali piosenkę O, Ela. Pomyślał nawet przez chwilę, że to jakiś znak, idzie z Ela, a oni tam śpiewają O, Ela... Tylko że nie wiedział, jaki to może być znak i co może znaczyć. No i gdy tak się zastanawiał, Elka zgubiła mu się gdzieś w tłumie i już jej tej nocy nie widział, mimo że szukał wytrwale przez kilka godzin. W końcu zrezygnowany wrócił nad ranem do namiotu, wcisnął się w śpiwór i położył obok Bzyka, kolegi, z którym dzielił niewielką przestrzeń jedyńki bez tropiku.

-Wczoraj nie mogłam cię znaleźć, gdzieś przepadłeś jak kamień w wodę -- powiedziała, siadając przed nim i poprawiając kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

-Ja przepadłem? To ty, Ela, straciłaś przyjaciela - zacytowałam słowa przeboju, który, jak mu się zdawało, idealnie pasował do tej sytuacji. -- Jeszcze w bramie siedłem za tobą, a potem nawet nie zauważyłem, jak cię tłum zassał.

- To mogłeś mnie dziś odnaleźć, jak twoi kołesi przyszli do nas. Tam teraz jest niezła imprezka.

- Wiesz co - spojrzał nieco zawstydzony na czubki swoich brudnych butów - chciałem przyjść, ale trochę później. Nie lubię jaboli, a przy chłopakach byłoby głupio nie wypić...

-Ja też nie lubię tego świństwa - ucieszyła się wyraźnie Elka. -I pomyślałam, że jak ty tutaj tak sobie siedzisz sam, to co ja mam tam z nimi się integrować, wolę z tobą.

Gucio momentalnie zrobił się czerwony jak burak. Zawstydzilo go to nagłe wyznanie. Elka bardzo mu się podobała, ale żeby zaraz się integrować? Zresztą nie bardzo wiedział, co to mogłoby oznaczać, bo on jak dotąd nie integrował się jeszcze z żadną dziewczyną. Nietrudno było zauważyć zmieszanie na jego twarzy, a Elka wyglądała raczej na bystrą laskę.

- Mówiłeś, że grasz na gitarze, to myślałam, że może mi coś zagrasz, jak już przyszłam...

- Pewnie - ucieszył się Guccio. - Tylko muszę iść zabrać pudło od pacjentów z tego czerwonego namiotu, bo pożyczali wczoraj od nas. -- Wskazał ręką dużą czwórkę z przegiętym masztem. Musiała się tam odbywać wczoraj niezła zabawa, bo część namiotu zawaliła się, a ocalała reszta pochylała się jak stare drzewo nad drogą.

Gucio poderwał się z ziemi i otrzepał spodnie, do których przyłgnęły źdźbła trawy. Nie patrząc na Elkę, pobiegł zabło-

coną, rozdeptaną przez tysiące nóg drogą, przecinającą całe ogromne pole namiotowe.

Miał nadzieję, że zastanie tych od gitary w środku albo przynajmniej choć jednego z nich. Na zewnątrz było pusto, nie licząc oczywiście całego stosu pustych półlitrowych butelek po piwie Lech, pustych opakowań po papierosach popularnych i zalegających wszędzie petów. Gdy zbliżył się do namiotu, poczuł ostry zapach moczu.

Co za świnię, pomyślał z odrazą. Jak można być takim brudnym gnojem, żeby szczać przed własnym namiotem.

Wejście było zamknięte na zamek błyskawiczny. Zapukał więc w aluminiową rurkę, ale odpowiedziała mu cisza.

Albo śpią, albo nikogo nie ma, doszedł do wniosku, gdy ponowne walnięcie ręką w płachtę nie przyniosło rezultatu. - Zabieram pudło z tego chlewa i spadam - powiedział głośno, mając nadzieję, że ktoś go usłyszy.

Nachylił się nieco, chwycił za suwak i szarpnął do góry.

Czerwony materiał rozsunął się na boki. Uderzył go silny, obrzydliwy zaduch, którego jedynym rozpoznawalnym elementem był smród uryny.

- Ja pierdolę - zaklął Gucio, który niemal nigdy nie przeklinał - jak tu w tym syfie znaleźć gitarę? - Ale nie miał wyjścia, musiał spróbować. Tam przecież czekała na niego Elka. Głęboko wciągnął powietrze i na czworakach wpełzł

9

do środka. Pod prawą ścianką, na dmuchanym niebieskim materacu, znalazł tylko jakieś skłębione brudne ubrania. Po lewej był drugi brązowy materac, na którym ktoś leżał. Spod

śpiwora wystawała jedynie drobna stopa, która zsunęła się na zalaną jakąś cieczą brudną podłogę. Reszta ciała była niewidoczna. Gucio potrząsnął więc gołą stopą, mając nadzieję, że śpiący poderwie się natychmiast. Zdziwił się, gdy nie nastąpiła żadna reakcja. Chwytał więc skraj śpiwora i szarpnął. Smród buchnął ze zdwojoną mocą, jednak na ten odór chłopak niemal nie zwrócił uwagi, ponieważ zaskoczyło go to, co zobaczył. Pod śpiworem leżała dziewczyna, i to zupełnie naga, na dodatek jej skóra miała jakiś dziwny szary kolor. Szeroko otwarte oczy były kompletnie nieruchome, a matowe spojrzenie wydawało się utkwione w twarzy Gucia. Uciekł od tego spojrzenia, przesuwał wzrok niżej, na drobne piersi, potem na brzuch i dalej, na podbrzusze... Po chwili wrócił jednak do twarzy, bo coś go zdziwiło, a wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Przysunął się bliżej i odsłonił całą głowę dziewczyny. Teraz widział to dokładnie. Włosy były całe sklezione krwią, a skroń dziwnie wklęsła. Gdy przyjrzał się uważniej, zobaczył, że w samym środku tego wklęsnięcia zaje otwór, z którego wystaje coś jasnego, twardego, a głębiej śliskiego i czerwonego...

Wygląda jak otwarta puszką z paprykarzem szczecińskim, zdążył jeszcze pomyśleć.

- Guciu, co ty tam robisz? - zawołała z zewnątrz Elka, która najwyraźniej nie mogąc się go doczekać, poszła za nim do czerwonego namiotu.

Ale Gucio już tego nie usłyszał, bo nagle zasłabł i padł zemdlny na brudną podłogę.

godzina 9.55

Od strony stadionu miejskiego, poprzez pole namiotowe, niosły się dudniące, rytmiczne dźwięki perkusji. Już od samego rana scena przygotowywała się do wieczornego koncertu finałowego, który miał zakończyć festiwal. Na razie brzdąkały tam kapele, które już miały pewność, że nie wystąpią wieczorem. Grał chyba jakiś zespół heavymetalowy, bo charakterystyczne basowe dźwięki orały powietrze niczym czołgi t-54 asfalt w noc wprowadzenia stanu wojennego. Wokalista piskliwym głosem wyśpiewywał swoją pogardę dla całego świata:

Nienawidzę was

Jestem synem ciemności

Nienawidzę was

Połamie wam kości

Nienawidzę ludzi

Jestem synem piekła

Nienawidzę ludzi

Nienawiść jest wściekła

Nagle przez ten muzyczny zgiełk przebił się histeryczny

krzyk:

- Milicja, milicja! - ktoś wołał, wrywając z zadumy zatopionego w myślach Mariusza Błaszczewskiego, który siedział przed namiotem na złożonym w leżak dmuchanym materacu i opalał się.

Znowu się dzieciaki wygłupiają, uśmiechnął się, pomyślawszy o tych wszystkich zwariowanych miłośnikach rocka, których kilkanaście tysięcy przyjechało do Jarocina. Mariusz

też tu przyjechał, ale wcale nie po to, by słuchać muzyki.

11

Owszem, lubił młodzieżowe kapele i chętnie skorzystał z karnetu na koncerty, ale nie to było powodem jego obecności na festiwalu. On znalazł się tu służbowo. Kilka tygodni temu w szkole oficerskiej w Szczytnie, do której dostał się w zeszłym roku, szef jego kompanii, sierżant Ogórkiewicz, zwany przez wszystkich Ogórkiem, zebrał kilkunastu chłopaków w jednej z sal wykładowych i oznajmił, że na początku sierpnia dostaną coś w rodzaju dodatkowego urlopu. W sierpniu normalnie powinni już być w szkole po wakacjach, ale tym razem najlepszym i wyróżniającym się studentom przydzielono zabezpieczenie operacyjne festiwalu w Jarocinie. Wszyscy mieli pojechać tam jak normalni uczestnicy imprezy, czyli przebrani w cywilne ciuchy i z namiotami, by wtopić się w tłum. Z tym wtopieniem się dowództwo trochę przesadziło, bo wyposażyło wszystkich w jednakowe namioty, pochodzące chyba jeszcze z lat pięćdziesiątych zielone dwójki bez tropiku ze sznurowanymi wejściami. Do tego dostali wojskowe śpiwory, materace z nadrukiem msw i jednakowe menażki. Przy takim kamuflażu każdy na kilometr wyczułby w nich gliniarzy, a oni mieli przecież sprawiać wrażenie młodych ludzi zainteresowanych tylko muzyką. Dlatego Mariusz postanowił wyekwipować się we własnym zakresie.

Pojechał więc do Piły do rodziców. Ostatnio bywał u nich bardzo rzadko, bo urlopy najczęściej spędzał w Poznaniu ze swoją dziewczyną. Dlatego te dwa dni w Pile były dla jego

rodziców prawdziwym świętem. Matka natychmiast zniknęła w kuchni, by przygotować różne smakołyki na przyjazd Mariusza, a ojciec wziął w pracy dzień wolny, by móc się nim nacieszyć. To dzięki niemu syn trafił do milicji. On był milicjantem już ponad dwadzieścia lat. Wcześniej, jeszcze przed wojną, jego ojciec pracował w Policji Państwowej

12

w miejscowości Wysoka pod Piłą. Po wojnie oczywiście nie mógł nawet marzyć, by przyjęto go do mo, ale to on właśnie zaszczerpił synowi szacunek do munduru i miłość do tej profesji. Co prawda dzisiejsza milicja niewiele ma wspólnego z tą przedwojenną, ale Wiktor Blaszkowski, zapatrzony w ojca, wstąpił na służbę, bo chciał być taki jak on i swoim przykładem przekonać ludzi o tym, że w milicji są też przyzwoici funkcjonariusze. Podobnie myślał jego syn Mariusz. Choć ojciec nie bardzo chciał, żeby chłopak poszedł w jego ślady, on postawił na swoim. Nie pomagały argumenty, że teraz, po stanie wojennym, do milicji idzie najgorsza swółocz i ten zawód już nigdy nie będzie cieszył się w kraju dobrą opinią. Mariusz uważał, że tym bardziej trzeba tam być, by od środka zmieniać to, co jest złe, a nie patrzeć z boku i wieszać psy na wszystkich w niebieskich mundurach.

Trzypokojowe mieszkanie, w którym się wychował, znajdowało się w dziesięciopiętrowym bloku przy placu ppr, w centrum miasta. Z okna jego pokoju na dziewiątym piętrze widać było niemal całą panoramę południowej części Piły. Mariusz lubił patrzeć na te miejskie zakamarki, osiedla na peryferiach

i ciemne ściany lasów ograniczających zurbanizowaną przestrzeń. Wieczorami, gdy zasypiał w swoim łóżku, wsłuchiwał się w odgłosy pociągów i lokomotyw przetaczanych w pobliskich zntk. Tego osobliwego hałasu najbardziej brakowało mu w szkole w Szczytnie. Tam nocą w internacie panowała całkowita cisza, zakłócana tylko od czasu do czasu równymi krokami pełniącego służbę nocną podoficera.

Gdy zasypiał wieczorem, wsłuchując się w dawno niesłyszany miarowy rytm wystukiwany przez koła pociągu, do jego pokoju wszedł ojciec. Usiadł na brzegu łóżka, a Mariusz poderwał się i zapalił lampkę stojącą tuż obok na biurku.

13

-Wiesz, trochę się martwię o Asię - zaczął bez owijania w bawełnę. Taki już był, konkretny, zawsze zmierzał wprost do celu. Jeśli mówił, że z Asią, młodszą siostrą Mariusza, są jakieś problemy, to rzeczywiście musiało być coś poważnego.

- Co z nią? - zaniepokoił się, spoglądając na poważną twarz ojca.

- Nie chciałem wcześniej mówić, przy mamie. Wiesz, jaka ona jest. Zaraz zaczęłyby się płacze. Bo ona też to widzi i pewnie jeszcze bardziej ode mnie się martwi. No bo z Asią to ostatnio jakoś nie możemy się dogadać.

- No wiesz, jest coraz starsza, po wakacjach będzie już w maturalnej klasie. Może poczuła się dorosła...

- Chyba właśnie tak jest. I chyba za bardzo czuje tę dorosłość. Wraca późno do domu, a wszystkie nasze uwagi zbywa i mówi, że to jest czepianie się jej, bo przecież ona nic złego nie robi, tylko spotyka się ze swoim towarzystwem ze szkoły

i razem gdzieś chodzą. No a teraz, zanim pojechała na obóz, powiedziała nam, że jak wróci, to jedzie z koleżankami i kolegami z klasy do Jarocina, na festiwal... A my nie wiemy z mamą, co mamy zrobić, bo ona nawet nas nie zapytała, czy może jechać na ten festiwal, tylko powiedziała, że jedzie, i już, no a wiesz, jakie towarzystwo tam bywa...

-Tato, ja wam jeszcze nie powiedziałem, po co przyjechałem do domu. Muszę zabrać swój sprzęt biwakowy, bo jadę właśnie do Jarocina...

Ojciec spojrział na niego zdziwiony i podrapał się po tysiącej głowie. Zdziwiło go to oświadczenie syna, bo nigdy dotąd nie przejawiał większego zainteresowania muzyką. Owszem, słuchał tak jak wszyscy młodzi ludzie radia, nawet nagrywał piosenki na swoim kasetowym Grundigu, ale żeby wybrać się na koncert, to raczej było do niego niepodobne.

Widząc zdziwioną minę ojca, Mariusz uśmiechnął się.

-Jadę do Jarocina służbowo. Jedziemy w kilka osób ze szkoły jako wywiadowcy w cywilu. Zabezpieczamy imprezę.

-Aha, rozumiem - ucieszył się ojciec. - To znaczy, że będziesz się tam uważnie rozglądał.

- No właśnie, będę patrzył na to, co się tam dzieje. I w takim razie przypatrzę się też swojej siostrzyczce. Ale nie mówcie jej, że tam będę. Zrobię jej niespodziankę. W takim razie możecie ją śmiało puścić do tego Jarocina.

Z Piły wziął własny namiot i do tego całe biwakowe wyposażenie, które sprawdziło się już nieraz podczas harcerskich rajdów i obozów. Podobnie zrobili jego koledzy. Każdy z nich zaopatrzył się w to, co miał, z własną cywilną odzieżą

włącznie.

Z odpowiednim ubraniem był właśnie największy kłopot, bo żeby nie wyróżniać się z tłumu, należało wyglądać tak jak większość. Dlatego w końcu ustalili, że zakładają zwykłe dżinsy i jak najbardziej kolorowe koszulki. To miał być ich cały kamuflaż. Mariusz postanowił, że dodatkowo, dla lepszego zamaskowania swojej milicyjnej tożsamości, zapuści sobie brodę. Okazało się, że ten plan nie był łatwy do zrealizowania. W myślach widział siebie jako wilka morskiego z bujnym zarostem, tymczasem przez cały lipiec wyrosła mu zaledwie jasnoruda kozia bródka. Doszedł więc do wniosku, że nie ma się co wygłupiać, i ten młodzieńczy zarost całkiem zgolił.

Przed wyjazdem do Jarocina musieli zgłosić się do Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu, gdzie znajdowało się centrum nadzoru prewencyjnego nad imprezą. Tu Blaszkowski czuł się jak u siebie w domu. W poznańskiej wojewódzkiej pracował przez ponad rok, zanim dostał się do Szczytna. Major Alfred Marcinkowski, szef kryminalnych, wziął go do siebie wprost z zomo, gdzie odsługiwał wojsko. W ciągu tego

15

czasu asystował przy kilku ważnych śledztwach, a w sprawie „Obcinacza rąk” przyczynił się nawet do wykrycia sprawcy.

To właśnie udział w tym śledztwie spowodował, że bez większych problemów udało mu się dostać do szkoły oficerskiej.

Marcinkowski napisał mu zresztą taką opinię, że komisja kwalifikacyjna nie miała innego wyjścia, jak przyjąć do szkoły chłopaka, który według słów majora „stanowi doskonały materiał na świetnego oficera śledczego”.

Nadzór nad jarocińskim festiwalem z ramienia komendy wojewódzkiej sprawował major Jabłoński. Jak wyjaśnił wywiadowcom ze Szczytna na odprawie poprzedzającej ich wyjazd, wśród publiczności działać będzie prawie setka młodych milicjantów przebranych po cywilnemu, oddelegowanych z komend całego kraju. Ich zadaniem nie była jednak inwigilacja i penetrowanie środowisk młodzieży alternatywnej, bo tym mają zająć się funkcjonariusze z sb. Oni mieli zabezpieczać imprezę pod względem bezpieczeństwa i reagować w sytuacjach zagrożenia życia i mienia. Przekładając to na normalny język, chodziło o przeciwdziałanie kradzieżom i przede wszystkim o wyłapywanie dilerów narkotykowych. Od kilku lat bowiem problem narkomanii, który dotychczas znany był w Polsce tylko z amerykańskich filmów, stawał się coraz większą plagą, a wytwórnice kompotu ze słomy makowej zagnieździły się niemal w każdym dużym mieście. Milicja nie miała wątpliwości, że wytwórcy rodzimych środków odurzających będą próbowali na tej wielkiej imprezie znaleźć nowych klientów.

Stąd pomysł, by młodzi wywiadowcy szukali sprzedawców i dyskretnie wyławiali ich z tłumu, przekazując patrolom mundurowym.

- Milicja! - znów ktoś zawołał, a zaraz potem rozległ się przeraźliwy krzyk jakiejś dziewczyny.

16

Mariusz zerwał się na równe nogi i rozejrzał wokół. Kilkadziesiąt metrów dalej, przy czerwonym, pochylonym na bok namiocie, zauważył małe zbiegowisko. Wiele się nie namyśla-

jąc, ruszył biegiem w tamtym kierunku. Kręciło się tam kilkunastu młodych ludzi. Jakaś dziewczyna w czarnej koszulce próbowała przytrzymać zawodzącą brunetkę, która najwyraźniej wpadła w histerię.

- Trzeba mu zrobić sztuczne oddychanie - powiedział chudy długowłosa dryblas, ubrany tylko w przepaskę na biodrach a la Winnetou.

- Umie ktoś sztuczne oddychanie? - Stojący obok chudego chłopak w czarnej skórze z agrałkami wpiętymi w rękawy odwrócił się za siebie.

Ze stale powiększającego się kręgu ciekawskich wychyliła się drobna dziewczyna w długiej do ziemi szarej sukience, uszytej z tetrowych pieluch.

- Ja jestem po kursach doraźnej pomocy. Mogę mu zrobić...

- Spierdalaj, mała -- powiedział punk -- w faję możesz mu nadmuchać co najwyżej. Tu nie ma miejsca dla lasek, bo widok horrorystyczny. Facet nam jest potrzebny do ocucenia klienta.

- Nie to nie, smutny fiucie. Sam se w dupę nadmucharaj, kmiocie - odgryzła się niespełniona sanitariuszka i odwróciła się urażona.

- Wody mu trzeba dać, to się obudzi - powiedział niski, ogolony na tyso chłopak z odstającymi uszami.

- A skąd tu chcesz wziąć wodę, kretynie! W umywalni nie ma ani kropli od wczoraj. -- Punk zmierzył tysego drwiącym spojrzeniem. - Możesz co najwyżej nasikać mu na ryja.

W tym momencie w tłum wpadł Mariusz Blaszkowski.

Chciał rozsunąć stojących tuż przed wejściem chłopaków,
ale napakowany jak beczka od śledzi grubas w ażurowym
podkoszulku odepchnął go bezceremonialnie.

- Co tam się dzieje? Stało się coś? - zapytał chłopaka.

- Wal się na mordę, cwelu. To myśmy ich znaleźli. Chcesz
patrzeć na tę rozjebkę, to wyskakuj ze stówki. Jak ktoś chce
se zobaczyć coś fajnego, to płaci Michowi. - Tu wskazał na
podobnego do siebie metalowca w założonej na goły tors
czarnej kamizelce, który zajął miejsce z prawej strony wejścia
do rozbebeszonego namiotu.

- Muszę najpierw wiedzieć, za co mam płacić, nie?

- Za widoczek z gołą sztywną laską.

- Jak to sztywną?

- No sztywną, jak decha do prasowania, frajerze. Co, nie
kumasz facet po polsku, czy jak? Płać albo spierdalaj w pod-
skokach i nie zasłaniaj widoku innym.

Mariusz spojrzał na niego uważnie, oceniając swoje szan-
se w starciu. W walkach wręcz, których uczył się na zajęciach
w szkole, był całkiem niezły i pewnie poradziłby sobie bez
trudu z tym osiłkiem, ale doszedł do wniosku, że nie ma co
robić niepotrzebnego zamieszania. Sięgnął do kieszeni i wy-
dobył z niej czarną służbową legitymację.

- Spadaj, ośle, Milicja Obywatelska! - warknął do pun-
ka i to w zupełności wystarczyło. Gruby zniknął w ułamku
sekundy. Pozostali tarasujący przejście odsunęli się jak za
dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Smród dochodzący
z wnętrza namiotu buchnął ze zdwojoną mocą.

Milicjant w cywilu pochylił się i zajrzał do środka. Najpierw

zauważył chłopaka. Na kolanach zbliżył się do niego i sprawdził tętno, przykładając dłoń do szyi. Żyje, pomyślał ze zdziwieniem. Dopiero po chwili zauważył jeszcze jedną osobę. Nie dostrzegł jej od razu, bo pewnie pod naporem ciekawskich części dachu namiotowego przesunęła się, przykrywając

18

ją szczelnym całunem, spod którego wystawała tylko noga. Mariusz uniósł brezent i zrobiło mu się słabo. Mało brakowało, a padłby zemdłony, podobnie jak parę minut wcześniej Gucio.

Szybko wycofał się z namiotu i stanął na zewnątrz, wciągając w płuca jak najwięcej powietrza. Spojrzał na wianuszek otaczających go młodych ludzi.

Po lewej stronie cały czas tkwił ten metalowiec, nazwany przez swojego kolegę Michem.

- Misiek - zwrócił się do niego Mariusz - rusz dupsko

i przyprowadź tu zaraz mundurowy patrol.

- Co? - zapytał zdziwiony metalowiec.

- Biegnij po milicjantów!

- Nie Misiek, tylko Michu.

- Zapierdalaj po milicję, i to już... I powiedz im, że funkcjonariusz potrzebuje pomocy.

godzina 10.15

Porucznik Stefan Mioduszewski z Komendy Miejskiej mo w Jarocinie miał złe przeczucia. Przez całą dzisiejszą noc nie mógł spać. Przewracał się z boku na bok, a kiedy tylko zapadał w drzemkę, od razu nawiedzały go jakieś senne koszmary. Wydawało mu się, że gdzieś pędzi, przez jakiś dziwny gąszcz,

złożony ni to z ludzi, ni to z drzew. Potykał się co chwilę, co rusz upadał, aby natychmiast zerwać się do dalszego szaleńczego biegu. Gdy już zdawało mu się, że zaraz wypadnie na wolną przestrzeń, budził się zlanym zimnym potem. W końcu pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie, mierzącemu metr sześćdziesiąt i ważącemu dziewięćdziesiąt osiem kilo, wcale nie jest łatwo biegać, nawet we śnie. Ten sen powtarzał się

19

wielokrotnie. Wreszcie gdzieś o piątej nad ranem porucznik dał za wygraną. Wstał ostrożnie z łóżka. Po cichu, tak by nie obudzić śpiącej żony, ubrał się i zszedł na dół, do kuchni. Przesiedział tam do szóstej, czytając stare gazety, aż w końcu doszedł do wniosku, że nie ma co dłużej tkwić w domu, tylko trzeba wyjść między ludzi. Wyprowadził z garażu swojego małego fiacika i ruszył w stronę komendy. Od kilku dni, dokładnie od kiedy do Jarocina zaczęły ściągać gromady młodych ludzi na festiwal, wybierał dłuższą trasę. Sunął wolno w okolicy pola namiotowego i przypatrywał się tym cudakom, którzy zjechali tu z całej Polski. Już od dawna, to jest od czasu, gdy parę lat temu milicjantom ze spokojnego dotąd wielkopolskiego miasteczka zwałił się na głowę ten młodzieżowy festiwal, nie mógł wyjść ze zdziwienia - jak to możliwe, że czynniki wyższe, czyli władze, tolerują to wszystko? Nie można powiedzieć, Mioduszewski lubił młodzież, szczególnie młode dziewczęta robiły na nim wrażenie. Ale nie takie jak te, które widywał podczas festiwalu. On lubił porządek i czystość, tak moralną, jak i fizyczną. A to, co widział na polu namiotowym i w mieście, wołało o pomstę do nieba, a właś-

ciwie nie do nieba, tylko do Komitetu Wojewódzkiego partii albo jeszcze wyżej.

Gdyby to od niego zależało, wszystko tu urządziłby inaczej. Przede wszystkim uczestników festiwalu przebrałby w jednokolorowe białe koszule i ciemne spodnie lub spódniczki. Tak umundurowanych posadziłby na krzesłkach przed sceną, na którą miałyby wstęp tylko zespoły wyłonione na drodze ogólnopolskich eliminacji, organizowanych w miejskich czy gminnych ośrodkach kultury. I na pewno powinny się tu prezentować zespoły młodzieżowe grające muzykę taneczną lub ludową, ze szczególnym uwzględnieniem chórów mieszanych. Chóry to było to, czego Mioduszewskiemu najbardziej

20

brakowało na tym festiwalu. Sam śpiewał w chórze przy domu kultury i mówiono nawet, że jego baryton jest silny jak syrena milicyjnej karetki. Porucznik uważał, że oddawanie się śpiewowi chóralnemu jest najpiękniejszą z możliwych pasji muzycznych, oczywiście dla człowieka kochającego prawdziwą muzykę. Ale to, co działo się tu, na scenie festiwalowej, to było dla niego coś zupełnie niepojętego. Wyjący długowłosi śpiewacy, warczące gitary, dudniące bębny i rozhisteryzowany tłum przed sceną. Wszystko to budziło w nim jak najgorsze uczucia i raniło do głębi jego artystyczną duszę.

No ale co robić, władza zwierzchnia miała widocznie jakiś plan związany z tymi wyjcami i nic na to się nie poradzi, myślał Mioduszewski. A skoro już władza tak postanowiła, to trzeba robić wszystko, by zabezpieczyć ten spęd jaski-

niowców i dbać, żeby tu, w Jarocinie, było bezpiecznie i żeby im się nic nie stało i nie daj Boże, nie doszło do jakichś ekscesów.

Dlatego codziennie jadąc do pracy, porucznik patrolował ulice zza szyb swojego malucha, a po porannej odprawie w komendzie wsiadał do służbowej nyski i osobiście rozwoził patrole funkcjonariuszy, przydzielając każdemu niezwykle ważne zadania.

O ósmej rano wrócił na pole namiotowe. Była to pora, kiedy większość uczestników festiwalu jeszcze spała w najlepsze. Porucznik penetrował wraz ze swymi ludźmi wszystkie zakątki, sprawdzając, czy aby nie doszło do jakichś nieprzewidzianych zdarzeń, ale najczęściej nie dochodziło. Jedyną nieprawidłowość, na którą mogliby zareagować, to ci wszyscy gówniarze, którzy spali nie pod namiotami, tylko wprost na trawie czy nawet na wydeptanych alejkach. Co do tych osób można by mieć podejrzenie, że są to ludzie niezameldowani

21

w recepcji festiwalowej, a na dodatek, że są pod wpływem alkoholu. Jednak takich delikwentów można było tu liczyć na setki, więc porucznik musiał zadowolić się tylko budzeniem ich i przeganianiem z publicznej przestrzeni. Zatrzymywano jedynie takich, którzy stawiali opór. Przez ostatnie dni udało mu się zgarnąć zaledwie trzydziestu chuliganów obrażających w niewybredny sposób funkcjonariuszy na służbie i milicyjny mundur.

Niedużo, ale zawsze coś - pocieszał się w myślach Mióduszewski, bo w końcu nie mógł zatrzymać wszystkich, tak

jak by tego pragnął. No bo skąd wziąć tylu milicjantów, tyle samochodów do przewożenia zatrzymanych i tyle aresztanckich cel?

W pokoju, w którym teraz siedział, było brudno i śmierdziało papierosami. Od kilku dni nikt nie sprzątał podłogi, nikt nie opróżniał zapełnionych po brzegi popielniczek i nie mył szklanek po kawie z zaschniętymi fusami. Sprzątaczkę zachorowała, a pracujący tu mężczyźni nie mieli głowy do takich drobiazów. Zresztą ten nieporządek był jedynie uzupełnieniem normalnego służbowego bałaganu. Na trzech biurkach wały się całe stosy papierów, teczek i jakichś starych akt. Brązowa szafa z segmentu Kowalskich, stojąca pod zieloną odrapaną ścianą, pomalowaną podczas ostatniego remontu w siedemdziesiątym drugim roku olejną farbą, pękała w szwach od starych gazet i książek, których nikt nie czytał. Stały tam też butelki po oranżadzie z porcelanowym kapslem, których nie dało się już wymienić w sklepie, bo jakieś pięć lat temu wycofano je z produkcji, zastępując niewygodnymi kapslowanymi flaszkami.

Porucznik właśnie wrócił z pierwszego porannego patrolu z zatrzymanymi łobuzami, których jego ludzie szybko i sprawnie zamknęli w areszcie. Siadł za biurkiem, by wypisać

22

protokoły zatrzymań, najpierw jednak otarł kraciatą chusteczką spoczone czoło, na wszelki wypadek przejechał nią też rzadkie jasne włosy i potężny kark. Spojrzał na formularz, który musiał wypełnić, i wtedy przypomniał mu się jego nocny koszmar.

Dokąd to ja niby uciekałem i przed czym?, zastanowił się przez chwilę, analizując sen. A może nie uciekałem, tylko goniłem jakiegoś przestępcę? Ta myśl szczególnie mu się spodobała. No właśnie, nie uciekałem, tylko goniłem, to znaczy, że nawet w nocy byłem na służbie, bo biegłem za jakimś bandytą albo nawet za jakimś ekstremistą, co uciekał i chciał się ukryć przed organami ścigania. Tylko szkoda, że go nie dopadłem. Ale przynajmniej złapałem tych, co tam leżeli pijani i nie chcieli po dobroci się usunąć z przejść. A to oznacza, że miałem sen służbowy o mojej służbie, ucieszył się porucznik. Te piękne służbowe myśli nagle przerwało energiczne pukanie do drzwi.

-- Wejść! - ryknął swym pięknym barytonem porucznik Mioduszewski.

W drzwiach stanął sierżant Koniarek, ulubiony funkcjonariusz porucznika, który zawsze potrafił powiedzieć coś mądrego na temat swojego bezpośredniego przełożonego.

- Starszy sierżant Koniarek Leon melduje, że jest pilny meldunek z pola namiotowego.

- Co tam, Koniarek, dupa się komuś pali? - zażartował porucznik. - Dopiero co my przecież tam byli i nic nadzwyczajnego nie zaszło.

-- Widzę, że obywatel porucznik w świetnym humorze jest dzisiaj - zaśmiał się sierżant z żartu dowódcy, ale po chwili spoważniał, przybierając zatroskany wyraz twarzy, bo to, co miał powiedzieć, wcale nie było śmieszne. - Ale tam mówią, że jest trup w namiocie.

-Jak trup w namiocie? - Porucznik zerwał się z miejsca, patrząc uważnie na sierżanta.

- Trup na ament zabity. Meldowali, że mamy przyjeżdżać i żebyśmy wezwali pogotowie ratunkowe. Tylko że nie wiem, na jaką cholere te pogotowie, jeśli tam jest trup. Ja to se myślę, że jak on jest nieżywy, to lepiej wezwać karawan od Włodasa Karczmarka, tego, co to ma zakład pogrzebowy... Mioduszewski zaklął w duchu, bo jego złe przeczucia właśnie sprawdzały się w całej rozciągłości. Zmierzył Koniarka surowym, wyćwiczonym przez lata spojrzeniem dowódcy, a zaraz potem uśmiechnął się radośnie.

- Wiecie co, Koniarek, to, że tam jest trup, to jest źle, normalnie jak to z trupem. Śledztwo się zacznie i takie tam wszystkie inne pierdoły, jak to zwyczajnie bywa, jak jest trup. Ale wy się teraz tak patrzycie na mnie i chyba myślicie sobie, czy wasz porucznik czasami nie zwariował, bo się śmieje, że jest trup.

-Ale co wy, obywatelu poruczniku. Jak ja bym mógł, gdzie tam... że obywatel porucznik zwariował, jak tam jest trup...

Mioduszewski wyciągnął rękę w stronę sierżanta, dając mu w ten sposób do zrozumienia, żeby nie przerywał, bo jeszcze nie skończył.

- A ja, widzicie, Koniarek, to się nie cieszę z trupa, tylko się z czegoś zupełnie innego cieszę. Wiecie z czego na ten przykład?

- Melduję, obywatelu poruczniku, że nie wiem, jak Boga kocham.

-Ja, Koniarek, się cieszę, że wreszcie tym gnojom, co jego zabili, znaczy się tego trupa, tym wyjcom będziemy mogli dobrać się do dupy i z tych zakutych pał wybić tę wrzaskliwą muzykę? Rozumiecie, Koniarek, teraz?

24

Powiedziawszy to, uśmiechnął się szeroko i zadowolony rozparł się wygodnie w fotelu. Porucznik wreszcie złapał wiatr w żagle. W końcu ta jego monotonna i mało ekscytująca służba podczas festiwalu zupełnie się zmieni. Dotąd zatrzymywał tylko jakichś pijaczków i żalosnych rozrabiaczy. A tu tymczasem zaczynała się grubsza sprawa. Może nawet okaże się, że to nie jest zwykłe zejście z przyczyn naturalnych, jak przedawkowanie alkoholu, ale wręcz piękne morderstwo. A jak morderstwo, to i poszukiwania sprawcy, i podejrzani, i zatrzymania podejrzanych. Oczami wyobraźni widział już całe dziesiątki zatrzymanych przez siebie długowłosych obwiesi, pakowanych do milicyjnych nysek. Nie, nie do nysek, nyski mogą być za małe na tę akcję, którą już zaczynał rozplanowywać w szczegółach. Trzeba będzie podstawić kilka areztanckich starów i do tych starów ich pakować. Tylko gdzie ich trzymać, jak się już ich zapakuje? Może zawozić do sali gimnastycznej w podstawówce...

- Tak jest, obywatelu poruczniku - przerwał tę piękną analizę sytuacji sierżant. - Ale komu wybić z dupy, znaczy się tę muzykę wybić, jak my jeszcze nie wiemy, kto to jego, tego trupa, zabił.

Mioduszewski uśmiechnął się radośnie i sięgnął po pas służbowy z kaburą. Zapiął go na potężnym brzuchu i mocno

ściągnął sprzączkę.

- Nie wiemy, Koniarek, ale się dowiemy. Choćbyśmy mieli ich wszystkich zamknąć i przesłuchać, to i tak się dowiemy.

- Obywatel porucznik to zawsze wie, jak i co zrobić - pochwalił swojego szefa milicjant.

- I dlatego jestem porucznikiem - wyjaśnił Mioduszewski. - A wiadomo już, kto zgłosił tego trupa?

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Chłopaki mówią, że zgłaszał niejaki Michu.

25

- Michu, powiadacie, Koniarek. - Porucznik przeszedł obok sierżanta w kierunku wieszaka, nałożył czapkę i ruszył w stronę drzwi. - Już my temu Michu michę wyklepiemy - powiedział, a potem zaśmiał się głośno ze swojego żartu.

godzina 10.20

Jak się nazywacie?

- Kapral Przybyła.

- Słuchajcie, Przybyła, jestem kapral Blaszkowski ze Szczyt-
na, musicie zabezpieczyć teren, to znaczy wywalić stąd tych wszystkich gapiów...

- E tam -- machnął ręką kapral Przybyła i już chciał się odwrócić na pięcie. - Ja myślałem, że z oficerem mam do czynienia, a ty żeś jest kapral. Możesz se rozkazywać u cioci na imieninach, a nie mi tu dawać komendy.

Mariusz Blaszkowski wściekł się nie na żarty. Tu zanoszą się na sprawę poważną, a przed nim stoi jakiś jełop, który nie ma pojęcia o milicyjnej robocie. Na szczęście tuż przy nim wyrósł jak spod ziemi jego kolega ze szkoły, Witek,

który przez rok studiów nie dorobił się nawet jednej belki. Wielki jak kłoda drewna Zalewski był najlepiej z całej ich grupy przygotowany do pracy w Jarocinie. Ubrany w czarną skórzaną kurtkę i spodnie moro wyglądał jak prawdziwy metalowiec. Wyciągnął swoją wielką rękę zza pleców Blaszkowski ego i delikatnie położył ją na ramieniu kaprała Przybyły.

- A ja jestem Wiciu, też ze Szczytna, podchorąży w cywilu, podczas wykonywania działań operacyjnych, baranie, a to jest pan podchorąży Blaszkowski - wskazał głową na Mariusza - który zdaje się wydał ci rozkaz. A wiesz, że za niewykonanie

26

rozkazu idzie się do ancla? A w warunkach operacyjnych to i pod sąd możemy cię oddać za niesubordynację i lekceważenie oficera. A i z milicji za to mogą cię wypierdzielić na zbitą mordę... - powiedział to już zupełnie cicho, tak żeby nikt ze stojących w pobliżu nie mógł dosłyszeć.

Przybyła zbladł, a potem przybrał postawę zasadniczą.

- Tak jest, obywatelu podchorąży.

- No, teraz już znacznie lepiej. Widzę, Przybyła, że jednak macie trochę oleju w łepetynie - ucieszył się Zalewski. - Zrozumieliście rozkaz? - zapytał z uśmiechem, cofając rękę z ramienia mundurowego.

- Zabezpieczyć teren, odsunąć gapiów...

- I nie wpuszczać nikogo do czasu przyjazdu ekipy dochodzeniowo-śledczej.

- Tak jest, obywatelu podchorąży. - Przybyła zsalutował, a potem odwrócił się, cały czas wyprężony jak struna, i na-

tychmiast niemal defiladowym krokiem podszedł do stojących nieopodal czterech milicjantów w mundurach moro. Wystarczyło im kilkanaście sekund, by oczyścić teren przed namiotem.

- Dzięki, Wiciu. - Mariusz uściśnął rękę kolegi.

- Droбноcha - uśmiechnął się Zalewski. - Maciek Kubiak już szuka naszych. Był tu ze mną, ale jak zobaczył, co się dzieje, zaraz dał dyla, żeby całą naszą bandę tutaj sprowadzić. A ty mów, co jest grane.

- Sam zobacz. - Mariusz wskazał ręką namiot, przed którym leżał wracający właśnie do przytomności chłopak w pasiastej koszulce, a przy nim klęczała zapłakana ciemnowłosa dziewczyna. Zalewskiemu wystarczyło kilka sekund, żeby zorientować się w sytuacji.

- No, to mamy niezłe gównno - powiedział, stając znów przed kolegą.

27

- No, a na dodatek całą masę śladów rozdeptanych przez tłum.

- Kto ją znalazł?

- Ten tu - Mariusz wskazał leżącego na ziemi Gucia - razem z tą dziewczyną. Musimy ich zaraz wziąć na komisariat i przesłuchać. Może coś ważnego zauważyli. A jak pojawią się nasi, to trzeba im dać znać, żeby rozpytali wszystkich sąsiadów o lokatorów tego namiotu. Nie wiemy na razie, czy ta dziewczyna, co leży tam w środku, jest stąd, czy występuje tu w charakterze gościa.

- No, to bierzemy się do roboty - powiedział Zalewski. Już

chciał odejść, gdy Mariuszowi przypomniało się coś jeszcze.

- Wiciu! - zawołał za kolegą.

-No?

- Masz gdzieś pod ręką swojego zenitha?

-Jasne - uśmiechnął się podchorąży. - Mam w namiocie.

- No to zanim przyjedzie ekipa techniczna, strzeliłbyś parę fotek, głównie otoczenia. - Mówiąc to, wskazał na coraz większy tłumek gapiów odsuwanych dalej od namiotu przez ludzi kaprała Przybyły.

- Da się zrobić, kierownik - odpowiedział Zalewski i szybko ruszył do siebie.

Po paru minutach przed namiotem stało już sześciu wywiadowców ze Szczytna. Jakoś tak w naturalny sposób Mariusz przejął nad nimi dowództwo. Nawet się nad tym nie zastanawiał. Uczestniczył już kilka razy w zabezpieczaniu miejsca, w którym doszło do morderstwa, więc teraz robił wszystko niemal mechanicznie. A jego koledzy, których widok zamordowanej dziewczyny pozbawił naturalnej pewności siebie, natychmiast podporządkowali się rolom, jakie on im przypisał. Podzielił najbliższy teren na kilka sektorów i każdemu

28

wyznaczył kilka namiotów do sprawdzenia. Milicjanci mieli spisać dane mieszkańców i wypytać o to, czy czegoś nie zauważyli. Kapral Przybyła, dowódca patrolu zomo, dostał polecenie wyczyszczenia całego terenu w promieniu dwudziestu metrów z przypadkowych gapiów. Na miejscu mogli zostać tylko mieszkańcy pobliskich namiotów. Mariusz sam postanowił porozmawiać z parą, która odnalazła zwłoki.

Podszedł nawet do chłopaka i dziewczyny, by rozpocząć rozmowę, gdy wtem szeroką alejką, przy której rozbity był czerwony namiot, nadjechała milicyjna nyska.

Samochód gwałtownie zahamował, wzbijając tumany kurzu. Boczne drzwi szoferki otworzyły się i wysiadł z nich niewielki, okrągły jak piłka, spocony porucznik. Za nim z tylnego wyjścia wysypało się jeszcze pięciu mundurowych. Porucznik rozejrzał się dookoła i z naburmuszoną miną ruszył w stronę namiotu, przeskakując rozpięte nad ziemią linki naciągowe, przyszpilone do gruntu aluminiowymi śledziami. Stał na pustym placyku i złym spojrzeniem zmierzył najpierw Blaszkowskiego, a potem parę siedzącą na trawie.

- Koniarek! – krzyknął, patrząc cały czas na towarzystwo przed namiotem. Kapral błyskawicznie podbiegł do dowódcy i wyprężył się jak struna.

- Bierz ich wszystkich do wozu i spisać to towarzystwo.

I wołaj mi tego tam z zomo, co zabezpiecza teren. Trzeba mu powiedzieć, że dobrze się sprawił. A ja zajrzę do środka zobaczyć, co tam się stało. Zresztą jak chcecie, to chodźcie ze mną, też se popatrzycie...

- Nie tak szybko, poruczniku...

Mioduszewski stanął jak wryty. Czego jak czego, ale tego, żeby jeden z tych pstrokato ubranych pajaców odezwał się do niego w ten sposób, nigdy by się nie spodziewał. Tego już za wiele. Obrócił powoli głowę i spojrzał na zuchwalca. Od razu

29

przybrał taką pozycję, jakby miał zamiar rzucić się na osobnika, który śmiał mu się sprzeciwić.

Przed nim stał szczupły blondyn w czerwonej koszulce i w dżinsach. Wsparł się rękami pod boki i jak się porucznikowi zdawało, patrzył na niego w sposób wyzywający.

- Koniarek! - wrzasnął znowu porucznik. -- A temu tu -- wskazał ruchem głowy Blaszkowskiego - to jeszcze ścieżkę zdrowia zafunduj, żeby się nauczył moresu.

Ale Blaszkowski nie przeląkł się groźby, bo był pewny swego. Doskonale wiedział, czym może się skończyć taka niefrasobliwość porucznika. Nie dość, że już i tak wlało tam parę osób, to kolejna wycieczka milicjantów mogła doszczętnie zniszczyć wszystkie pozostałe ślady. Dlatego postanowił zagrać ostro i stanowczo. Pomyślał sobie, co powiedziałyby jego starszy kolega porucznik Brodziak po przyjeździe na miejsce morderstwa, gdyby dowiedział się, że on pozwolił wchodzić tam wszystkim ciekawskim. Od razu ciarki przeszły mu po plecach, gdy przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie z porucznikiem parę lat temu, kiedy zabezpieczał teren nad Wartą w miejscu, gdzie wędkarze znaleźli ciało kobiety bez głowy. Wolał więc zachować się dziś jak najbardziej profesjonalnie, nawet narażając się na gniew porucznika, który teraz stał przed nim i kipiał ze złości.

- Teren jest zabezpieczony, a do namiotu proszę nie wchodzić - rzucił szybko Blaszkowski.

- Koniarek! Dawaj mnie pałę. Ja sam mu zrobię ścieżkę zdrowia, jak Boga kocham. I to tu, na miejscu - warknął porucznik Mioduszewski, wyciągając dłoń do swojego sierżanta. Ten odpinał właśnie białą pałkę przytroczoną do czarnej raportówki, ale jakoś mu nie szło, bo na wszelki wypadek

zabezpieczał ją zawsze dodatkowym rzemieniem i teraz ten rzemień nie chciał puścić.

.30

Porucznik pochylił się jeszcze bardziej i wysunął dolną szczękę pozbawioną dwóch jedynek. Mariusz widząc to, nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Tego już było dla Mioduszewskiego stanowczo za wiele. Nie doczekawszy się pałki, ruszył na Blaszkowskiego jak rozpędzony kombajn Bizon. Ale go nie dopadł, bo przed nim jak spod ziemi wyrósł nagle potężny Zalewski, który chwycił szarżującego porucznika za głowę i przytrzymał w miejscu.

- Koniarek! - ryknął Mioduszewski. - Brać ich! Napadli na funkcjonariusza...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Blaszkowski najspokojniej w świecie machnął mu przed oczami czarnym kartonikiem legitymacji służbowej i powiedział:

-Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Poznaniu zabezpiecza miejsce zdarzenia. Opanujcie się, poruczniku, bo ludzie patrzą. Proszę nie utrudniać działań operacyjnych.

Zalewski jeszcze przez moment trzymał szarpiącego się porucznika, a gdy poczuł, że to, co powiedział Blaszkowski, wreszcie dotarło do niego, zwolnił uścisk.

Czerwony jak burak Mioduszewski wyciągnął z kieszeni kraciatą chusteczkę do nosa, zdjął czapkę i otarł spoczone czoło.

- To czemuście od razu nie powiedzieli? - warknął.

- Bo nie daliście szansy, poruczniku, tylko chcieliście nas aresztować.

-I co teraz zamierzacie zrobić? - Mioduszewski zadał rzeczowe pytanie, powoli dochodząc do siebie.

- Co zamierzamy zrobić? - zastanowił się Mariusz i wpadł w lekką panikę. Chyba jednak posunął się trochę za daleko. Groźnie brzmiąca nazwa Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych, czyli Komenda Wojewódzka w Poznaniu, trochę osadziła tego porucznika, ale co będzie, jak się dowie,

31

że z tą komendą to bujda na resorach. Trzeba coś szybko wymyślić, żeby dać sobie radę z tym grubasem, który na pierwszy rzut oka wygląda na faceta niemającego zielonego pojęcia o kryminalnym śledztwie. Tylko jak teraz z tego wybrnąć?

W tym momencie przypomniał mu się porucznik Brodziak, który na pewno w takiej sytuacji nie straciłby zimnej krwi. Po sekundzie podchorąży już wiedział.

- Poruczniku, muszę jak najszybciej połączyć się z komendą wojewódzką, z majorem Marcinkowskim. Moi ludzie w cywilu już prowadzą wstępne przesłuchania świadków, a pana proszę o pomoc w zabezpieczeniu terenu, zanim przyjedzie tu ekipa techniczna. Teraz najważniejsze jest to, żeby nikt nie zbliżał się do namiotu, w którym dokonano morderstwa.

- Morderstwa? - powtórzył rozmarzonym głosem Mioduszewski i pomyślał o tym, jak byłoby pięknie poprowadzić taką sprawę. Tymczasem na jego teren wlał ten gówniarz i jeszcze wydaje mu polecenia. No, ale w końcu to ktoś z wojewódzkiej i ma do tego pełne prawo. Niech oni, ci z tej wojewódzkiej, robią sobie swoje, a on ze swoimi ludźmi dostarczy im podejrzany element na tacy.

Wcisnął czapkę na głowę i zsalutował.

-Tak jest, przystępujemy do działań zabezpieczających,
a wy, Koniarek - spojrzał groźnie na swojego podwładnego -
weźcie wóz i zawieźcie obywatela porucznika na komendę,
żeby mógł się połączyć z Poznaniem.

- A co z pałką? - zapytał Koniarek, któremu wreszcie udało
się ją wydostać.

- W dupę se ją wsadź - warknął Mioduszewski.

Mianowany właśnie porucznikiem podchorąży Blaszkowski spojrzał na czubki swoich butów, a potem na szeregowego Zalewskiego, który ubawiony po pachy szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu.

32

poznań

godzina 11.00

Podporucznik Teofil Olkiewicz od samego rana czuł się źle. Kiedyś mu się to nie zdarzało. Niezależnie od tego, ile dzień wcześniej wypił, następnego dnia zawsze był w doskonałej formie. Ale dziś coś się zmieniło. Bolała go głowa i cały czas czuł suchość w ustach. Nie pomagało picie wody, której pochłonał już chyba ze dwa litry. Wiedział, co mogłoby postawić go na nogi, i dlatego kombinował, jak by choć na chwilę wyskoczyć z komendy. Niedaleko stąd, tuż przy Rynku Jeżycim, była mała knajpka, gdzie od rana podawano kufłowego lecha. Teofil dobrze znał ajenta baru, więc pewnie znalazłaby się jakaś schłodzona butelka, bo oprócz kufłowego, którego czasem brakowało, butelkowe też tam sprzedawali. No ale pech chciał, że nie mógł w tej chwili wyjść, ponieważ mu-

siał czekać na jakiegoś delikwenta z aresztu na Młyńskiej.

Wszystko się przeciągało, bo w areszcie jak zwykle nie mieli wolnego transportu. Obiecali mu już jakieś dwie godziny temu, że jak tylko będzie samochód, natychmiast wyślą aresztanta, ale jak widać, tylko obiecywali, a on tu cierpiął jak nigdy.

Wszystko przez ten spirytus, który wczoraj dostał od dzielnicowego Kryspina Obrębskiego z Łazarza. Obrębski, z którym przyjaźnił się od jakichś dwudziestu lat, kilka dni temu zrobił nalot na melinę i zarekwirował kilkanaście litrowych butelek jugosłowiańskiego spirytusu. Zarekwirował, nie wystawiając oczywiście żadnego pokwitowania, dzięki czemu babcia prowadząca melinę nie trafiła do aresztu, a spirytus trafił do Obrębskiego i kilku jego najbliższych kolegów z milicji. Teofil załapał się na jedną butelkę, której jakoś musiał natychmiast sprawdzić. Wieczorem w domu zagotował

33

wodę i z jednego litra zrobił trzy półlitrowe butelki pierwszorzędnej mocnej miodówki. W smaku okazała się rewelacyjna, ocenił fachowo własny wyrób Teofil, a skoro była taka dobra, to przecież nie mógł poprzestać na wypiciu jednego kieliszka. Dał spróbować żonie, ale ona, zaledwie umoczyła usta, parsknęła z obrzydzeniem, oświadczając, że jak dla niej to za mocne paskudztwo. Więc Olkiewicz się obraził, bo nie doceniono jego umiejętności w tworzeniu wyrafinowanych smaków. Uznał, że prawdziwą wartość trunku potrafi docenić tylko wyrobione podniebienie smakosza. Spakował więc dwie butelki do swojej wysłużonej brązowej

torby i poszedł piętro niżej do sąsiada Matuszewskiego, który podobnie jak on umie rozpoznać smak dobrego alkoholu. Z dwiema półlitrowkami uporali się dość szybko, potem była trzecia i na koniec jeszcze jedna butelka bałtyckiej, którą sąsiad miał schowaną w nowym podświetlanym barku z lustrem. Ostatnia rzecz, jaką z tego wieczora zapamiętał Teofil, to otwarta muszla klozetowa i on sam zaglądający do jej środka z dość bliskiej odległości.

To też mu się dotąd nie zdarzało. Mógł wypić morze alkoholu, ale żeby po tym wymiotować...

Albo się starzeję, albo coś jest nie tak z tym spirytusem, pomyślał po przeanalizowaniu całej niezbyt komfortowej sytuacji. Trzeba by zapytać Kryspina, czy aby i on nie miał podobnych sensacji i równie wielkiego kaca. Był przekonany, że także jego kolega dzielnicowy wczorajszy wieczór musiał spędzić na degustacji nowego trunku.

Już chciał podnieść słuchawkę, by połączyć się z komendą dzielnicową Poznań Grunwald na Rycerskiej i by poddać szczegółowemu przesłuchaniu Obrębskiego, gdy do pokoju wszedł porucznik Brodziak. Szczupły, piegowaty rudzielec po trzydziestce, który ubierał się jak cinkciarz. Miał na sobie

341

dżinsową koszulę, dżinsowe spodnie i białe adidas. Wszystko w nim pachniało peweksem, łącznie z jego świeżo ogoloną twarzą, do której pielęgnacji stosował prawdziwego old spice'a. Olkiewicz skrzywił się, czując w pokoju ten powiew Zachodu. On sam po goleniu klepywał sobie zwykłą przemyśawkę, a parę razy zdarzyło mu się nawet użyć jej nie ze-

wnętrze, lecz wewnątrz.

- Żeby te amerykańskie bejmy wydawać na takie głupoty - tłumaczył kiedyś cierpliwie Brodziakowi. - Przecież nasze krajowe wyroby są całkiem niezłe, a za dolary to owszem można kupować, ale na ten przykład wódeczkę, i to też nie jakąś tam zagraniczną, ale najlepiej naszą polską, bo to towar najlepszy na świecie i dlatego deficytowy, i nie ma go w normalnych sklepach, żeby wiara ze szczęścia nie powariowała. Władza wie, co robi, i nie daje każdemu moczymordzie dostępu do poloneza czy żytniej z kłoskiem, żeby to dobro nie lało się w byle jakie chamskie gardła.

Ale Brodziak wiedział swoje i zaopatrywał się w peweksach, zwłaszcza że do waluty miał ułatwiony dostęp. Jego najbliższy przyjaciel Rychu Grubiński, z którym wychowywał się na jednym podwórku na poznańskim Starym Mieście, był od kilku lat jedną z najważniejszych postaci w walutowym biznesie. Dla niego pracowała większość poznańskich cinkciarzy. Mirek mógł więc zawsze kupić parę dolarów po kursie, o jakim inni mogli tylko pomarzyć.

- Cześć pracy - powiedział Brodziak, podchodząc do biurka, za którym siedział smutny jak orangutan Olkiewicz. - Co masz, chłopie, taką smutną ryfę? Wyglądasz, jakby cię wypchnęli z ogonka po krakersy brydżowe. Chory jesteś, czy jak?

- Ady tam zaraz chory, mgli mnie coś od rana.

Brodziak przystanął przed biurkiem i uważnie przyjrzał się Olkiewiczowi. Na pierwszy rzut oka podporucznik wyglądał

zupełnie normalnie. Okrągła, gładko wygolona twarz z po-

dwójnym podbródkiem, starannie ułożona na czole zaczeska przykrywająca łysy czubek głowy, lekko zaczerwieniony nos, no i worki pod oczami, dziś jakby trochę ciemniejsze niż zwykle. Teofil Olkiewicz mimo przekroczonej już jakiś czas temu pięćdziesiątki miał się całkiem nieźle.

- Nie wyglądasz na chorego -- stwierdził Brodziak, skończywszy lustrację. - No, może trochę na zmęczonego.

- Łe tam - machnął ręką Teofil. - Bo z wierzchu to może i nie wyglądam, ale w środku mnie tak coś pali, że aż strach.

Wody tom już dziś tyle wypił, że ledwo się mogę ruszać. -

Mówiąc to, poklepał się po wydatnym brzuchu, który dość ciasno opinała szara, nieco za mała marynarka.

- Nawet palić mi się nie chce specjalnie.

Porucznik uśmiechnął się i wydobył z kieszeni swojej dżinsowej koszuli paczkę cameli bez filtra, i podsunął papierosy koledze.

- Peweksowskie - pochwalił się. - To nie to, co te twoje gówniane ekstra mocne. Takiego możesz se zapalić bez szkody dla zdrowia.

Olkiewicz pokręcił nosem, zrobił minę, jakby spoglądał na największe świństwo, jakie widział w swoim życiu, ale w końcu wyciągnął rękę i wydobył z paczki amerykańskiego papierosa.

Po chwili aromatyczny dym wypełnił pokój.

Brodziak usiadł za swoim biurkiem i zaraz włączył radio Taraban, które stało na półce tuż obok. Radio było monofoniczne, jednak tu, w pracy, porucznik, miłośnik stereofonii, nie zwracał większej uwagi na jakość dźwięku. Muzyki po-

trzebował jako dźwiękowej tapety, ozdabiającej smutny, byle jak urządzonej pokój. Po chwili rozległy się charakterystyczne takty polki, która od lat była sygnałem Lata z Radiem.

36

Na biurku Olkiewicza zadzwonił telefon. Milicjant spojrzął z niechęcią na szary ebonitowy aparat, ale w końcu podniósł słuchawkę.

- Olkiewicz, słucham - warknął do mikrofonu.

jarocin

godzina 11.05

Trzymaj tego skurwiela. Dobra, teraz połóżcie go na ziemi, dupą do góry.

Porucznik Mioduszewski spojrzął na twarz przerażonego chłopaka, ubranego w czarną koszulkę, krótkie spodenki gimnastyczne i szaroniebieskie trampki. Widział strach w jego oczach i poczuł się dumny. Bynajmniej nie z powodu zatrzymania podejrzanego. Jego duma wynikała z faktu, że podejrzany, który był podejrzanym przez niego, bał się w tak ewidentny sposób. Bo porucznik, jako stary milicyjny wyga i praktyk z długoletnim stażem, nie miał wątpliwości, że boją się tylko winni. Jeśli ktoś jest niewinny, no to czego ma się bać. Przecież codziennie na swojej drodze do pracy i z pracy spotykał całe setki niewinnych ludzi, którzy uśmiechali się do niego, mówili mu dzień dobry i wcale się go nie bali. A ten tu leżący na ziemi, jak tylko go zobaczył, zaraz zaczął uciekać. I gdyby nie Koniarek i jeszcze jeden z jego ludzi, kapral Mżygłód, to nie byłoby go teraz tu na ziemi przed nim, porucznikiem.

Obaj podwładni sprawnie wykonali rozkaz i szybko odwrócili leżącego na brzuch. Mzygłód usiadł mu na nogach, a Koniarek uklęknął przed głową leżącego, wcisnął ją między swoje kolana i przydusił obie ręce, które chłopak miał zaplecione na karku. Tak dla bezpieczeństwa, żeby się nie wyrwał.

37

Obaj znali się na robocie i już niejedną raz asystowali przy wstępnym przesłuchaniu, które przeprowadzał ich porucznik. Do nich należało tylko trzymanie, dowódca robił resztę. Teraz Mioduszewski spokojnie podszedł do leżącego i wyciągnął z raportówki Koniarka białą pałkę. Rozejrzał się jeszcze dookoła, sprawdzając, czy aby nikt niepowołany nie przygląda się jego pracy. Ale w pobliżu nie było nikogo. Zresztą kto miałby tu być, w tych krzakach? Byli w końcu jakiś kilometr od pola namiotowego. To tutaj właśnie znaleźli tego chłopaka z ogoloną głową. Jak tylko porucznik go zobaczył, wiedział, że z nim musi być coś nie tak. Po pierwsze, kto chodzi z ogoloną głową? Tylko przestępcy, odpowiedział sam sobie Mioduszewski. Po drugie, kto normalny ma zakrwawioną rękę? Nikt normalny nie leży na trawniku z ręką całą we krwi. Po trzecie, jeśli już kogoś takiego się namierzy i zacznie z nim rozmowę, to ten ktoś powinien spokojnie odpowiadać na pytania, a nie uciekać. A ten zamiast gadać, uciekał jak przestępca. Wniosek jest prosty: ma łysą głowę, zakrwawioną rękę i na dodatek ucieka, znaczy, że jest bandytą. A tu jeszcze popełniono morderstwo. A skoro je popełniono, to znaczy, że ktoś je popełnił. Kto? Odpowiedź jest prosta. Musiał to być przestępca. A kto lepiej pasuje do obrazu przestępcy jak nie

łsy, zakrwawiony i do tego jeszcze uciekający...

Zadowolony ze swojej analizy porucznik Mioduszewski schylił się nad leżącym chłopakiem. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko jednego - przyznania się do winy. Porucznik Mioduszewski nie był pierwszym lepszym milicjantem. On dużo czytał na tematy fachowe i doskonale wiedział, że przyznanie się podejrzanego w zasadzie zamyka całe śledztwo. Jest trup, jest podejrzany i jest wreszcie przyznanie się do winy, i cała sprawa zamyka się po spisaniu protokołu. No więc teraz miał już w ręku wszystkie elementy

381

oprócz tego ostatniego. No ale to już jest czysta formalność, myślał porucznik, który wiedział, jak fachowo podejść do sprawy.

Ten podejrzany sam mu się nawinął i to nie mógł być przypadek. Po zabezpieczeniu terenu zgodnie z poleceniem tamtego młodego podporucznika z Poznania - a swoją drogą, co to za porządki w Milicji Obywatelskiej są teraz, że taki gówniarz już jest oficerem, nie mógł się nadziwić porucznik - no więc zgodnie z jego poleceniem zabezpieczono teren i dlatego on mógł ze swoimi najbardziej zaufanymi ludźmi wyruszyć na poszukiwania sprawcy. Długo nie trzeba było szukać. Odeszli od namiotu, w którym już zdążyła zainstalować się ekipa techniczna, zaledwie jakieś dwieście kroków. Niedaleko umywalni i latryny obozowej znajdował się niewielki skwerek, na którym nie wolno było rozbijać namiotów. W zamierzeniu organizatorów festiwalu miało to być coś w rodzaju miejsca do spożywania posiłków, bo na trawie

stały sklecone z desek stoły i ławki. Nikt tam nigdy niczego nie spożywał oprócz alkoholu rzecz jasna i dlatego podczas codziennych patroli zawsze zgarniali stamtąd upitych do nieprzytomności delikwentów. Odwozili ich prosto do izby wytrzeźwień albo do aresztu, w zależności od fantazji i nastroju funkcjonariuszy.

Porucznik był przekonany, a mówił mu to jego milicyjny nos, że jeśli mają znaleźć sprawcę, to na pewno tam będą mogli na coś albo na kogoś się natknąć. Natknęli się na kogoś. Na samym skraju wydeptanego trawnika leżał ten łysy z obandażowaną ręką i dłonią całą we krwi. Mioduszewski dostrzegł go z daleka. Kazał dwóm pozostałym funkcjonariuszom otoczyć leżącego, a potem sam ruszył w jego kierunku. Delikwent chyba coś wyczuł, bo podniósł tę swoją łysą głowę, przez sekundę patrzył na zbliżającego się porucznika,

39

a potem nagle poderwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Nie miał jednak szczęścia. Wpadł natychmiast na Mzygłoda, który fachowo podciął mu nogi, a gdy chłopak padał, na plecy rzucił mu się Koniarek. Po chwili podejrzany siedział już skutny w nysce.

Mioduszewski postanowił doprowadzić sprawę do końca natychmiast. Kazał Koniarkowi jechać do lasu przy drodze wylotowej na Ostrów Wielkopolski. Tam milicjanci wyciągnęli zatrzymanego z wozu i w parę chwil przygotowali go do przesłuchania.

- No to ja teraz zapytam spokojnie, czemuś to zrobił. I czekam na prawdziwą odpowiedź. Znaczy się taką, żebym już

nie musiał cię pytać. A nie będę ciebie ja pytał, jak już będzie wszystko jasne i powiedziane do końca. Rozumiesz mnie, ty łysy gnoju?

Łysy nic nie odpowiedział, więc porucznik walnął go z całej siły pałą w łydkę. Nim przesłuchiwany zdążył krzyknąć, kolejny cios spadł na drugą nogę.

-Aaaa! - krzyknął chłopak, a porucznik kiwnął głową, z uśmiechem patrząc na Koniarka.

- Ty jemu zatkaj mordę, bo on za bardzo jest krzykliwy.

Koniarek odwrócił głowę leżącego i przyłożył dłoń do jego ust, zamykając je szczelnie.

- No to ja teraz cię o coś zapytam, a ty mi grzecznie odpowiesz, łysa pało. Tylko ty mi gadaj tak, żebym ja był zadowolony. Ale najpierw pomogę ja tobie zebrać pamięć do kupy, żebyś ty się aby nie pomylił.

Przyklęknął przy chłopaku, którego obaj podoficerowie chwycili najmocniej, jak się dało. Pierwszy cios spadł na plecy, a następne rozłożyły się równo od karku aż po same łydki.

Po kilku minutach porucznik się zmęczył, a przesłuchiwany zgodziłby się podpisać nawet zeznanie, że jest odpowie-

40

dzialny za pacyfikację kopalni Wujek. Ale Mioduszewskiemu wystarczyło, że przyznał się do zamordowania osoby mieszkającej w czerwonym namiocie. Porucznik nawet nie wiedział, czy zabito tam kobietę, czy mężczyznę, jakoś zapomniał zapytać tego młodego porucznika, postanowił nie komplikować jednak sprawy i nie pytać o szczegóły. W końcu najważniejsze było samo przyznanie się winnego, a nie

jakieś tam pierdoły.

rozdział

II

poznań

godzina 11.10

Teofil Olkiewicz spojrzął na swoje brudne paznokcie u lewej ręki. Zdziwił się, że jest pod nimi taka gruba warstwa brudu. Zazwyczaj starał się wyglądać jak na porządnego oficera śledczego przystało, czyli nienagannie. Zawsze jednak, mimo wielkich starań i codziennego czyszczenia paznokci szczyrkami, zostawał niewielki czarny kontur, ale dzisiaj przewyższał on wszystko, co dotąd widział na swoich palcach. Winna była działka, którą musiał uprawiać. Jakiś czas temu jego żona Jadwiga przyszła do domu i powiedziała mu, że zmarł sąsiad Antkowiak z czwartego piętra i jest okazja, żeby kupić działkę pracowniczą po nim, bo stara Antkowiakowa, która właśnie została wdową, nie ma siły pracować na tej działce, no bo ma jedną girę sztywną i ledwo o kulach łązi. No i jeśli trafia się okazja, to trzeba ją wykorzystać, bo zaraz rzucą się inni i rozdrapią. Teofil nie miałby nic przeciwko temu, żeby rzucili się i rozdrapali, bo uważał, że ta działka nie jest mu do niczego potrzebna. Ale Jadwiga myślała zupełnie inaczej, zwłaszcza że jak mówiła, lokalizacja jest bardzo sprzyjająca, bo ogródek leży na działkach między Dolną Wildą a Bema, czyli całkiem niedaleko ich kamienicy, jakieś dwadzieścia minut spacerkiem, przekonywała. A miała dar przekonywania. Najpierw Teofil się zaparł i powiedział, że on żadnej ziemi, własnej czy pracowniczej, nie potrzebuje, bo nie ma czasu na

ksiuty, czyli że nie będzie się w glebie babrać. Bo czas wolny to on chce spędzać przed telewizorem w papciach, jak kulturalny człowiek, a nie w gumiakach, jak jakiś bamber. No ale Jadwiga nie dała za wygraną. Powiedziała mu, że na działce jest kilkanaście krzaków porzeczek, z których mogliby robić domowe wino. No i to był argument, wobec którego Olkiewicz był całkowicie bezradny. Co prawda, przekonywał sam siebie, wino to nie jest gorzola, ale w końcu też da się wypić, a jeśli nie będzie smaczne, to zawsze można je przepędzić przez destylator, a spirytus to przecież wszystko jedno z czego powstaje, czy ze świętojanek, czy z pyrów. Smak w końcu ten sam, doszedł do wniosku Teofil i dał się przekonać. Nie wiedział, niestety, że prócz zrywania porzeczek jest zawsze do zrobienia jeszcze parę innych rzeczy. Trzeba bielić drzewka, naprawiać płot i rozlatujący się domek, a najgorsze było to, że musiał też kopać grządki. Właśnie wczoraj kopał, zanim zabrał się do degustacji jugosłowiańskiego spirytusu. Przypomniał sobie nawet, że miał szczotkę ryżową wymyć paznokcie, ale odłożył to na czas po degustacji zrobionej przez siebie nalewki, no i nie udało się. Rano zapomniał o myciu i pognął do roboty, a teraz wyglądał jak badylarz - brudny i skacowany.

- Co tam jest z tobą, Młody? - zapytał, słysząc w słuchawce głos Blaszkowskiego. Chwilę słuchał, a potem zaczął się głośno śmiać.

- Poczekaj chwilę - powiedział, gdy atak śmiechu już minął. - Powiem tylko Mirkowi, co i jak.

- W czym problem? -- Brodziak uniósł głowę znad „Gazety

Poznańskiej" i spojrzął pytająco na kolegę.

43

- Blacha dzwoni z Jarocina - wyjaśnił rozbawiony Olkiewicz. - Jest tam na akcji ze szkófką. I wyobraź se, że kogoś tam zamordowali, a ten głupek zarządził śledztwo.

-No to chyba dobrze, nie? - ucieszył się Mirek, który Blaszkowskiego uważał za swojego ucznia, w dodatku ucznia dość pojętego i dobrze rokującego. Dlatego był przekonany, że chłopak wie, co robi.

- Ale ten kretyn zaczął wydawać rozkazy jakiemuś szufolowi z miejscowej komendy, co chciał wejść z buciorami na miejsce i przejąć dowodzenie. Powiedział mu jeszcze, że śledztwo prowadzi kw z Poznania.

- No, to zachował się pokazowo - przyznał Mirek coraz bardziej dumny ze swojego wychowanka.

- Ino że ten porucznik, co go przepędził Blaszkowski, myśli, że jest porucznikiem. Znaczą się, on tak myśli, że nasz Blaszkowski jest porucznikiem, bo mu wydawał rozkazy. Jak się teraz dowie, że rozkazy wydawał mu kapral, to będzie niezła gemela.

- I tu młody ma niestety rację. Daj mi ten telefon.

Brodziak podszedł do biurka Olkiewicza i wziął do ręki słuchawkę. Przez chwilę słuchał uważnie tego, co ma mu do powiedzenia Mariusz, i w końcu zdecydował.

- Pilnuj wszystkiego na miejscu i nie gadaj z tym porucznikiem. Bierzymy ekipę i jedziemy tam. Za dwie godziny będziemy. Ja jadę, Teofila też wezmę i chyba Grzechu Kowal pojedzie.

Olkiewicz spojrział ze zdumieniem na Brodziaka. Tego tylko dziś brakowało, żeby gdzieś się szlajać, i to jeszcze po jakichś Jarocinach. On nie miał najmniejszej ochoty ruszać się z miejsca. Jedyne, o czym marzył, to by dojść gdzieś na piwo, wypić kilka zimnych kufli, a później wrócić spokojnie do domu i w kuchni wypić jakąś buteleczkę czystej.

44

Trzymał tam jedną schowaną w kredensie tak głęboko, że Jadwiga nie miała pojęcia o jej istnieniu. Stała za rzędem weków na samym dole. No, ale z drugiej strony, jeśli wróci do domu, to żona mogłaby wpaść na pomysł, żeby pójść dziś jeszcze na działkę i dokończyć to, co wczoraj zaczęli, czyli przekopywanie i diabli wiedzą co jeszcze. Tłumaczył jej, że kopie się na wiosnę i wtedy przygotowuje się jakieś tam nasiona do wysiania, żeby mieć marchewkę i takie tam różne rzeczy. Ale ona się uparła, że trzeba zrobić porządek po poprzednich właścicielach i przygotować wszystko po swojemu. Dlatego kopał. I wiedział na pewno, że dzisiaj nie ma najmniejszej ochoty kopać znowu. A wyjazd do Jarocina uwalniał go od troski o ogródek i od zrzędzenia Jadwigi.

- No dobra, jak trzeba, to trzeba - powiedział Olkiewicz, wstając zza biurka.

Brodziak odłożył słuchawkę na widelki aparatu i spojrział na kolegę.

- Muszę jeszcze tylko zameldować Fredowi, że jedziemy na koncert rockowy. A ty, Teofil, musisz chyba się jakoś ubrać inaczej, bo w tym garniturku nie wyglądasz na wielbiciela tej

muzyki.

Teofil popatrzył na swój brzuch ciasno opięty marynarką i na nogi odziane w czarne spodnie mundurowe, zaprasowane w równy kant. Strzepnął niewidoczny pyłek z klapy i spojrzał wyzywająco na Brodziaka, który w swoim dżinsowym ubraniu wyglądał jak podstarzały wielbiciel Oddziału Zamkniętego.

- Bo ja nie jestem od słuchania tych wrzasków i nie mam zamiaru wtapiać się w tłum tych dzikich wariatów. Ja to lubię Irenę Santor albo tego, co śpiewa o chłopcach radarowcach, jak on się nazywa, ten no, Andrzej Rosiewicz, bo oni umią

45

przynajmniej śpiewać, a ci tam to umią ino wyc głośno i nic więcej.

jarocin

godzina 11.50

No i co, poruczniku? Myślicie se tam w kw, że my tu nie umiemy se palcem do dupy trafić! A tu co? Jarocińska milicja stanęła na wysokości zadania. Wynik jest imponujący, nie? Mariusz Błaskowski siedział za biurkiem w pokoju przesłuchań, który udostępnił mu milicjanci z komendy w Jarocinie. Gdy wszedł tu pół godziny temu, zdziwił się, widząc, że właściwie nie różni się on niczym od tych, w jakich pracował w poznańskiej komendzie wojewódzkiej. Takie samo zielone linoleum na podłodze, zielona lamperia z łuszczącej się olejnicy i poodrapywane biurko, które lata świetności miało już za sobą w czasach towarzysza Wiesława. Nawet śmierdziało tu tak samo, jak w Poznaniu, ta charakterystycz-

na mieszanina ostrego smrodu pasty do podłogi i tytoniowego dymu. Jedyne urozmaicenie standardowego wyposażenia stanowił czarny ebonitowy telefon bez tarczy, którym, jak mu powiedziano, przez centralkę komendy można bezpośrednio połączyć się z centralą w Poznaniu.

Zadowolony z siebie porucznik Mioduszewski podszedł do biurka i ciężko usiadł na taborecie, który zazwyczaj służył przesłuchiwanym.

- Zatrzymanych mamy dwudziestu ośmiu. Wszyscy siedzą już w naszym areszcie. Właściwie to nie siedzą, tylko stoją, bo miejsca mamy za mało. U nas nie to, co u was w Poznaniu, kłopoty lokalowe - spojrzął na Blaszkowskiego i uśmiechnął się radośnie. - Funkcjonariusze dokonują dalszych zatrzymań,

46

ale już chyba niepotrzebnie, bo ten najważniejszy jest już nasz. Przyznał się skurwiel do wszystkiego, a nawet chciał się przyznawać do jeszcze innych rzeczy, aleśmy mu nie dali. Mogłoby to zaciemnić jasny obraz śledztwa. Bez przesady w końcu. Milicja to nie konfesjonał, żeby głupoty nam jakieś opowiadać...

- Kto się przyznał? - zdziwił się Blaszkowski, patrząc uważnie na nalaną twarz Mioduszewskiego, który, co dało się wyraźnie zauważyć, był więcej niż zadowolony z wyników swojego śledztwa.

- No ten łysy kutas, cośmy go znaleźli na tym polu namiotowym. Uciekał przed nami, ale myśmy go złapali w try miga. Dostał pałą po dupie i powiedział wszystko jak na spowiedzi. Teraz musi tylko podpisać zeznania.

- Nie podpisał jeszcze? - zdziwił się Mariusz.

- Na razie jest jeszcze za słaby - uśmiechnął się porucznik, - to nie utrzyma długopisa w ręce.

Mariusz podszedł do okna i spojrzał na ulicę. Akurat przejeżdżał w dole szaropopielaty star z naczepą załadowaną skrzynkami pustych butelek po mleku. Głośny brzęk szkła pomieszany z charczącym rykiem starego silnika ciężarówki słychać było jeszcze chwilę po tym, gdy star zniknął z pola widzenia. Blaszkowski splótł ręce na plecach, popatrzył jeszcze chwilę w głąb ulicy, czekając na moment, w którym cisza, jaka zapadła w pokoju, stanie się aż nadto wymowna. Nauczył się tego od swojego szefa majora Marcinkowskiego. On, gdy był niezadowolony z jakiegoś wyjaśnienia czy wniosku podwładnego, podchodził do okna, patrzył w dół na ulicę przed komendą, a gdy cisza w pokoju zaczynała już zbyt mocno brzęczeć, odwracał się gwałtownie i zadawał ostre pytanie wbijające w ziemię rozmówcę. Mariusz sam doświadczył tego kilkakrotnie i musiał przyznać, że efekt był piorunujący. Dziś

47

postanowił wypróbować to sam. Powoli policzył w myślach do dziesięciu i szybko odwrócił się do Mioduszeńskiego.

- Skatowaliście go? - zapytał ostrym tonem.

Uśmiech, który dotąd opromieniał nalaną twarz Mioduszeńskiego, zniknął momentalnie. Milicjant ze zdziwieniem spojrzał na Mariusza.

- No jak to... Nie chciał się przyznać, no... tośmy go trochę tego...

- Nie wiecie, że bicie zatrzymanych jest przestępstwem? -

atakował dalej Blaszkowski. Ze zdziwieniem zauważył, że metoda Marcinkowskiego działa i przynosi efekty.

- Nie czytaliście dyrektywy numer 315/88 z maja bieżącego roku, wydanej przez Komendę Główną Milicji Obywatelskiej, o ograniczeniu środków przymusu bezpośredniego i niestosowaniu przemocy fizycznej, o ograniczeniu jej tylko do przypadków niezbędnych i koniecznych w celu poprawienia wizerunku funkcjonariuszy mo?

Mioduszewski zbladł. Nigdy dotąd nie widział takiej dyrektywy ani nawet o niej nie słyszał. Od lat tłukł zatrzymanych równo, jak leci, czy trzeba było, czy nie. Lał za głupi uśmiešek, chamską odpowiedź, arogancką postawę czy nawet za krzywą gębę i nikt z jego ludzi, czy nawet zwierzchników, nie widział w tym niczego niestosownego. W końcu takie sposoby na uzyskiwanie zeznań, jak ten dzisiejszy, stosował nie tylko on, ale i ludzie z sąsiednich komend. Nie chciał się jednak przyznać, że nie zna dyrektywy, bo to by oznaczało brak szacunku do regulaminu, który nakazywał czytać wszystkie polecenia i zalecenia przychodzące ze stolicy. Ale było tego tak dużo, że mało kto miał na to czas, więc większość wytycznych, które przesyłano do komendy w Jarocinie, trafiała od razu bez czytania do segregatora, żeby w odpowiedniej chwili łatwo było do nich sięgnąć.

48

- Coś tam czytałem - skłamał Mioduszewski, patrząc na swoje dobrze wypastowane przydziałowe czarne buty.

Blaszkowski popatrzył na niego z triumfem, jednak po chwili przestraszył się osiągniętego sukcesu. Przecież prędzej

czy później ten gruby milicjant dowie się, że został zrobiony w konia przez podchorążego. Więc cała nadzieja w szybkiej odsiecz z Poznania.

Mioduszewski tymczasem zrobił się czerwony jak burak, mocno zacisnął wargi, które aż pobielwały, i wbił spojrzenie w podłogę wyłożoną zielonym linoleum.

Widać było, że chce coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale nie bardzo wie co.

Jak zaraz czegoś nie zrobię, to mu się mózgowica zagotuje i rozerwie tę tępą pałę, pomyślał podchorąży.

- No chyba że okoliczności zmuszają do obrony godności munduru podczas czynnej napaści na funkcjonariusza.

Mioduszewski wypuścił z sykiem powietrze i z wdzięcznością spojrzął na Blaszkowskiego, chętnie przyjmując to koło ratunkowe.

- Dokładnie jak mówicie, właśnie tak było... w samej rzeczy. Cała prawda jest taka, że jakby nie uciekał ten gnojek, toby się mu nie wlało...

- No dobra - uciął te wyjaśnienia Blaszkowski. - W tej chwili jedzie tu już ekipa z Poznania, na terenie pola namiotowego i w miejscach, gdzie odbywają się koncerty, działają moi ludzie. Proszę was teraz, obywatelu poruczniku, o dalsze zabezpieczenie miejsca zdarzenia, do czasu otrzymania innych rozkazów od oficera nadzorującego śledztwo z ramienia komendy wojewódzkiej. A ja, jeśli pozwolicie, chciałbym, o ile się da, pogadać z tym zatrzymanym przez was klientem.

- A co ma się nie dać - ucieszył się Mioduszewski. - Zaraz każę go tu sprowadzić.

godzina 12.10

No i co mi teraz powiesz, kochanieńki? - zapytał kapitan Fabian Galaś, wysypując na stół zawartość szarego worka podróżnego. Worek przypominał te marynarskie, w które wyposażeni są żołnierze służący w marynarce wojennej. Ten jednak był kiepską imitacją wojskowego sprzętu, wykonaną ze zwykłego lnianego, surowego płótna ufarbowanego na niebiesko. Z jego wnętrza wypadła cała sterta białych zadrukowanych kartek i kilkanaście książek. Esbek z triumfem w oczach spojrział na właściciela worka, który siedział pod ścianą na metalowym krześle. Chłopak mógł mieć około dwudziestu lat. Jasne jak len włosy sięgały mu do ramion. Ubrany był w czarny sweter, czarne dżinsy i welurowe myszowate buty. Wydawało się, że zupełnie nie interesuje go to, co milicjant wyczynia z należącym do niego workiem. Wzrok wbił w pomalowaną szarą farbą olejną ścianę, na której ktoś zawiesił piękny biały talerz z orłem bez korony i podpisem: „W służbie narodu, mo i sb 1944-1984”.

Esbek przyjrzał się siedzącemu, a potem podszedł do niego i niespodziewanie uderzył chłopaka pięścią w twarz. Cios był tak silny, że uderzony przewrócił się wraz z krzesłem. Galaś spokojnie wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Nachylił się nad stosem bibuły i sięgnął po grubą książkę.

- Co my tu mamy ciekawego? - mówił sam do siebie oficer, kątem oka obserwując niezdarnie wstającego z zielonej gumolitowej podłogi chłopaka. Ten podniósł krzesło, usiadł na nim, a potem wierzchem dłoni otarł strużkę krwi, która

spływała mu z kącika ust.

- Wojna w eterze, autor Jan Nowak, w nawiasie Zdzisław Jeziorański, wydane przez Wolną Spółkę Wydawniczą Komitetywa, w 1987 roku gdzieś w Polsce - mówił esbek, spoglądając

50

to na książkę, to na chłopaka. - No to mamy tu zupełną nowość, jeszcze śmierdzi farbą drukarską. Swoją drogą ciekawe, co to za ptica ten Nowak, co to pisze o... no właśnie, o Radiu Londyn... i o Wolnej Europie. No ciekawe, a to, co to za książeczka? - odłożył Wojnę w eterze na stół i sięgnął po niewielką broszurkę opatrzoną tytułem KPN- wybór dokumentów. -- No, to już jesteśmy w domu - ucieszył się Galaś. - Toś ty, synek, jest z kpn-u. To pięknie.

Oficer usiadł na swoim krześle i zaczął wertować książeczkę. Po chwili zatrzymał się i zaczął czytać:

Dziś naród polski znów budzi się i prostuje przygięty niewolą kark. Wkraczamy w nową fazę naszych dziejów. Od nas, przede wszystkim od nas samych, zależy, kiedy Polska odzyska niepodległość, a naród polski możliwość stanowienia o własnym losie...

Zamknął broszurę i rzucił ją na stół. Ten gwałtowny ruch chyba zaniepokoił chłopaka, bo lekko się odsunął, jakby chciał uchronić się przed kolejnym ciosem, ale esbek nie miał zamiaru go teraz bić. Uśmiechnął się tylko, widząc reakcję zatrzymanego, rozsiadł się wygodnie, opierając plecami o oparcie krzesła, a ręce splótł na brzuchu.

- To ty, kpn-owska gnido, uważasz, że Polska, nasza ojczyzna, nie jest krajem niepodległym? Wam się chce obalić nasz socjalistyczny ustrój i budować trzecią Rzeczpospolitą? To

znaczy, że my wszyscy, funkcjonariusze państwowi, nie służymy wolnej Polsce, tylko komu? Bo jak ja się przyjmowałem do pracy w organach, to ślubowałem mojemu krajowi, który jest niepodległy. To może ja innemu krajowi ślubowałem wierność, co? No, powiedz mi, ty łachudro. Polsce niepodległej przysięgałem czy nie?

Galaś był przekonany, że nie będzie żadnej reakcji ze strony chłopaka. Tymczasem ten odwrócił głowę w stronę esbeka, spojrzał mu śmiało w oczy i powiedział twardo:

51

- Nie Polsce, tylko sowietom, okupantom, co w Polsce mają swoje wojsko. To oni tu rządzą i im przysięgacie wierność...

Galaś uśmiechnął się krzywo i spojrzał uważniej na bezczelnego chłopaka.

- Jak się nazywasz?

- Kamil Sowa - odpowiedział, poprawiając długą grzywkę, która opadła mu na jedno oko.

- Uczysz się czy pracujesz?

- Studiuję socjologię na uam. Jestem na ostatnim roku.

- I możesz studiować za darmo?

- Mogę...

- I możesz sobie iść do kina, kiedy chcesz, albo wyjechać na wakacje, kiedy chcesz, albo iść na piwo, jak masz ochotę?

- No pewnie.

- I nie zabraniają ci tego wszystkiego wojska okupacyjne?

- Nie.

- No to gdzie tu, kurwa, jest okupacja?

- To nie o to chodzi...

- A o co? Pieprzysz mi tu o okupacji, o zniewoleniu, a kto jest zniewolony w tym kraju? Ty jesteś zniewolony? Ktoś ci zabronił tu przyjechać? Chłopie, tobie socjalistyczna ojczyzna dała możliwości, możesz się uczyć, możesz dostać pracę, jak skończysz studia, możesz dostać mieszkanie, a nawet talon na samochód. Możesz sobie kupić wieżę stereo i kolorowy telewizor...

Kamil spojrział na esbeka z lekką drwiną. Owszem, wszystko to można kupić lub raczej załatwić, tylko jeśli się ma znajomości, a w kolejce na mieszkanie czy samochód czekać trzeba nawet dziesięć lat...

-Ja wiem, co myślisz. - Galaś zrozumiał, że trochę się zagalopował. Z tymi zakupami to jednak przesadził, ale droga jego argumentacji wydawała mu się jak najbardziej

52

słuszna. Wstał zza biurka i odwrócił się w stronę zakratowanego okna. Otworzył lufcik i do środka wtargnęła fala gorącego powietrza. Upał na zewnątrz musiał być nie do zniesienia. Tu, wewnątrz, w pomieszczeniach Komendy Miejskiej mo w Jarocinie, od gorąca chroniły ich grube ceglane mury. Funkcjonariusz nie zwrócił jednak uwagi na ciepło, które rozlało się dookoła. Popatrzył na chłopaka z góry, a potem, zebrawszy myśli, zaczął znowu agitować:

- Zakłady dające pracę wszystkim chętnym, rozwiązany problem bezrobocia, bo wszyscy mają pracę, a co za tym idzie chleb i coś do chleba, wczasy dla każdego nad morzem czy w górach, gdzie ci się tylko zamarzy, a nawet w Bułgarii nad Morzem Czarnym, bezpłatne leczenie, bezpłatna oświa-

ta, całkowite zwalczenie analfabetyzmu... I to wszystko temu krajowi dał okupant? Ja wiem, że wiele jest jeszcze do zrobienia, że są przejściowe trudności z niektórymi artykułami pierwszej potrzeby, no i z tymi luksusowymi też, ale przecież toczymy zaciętą walkę z międzynarodowym imperializmem, walczymy o pokój, a to wymaga nakładów na armię, na zbrojenie, na wyszkolenie kadry. Walka o pokój kosztuje, więc środki trzeba przeznaczać w pierwszej kolejności na te potrzeby... Ale prawda jest taka, że mimo tych przejściowych braków w zaopatrzeniu, mimo chwilowych niedostatków ludziom w kraju żyje się coraz lepiej. A w przyszłości, jak już przyniesie skutki nasza reforma gospodarcza, to wtedy wszystkim oczy się otworzą. Za dziesięć lat będziemy już zupełnie innym krajem, bo wszystko może iść w coraz lepszym kierunku, gdyby nie takie głupie gnojki jak ty, które niczego nie rozumieją i sypią piasek w tryby socjalistycznej gospodarki!

Zmęczony tym przemówieniem Galaś, opadł na krzesło.

Popatrzył niechętnie na chłopaka, szukając w jego twarzy choć odrobiny zrozumienia dla swoich racji.

53

- I co? -- zapytał. - Nadal nic nie rozumiesz?

- Rozumiem wszystko.

- Naprawdę?

- Rozumiem, że ten wasz świat, który ma takich jak pan obrońców, długo już nie pociągnie.

- Że co? - Galaś przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- To, że chwali się pan tym, co jest oczywiste w całym świecie.

cie: leczenie, nauka, przemysł... Niech pan tylko pojedzie do rfn-u. Tam też mają to wszystko, i to na jakim poziomie.

A wystarczy wejść do jakiegokolwiek sklepu, żeby zobaczyć półki uginające się pod ciężarem towarów, i jakoś im się tam powodzi na tym zgniłym Zachodzie, bo jeżdżą superautami, a nie gównianymi maluchami...

- Bo Ameryka im pomaga...

-No to niech i nam pomaga. Na cholere nam pomoc Związku Radzieckiego, jak mamy z tego tylko walkę o pokój, puste sklepy i dziurawe spodnie. Ja mam tylko jedno życie i chcę je przeżyć jak najlepiej, chcę mieć dom, samochód i nie chcę stać w kolejkach za kawałkiem szynki...

-To jest materialistyczne podejście do życia, a liczą się idee. To, ile możesz dać od siebie dla dobra wspólnego, dla innych.

-Ja chcę innym dać prawo wyboru, swobodnego wyboru. Chcę, żeby każdy mógł decydować o tym, jak chce żyć, a nie żeby za niego decydowały jakieś idee. W dupie mam idee.

- Rozumiem, chcesz obalić nasz socjalistyczny ustrój i wprowadzić tu kapitalizm! -- zaczął denerwować się oficer, bo ta dyskusja przybierała kierunek, który wcale mu się nie podobał. Ten kretyń był typowym przedstawicielem świata konsumpcji, niezdolnym do żadnych wyrzeczeń w imię wspólnych, nadrzędnych wartości.

54

- Powiem coś panu, w dupie mam, jak się ten ustrój nazywa, komunizm czy kapitalizm, czy nawet feudalizm. Ja chcę normalności i dlatego roznoszę te ulotki, bo ci, co je piszą,

chcą dokładnie tego samego. Chcą, by w tym kraju dało się normalnie żyć.

-I dlatego mieszacie w głowach tym młodym ludziom na festiwalu, bo to według was, ekstremistów, podatny grunt dla waszych wywrotowych działań...

- Pan dalej nic nie rozumie, oni nie są podatnym gruntem, ci wszyscy, którzy tu przyjechali, to nie grunt. Ten podatny grunt to cały nasz kraj, który przeoraliście swoją głupotą. Sami przygotowaliście to pole, na którym wyrastają nowe idee. A oni, ci młodzi, są jak młode rośliny, które już rosną na waszą zgubę. Oni rozniosą was w strzępy, tak że ślad po was nie zostanie. Oni już krzyczą, już grają dla was marsz żałobny na swoich gitarach. Nie zauważyliście tego, ale ci, którzy tu tańczą pogo, to nie jest jakaś bezimienna, bezwolna szara masa, której trzeba tylko dać się wyszaleć, by móc nad nimi zapanować. To myślący młodzi ludzie, którzy srają na wasz socjalizm. Oni chcą tylko wygodnie i godnie żyć. Tego nie jesteście w stanie im dać, więc podziękują wam i wyprawdzą za ucho do drugiego pokoju. Słyszysz pan te bębny? To tam-tamy, które mówią: wasz-ko-niec-nad-cho-dzi, wasz-ko-niec-nad...

Tej zniewagi Galaś nie mógł puścić płazem. Zerwał się z krzesła, złapał chłopaka za długie włosy i z całej siły uderzył jego głową w blat stołu. Gdy usłyszał chrzęst łamiącej się kości nosowej, puścił. Zatrzymany osunął się znowu na podłogę, a Galaś z obrzydzeniem spojrzał na plamę krwi, która zalała ekstremistyczne ulotki. Podszedł do zlewu, zainstalowanego tuż przy drzwiach wyjściowych, i zaczął myć ręce.

Woda i mydło, to zawsze go uspokajało. Często w chwilach

55

wielkiego wzburzenia szedł do łazienki, by przez parę chwil zanurzyć dłonie pod zimną wodą. Wtedy zawsze przychodziło uspokojenie. Teraz też, gdy tylko odkręcił kurek i poczuł lodowaty chłód spływający po dłoniach, przyszło ukojenie skołatanych nerwów. Spojrzał do tyłu, na leżącego chłopaka. Nie ruszał się, ale tym akurat Galaś się nie przejmował. Wiedział, że temu tam nic poważnego nie mogło się stać. Ot, zwykłe uderzenie w nos. Takie coś jeszcze nikogo nie zabiło, a niejednego nauczyło more-su. Miał więc nadzieję, że ten bezczelny gówniarz też zapamięta nauczki i w przyszłości mocno się zastanowi, zanim weźmie do ręki ulotki, by je rozprowadzać wśród młodzieży.

Galaś nie mógł zrozumieć, skąd w tych dzieciakach bierze się taka głupia determinacja. No choćby ten. Zatrzymano go dziś rano na polu namiotowym. Miał przy sobie cały wór różnych wywrotowych pisemek, które pewnie dopiero chciał rozprowadzić wśród młodzieży. Mimo że ci, którzy tu przyjechali, zainteresowani byli przede wszystkim muzyką, to jednak chętnie sięgali po bibułę. Dlatego właśnie grupę dziesięciu funkcjonariuszy sb, zebraną ze wszystkich komend pobliskich gmin, wysłano tu, do Jarocina. Jego przełożeni w Poznaniu, wyjaśniając mu, na czym ma polegać zadanie grupy, powiedzieli, że można się spodziewać na tegorocznym festiwalu szczególnej aktywności ekstremy. Posiadali informacje operacyjne, że na miejsce ruszy kilkudziesięciu kolporterów podziemnej Solidarności, kpn-u czy wip-u. Trzeba postarać

się wyłapać wszystkich i skonfiskować bibułę, żeby polityka nie psuła młodzieży zabawy. Młodzi mieli się wyszaleć, a nie myśleć o głupotach. Więc Galaś i jego ludzie robili wszystko, by wyłapać tych kolporterów. No i udało im się osiągnąć sukces. W ostatnim dniu festiwalu złapali jednego. Ale tak naprawdę to była tylko przykrywka dla jego prawdziwego

56

zadania. Zadania naprawdę ważnego i można powiedzieć, nadzwyczajnego, na którego wykonanie nie miał już wpływu, ale był przekonany, że musi się powieść. Ostatecznie sam tę operację wymyślił.

W końcu lepiej rydza mieć niż pustą sieć, pomyślał kapitan Fabian Galaś, sadowiąc się z książką Jana Nowaka w ręku na krześle za stołem. Póki się ten tam nie ocknie, sprawdzę, co ci wywrotowcy piszą...

godzina 12.15

Wokół czerwonego namiotu zebrał się spory tłum gapiów.

Co prawda nie można było już podejść tak blisko, jak jeszcze dwie godziny temu, kiedy każdy chętny mógł zajrzeć do środka, ale i tak mimo dystansu wyznaczonego przez milicjantów czerwony namiot stanowił nie lada atrakcję.

W końcu nie co dzień punkowcy zabijają poppersów.

- Mówię wam, chłopaki - przekonywał swoich kumpli niewysoki blondyn w okularach, ubrany jedynie w krótkie dzinsowe spodenki i niebieskie trampki. - Te świry punki zabiły tam pięciu poppersów. Najpierw ich uchlali, a jak ci już poszli spać, to weszli do namiotu i poderżnęli wszystkim gardła od ucha do ucha. Nikt nie przeżył.

-I co, nikt nie wołał pomocy? - zdziwił się stojący obok niego chłopak w długiej czerwonej tunice uszytej z prześcieradła.

- Najebani jak byli, to jak mieli krzyżeć? Ty krzyczysz, jak się najebiesz? -- wytłumaczył mu kolega okularnika w podkoszulce z napisem „Kocham Wojtka”.

- A ty skąd to wszystko wiesz? - zapytał ten w tunice chłopaka w okularach.

57

- Ja cię pierdolę, powiedzieli mi ci goście, co tam byli pierwsi. Oni ich znaleźli i sprzedawali bilety na pokaz horroru. A ci poppersi z Radomia, co mają namiot obok nas, to gadali, że już się zwołują na punków, żeby im spuścić łomot za swoich.

- A skąd wiadomo, że to punki zabili? - drażył dalej hipis.

- No nie, weźcie mi tego pacjenta! - zawołał okularnik. -

A kto tu jest najbardziej popierdzielony w całym Jarocinie?

Nie wiesz, co robią punkowcy, to se popatrz, jak te pojeby tańczą pogo.

Charon stał nieco z boku i palił papierosa popularnego w długiej szklanej lufce, która od ciągłego używania zrobiła się już niemal czarna. Uśmiechając się do własnych myśli, jednym uchem przysłuchiwał się, o czym rozmawiają ludzie. Bardzo mu było szkoda tych podnieconych kretynów, którzy sprzeczały się o jakieś nieistotne szczegóły, a nie mieli pojęcia o sprawach naprawdę ważnych. No cóż, to przecież zwyczajny motłoch, który nic nie wie i niczego nie rozumie. Powtarzają tylko jakieś plotki, mówią o punkach, poppersach, o całym

tym gównianym towarzystwie zboczonych subkulturowców. Zastanawiają się, gubiąc się w domysłach, tymczasem żaden z nich nie zna prawdy i co najciekawsze, nikt z nich jej nigdy nie pozna. Malutkie ludziki, gadający pył. Nie są nawet w stanie wyczuć, że wśród nich jest ktoś, kto wie znacznie więcej niż inni, że jest tu ktoś, kto ma siłę, jaka jest niedostępna im wszystkim. A oni wszyscy nawet nie mają zwyczajnej mocy, która pozwoliłaby im dotrzeć spojrzeniem tam, do tego czerwonego namiotu, który on teraz widzi doskonale, nie mówiąc już o tym, że nie mają takich zdolności, by przeniknąć jego ściany i zajrzeć w głąb. On to potrafił bez większego wysiłku. Mógł tam spojrzeć i zobaczyć gołą stopę, brzuch, gołe piersi, szczupłą szyję i twarz z otwartymi szeroko oczami. W końcu

58

mógł dojrzeć sklezione krwią włosy i otwór w czaszce w lewej skroni. I mógł zobaczyć coś jeszcze, coś, czego na pewno nie był w stanie zobaczyć nikt inny. Nikt na tym polu namiotowym ani nikt inny na całym świecie. Tylko on jeden, Charon, mógł dostrzec w ustach dziewczyny niewielki pieniążek, potyskującą złotówkę. Była tam, wiedział o tym. Musiała tam być, by ta, co leży teraz w namiocie, mogła dopłynąć spokojnie jego łodzią na miejsce przeznaczenia.

- Kopsnij szluga, smutasie, panu Zenusiowi - powiedział gdzieś z dołu jakiś chrypliwy głos, przerywając Charonowi rozmyślenia. Poczuł, że lepka dłoń dotyka jego łydki. Z obrzydzenia aż się wzdrygnął. Spojrzał na ludzki pyłek, który siedział na trawie i patrzył na niego, szczerząc poczerńnięte zęby w krzywym uśmiechu.

Charon pochylił się i szepnął mu wprost do ucha.

-- Nie mogę cię dziś zabrać, ale obiecuję ci, że się doczekasz.

I pamiętaj, to ja wybieram pasażerów i ustalą kolejność.

Powiedziawszy to, błyskawicznie uderzył chłopaka nasadą dłoni, roztrzaskując mu nos.

-Ty jebany świrze! - krzyczał Zenuś, trzymając się za krwawiący kinol.

Ale Charon nie słyszał już tego krzyku. Odpłynął między namioty. Cóż mógł go obchodzić krzyk jakiegoś Zenusia, gdy on po raz pierwszy wypłynął swoją łodzią, by przeprowadzać innych przez zdradliwe wody Styksu.

pęckowo koło szamotuł

godzina 12.50

Pośpieszny z Poznania do Szczecina przez Krzyż z potężnym łoskotem przetoczył się przez przejazd kolejowy i zniknął

59

za piętrowym budynkiem stacji w Pęcckowie, by za sekundę wyłonić się za wiatą, gdzie podróżni dojeżdżający co dzień do pracy do Wroniek czy Szamotuł i Poznania zostawiali rowery. Nie minęło dziesięć sekund, a po pociągu, który zniknął już z pola widzenia, pozostał tylko cichnący powoli jazgot. Po chwili zapanowała całkowita cisza, przerywana tylko co rusz gdakaniem kur łążących po przydrożnym rowie i ujadaniem psa, dobiegającym gdzieś spod Borku Lisabońskiego. Do tego jeszcze dochodziło jednostajne bzyczenie much, które pały się na gnojowniku ozdabiającym środek podwórka, w zagrodzie naprzeciw sklepu. Ale to wszystko były naturalne dźwięki i nikt nie zwracał na nie najmniejszej

uwagi. Za to gdy do wsi zbliżał się pociąg - czy to osobowy ciągnięty przez czarną osmoloną lokomotywę wydmuchującą ze swego opasłego brzucha kłęby białej pary, czy towarowy prowadzony przez bordową spalinówkę, czy wreszcie ten najnowocześniejszy elektryczny z zielonym radzieckim elektrowozem na przodzie - każdy, kto był w pobliżu torów, czy pracujący w polu, czy idący drogą do Karolina albo Gaju Małego, przerywał na chwilę swoje zajęcie, stawał i patrzył. Ot tak, na chwilę, dla zwyczajnej rozrywki, bo zawsze to coś ciekawszego niż widok końskiego ogona. Froncek Gwizdała też patrzył na pośpieszny do momentu, aż sznur wagonów zniknął za ścianą sklepu, przed którym siedział. Ale wcale nie zastanawiał się, dlaczego patrzy na pociąg. Ot, był pociąg, przejechał, to i spojrział. Gdyby to był osobowy z Szamotuł, toby patrzył jeszcze dłużej, bo osobowy stawał na stacji w Pęc-kowie i z takiego pociągu zawsze wysiadał ktoś znajomy, z kim można by pogadać. No ale nie był to osobowy i Froncek przestał się interesować pociągiem, zainteresował się za to butelką piwa noteckiego, którą trzymał w ręku. Pociągnął spory łyk, a potem zapalił popularnego. W taki gorący,

60

skwarny dzień nie ma nic lepszego na ugaszenie pragnienia jak piwo. Lepiej, żeby było zimne, no ale przecież nie mógł wymagać od Czechy Marcinów, sklepowej w gs-ie, żeby trzymała butelki w lodówce, bo takiego sprzętu w spółdzielni nie mieli. Czecha była na tyle mądra, że nie wystawiała skrzynek do środka sklepu, ale trzymała je na zapleczu, gdzie było trochę chłodniej. Tak robiła nie tylko z piwem, ale i z oranżadą,

cytronetą i wodą mineralną. A i dla lepszych klientów zawsze znalazła się na zapleczu skrzynka korbolków. Dziś tym lepszym klientem był Froncek. Jechał właśnie na parcelę zatorami, na której syn z córką i żoną wiązali snopki pszenicy, bo rano przez ich dwa hektary przejechał kombajn Bizon z Międzykótkowej Bazy Maszynowej w Gaju Małym. Maszyna zrobiła swoje i teraz cała rodzina wzięła się do roboty. Oni tam na polu wiązali, a on wozem ciągniętym przez młodą klaczkę Kasię zwoził snopki z pola do własnej stodoły. Wzięli się do roboty zaraz po ósmej, jak tylko bizon zjechał z pola. Froncek najpierw zwiózł wymłócone zboże, a potem zabrał się za słomę. I pewnie jeździłby tak przez cały dzień w tę i z powrotem na pole i do domu, a o winie czy o piwie wcale by nie pomyślał. Tymczasem zdarzyło się coś takiego, o czym wcześniej nawet nie mógł pomarzyć.

W szopie koło kurnika miał całą stertę suchej słomy mawkowej, której zazwyczaj dodawał do paszy dla krów. Nie za dużo jej dawał, bo to wiadomo było, że od makuchów krowy robią się ociężałe, jak za dużo zeżrą. Dosypywał tylko troszeczkę, żeby się nie marnowała, bo przecież coś z tą słomą w końcu trzeba było robić. Ale i tak zawsze zostawało mu tego tyle, że na wiosnę resztę dawał na rozpałkę do pieca w kuchni. W tym roku zebrał nadspodziewanie dużo maku. Wymłócone ziarno już oddał do punktu skupu, zostawiwszy żonie, jak co roku, parę kilo do świątecznego

61

makowca. Jednak słomy miał tyle, że szopka wypchana była po brzegi.

Dziś rano, jak pierwszy raz obrócił z parceli, ze zdziwieniem zobaczył, że na jego podwórku zaparkował biały maluch na poznańskich numerach. Obok samochodu stało dwóch facetów. Na oko mogli mieć około trzydziestki. Ubrani byli w dżinsy i koszulki z długim rękawem. Pierwszy, niższy, krótko obcięty, miał na nogach sandały, a drugi, nieco wyższy, z długimi włosami i brodą, o wyglądzie przypominającym bolesciwego Chrystusa, był w białych schodzonych adidasach.

Froncek wjechał na podwórze, zatrzymał konia tuż przy gnojowniku koło obory. Patrząc uważnie na przybyszów, zlął z kozła i zawinął lejce o wystający na sztorc dyszel, przytrzymując burtę drewnianego wozu.

- Dzień dobry - powiedział ten z długimi włosami, przydeptując niedopałek rzucony na ziemię.

Drugi też wyrzucił papierosa i obaj ruszyli w stronę gospodarza.

- Dobry - mruknął Froncek.

- Pan Gwizdała? - zapytał długowłosey, wyciągając rękę w kierunku gospodarza, który otarł swoją, spoconą i trochę brudną, o portki, a potem dopiero uściśnął dłonie gości.

- No - odparł rezolutnie, cały czas uważnie lustrując obu przybyszy.

- My od pana Jankowiaka z Poznania, zna go pan...

- No - Froncek potwierdził, choć za cholerę nie mógł sobie przypomnieć żadnego Jankowiaka z Poznania czy skądkolwiek. Chociaż nie, znał kiedyś jednego Jankowiaka, jak służył w wojsku w Ostródzie. Ale tym dwóm chyba nie cho-

dziło o tego starego sierżanta, który był szefem jego kompanii w sześćdziesiątym szóstym...

62

- Pan Jankowiak powiedział nam, że ma pan słomę mawką do sprzedania - rzucił ten w sandałach, dostrzegając niewyraźne spojrzenie rolnika.

Wtedy Fronckowi rozjaśniło się w głowie. To ten facet z Poznania, z którym gadał jakiś tydzień temu w stacji nasiennej w Szamotułach, jak sprzedawał swój mak. Klient był w garniturze, mimo upału, i wcale nie wyglądał na spoconego. Zagadnął go wtedy o makuchy, co z nimi robi i czy ma tego dużo. Froncek odpowiedział mu zgodnie z prawdą, że diabli wiedzą, co z tymi makuchami zrobić, a ten mu powiedział, że są metody przerobu tego na jakąś substancję energetyczną, czy jakoś tak, i że w Poznaniu się nad tym pracuje, i jeszcze, że jakby chciał sprzedać te makuchy po niewygórowanej cenie, to może znaleźliby się na to klienci, czyli ci naukowcy, co to zajmują się przerabianiem tego na tę energetykę. Zapisał sobie adres Froncka i powiedział, że się odezwie. Ale się nie odezwał i w końcu Gwizdała o nim zapomniał.

Popatrzył na swoich gości, ale żaden z nich nie wyglądał na uczonego. No, może jeszcze ten z długimi włosami, ale ten w sandałach to jakby go żywcem wyjęli spod budki z piwem.

No ale kto tam wie, jak teraz naukowcy wyglądają, pomyślał Froncek, drapiąc się po głowie przykrytej czarnym beretem.

- Względem tych makuchów? - zapytał.

- Dokładnie.

- A gdzie macie transport?

- No tu. - Długowłose wskazał na malucha.

- O przyczepę mi się rozchodzi.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie i zaśmiali się głośno.

- Panie - zaczął tłumaczyć ten w sandałach - myśmy chcieli tylko kilka worków na próbę, żeby sprawdzić, czy aby towar dobry, a później pomyślimy o większej partii.

63

-- Łe -- machnął ręką gospodarz -- ja se myślałem, że to poważna sprawa, jak powiadał mi tyn gość w zeszłym tygodniu, i że wyście są poważni klienci, a tu ino na próbę.

Koniec końców Froncek zapakował cztery worki maku-
chami, a przyjezdni upchali je na tylnym siedzeniu malucha.

Najdziwniejsze było jednak to, że za to wszystko zapłacili mu nadspodziewanie dobrze, bo dali mu trzy tysiące, więc na dwie flaszki żytniej - przekalkulował w myślach i wyszło, że mu się opłaca jak najbardziej. Umówił się z nimi, że w przyszłym tygodniu przyjadą po więcej, i pomachał im nawet na pożegnanie. Trzy tysiące, myślał, za takie nic, za takie gównem dali mu trzy tysiące złotych bez zmrużenia oka. To znaczy, że za to wszystko, co ma tam w szopce, mógłby zarobić więcej niż za całe ziarno, co to wymłócił kombajn na tych dwóch hektarach parceli, na której pracował od rana.

Nic, tylko złoty interes. Ino żeby przyjechali za tydzień, myślał, spoglądając na brązową butelkę kiepsko schłodzonego piwa noteckiego z Czarnkowa.

Wcale nie zamierzał dzisiaj kupować piwa. Gdyby nie ci

poznaniacy, to przejechałby obok spółdzielni, nie zastanawiając się nawet, czy Czecha ma dziś piwo, czy nie ma. No ale jak już miał kieszon w portkach wypchaną gotówką, to w końcu szkoda byłoby nie zatrzymać się po drodze. A jak już kupił te dziesięć butelek na przepłukanie gardła przy pracy, to pomyślał sobie, że warto jeszcze i po robocie coś wypić, zwłaszcza że korbolki, jak mu powiedziała Czecha, dopiero co dzisiaj dowieźli, więc świeży towar jest. Takiej argumentacji nie mógł się przecież oprzeć, dlatego wziął dwa. A niech tam, wypije wieczorem, za zdrowie tych naukowców. Niech im tylko te badania dobrze pójdą, żeby jeszcze do niego po te makuchy wrócili. A jeśli powiedzieli, że wrócą, to pewnie

64

tak zrobią, bo w końcu jak tacy uczeni coś powiedzą, to musi być chyba na zicher.

jarocin

godzina 14.30

Zupełnie siwy, mierzący sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, bardzo szczupły, w zasadzie można by powiedzieć chudy milicjant uważnie oglądał otoczenie czerwonego namiotu.

Widać te wstępne oględziny nie wypadły zbyt korzystnie, bo oficer zaklął paskudnie pod nosem. Kapitan Michał Leszczyński uniósł brezent namiotu okrywający szczelnie głowę dziewczyny i zaklął cicho po raz drugi. Przez lata pracy w milicji powinien był już przyzwyczać się do takich widoków, jednak za każdym razem, gdy spoglądał na robotę jakichś zwyrodnialców, nie mógł powstrzymać się od emocjonalnej reakcji. Młoda, ładna dziewczyna, myślał, trafiła na

jakiegoś cholernego gnoja, wpuściła go do namiotu, a on wykorzystał jej naiwność...

Rozejrzał się wokół. Zobaczył to, czego szukał. Pochylny i mocno zgięty aluminiowy maszt namiotu leżał na kupie ciuchów. Chwytał rurki i wyszedł na zewnątrz. Tuż przed namiotem stał Waliszewski czy Walewski. Kapitan niezbyt dokładnie zapamiętał nazwisko prokuratora rejonowego z Jarocina. Prokurator spojrzał na oficera, oczekując wyjaśnień.

- Zaraz pana tam wpuszczę, tylko postawię ten cholerny maszt, żeby było coś widać.

Wyprostował zgiętą rurkę, potem złożył w całość z dwiema pozostałymi rurkami i zniknął wewnątrz namiotu.

Po chwili czerwony dach podniósł się od środka.

65

- Niech ktoś tam naciągnie linki, żeby stał normalnie - zawołał Leszczyński.

Dwóch milicjantów asystujących przy oględzinach naciągnęło namiot od zewnątrz za pomocą sznurków i aluminiowych śledzi.

Po chwili śledczy wyszedł z namiotu i spojrzał na młodego prokuratora.

- Może pan zajrzeć, ale proszę nie przekraczać linii podłogi. Niech się pan zatrzyma przed nią.

Waliszewski albo Walewski popatrzył na kapitana złym okiem.

- Obywatelu kapitanie, wiem, jak powinienem poruszać się po miejscu zdarzenia, żeby nie zniszczyć śladów - odparł

opryskliwie prokurator.

- Śladów to tu już wiele pan nie zniszczy - uśmiechnął się krzywo milicjant. - Wygląda na to, że przetoczyły się tutaj całe tabuny zwiedzających. I tak mamy szczęście, że na miejscu pojawił się ten przytomny Blaszkowski i od razu zrobił porządek z tą całą zgrają. - Mówiąc to, spojrzął wymownie na tłumek dziwnie poubieranych gapiów, stojących jakieś trzydzieści metrów od namiotu.

Prokurator pochylił się i zajrzał do środka. Szybko jednak się wycofał i odszedł na bok. Widać było, że cała krew odpłynęła mu z twarzy. Do ust przyłożył rękę, jakby miał zaraz zwymiotować.

- No i co, panie prokuratorze, niezbyt przyjemny widok? - powiedział Leszczyński, uśmiechając się złośliwie. Widział to już nie po raz pierwszy i przekonywał się ciągle, że zawsze jest tak samo. Młody zarozumialec w zetknięciu z widokiem brutalnie zamordowanego człowieka robi się miękki w kolana. Tak jak ten tu nieopierzony prokuratorzyna Waliszewski czy Walewski.

66

Kapitan Leszczyński podczas odprawy u majora Marcinkowskiego został wyznaczony do oględzin miejsca zdarzenia. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, bo Leszczyńskiego najczęściej do takiej właśnie roli wyznaczano. Marcinkowski, tak jak i pozostali jego koledzy, uważał, że on jest w tym najlepszy. Był niezwykle drobiazgowy i skrupulatny i właściwie chyba nigdy się nie zdarzyło, by przeoczył w takiej sytuacji jakiś istotny szczegół. Można więc było być pewnym, że jeśli

na miejscu zbrodni pozostał jakiś ślad identyfikujący mordercę, Leszczyński na pewno go znajdzie.

Prowadzenie śledztwa major przekazał porucznikowi Brodziakowi, a do pomocy wyznaczył podporucznika Teofila Olkiewicza. Telefonicznie porozumiał się z komendantem Szkoły Oficerskiej w Szczytnie i załatwił też oddelegowanie do zespołu na czas śledztwa podchorążego Blaszkowskiego, który już od kilku godzin prowadził sprawę na własną rękę. Komendant przekazał mu od razu do pomocy cały swój zespół wywiadowców podchorążych działających w Jarocinie, bo skoro festiwal się kończy, a tam zaczęło się prawdziwe śledztwo, w którym już uczestniczą, to niech się chłopaki czegoś nauczą w terenie -- wyjaśnił Marcinkowskiemu.

Po przyjeździe na miejsce Brodziak i Olkiewicz pojechali od razu do komendy w Jarocinie, żeby zapoznać się z ustaleniami śledztwa, a tak naprawdę, żeby wyciągnąć za uszy Blaszkowskiego, który, jak im się zdawało, zabrnął trochę za daleko.

Kapitan Leszczyński rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy aby jego ekipa śledcza nie dotarła już na miejsce, ale Brodziaka nie było nigdzie widać. Machnął więc ręką na doktora Jabłońskiego z zakładu medycyny sądowej, by ten mógł bliżej przyjrzeć się zwłokom. Lekarz, ubrany w biały fartuch, z czarną torbą w ręku, podszedł do namiotu.

67

- Na wiele to ty się teraz nie przydasz. Zwróć uwagę na lewą skroń dziewczyny i powiedz mi, co o tym myślisz - powiedział kapitan. Lekarz wszedł do namiotu bez słowa. Wyszedł

po jakichś dwóch minutach, akurat wtedy, gdy Jabłoński zdążył wypalić carmena. Nie wyrzucił go jednak na ziemię, ale zgasił w pudełku po zapałkach i schował do kieszeni. Miał takie przyzwyczajenie, by na miejscu popełnienia przestępstwa nie zostawiać swoich niedopałków, by jak sam mówił, nie paskudzić tam, gdzie już jest napaskudzone.

- Wygląda na ranę tłuczoną, i to tłuczoną wielokrotnie. Ten gnój uderzał w to samo miejsce kilka razy. To tyle na początek. Więcej będziemy wiedzieć, jak położymy ją na stole. A co do czasu zgonu, wygląda na mniej więcej dwadzieścia cztery godziny. To też uściślimy w Poznaniu.

- Te obrażenia, powiedz, czym mógł uderzyć?

- A bo ja wiem? - odpowiedział Jabłoński, zaraz jednak zamilkł na moment, a potem popatrzył na śledczego.

- Oczywiście, pewność będziemy mieli dopiero po zrobieniu sekcji, ale ja bym stawiał na młotek, zwyczajny młotek...

- Pierdolony młotkowy. - Kapitan przypomniał sobie słowa popularnej piosenki Formacji Nieżywych Schabuff. - Mogę już wpuszczać techników? - zapytał lekarza.

- Ja tu nie mam nic do roboty, możecie robić swoje.

- No to bierzemy się do pracy - powiedział Leszczyński do sierżanta Jackowskiego, który stał nieopodal z aparatem fotograficznym Pentax zawieszonym na ramieniu.

W tym momencie do oficera szybkim krokiem podszedł wysoki cywil w ciemnym garniturze. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, po wojskowemu krótko przystrzyżone blond włosy i starannie przyciętą brodę.

- Wy prowadzicie oględziny? - rzucił, podchodząc do

kapitana.

68

Leszczyński zlustrował go zimnym spojrzeniem, na odległość wietrząc kłopoty. Nie musiał się specjalnie wysilać, by wyczuć bezpieczeństwo.

- Kapitan Galaś z tobą -- przedstawił się blondyn, wyciągając rękę na powitanie. Leszczyński podał swoją. W uścisku esbeka wyczuł jakąś dziwną miękkość. To od razu zniechęciło go do faceta.

- Dużo wam czasu zejdzie na to wszystko? - spytał Galaś.

- Dopiero zaczęliśmy - odpowiedział niechętnie.

- Bo wiecie -- ściszył głos bezpiecznie, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłucha. -- Mam rozkaz z samej centrali, żeby było jak najmniej hałasu i zamieszania. Wiecie, ten pieprzony festiwal, tyle tych popaprańców tu się zjechało, tak że nie powinniśmy rzucać się za bardzo w oczy i robić swoje jak najdyskretniej...

- No to róbcie swoje jak najdyskretniej i dajcie nam robić swoje.

- Nie zrozumieliście mnie, kapitanie. - Galaś położył rękę na ramieniu milicjanta. - Chodzi o to, żeby funkcjonariusze jak najszybciej się stąd wycofali, nie robiąc zamieszania.

Leszczyński spojrzął z niedowierzaniem na esbeka.

- Chyba cały czas nie rozumiem.

- No, normalnie, zróbcie swoje błyskawicznie i zaraz zwiżmy ten cały kram. - Wskazał ręką na namiot. - I nie ma już po tym śladu.

- Kapitanie, coś wam powiem. - Leszczyński kiwnął ręką,

wskazując na swego rozmówcę, by się przybliżył. Galaś nachylił się, wyczuwając, że milicjant chce mu coś dyskretnie przekazać.-- Spierdalajcie stąd.

- Co? - odskoczył gwałtownie.

- Spierdalaj w podskokach i nie przeszkadzaj w pracy. -

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł w stronę nyski

69

technicznej, zostawiając kapitana Fabiana Galasia, któremu z wściekłości łzy napłynęły do oczu. Przez prawie dziesięć lat pracował z oddaniem w Służbie Bezpieczeństwa, ale taki afront nigdy dotąd go nie spotkał.

Chyba się temu gnojkwowi coś w głowie poprzestawiało, pomyślał Galaś. Będę musiał pogadać z prowadzącym śledztwo. Już on na pewno postawi go do pionu. Z uciechy aż zatarł dłonie, bo wyobraził sobie, jak oficer zbeszta tego siwego, kiedy dowie się, jak jego podkomendny potraktował funkcjonariusza bezpieczeństwa. Potem szybko rozejrzał się wokół. Ale nikogo, kto przypominałby wyglądem śledczego, nie było widać. Dostrzec za to można było, poza kilkoma milicjantami, całe hordy młodych ludzi podążających w kierunku małej sceny, która rozłożyła się na polu namiotowym. Poubierani byli w najróżniejsze stroje, o których wiele dałoby się powiedzieć, ale na pewno nie to, że należą do eleganckich. Wielu z nich patrzyło rozbawionym wzrokiem na blondyna w garniturze, który w tej scenerii wyglądał jak przybysz z kosmosu.

godzina 14.42

No to wtedy mu powiedziałem, co myślę o takim przestu-

chiwaniu zatrzymanych. Właściwie to nawet więcej mu powiedziałem...

- Ciebie, młody, to by chyba trzeba trzymać na biurze przepustek, żebyś se mógł grzecznie i kulturalnie pogadać z paniami, co zgłaszają zaginięcie pieska - powiedział podporucznik Olkiewicz, rozsiadając się wygodnie za stołem przykrytym obrusem z ceraty. Usadowiłszy się, start wierzchem dłoni jakieś resztki i okruchy. W tym czasie Brodziak
70

zaniósł do bufetu cztery puste kufle, które pozostały po poprzednich miłośnikach jasnego poznańskiego. Zamówił trzy piwa i wrócił do stolika.

Błaszowski nie przepadał za piwem. Co innego, gdyby było słodkie, może wtedy nawet by się w nim rozsmakował, ale niestety było gorzkie, a do tego jeszcze ciepłe. Zamoczył więc usta i stwierdził, że jest obrzydliwe. Jednak ani Olkiewiczowi, ani Brodziakowi najwyraźniej ten paskudny smak wcale nie przeszkadzał. Każdy z nich wypił pokaźny łyk, a potem zaraz sięgnęli po papierosy. Olkiewicz zapalił ekstra mocnego bez filtra, a Brodziak wyciągnął z kieszeni swojej dżinsowej kurtki wymiętą paczkę radomskich. Mariusz nie palił, więc żaden z nich nie zaproponował mu papierosa. W barze, do którego weszli, nie roіło się od gości. Zajęte były jeszcze trzy stoliki. Przy stoliku tuż przy oknie zasłoniętym pożółkłymi od barowych wyziewów, niegdyś białymi firanami w kwiatki siedziało trzech miejscowych degustatorów wina. Bo oprócz piwa dawano tu także wino z beczki. Było tańsze niż piwo i zdecydowanie bardziej wartościowe,

jeśli chodzi o ilość doznań, jakie zapewniała jedna szklanka. Mężczyźni, którzy widać powiedzieli już sobie wszystko, co dawało się powiedzieć podczas spożywania jaboli, siedzieli w zupełnym milczeniu. Odwróceniem plecami do sali, paląc papierosy popularne, spoglądali przez okno na niezbyt wielki uliczny ruch.

Pod ścianą, na której wisiła reprodukcja Słoneczników van Gogha, siedział odwrócony plecami do środka sali długowłosy młodzieniec zatopiony w lekturze jakiejś grubej książki. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko to, co dzieje się wokół, wcale go nie interesowało.

Głośno za to było w drugim kącie, gdzie przy dwóch stolikach siedziała grupka roześmianych młodych ludzi. Ich

71

stroje wyraźnie mówiły, że są to wielbiciel muzyki młodzieżowej. Wyglądało na to, że pięciu chłopaków i dwie dziewczyny właśnie oderwało się od swoich zwykłych zajęć na polu namiotowym, by w kulturalnym miejscu spędzić trochę czasu.

- Chyba was pojebało! -- krzyknął młodzieniec w czapce z daszkiem, spod której na plecy zwieszał mu się koński ogon długich włosów. - Zielone Żabki to syf. Mówię wam, dno kompletne. O tych szmaciarzach za parę lat nikt nie będzie słyszał. Zobaczycie, głąby, że jedyne, co ludzie będą pamiętać z tego spędu, to t.Love i Sojkę, i tego wariata Owsiaaka z jego chińskimi ręcznikami!

Współbiesiadnicy wybuchnęli śmiechem.

- Palant jesteś, Kermit. - Rudy punk z kolczykiem w uchu

i agrafrką w policzku postawił z trzaskiem kufel na stole.

- Zielone Żabki to są czujni goście i czują na dodatek jeszcze muzę. Są tu najlepsi i wszyscy inni mogą im buty glancować. Oni grają punk w najczystszej postaci, chropowaty i nieoszlifowany. Jak ktoś ma tu być mistrzem, to tylko oni, bo ten Sojka to tak zawodzi, że się rzygać chce, a ten śpiewak z t.Love'u z seplenem to może co najwyżej spodobać się jakiejś lasce z podstawówki, a nie gościom, co się na muzyce znają!

Szmer poparcia rozległ się przy stoliku, a rudy stuknął się kuflem z kilkoma kolesiami z klubu miłośników Zielonych Żabek.

- A jeszcze to ci powiem - dodał punk - że ten Owsiak to jest największy czubek, jakiego widziałem. Skąd on wzięł te głupoty z Towarzystwem Przyjaźni Chińskich Ręczników? Lepiej by się zajął czymś pożytecznym...

- Może dobroczynnością? - rzuciła blondynka o prostych włosach do ramion.

72

Znów rozległa się salwa śmiechu.

- Słyszałeś, o czym ci młodzieńcy gadają? - Olkiewicz krzywo uśmiechnął się do Brodziaka. - O Zielonych Żabkach. To chyba jakaś banda wyrośniętych przedszkolaków...

- To taki zespół - szybko wyjaśnił Blaszkowski. - Grają muzykę punkową i większość ludzi tu, na festiwalu, chce, żeby oni wygrali w tym roku.

- Coś takiego - zamyślił się podporucznik. - No to za zdrowie Zielonych Żabek trzeba coś wypić, żeby się nie rozesch-

ty. - Teofil zaśmiał się ze swojego pomysłu i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni metalową podrózną piersiówkę z Miską, symbolem olimpiady w Moskwie. Sam nie był na tej olimpiadzie, ale jego szwagier, kolejarz, owszem. Pracował w pociągu przyjaźni, który zawoził polskich aktywistów młodzieżowych na igrzyska do stolicy międzynarodowego proletariatu i tam właśnie kupił mężowi swojej siostry tę niezwykle przydatną butelczynę. Jej zalety już nie raz Olkiewicz docenił. Zabierał ją ze sobą zawsze, ilekroć musiał wyjechać gdzieś służbowo, bo przecież nigdy nie było wiadomo, czy w chwili, gdy przyjdzie mu ochota, będzie coś można kupić. A tak dzięki olimpiadzie w Moskwie, i oczywiście dzięki szwagrowi, był niezależny od lokalnych źródeł dystrybucji alkoholu.

Podał Brodziakowi otwartą flaszkę. Ten szybko wypił sporą porcję i oddał buteleczkę Olkiewiczowi. Młodego, czyli Blaszkowskiego, nie poczęstowali, bo za młody

godzina 14.49

Charon nie czytał wcale swojej ulubionej Mitologii. Otworzył ją tylko, ułożywszy na stole przed sobą tak, by wyglądało, że czyta. Nie miał teraz czasu na czytanie. Przyszedł

73

do tej podłej knajpy tylko w jednym celu. Miał do spełnienia misję. Ta misja to nie było nic wielkiego. Zrodziła się tak zupełnie przypadkiem i nie wiązała się z jego właściwym planem. Była tak naprawdę tylko, jak sam to nazywał, twórczym uzupełnieniem właściwego planu. Dwa dni temu nad ranem na polu namiotowym obudziły go jakieś dziwne jęki dochodzące zza ściany jego namiotu. Błyskawicznie się prze-

budził. Założył koszulę, a na bosc nogi wsunął trampki. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył skuloną długowłosą postać chłopaka w czapce z daszkiem, który kwilił jak małe dziecko. Chłopak prawą dłonią trzymał się za zgiętą w przedramieniu lewą rękę. Było już dosyć jasno, więc bez trudu dało się zauważyć, że spod dłoni wypływa krew. Charon natychmiast dostrzegł, że na ziemi leży opróżniona szklana strzykawka z resztką brązowego mętnego płynu. Wszystko jasne. Ten idiota wstrzyknął sobie działkę kompotu i zrobił to tak nieumiejętnie, że przeorał sobie żyłę.

Narkoman mętnym wzrokiem spojrzął na Charona.

- Co się, kurwa, gapisz, pomóż mi, bo tu zaraz wykorkuję.

Zareagował odruchowo i później analizując tę całą sytuację, nawet dziwił się, że właśnie tak postąpił. Zanurkował do namiotu i wydobyl ze zwiniętej parcianej torby skórzany pasek od spodni. Tym paskiem ścisnął rękę chłopaka powyżej rany.

- To ci pomoże tylko na chwilę. Idź szybko na pogotowie, niech ci to zaszyją. A jak wrócisz, oddaj mi pasek.

Chłopak odszedł chwiejnym krokiem, nie podziękowawszy nawet. Paska oczywiście nie oddał.

Dziś, gdy Charon zmierzał w kierunku dworca kolejowego, zupełnie przypadkowo zauważył grupkę, w której był ten chłopak od paska. Jakoś tak odruchowo ruszył za nimi.

Weszli do baru piwnego na rynku. Odczekał kilka minut

74

i również tam wszedł. Zamówił piwo i usiadł pod ścianą. Zaczął obserwację. Nawet mu się to spodobało. Siedział tak nad

książką, udając, że czyta, a kątem oka obserwował chłopaka. Po paru minutach już wiedział, że mówią na niego Kermit. Czekał więc cierpliwie, by pogadać z Kermitem. Miał ku temu okazję, gdy tamten wstał i poszedł do ubikacji. Postanowił jednak, że to nie jest jeszcze odpowiednia pora. Wiedział, że roześmiana grupa dopiero zaczyna biesiadę, bo ich stolik zastawiony był pełnymi kufkami z piwem. Pewnie nauczeni doświadczeniem, zamówili od razu po kilka kufli na wypadek, gdyby barman wstrzymał sprzedaż, co zdarzało się w piwiarniach bardzo często. Uniezależnili się więc od widzimisię sprzedawcy i w spokoju mogli pić. Charon dobrze wiedział, że niedługo Kermit będzie musiał wstać znowu, by pójść się wysikać. Rzeczywiście poszedł do toalety po raz drugi, ale niestety z jednym z kolegów. W pewnym momencie do knajpy weszło trzech nowych klientów. Jeden wyglądał jak cinkciarz, drugi ubrany był w szary, trochę za ciasny garnitur, trzeci, najmłodszy, nie różnił się swoim ubiorem od tych wszystkich, którzy przyjechali tu na festiwal. Charon przyjrzał im się uważnie, ale po chwili przestał się nimi interesować.

W końcu Kermit, który zdążył się pokłócić z całym towarzystwem o Zielone Żabki, wstał od stolika i znowu ruszył chwiejnym krokiem w stronę ubikacji. Minął stolik, przy którym siedział gość czytający książkę, i po chwili zniknął za brązową, grubą zasłoną oddzielającą wc od barowej sali. Charon odczekał moment, wreszcie założył na ramię swoją parcianą torbę i ruszył za nim. Po chwili już był w środku. Wewnątrz śmierdziało moczem, rzygowinami i chlorem.

Ściana z trzema pisuarami pomalowana była zieloną olejną farbą, która w kilku miejscach odłaziła wielkimi płatami.

75

W niewielkim pomieszczeniu panował półmrok, bo żarówka wisząca na samej oprawce musiała się dawno przepalić, a niewielkie okienko wychodzące na podwórze prawie nie dawało światła. Kermit stał przy ostatnim pisuarze. Musiał być już mocno znieczulony, bo dla zachowania równowagi przytrzymał się ręką brudnego syfonu łączącego muszlę ze ścianą. Całkowicie zajęty sikaniem nie zwrócił najmniejszej uwagi na wchodzącego. Charon przesunął torbę na brzuch i włożył do niej rękę. Szybko namacał młotek.

- I co się tak gapisz, pierdolony pedale - powiedział bełkotliwie Kermit, dostrzegając w końcu kątem oka długowłosą postać stojącą jakiś metr od niego.

- Miałeś oddać mi mój pasek!

godzina 14.59

Ekipa śledcza pod dowództwem porucznika Brodziaka przyjechała do Jarocina godzinę temu. Najpierw byli na polu namiotowym, by przyjrzeć się miejscu zdarzenia, a potem, zostawiwszy tam najlepszego specjalistę od zabezpieczania śladów, czyli kapitana Leszczyńskiego, pojechali do komy. Brodziak wiedział, że nie ma co szwendać się koło namiotu, gdy pracuje tam Leszcz - tak kapitana nazywali koledzy. Bo on nie lubi, kiedy ktoś plącze się koło niego bez potrzeby. Najlepszym rozwiązaniem było więc pozostawienie go z ekipą techniczną na miejscu i wycofanie się na bezpieczną odległość. A poza tym trzeba jeszcze załatwić sprawę Blaszkow-

skiego, który z utęsknieniem czekał na odsiecz.

Kawaleria dojechała w samą porę, w chwili kiedy Blaszkowski skończył wstępną selekcję zatrzymanych i większość z nich chciał natychmiast wypuścić. Tu jednak trafił na opór

76
porucznika Mioduszewskiego, który stwierdził, że nie po to się łąpało, żeby się zaraz wypuszczało.

Na szczęście w chwili, w której mogło dojść do eksplozji, w komendzie pojawili się Brodziak z Olkiewiczem i kierowcą, mierzącym prawie dwa metry i ważącym jakieś sto dwadzieścia kilo sierżantem Grzechem Kowalem.

Uradowany widokiem starszych kolegów Blaszkowski szybko przedstawił Mioduszewskiemu ekipę z województwa.

Brodziak natychmiast wszedł w rolę prowadzącego śledztwo. Gdy Blaszkowski złożył mu ustny raport o wynikach, ten przyjął je do wiadomości i głosem nieznoszącym sprzeciwu nakazał Mioduszewskiemu wykonanie zaleceń Blaszkowskiego, podporucznika Blaszkowskiego, dodał ostrym głosem, nie dając milicjantowi z Jarocina nawet cienia szansy na wytłumaczenie.

By dokładniej przeanalizować wszystkie kwestie związane ze wstępnymi ustaleniami, Brodziak zarządził naradę w wąskim gronie w pobliskiej piwiarni na jarocińskim rynku.

-Tu jest tak, jakby się czas zatrzymał na tej komendzie.

Ci idioci dopadli jakiegoś chłopaka tylko dlatego, że uciekał, i tak mu wlali, że musiałem wezwać pogotowie -- mówił oburzony podchorąży.

-Jak uciekał, to znaczy, że coś tam miał za uszami - stwier-

dził Olkiewicz, dopijając reszkę piwa ze swojego kufła.

- Ja nie o tym mówię, panie Teofilu, tylko o tym, że tu ludzi traktują jak gówno. A ci wszyscy zatrzymani bez najmniejszego powodu to też nic?

- Ty, młody, nic nie rozumiesz - spokojnie wyjaśnił Brodziak. - Ten cymbał Mioduszewski oczywiście przesadził, ale chciał dobrze. Wpakował do puszki wszystkich, którzy wydali mu się podejrzani, bo chciał dobrze, tyle że jest tępa-kiem i nie wie, jak się zabrać do takiej sprawy. A co do tego 77

pobicia, to rzeczywiście przesadził. Teraz przez ciebie będzie miał problem...

-- Jak to przeze mnie? -- zdziwił się podchorąży.

-- A pewnie, że przez ciebie, bo wezwąłeś pogotowie. Jakby to było jeszcze kilka lat temu, to ten pobity szczon dostałby pomoc medyczną pod celą i nikt by się nie pytał, co się stało, bo wszyscy by wiedzieli, że się poślizgnął na mydle, a teraz go zabrali do siebie na pogotowie i pewnie zgłoszą prokuratorowi. No i od niego zależy, czy zacznie postępowanie w sprawie pobicia, czy nie. Ale teraz takie czasy, że raczej trudno będzie wszystko wyciszyć, a ten Mioduszewski będzie miał niezły gnój, choć chciał dobrze.

- Wszystko przez tę głośność i pierestrojkę Gorbaczowa. W Milicji Obywatelskiej też ma być inaczej - dorzucił Olkiewicz. - W związku z zaistniałą sytuacją ja idę do kibla, a ty, Młody, skocz i zamów dla kolegów oficerów jeszcze po piwie.

godzina 15.00

Charon wyszarpnął młotek ze swojej torby i ruszył błyskawicznie w stronę sikającego Kermita. Wziął mocny zamach, gdy nagle, niespodziewanie, czyjaś silna dłoń chwyciła go za przegub. Poczul mocne szarpnięcie, a potem przeszywający ból w nadgarstku. Młotek z brzękiem spadł na posadzkę. Zaraz za nim na obsikaną, wyłożoną popękkanymi szarymi kafelkami podłogę upadł właściciel młotka. Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że nie wiedział nawet, co się dzieje. Ręka bardzo go bolała, a na domiar złego nie mógł się podnieść. Chciał, oczywiście, ale coś go przygniatało do ziemi. Zdrową ręką odgarnął włosy z twarzy. Najpierw

78

zobaczył Kermita, który wciąż stał przy pisuarze z penisem w ręku. Sikął nadal, ale już nie do muszli, tylko na podłogę.

- Przestań lać, gnoju, i won stąd - nieprzyjemnie warknął łysiejący grubas.

Kermit posłusznie schował siusiaka do majtek, nie zauważwszy nawet, że ciągle sika, i szybko wyszedł z ubikacji.

Olkiewicz mocniej przycisnął butem pierś leżącego, który próbował się wyślizgnąć.

- A ty, lebiego, jak jeszcze raz zobaczę, że chcesz kogoś bić, to nogi ci z dupy powyrywam. Rozumiesz, zasrańcu, czy mam ci mocniej przemówić do tej tępej pały?

Leżący skinął głową. Olkiewicz zdjął nogę z jego piersi.

Gdy chłopak próbował nieporadnie podnieść się z podłogi, milicjant wymierzył mu potężnego kopniaka w tyłek. Charon, który w tej chwili przestał być Charonem i stał się zwykłym chłopakiem, jęknął głośno i znów się przewrócił.

Olkiewicz spokojnie rozpiął rozporek i zaczął sikać, cały czas jednak kątem oka przyglądał się chłopakowi.

Co to za świnią, pomyślał, żeby w kiblu bić się, i do tego jeszcze z młotkiem w łapie. We łbach się im wszystkim po-przewracało. Wszystko przez tę ich zboczoną muzykę.

- Wiesz, czemuś dostał tego kopa w dupę? - zwrócił się do chłopaka, który zdążył wreszcie wstać.

- Nie, proszę pana.

- Żeby głupie myśli nie szwendały ci się po łbie i żebyś se zapamiętał, jak kiedyś pomyślisz, żeby komuś wpruć, to se najpierw przypomnij, jak porucznik Olkiewicz z Komendy Wojewódzkiej z Poznania skopał ci dupę!

Teofil, idąc w stronę drzwi, nachylił się i podniósł młotek.

- A to zabieram, żeby cię nie kusiło - powiedział i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

79

poznań

godzina 15.10

Major Alfred Marcinkowski zapukał w drzwi oklejone samo-przylepną folią drewnopodobną i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Jego szef, pułkownik Żyto, siedział za swoim biurkiem i jadł kanapkę z serem.

- Obywatelu pułkowniku! - Marcinkowski wyprężył się, chcąc zameldować się regulaminowo, ale pułkownik tylko machnął ręką i wskazał mu krzesło przy konferencyjnym stole, który przylegał do biurka, tworząc wraz z nim kształt litery t. W ten sposób podczas narad pułkownik zawsze zajmował miejsce na samym szczycie, pozostając w swoim ulu-

bionym fotelu przy biurku, a jego podkomendni siadali po dwóch stronach stołu. Dzięki takiemu ustawieniu dowódca widział ich wszystkich i mógł ze swego miejsca obserwować ich reakcje na własne uwagi. Marcinkowski zawsze siadał na tym samym miejscu, na lewo od pułkownika. Na wprost przed nim, na ścianie, którą jakieś dziesięć lat temu pomalowano na żółto, a teraz z cytrynowej soczystości pozostała zwiędła wyblakła szarość, wisiał portret naczelnego czekisty o chmurnym obliczu, Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Marcinkowski od lat przyglądał się tej twarzy arcyłotra. Dziś, gdy do pokoju wpadł przez odsłonięte zasłony ostry promień słońca, major zauważył, że i ten portret stracił mocno na swej ostrości. Pewnie muchy go obsrały, jak Franciszka Józefa, pomyślał major, przypominając sobie scenę ze swojej ulubionej książki Przygody dobrego wojaka Szwejka.

A i spojrzenie Feliksa, kiedyś ostre i chmurne, można powiedzieć nawet bezkompromisowe, stało się jakby łagodniejsze. Może patron milicjantów wyczuł, że w Milicji Obywa-

80
telskiej w jego ojczyźnie nie dzieje się najlepiej, myślał major.

W końcu w ostatnim czasie w milicji, w której pracował od lat siedemdziesiątych, czuło się, że wkrótce coś zacznie się zmieniać. Niby wszystko było po staremu. Nadal resortem rządził żelazną ręką generał Kiszczak, dalej była to organizacja, w której sprawy bezpieczeństwa obywateli były kwestią poboczną, a wszystkie siły kierowano na kontrolę ludzi potencjalnie szkodliwych dla bezpieczeństwa ustroju socja-

listycznego, jednak wyraźnie dało się odczuć, że w resorcie zapanowała lekka odwilż. Choćby samo zachowanie kolegów z sb, którzy jeszcze niedawno uważali samych siebie za elitę resortu, szarogęsili się w komendzie, wtrącając się niemal we wszystkie aspekty działania milicji, a teraz jakby podkulili ogon pod siebie. Byli mniej widoczni, a to oznaczało, że sami musieli czuć, że coś się w ich świecie zaczyna zmieniać. Zresztą wystarczyło włączyć radio, nastawić na fale krótkie i wyszukać Radio Wolna Europa, którego od stycznia tego roku można było słuchać bez żadnych przeszkód, bo maszyny do zagłuszania, które działały w Polsce od początku lat pięćdziesiątych, zostały zlikwidowane. I to wcale nie w tak drastyczny sposób jak w pięćdziesiątym szóstym w Poznaniu, kiedy robotnicy z Cegielskiego rozwalili w drobny mak aparaturę zagłuszającą. Tym razem decyzje o zaprzestaniu zagłuszania podjął resort. I nagle, z dnia na dzień, to, co było zakazane przez całe dziesięciolecie, stało się powszechnie dostępne. Nie doszło oczywiście do tego, że radia w komendach milicji zaczęły odbierać program z Monachium. Służbowe nastawione były na stacje Polskiego Radia, ale te prywatne, domowe, nawet w domach wielu funkcjonariuszy, zaczęły odbierać stację dotąd zakazaną.

- Napijesz się herbaty? - zapytał pułkownik swojego podwładnego. - Mam bardzo dobrą, angielską, nazywa się Earl

81

Grey. Mówię ci, to nie to, co te nasze junany czy madrasy.

Czuć taki aromat, że aż chce się pić.

- A skąd pan ma takie чудо?

- Żona moja była, proszę ja ciebie, w swojej parafii u księdza, bo przyszły paczki z darami od niemieckiego Czerwonego Krzyża, i dostała taką paczkę. Mówię ci, co za paczka. Czekolada w niej była, jakieś puszki z rybkami w oleju, nawet kawa już zmielona, no i ta herbata.

- No to z przyjemnością wypiję, obywatelu pułkowniku -- powiedział Marcinkowski. To też jest zmiana, pomyślał, patrząc, jak jego dowódca sypie łyżeczką herbatę do dwóch szklanek. Jeszcze rok temu Żyto za nic nie przyznałby się, że jego żona chodzi do kościoła, a tu, proszę, dziś mówi o tym, co prawda zaufanemu podwładnemu, ale sam fakt, że mówi to zupełnie otwarcie, świadczy, że czasy, kiedy za kościół można było wylecieć z pracy w mo, minęły bezpowrotnie. A jeszcze niedawno Marcinkowski musiał załatwiać dla swojego syna Filipa tajne chrzciny w podpoznańskiej parafii. Pułkownik zalał wrzątkiem z elektrycznego porcelanowego czajnika dwie szklanki z herbatą, po czym jedną przesunął na skraj biurka. Marcinkowski chwycił ostrożnie za spodeczek i postawił przed sobą.

- Cukier masz w cukiernicze - powiedział pułkownik, wskazując szklane naczynie w metalowym koszyczku.

- No to mów, proszę ja ciebie, co tam się stało w tym Jarocinie. Dzwonili już do mnie z sb, żebyśmy jak najszybciej zwinęli ten cały bałagan. Mówię o miejscu, w którym doszło do zdarzenia. Wyjaśniali mi, że chodzi o to, żeby nie robić niepotrzebnej sensacji.

- Sensacja to już jest, obywatelu pułkowniku. Tego nie da się zamieść pod dywan. Z tego, co już udało nam się ustalić,

ktoś zabił dziewczynę, którą znaleziono w namiocie, i tyle

82

wiemy na chwilę obecną. Na miejscu jest już nasza ekipa.

Dowodzi nią Mirek Brodziak, natomiast oględziny na miejscu prowadzi kapitan Leszczyński. Do pomocy jest tam jeszcze Teoś Olkiewicz, no i młody Blaszkowski, który był tam pierwszy.

- Blaszkowski? - zdziwił się pułkownik. - A ten co tam robi, przecież jest na studiach w Szczytnie, proszę ja ciebie.

- No i jest w dalszym ciągu w Szczytnie, ale z grupą studentów został na czas festiwalu oddelegowany do operacyjnego zabezpieczania imprezy. Mieli się wtopić w tłum. No i Blaszkowski tak się wtopił, że znalazł trupa. Zresztą z tego, co wiem, bardzo przytomnie się zachował, bo natychmiast zabezpieczył teren, nawet tak skutecznie, że nie dopuścił na miejsce tamtejszego zastępcy komendanta, który chciał sobie popatrzeć. No i rozpoczął śledztwo na nasz rachunek, angażując do tego wszystkie miejscowe siły.

- No to ma chłopak jaja. Zdaje się, że będą z niego ludzie, proszę ja ciebie - ucieszył się Żyto.

- Jeszcze trochę i będzie go pan przyjmował z powrotem do pracy w naszym wydziale.

Pułkownik podrapał się po tysej głowie i spojrzał uważnie na majora.

- No, proszę ja ciebie, ja go przyjmować nie będę.

- Jak to?

- Ano tak, że to raczej ty go przyjmiesz, jak skończy się już uczyć, bo widzisz, ja już niewiele tu zdziałam, czas już, żebym

na emeryturę poszedł.

- Ależ obywatelu pułkowniku, przecież nie ma pan jeszcze sześćdziesięciu pięciu lat!

- No, niby nie mam, ale rozkaz to rozkaz, widać, że idzie nowe, bo stare graty się wyrzuca. A z rozkazem komendanta nie ma co dyskutować. Taka, proszę ja ciebie, jest polityka

83

resortu, jak mi wyjaśniono, i koniec. Ale źle nie będzie, bo komendant pozwolił mi wyznaczyć następcę. I pytał mnie, proszę ja ciebie, kto tu, według mojej oceny, się najlepiej nadaje, no to mu powiedziałem, że widzę tu tylko jednego człowieka na moim miejscu, to znaczy się, ciebie ja tu widzę.

Marcinkowski z niedowierzaniem patrzył na pułkownika.

Dotąd nigdy nie myślał o tym, że jego szef będzie musiał kiedyś odejść. Odkąd zaczął pracę w Komendzie Wojewódzkiej w Poznaniu, pułkownik Żyto był jej stałym elementem. Stary milicjant, który przeszedł kolejne szczeble kariery, od ulicznych patroli aż do szefa wydziału dochodzeniowo-śledczego. Marcinkowski wszystkiego o milicyjnej robocie nauczył się właśnie od niego. On nadzorował prowadzone przez Freda śledztwa. On w końcu rozciągał nad swoimi ludźmi parasol ochronny, który dawał im komfort pracy. Gdy władze partyjne szczególnie interesowały się jakimś dochodzeniem, pozwalał na tworzenie zasłony dymnej dla uspokojenia partyjnych kacyków. Zawsze na początku jakiejś sprawy jego ludzie robili rajd po podejrzanych miejscach, pijackich melinach czy tajnych burdelach, i zamykali do wyjaśnienia wszystkie podejrzane elementy. Gdy Żyto

dostawał pytanie o wyniki śledztwa, zawsze mógł zameldować, że pierwsi podejrzani już siedzą, a sprawa ma charakter rozwojowy i niewykluczone, że do aresztu wkrótce trafią następni. W tym czasie jego grupa śledcza w spokoju i bez nacisków zajmowała się prowadzeniem właściwego śledztwa, aż do ujawnienia prawdziwych sprawców. A tych zatrzymanych, najczęściej recydywistów, w końcu się wypuszczało, o ile oczywiście nie udowodniono im czegoś do tej pory.

Teraz ten sprawdzony przez lata system mógł się całkowicie zawalić, gdy zabraknie pułkownika, myślał Marcinkowski.

84

Spojrzał na swojego dowódcę, który zamilkł na chwilę, delektując się zagraniczną herbatą. Łysy jak kolano pułkownik w okularach w rogowej oprawie, ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę i wiśniowy krawat, sprawiał wrażenie prowincjonalnego urzędnika gs-u, a nie szefa jednego z najważniejszych wydziałów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu. Jednak to tylko pozory. Za tą fasadą krył się niezwykle bystry, inteligentny i czytany człowiek, przez wiele lat prowadzący wydział i kierujący grupą kilkudziesięciu milicjantów. Nigdy nie zachował się wobec któregoś z podwładnych w sposób nieprzyzwoity. Owszem, potrafił być nieprzyjemny, a niekiedy nawet ponosiły go nerwy, jeśli zderzał się z ludzką głupotą, ale nikt z jego ludzi nie mógł powiedzieć, że Żyto potraktował go w niegodziwy sposób.

Teraz ten człowiek miał odejść, bo komendant chce stawiać

na młodych. Dopiero w tym momencie dotarło do Freda, co tak naprawdę to oznacza dla niego. Koniec parasola ochronnego, koniec ochrony wpływowego pułkownika. Teraz on sam będzie musiał zająć się wszystkim i to on będzie musiał zadbać o swoich ludzi, by nikt z boku nie patrzył im na ręce.

- No, ale jeszcze do końca września zostaję na miejscu, proszę ja ciebie. Tak ustaliłem z komendantem, żebym mógł wprowadzić cię we wszystkie sprawy w sposób jak najbardziej nieszkodzący pracy zespołu. A jutro o dziewiątej rano masz się zameldować u komendanta wojewódzkiego, żeby on, proszę ja ciebie, oficjalnie dał tobie rozkaz objęcia wydziału od pierwszego października bieżącego roku.

- A co pan będzie robił teraz, obywatelu pułkownika?

Żyto zamyślił się chwilę, potem ściągnął okulary, przetarł je kawałkiem „Gazety Poznańskiej” i z uśmiechem spojrzął na majora.

85

- Co ja będę robił, pytasz, proszę ja ciebie. Ano to, na co czasu nie starczało nigdy przez te wszystkie lata. Pojadę wreszcie do mojej leśniczówki w Puszczy Noteckiej i będę tam spokojnie sobie łowił ryby. Ale to śledztwo, co to teraz masz na tapecie, to jeszcze odrobinę ponadzoruję, bo widzę, że koledzy z sb chcieliby trochę kłopotów nam narobić.

rozdział

III

jarocin

godzina 15.52

To wy prowadzicie śledztwo? - Kapitan Galaś spojrzął z nie-

dowierzaniem na szczupłego, piegowatego rudzielca, ubranego w peweksowskie dżinsy, czarny podkoszulek i dżinsową kurtkę; ktoś taki w żaden sposób nie odpowiadał jego wyobrażeniu o oficerze śledczym. Na domiar złego czuć było od niego wyraźnie zapach alkoholu.

- Co? - Zapytany spojrział nieufnie na cywila, wyciągając paczkę radomskich. Nie zdążył nic odpowiedzieć, bo z tyłu rozległ się głos, który odwrócił jego uwagę.

-- Ja pierdzielę, co to za burdel - powiedział niski łysiejący facet, który nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na Galasia, podszedł do tego rudego. Ubrany był w szary, znoszony garnitur, którego marynarka z ledwością dopinała się na pożąnym brzuchu.

Stanął obok i bez pytania wyciągnął z paczki trzymanej przez tego drugiego wymiętalonego papierosa. Rudy schował zaraz radomskie do kieszeni, nie częstując Galasia.

- Jaki burdel? - zdziwił się, spoglądając spod przymrużonych powiek na czerwony namiot, przy którym cały czas kręcił się fotograf.

87

Mimo że było już popołudnie, słońce nadal piekło niechętnie. Rudy wsadził papierosa w zęby, ściągnął kurtkę i przewiesił ją przez lewe ramię. Wcale nie przejął się tym, że odsłonił w ten sposób tajemnicę służbową, czyli kaburę z pistoletem zaczepioną na szelkach.

- Za robotę jakąś by się te cholery wzięły, w pgr-ach albo gdzieś, a nie tu łaźć poubierane jak małpy. Ja bym ich wszystkich pogonił, jak Boga kocham! -- ciągnął dalej Olkie-

wicz.

- Teoś, gdzieś ci młodzi się muszą wyszaleć, nie?

- To niech szaleją w jakiejś pożytecznej robocie, lasy sadzą albo przy żniwach pomagają, bo tu nic tylko sodomia i gomoria. I później trzeba przyjeżdżać po nich sprzątać, tak jak to. - Olkiewicz wskazał na czerwony namiot, wokół którego uwijali się technicy

- Jestem Galaś z sb. Zabezpieczam operacyjnie teren festiwalu - przypomniał ostro o swoim istnieniu cywil w garniturze, który nie mógł zrozumieć, jak ci dwaj cudacy śmieli go tak demonstracyjnie zignorować.

Obaj jak na komendę odwrócili się w jego stronę, jakby dopiero teraz zauważyli, że ktoś stoi obok nich.

W spojrzeniu rudego nie dawało się w ogóle niczego zauważyć, było to zupełnie obojętne spojrzenie z gatunku tych, jakim klient samu spożywczego obrzuca salceson, który już dwa tygodnie leży w ladzie chłodniczej. Za to ten drugi, łysiejący, poprawił zaczeskę, która zsunęła mu się na czoło, i popatrzył uważnie na mężczyznę.

- Jak, przepraszam, że zapytam, szanowny pan powiedział?

- Jestem Fabian Galaś z poznańskiej sb - wyjaśnił ostro poirytowany oficer.

Łysy uśmiechnął się radośnie, po czym ukłonił się z gracją hipopotama.

88

- A ja jestem Olkiewicz z poznańskiej Wildy - powiedział i czknął głośno, a zaraz potem roześmiał się, jak ktoś niespełna rozumu.

Zanim kapitan Galaś zdążył ochłonąć z wrażenia, tamci dwaj odwrócili się od niego i poszli do nyski technicznej, gdzie w środku siedział ten siwy arogancki kapitan. Takiej zniewagi Galaś nie mógł puścić płazem. Poszedł do radiowozu z komendy w Jarocinie i poprosił o połączenie go z wojewódzką.

Brodziak tymczasem otworzył drzwi nyski i zajrzał do środka. Leszczyński siedział przy stoliku, w jaki wyposażony był wóz techniczny, i coś pisał w notesie. Zawsze robił bardzo dokładne notatki z miejsca oględzin, bo doskonale wiedział, że każdy, nawet najdrobniejszy szczegół wychwycony podczas penetracji, nawet taki, który w pierwszej chwili wydawać by się mógł zupełnie nieistotny, może przyczynić się do schwywania sprawcy. Jednak im bardziej zagłębiał się w analizę szczegółów, tym bardziej czuł się bezradny. Od razu zauważył, że niewiele tu działo. Miejsce popełnienia morderstwa zostało dokładnie zdeptane przez ciekawskich, którzy pojawili się w namiocie, zanim Blaszkowski zrobił z nimi porządek. Naprzeciw kapitana siedział anatomopatolog i też wpisywał jakieś dane do protokołu oględzin.

-Witam, panowie, ponownie - powiedział uśmiechnięty porucznik. -- Jak tam sytuacja na miejscu? -- Wskazał ruchem głowy czerwony namiot.

-- Rana tłuczona na skroni. Dziewczyna, wiek około szesnastu, osiemnastu lat, zgon w przybliżeniu jakieś dwadzieścia cztery godziny temu. Więcej na ten temat po sekcji - fachowo wyjaśnił sytuację doktor Jabłoński.

W tym czasie Brodziak usiadł już przy stoliku, a zaraz za nim, pojękując z wysiłku, wtoczył się do auta Olkiewicz.

- Dokładnie siedemnaście lat, nazywa się Jolanta Hajduk, zamieszkała w Poznaniu na osiedlu Kraju Rad, uczennica Liceum Ogólnokształcącego imienia Marcinkowskiego.

Miała skórzany portfel, w którym była ta legitymacja, trochę drobnych pieniędzy i ten notesik. Mówiąc to, kapitan Leszczyński położył na stoliku foliową torebkę z zabezpieczonymi przedmiotami.

- Oprócz tego w jej torbie znaleźliśmy dokumenty jeszcze jednej dziewczyny. Jej rówieśniczka. Musiały razem przyjechać na festiwal. Dane podałem już chłopakom od Blaszkowskiego. Teraz szukają jej na całym polu namiotowym. Wszyscy mają jej zdjęcie, bo jeden z tych szczonów ze Szczytna wziął legitymkę i pojechał zrobić odbitki do miejscowego fotografa. Myślę, że to kwestia najbliższych godzin, jak ją namierzą. No chyba że i jej coś się...

- Ja to jak widzę trupa, to zaraz muszę się napić - powiedział Olkiewicz, bezceremonialnie przerywając kapitanowi, który chciał mówić dalej. Ale Teofil wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki radziecką piersiówkę z olimpijskim Miską i podał ją Brodziakowi. Ten pociągnął łyk, a potem podał butelkę lekarzowi. Wszyscy wypili.

Brodziak spojrział na doktora Jabłońskiego, który wrócił do wypełniania formularza.

- Doktorze, możesz mi choć w przybliżeniu powiedzieć, czym mogła zostać zabita? Od czego ma tę cholerną dziurę

w głowie?

Jabłoński popatrzył na porucznika znad okularów, które podczas pisania zsunęły mu się na czubek nosa.

- To będę wiedział na pewno dopiero w Poznaniu, ale teraz mogę ci tylko powiedzieć, że to było jakieś twarde narzędzie,
90

morderca uderzył nim kilka razy w to samo miejsce. Uderzenia są punktowe i zostawiają wyraźne ślady na skórze. Mogę więc wstępnie stwierdzić, że to, czym uderzył, to chyba był młotek.

- Pierdolony młotkowy - zaśmiał się Olkiewicz. - Jak byłem jeszcze dzielnicowym na Chwaliszewie, to też miałem jeden taki wypadek. Facet miał na podwórku drewnię, w której robił różne takie pierdoły z drewna, półki, stoliki, ryczki, takie tam, różne. No i ten Golon Władysław, bo tak się nazywał, a znałem go od zawsze, bo to trzy domy od mojej chaty mieszkał, no to my się co dzień widzieli, a i nieraz zaglądałem tam do niego, do tej kanciapy, bo do onego wiaruchna wpadała, żeby korbolka w kulturalnych warunkach wypić pod dachem, a nie na ulicy. A miał ten Golon babę cholernie drącą papę i nieraz tam wlatywała, żeby towarzystwo rozgonić i swojego do chaty ściągnąć. A że ten Władysław Golon był spokojnym moczymordą, to dawał się onej tak terroryzować latami. No i któregoś dnia ona, jak zwykle, zleciała na dół, żeby już przestał chlać i wracał na górę. Ale akuratnie Władek przyspał sobie trochę na stoliku stolarskim. No więc ta jego baba, Helena Golonowa, jak onego zobaczyła, że on z tytą jak ratusz nieprzytomny zupełnie leży, na całe podwórko krzycheć zaczęła, jakby się co

stało, i wyzywała go od najgorszych. Władasi nie słyszał tego, bo mocno był wstawiony, a ta dalej go szarpać za pory. No i ten Władasi się obudził, ale nie wiedział, co się dzieje, bo se myślał w pierwszej chwili, że ktoś go napadł. Więc na śpiku chwycił młotek, co leżał przed nim na stole, i jak nie trzaśnie.

Tu Olkiewicz przerwał na sekundę i wyjąwszy młotek z kieszeni, zamachnął się w stronę Brodziaka, że ten aż odskoczył, przestraszony. Niezrażony tym Olkiewicz ciągnął:

- No i jak ją pierdolnął w czoło, to baba się ino kopytami nakryła i padła jak klofta. A Władasi poszedł dalej leżeć, bo

91

już mu nikt nie przeszkadzał. Ale długo tak nie poleżał, bo sąsiedzi zdziwieni, że Golonowa tak w czas przestała drzeć ryja, wyszli na dwór zobaczyć, co tam się stało. A stało się tyle, że baba leżała cała we krwi i ani zięła.

No to jak nas zawiadomili, to tego Władasi my wzięli na komisariat i dopiero na drugi dzień chłop się dowiedział, że swoją babę młotkiem na śmierć zatłukł, bo Golonowa na miejscu padła i już się nie ocknęła.

Zapadła cisza. Olkiewicz skończył opowieść i rozejrzał się wokół. Ale nikt się nie śmiał z tej zabawnej historyjki. Nikt nawet nie patrzył na niego. Ich spojrzenia utkwily w młotku, który Teofil położył na stole w chwili, kiedy skończył opowiadać historię Władasi Golona.

- Teoś, skąd masz ten młotek? - zapytał doktor Jabłoński.

Zapytany spojrział na narzędzie i zbladł. Na młotku, którym przed chwilą wywijał przed nosem Brodziaka, widać było wyraźne ślady jakiejś czerwonej substancji.

- O kurwa, to krew jest zaschnięta na tym młotku? - zapytał sam siebie Teofil.

godzina 16.39

Takiego cuda pan szanowny za nic w świecie nie dostanie na giełdzie. Rocznik osiemdziesiąty pierwszy, nie był bity, w Polsce jego właściciel jeździł nim kilka miesięcy i w końcu przeprowadził się na stałe do nrf-u i mi go oddał okazynie i teraz pan masz okazję jak cholera. Takiego golfa to ze świecą szukać. Poza tym ma w środku radio stereofoniczne z magnetofonem i głośniki wbudowane w drzwi.

- A przestrojone? - zainteresował się mężczyzna w dżinsowej koszuli ze skórzaną saszetką na dokumenty pod pachą.

92

- Panie, ono jest dwuzakresowe, u nas odbiera niski ukf, a w Niemczech wysoki. Prawdziwy Blaupunkt i wszystko w cenie auta.

- Dużo pali?

- Tyle co maluch, pięć, sześć litrów na trasie.

- Nie może być, żeby taki wielki wóz palił tyle, co ekonomiczny mały fiacik.

- Ekonomiczny to jest wielbłąd, bo na wiadrze wody przejedzie pustynię, a mały fiat to gównno jest, a nie auto przy tym tu golfie. On pali tak mało, bo ma dobry silnik, a to, co w maluchu chodzi, to silnik dobry do snopowiązałki, a nie do samochodu.

- A ile ma przebiegu? - wypytywał dalej klient.

- Mówiłem, że jest jak nowy. Mało jeżdżony, bo ma tylko dwieście tysięcy na liczniku. Pojeździ jeszcze z osiemset, zanim zacznie się psuć. W końcu to fachowa niemiecka robo-

ta - wyjaśnił Ryszard Grubiński, właściciel warsztatu samochodowego, którego nazywano Grubym Rychem.

Właścicielem warsztatu na Junikowie był dopiero od trzech miesięcy. Kupił go wraz z przylegającym do niego domem jednorodzinny po mechaniku samochodowym, który zmarł przed rokiem. Wdowa sprzedała Rychowi kompletnie wyposażony zakład naprawczy z elektrycznym podnośnikiem do aut i dwoma kanałami. W sumie trzy stanowiska robocze, wszystko wyłożone białymi kafelkami - wyglądało tu prawie tak profesjonalnie jak w Polmozbycie, a pracownicy na pewno byli lepsi niż ci, którzy pracowali w państwowej firmie. Dla dwóch mechaników i kilku ich pomocników żaden samochód nie miał tajemnic. Codziennie naprawiano tu krajowe maluchy, duże fiaty i polonezy, ale co kilka dni zajeżdżały też samochody z Niemiec. Po przeglądzie w warsztacie Grubego Rycha, mimo że były to najczęściej auta kilkuletnie, wyjeżdżały z niego zupełnie jak nowe.

93

Nic dziwnego, że na takie samochody natychmiast znajdowali się chętni, którzy już dość mieli poruszania się po drogach wytworami rodzimej myśli technicznej.

Żaden z nich nie miał jednak pojęcia, że auto, za które słono musiał zapłacić właścicielowi warsztatu, było sprowadzone do Polski nielegalnie.

Cały biznes zorganizowała bliska przyjaciółka Grubińskiego. Kilka lat temu wyjechała z Polski do Niemiec z kilkuset dolarami schowanymi w staniku i walizką pełną ruskich zegarków. Zaczynała od handlowania na targowisku, ale że była

obrotna, szybko dorobiła się własnego poważnego interesu. Teraz miała swoją kwiaciarnię we Frankfurcie nad Menem, która była doskonałą przykrywką dla działalności samochodowej. Ludzie pracujący dla niej, polscy specjaliści od motoryzacji, kupowali w komisie kilkuletnie auto. Wystarczyło tylko znaleźć Polaka z niemieckim paszportem, który zgodziłby się, żeby taki samochód kupiono na jego nazwisko. W podjęciu decyzji pomagała mu pokaźna gratyfikacja finansowa. Nowy właściciel miał proste zadanie. Musiał wsiąść do swojego nowego auta, pojechać nim do Polski i dostarczyć go do warsztatu Rycha. Tam takim wozem zajmowali się już mechanicy. Jedyny niewielki problem stanowiła legalizacja w Polsce. Rychu własnoręcznie wypisywał dowód rejestracyjny na czystym blankiecie z fikcyjnymi danymi poprzedniego polskiego właściciela. Dowody kupował od znajomych złodziei, dbał jednak o to, by pochodziły z różnych wydziałów komunikacji w całej Polsce. Tablice rejestracyjne, niczym nieróżniące się od prawdziwych, powstawały w pewnym niewielkim prywatnym zakładzie blacharskim pod Obornikami Wielkopolskimi.

Samochód z dowodem, po przebiciu numerów, przemalowaniu, powierzchownym przeglądzie i z nowymi tablicami rejestracyjnymi, trafiał do nabywcy. Tymczasem ten, który go

94

przywiózł, po jakimś tygodniu zgłaszał kradzież auta, a po powrocie do Niemiec, wyposażony w zaświadczenie o kradzieży wydane przez polską milicję, informował o kradzieży towarzystwo ubezpieczeniowe, bo każdy wóz miał wykupiony pełny pakiet ubezpieczeń. W Polsce milicjanci szukali czer-

wonego passata na niemieckich tablicach, a z garażu Rycha wyjeżdżał passat zielony z polską rejestracją, który według dowodu rejestracyjnego już od dwóch lat jeździł w kraju. Interes, którym Rychu zajmował się od roku, był tak dochodowy, że w końcu postanowił zacząć prowadzić go w normalnych, bardziej profesjonalnych warunkach. Do tej pory sprowadzone samochody trafiały do różnych zaprzyjaźnionych zakładów w całym Poznaniu. Niosło to więc ze sobą zagrożenie, że prędzej czy później któryś z mechaników może coś wygadać i cały interes diabli wezmą. Bo w końcu zbyt wielka liczba ludzi była wciągnięta w takie przedsięwzięcie, co znacznie zwiększało ryzyko. A biznes zaczynał się rozwijać coraz lepiej i coraz więcej samochodów trafiało do kraju. Toteż Rychu doszedł do wniosku, że czas skończyć z amatorszczyzną i zbudować biznes wsparty na solidnych, legalnych podstawach. Zamierzał stać się poważnym, solidnym przedsiębiorcą. Na Łazarzu kupił świadectwo ukończenia zasadniczej szkoły zawodowej ze specjalnością mechanik samochodowy. Takie wykształcenie dawało mu uprawnienia do otwarcia własnego warsztatu. Teraz trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce do rozpoczęcia działalności. Okazja przyszła dość szybko. W kwietniu tego roku dowiedział się, że jest możliwość kupienia warsztatu razem z domem. Dom co prawda nie był mu potrzebny, bo miał piękne mieszkanie w samym centrum Poznania, na Lampego, niedaleko Okrągłaka, ale co było robić, skoro nie dało się inaczej. Nie namyślał się długo. Kupił całą posesję, zarejestrował działalność

i zatrudnił na etatach pracowników. I to, co na początku wydawało mu się tylko rozrywkowym uzupełnieniem jego właściwej działalności, stało się szybko poważnym, zalegalizowanym biznesem, który przynosił prawdziwe krocie.

Wkrótce tak mu się to spodobało, że postanowił centrum dowodzenia przenieść do willi przy warsztacie. Tu urządził swoje biuro, w którym przyjmował interesantów walutowych.

Bo Grubiński od wielu lat był jednym z najważniejszych handlarzy walutą na nielegalnym poznańskim rynku. Jego ludzie obstawiali większość peweksów w mieście, handlując walutami obcymi. Każdego dnia ich koordynatorzy przyjeżdżali do Rycha i rozliczali się z zysków. Rychu nie miał więc najmniejszych problemów z funduszami na zakup kolejnych aut. Paczki z pieniędzmi zawozili do Niemiec ci sami ludzie, którzy wwozili do Polski samochody. Puste przebiegi kurierów nie kalkulowały się.

Mężczyzna w dżinsowej koszuli obszedł samochód dookoła, a potem otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą.

-- Można się nim przejechać? -- zapytał.

-Jasne, że można. Niech pan czeka, zawołam szczonego, żeby z panem wyjechał.

Odwrócił się i poszedł w stronę warsztatu. Nad silnikiem zepsutego poloneza nachylało się dwóch chłopaków.

- Krzychu, weź ino kluczyki od golfa z szuflady, dokumenty od niego też tam są, i pojedź z klientem, niech se zobaczy, jak chodzi.

Dziewiętnastoletni Krzychu, szczupły chłopak, na którym kombinezon roboczy wisiał jak łach na strachu na wróble,

pracował w warsztacie od chwili, gdy Rychu otworzył firmę.

Wytarł brudne ręce w pakuły, a potem natarł je pastą bhp i spłukał wodą z kranu.

96

-- Zrobi się, szefie, już lecę. Ale gdzie go przewieźć, do Poznania czy na Plewicha?

-- Jedźcie na Plewiska i z powrotem. Tam mniej szkiełów się kręci, jakby co. Ty wyjedź na drogę i koło sklepu daj mu już jechać samemu. I tylko ostrożnie, żebyście nie rozwalili auta przed sprzedażą.

-- Jasne jak słońce, szefie. Spokojna głowa!

Grubiński patrzył jeszcze chwilę za odjeżdżającym golfem, a potem przeszedł niewielkim korytarzykiem prowadzącym z warsztatu do mieszkania. Teraz tylko musiał poczekać na powrót samochodu i przyjąć klienta w swoim biurze. Tu finalizował transakcje, bo wiedział, że takie miejsce daje kupującemu przekonanie o solidności sprzedawcy, zwłaszcza jeśli biuro jest urządzone wytwornie i wyposażone w luksusowe meble. A takie właśnie było biuro Rycha. Na środku pokoju stało potężne przedwojenne biurko z ciemnego dębu, a przy nim masywny fotel obity skórą.

Na ścianach wisały pejzaże w grubych złoconych ramach. Nie trzeba było specjalnie znać się na sztuce, by stwierdzić, że są to obrazy, które wyszły spod dobrej ręki i na pewno każdy z nich kosztował znacznie więcej niż mały fiat.

Z prawej strony Rychu ustawił przy ścianie piękną dębową witrynę wypełnioną po brzegi książkami. I wcale nie były to

książki o motoryzacji, ale najlepsza polska literatura w porządnych grubych okładkach ze złożonymi grzbietami.

Po przeciwnej stronie, pod oknem, stały dwa skórzane fotele, a między nimi solidna ława. Komplet ten zrobiono dla niego na zamówienie w prywatnej fabryczce mebli w Swarzędzu. Tu, przy kawie, załatwiał formalności związane ze sprzedażą aut.

Teraz rozsiadł się wygodnie w fotelu, wziął do ręki al-

bum z malarstwem Wojciecha Kossaka i zaczął go powoli

97

przeglądać. U niego na stole leżały albumy, a nie, jak by się można było spodziewać po właścicielu warsztatu samochodowego, pisma motoryzacyjne. Wertując spokojnie kartki, czekał na klienta, przekonany, że ten golf zostanie dziś sprzedany. Bo w końcu ktoś, kto przejedzie się takim niemieckim autem, a dotąd jeździł tylko polskim, musi poczuć różnicę.

Po chwili usłyszał, że samochód wjeżdża na podjazd przed warsztatem. Wyjrzał przez okno. Krzychu wskazywał facetowi w dżinsowej koszuli wejście do willi szefa.

- Trafiony, zatopiony - pomyślał Rychu i uśmiechając się pod nosem, poszedł otworzyć drzwi klientowi.

godzina 17.43

Podporucznik Teofil Olkiewicz stał na peronie dworca w Jarocinie i palił papierosa. Przez chwilę zastanawiał się, jak to możliwe, że wszystkie dworce w Polsce, na których był, śmierdzą dokładnie tak samo. Kiedyś, gdy pojechał do Warszawy, zdziwił się bardzo, gdy przekonał się, że na tym nowoczesnym Dworcu Centralnym śmierdzi tak samo jak we Wronkach czy w Chodzieży. To specyficzna mieszanka

różnych zapachów - niemytych ciał, wyziewów z kolejowych stołówek i smrodu odchodów na torach kolejowych. I co ciekawe, ten dworcowy odór przylepiał się też do wagonów i zalegał w przedziałach, na korytarzach i w kiblach. Wtedy Teofil pomyślał, że te wagony osobowe rozwożą po całym kraju polski kolejowy syf. I był on tylko nasz, charakterystyczny tylko dla pkp. Przekonał się o tym, gdy w połowie lat siedemdziesiątych pojechał na spotkanie z milicjantami w Berlinie Wschodnim. Tam też śmierdziało na dworcu, ale zupełnie inaczej, jakoś tak mniej swojsko, obco, po niemiecku.

98

W ciągu ostatniej godziny przeszedł jarociński dworzec wzdłuż i wszerz już chyba z pięćdziesiąt razy. Przeszukał bufet i poczekalnię, był pod kasą i na peronach. Sprawdził też dworcową ubikację, podziemne przejścia i wszystkie ławki, na których siedzieli podróżni. Jednak tego, kogo szukał, nigdzie nie było widać.

Gdy prawie dwie godziny temu zdał sobie sprawę z tego, że młotek, który zarekwirował chłopakowi w piwiarnianym kiblu, mógł być narzędziem zbrodni, mało nie zemdlął z wrażenia.

Wszystko wskazywało na to, że miał faceta w rękach i wypuścił go, rekwirując jedynie młotek. Na szczęście zapamiętał, jak on wyglądał. Stąd szybka decyzja Brodziaka, by Teofil pojechał z patrolem najpierw do piwiarni, a potem pokręcił się po mieście i spróbował go odnaleźć.

W tej chwili był jedyną osobą, która mogła go rozpoznać. Początkowo trochę się dziwił Brodziakowi, gdy ten powie-

dział, że w tym tłumie będzie trudno znaleźć tego młotkowego. W końcu opisał go dość dokładnie. Miał długie włosy i kozią bródkę, koszulę flanelową w kratkę wyłożoną na wierzch, spodnie dżinsowe i wojskowe ciężkie buty. Jednak gdy z patrolem zaczął objeżdżać miasto, szybko przekonał się, że facetów tak wyglądających jest mnóstwo, zobaczył ich na ulicach prawie trzydziestu. Ale kiedy podjeżdżali bliżej albo zatrzymywali się, by Teofil mógł się przyjrzeć dokładniej, zawsze okazywało się, że nie są podobni do nikogo i żaden z nich nie przypomina tego właściwego. W piwiarni nie znalazł już żadnego z młodych ludzi, którzy byli tu w tym czasie co on. Za to ci trzej miejscowi spoglądający przez okno na rynek siedzieli nadal, zatopieni we własnych myślach. Przybyło sporo nowych młodych klientów, którzy śmiali się głośno i pokrzykiwali do siebie. Było ich

99

tylu, że ledwie precyzyjnie się do obłązonego baru. Przywołał do siebie barmana, ale ten nie pamiętał żadnego chłopaka w kraciastej koszuli z długimi włosami. Zrezygnowany milicjant zamówił więc szybko piwo, w ciągu niespełna minuty opróżnił kufel i poszedł do czekającego na rynku radiowozu.

Rozkazał kierowcy, by zawiózł go na dworzec. Miał jakieś dziwne przekonanie, że ten, którego spotkał w piwiarni, będzie chciał wyjechać z Jarocina, o ile oczywiście już tego nie zrobił.

Pociąg osobowy z Ostrowa Wielkopolskiego, zapowiedziany przed chwilą z megafonów przez sepleniący kobiecy głos,

wjechał na peron pierwszy. Olkiewicz stał przy kiosku Ruchu i patrzył na tych wszystkich, którzy czekali, aż pociąg stanie, by dostać się do wagonów.

Pasażerów było sporo, ale przeważali zwykli ludzie, mieszkańcy Jarocina i okolic, którzy mieli niewiele wspólnego z festiwalową publicznością. Tylko gdzieniegdzie dawało się zauważyć pojedyncze niecodziennie ubrane osoby. Prawdziwy wielki ruch na stacji miał się zacząć dopiero w nocy i jutro do południa, kiedy to skończy się festiwal i wszyscy uczestnicy rzucą się do pociągów. Wtedy w stronę Poznania i w przeciwnym kierunku na Katowice prócz normalnych kursowych ruszą specjalne pociągi poza rozkładem, podstawione specjalnie, by rozwieźć do domów festiwalowych gości.

Wtedy pojawi się jakaś szansa na znalezienie tego młotkowego, choć będzie to trudne jak diabli, zastanawiał się Teofil. A gdy pomyślał sobie o tym, że teraz nie ma już co się szwendać po dworcu i po Jarocinie, ucieszył się nawet, bo poczuł się zmęczony tym całym dniem na nogach. Z drugiej strony, wyobraził sobie, jak będzie wyglądać jutrzejszy dzień, a właściwie noc i całe przedpołudnie, które musi spędzić

ioo
tutaj, na dworcu, próbując znaleźć tego od młotka. Wtedy zdenerwował się na samego siebie za to, że był tak głupi i musiał pójść do tego kibla w piwiarni akurat wtedy, kiedy był tam ten gnojek. Bo gdyby nie poszedł się wysikać, to nie zabrałby młotka i nie byłoby całego zamieszania. Oczywiście, nie pomyślał o tym, że dziś by mogli szukać zabójcy dwóch osób, a nie jednej, i że jego pojawienie się w ubikacji

uratowało życie chłopaka, na którego zamierzył się młotkowy. Myślał więc, że jakoś by się w końcu złapało zabójcę, a wszystko odbyłoby się bez jego udziału. I mógłby spokojnie dziś się napić, a jutro od rana byłby już pewnie w Poznaniu. A tak, przez ten cholerny młotek, Brodziak zarządził poszukiwania. Nie dość tego, z komendy wojewódzkiej miał jeszcze dziś dojechać plastyk, z którym Teofil musi sporządzić portret pamięciowy. Tyle że był pewien problem. Olkiewicz już nie bardzo pamiętał, jak ten pener wyglądał. Owszem, ogólny zarys jak najbardziej, ale te wszystkie szczegóły, które są niezbędne dla określenia jego wyglądu choć w przybliżeniu, jakoś szybko mu się zatarty, a może wcale ich nie zauważył, bo zdaje się, że wcale nie przyglądał mu się dokładnie. No, co innego, gdyby zobaczył go na ulicy czy na peronie. Wtedy pewnie by go rozpoznał, ale żeby zrobić portret pamięciowy, to raczej marne szanse.

Peron powoli pustoszał. Olkiewicz wyciągnął ekstra mocnego z paczki i zapalił zapałką.

- Szefie, pan kopsnie ćmika jednego Zenusiowi, co?

Zdziwiony milicjant spojrzął w prawo, skąd dochodził głos. Obok niego stał brudny i śmierdzący chłopak z nosem oklejonym opatrunkiem. Popatrzył na niego chwilę, bo zauważył, że jest nawet trochę podobny do tego, którego szuka, ale niestety to nie był on.

- Jakiemu, kurwa, Zenusiowi?

101

- Jajestem Zenuś.

- Zenuś, spierdalaj stąd, pókim dobry, bo ci na fest prze-

maluję facjatę, że cię rodzona matka nie pozna. A pewnie nie chciałaby mieć syna szczyrbola?

Uśmiech na twarzy Zenusia zniknął momentalnie. Chłopak splunął pod nogi i odszedł zniesmaczony chwiejnym, niepewnym krokiem.

Teofil z obrzydzeniem patrzył jeszcze chwilę za oddalającym się brudnym Zenusiem, a potem rzucił niedopałek papierosa na tory.

Świat się kończy, pomyślał, żeby takie szuszfole zaczepiały porządnych ludzi. Co jak co, ale milicja powinna z nimi dawno zrobić porządek. Wszystkich takich gnoi wsadzić na czterdzieści osiem do pierdła, a potem wyekspediować na Żuławy, żeby się nauczyli szacunku do pracy.

Przeszedł przez halę dworca do milicyjnego wozu, który stał zaparkowany przed budynkiem. Musiał wrócić do Brodziaka i zameldować mu, że poszukiwania się nie powiodły. Miał trochę nadziei, że Brodziak odpuści i zakończy na dziś tę głupią akcję. Ale Brodziak nie odpuścił. Co gorsza, postanowił, że szukać będą dalej. Aż do skutku, a to oznaczało nieprzespaną noc i najprawdopodobniej cały następny dzień na nogach.

godzina 18.21

Kasia Maciejewska nie spała dziś w swoim namiocie. Od wczorajszego wieczora była tam kilka razy, ale tylko na chwilę. Wpadała, by coś sprawdzić, i uciekała zaraz do swojego nowego chłopaka. Dwa dni temu przed południem na polu namiotowym poznała Jarka. Chłopak był z Poznania, miał

dziewiętnaście lat i studiował na polibudzie. Przyjechał do Jarocina z kilkoma kolegami, ale miał własny namiot. Wystarczyło kilka razem spędzonych godzin, żeby Kasia doszła do wniosku, że Jarek jest świetnym chłopakiem, i chyba nawet się w nim zakochała. Nie miała więc specjalnych oporów, żeby pięknie spędzony dzień przedłużyć o wspólnie spędzoną noc. Do Jarocina na festiwal przyjechała ze swoją koleżanką z klasy, Jolą Hajduk. Jeszcze w pierwszy dzień festiwalu wszędzie chodzili razem, do czasu wieczornej, a właściwie nocnej imprezy, gdy Jolka spotkała kilku koleśki ze swojej podstawówki. Faceci nie wyglądali zbyt ciekawie - ubrani w czarne kurtki, spodnie moro, tby mieli ogolone na tyso. Można nawet powiedzieć, że wyglądali groźnie, więc Kaśce od razu się nie spodobali, ale Jolka była wśród swoich. Dziewczyny się rozdzieliły, bo Kasia powiedziała, że pójdzie do znajomych, których wymyśliła na poczekaniu, a Jolka poszła na balangę do tych chłopaków. Późną nocą Kasia przysła do namiotu i szybko położyła się spać, zawijając się szczelnie śpiworem. Rano ze zdziwieniem stwierdziła, że Jolka nie wróciła na noc. No, ale to w końcu jest Jarocin i mogła trochę zaszałeć. Próbowwała ją znaleźć, jednak na tym wielkim polu namiotowym to było jak szukanie igły w stogu siana. Koło południa stwierdziła, że ma dość czekania na kumpelkę, która ją olewa. Poszła do amfiteatru i tam poznała Jarka. Spędzili ze sobą cały dzień, a później także noc. Przy nim zupełnie zapomniała o Jolce. Przypomniała sobie dopiero w piątek rano, kiedy okazało się, że ona ma wszystkie jej pieniądze i legitymację szkolną w swojej torbie. Wybrała się więc

rano do ich wspólnego namiotu, ale po koleżance nie było ani śladu. Jej śpiwór nawet nie został wyciągnięty z pokrowca, a to oznaczało, że Jolka drugą noc spędziła u swoich koleśki, zapominając zupełnie o przyjaciółce. Wróciła do Jarka

103

i opowiedziała mu wszystko, bo czuła się trochę zaniepokojona. Chłopak jednak zbagatelizował sprawę, twierdząc, że skoro tamta jest dorosła, to może robić, co chce, i Kasia nie powinna się nią zbyt przejmować, jeśli ona mają w nosie i nawet nie przysłała do namiotu. Przez cały dzień wracała tam jeszcze kilka razy, mając cały czas nadzieję, że Jolka w końcu się pojawi, lecz w namiocie nadal nie było po niej śladu. Pomyślała więc, że gdzie jak gdzie, ale na koncercie finałowym na pewno ją odnajdzie. Poprosiła Jarka, żeby poszedł z nią do amfiteatru trochę wcześniej, bo chciała się tam rozejrzeć. No i poszli. Przedtem jednak jeszcze raz wstąpili do namiotu dziewczyn, bo Kasia chciała się przebrać na ten najważniejszy koncert całego festiwalu. Nikt do końca nie miał pewności, kto na nim wystąpi, bo skoro to koncert laureatów, no to siłą rzeczy była to największa tajemnica. Ale Kaśka miała swój typ i po cichu liczyła, że będzie mogła zobaczyć Chłopców z Placu Broni.

Weszła do namiotu, zostawiając Jarka na zewnątrz. Wystarczyło tylko, że pobieżnie rzuciła okiem na wnętrze, by stwierdzić, że wszystko jest tam w takim stanie jak poprzednio. Po koleżance wciąż nie było ani śladu.

Ale krowa z tej Jolki, pomyślała. Muszę się głęboko zastanowić, czy warto się z nią jeszcze przyjaźnić, jeśli potrafiła mi

wyciąć taki numer.

Kasia szybko przebrała się w długą, powłóczystą czerwoną sukienkę, kupioną na Łazarzu na stoisku z rzeczami przywiezionymi z Indii, założyła traperki na nogi, a długie jasne włosy, które dotąd nosiła związane w dwa warkocze, rozpuściła i przewiązała na czole jedwabną czerwoną chustką.

- Ale z ciebie superdzaga - powiedział Jarek, spoglądając na nią z nieskrywanym podziwem, gdy stanęła uśmiechnięta przed nim.

104

- Możemy iść? - raczej stwierdziła, niż zapytała. Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę amfiteatru.

godzina 18.46

Wiciu Zalewski stał oparty o bok radiowozu zaparkowanego przy wejściu do amfiteatru. Przechodzący obok niego młodzi ludzie śpieszący na koncert co rusz rzucali w jego stronę różne żartobliwe uwagi na temat niestosowności opierania się o mienie mo. Nie przypuszczali, że ten niechlujnie ubrany chłopak nie jest jednym z nich, miłośników muzyki rockowej, który postanowił sobie zakpić z władzy, opierając się o służbowe auto. Wszyscy bowiem dobrze wiedzieli, że z władzy na służbie nie ma co żartować, bo ta władza może pałą dać po dupie, albo i zamknąć żartownisia na czterdzieści osiem godzin, żeby odechciało mu się głupich żartów. Tym bardziej więc dziwiono się na widok tego rozwalonego na masce chłopaka, że w środku, za kierownicą nyski, siedzi milicjant w mundurze, któremu zupełnie nie przeszkadza to, że o jego samochód opiera się jakiś obwieś.

Tymczasem opierający mógł się opierać do woli, bo stał tu jak najbardziej służbowo. Podchorąży Zalewski opierał się plecami o samochód, założywszy ręce na piersi. W lewej trzymał powiększoną kopię zdjęcia ze szkolnej legitymacji. Nie odpowiadał na zaczepki fanów muzyki, nie patrzył na nich wcale. Przyglądał się za to uważnie każdej przechodzącej obok niego dziewczynie. Po drugiej stronie, niemal naprzeciwko niego, stał drugi podchorąży z zespołu Blaszkowskiego, z taką samą fotografią w ręku. Byli tu już od dwóch godzin, jednak dotąd nie mieli szczęścia. Bo naprawdę wywiadowcy mieli twarde orzech do zgryzienia. Fotografia,

105

którą się posługiwali, zrobiona została, kiedy jej właścicielka zdawała dopiero do ogólniaka. Miała więc wtedy niecałe piętnaście lat i wyglądała jak pyzate dziecko. A oni szukali siedemnastolatki, która powinna już być wyrosniętą panną z zadatkami na dorosłą kobietę. Trzeba się było dobrze skupić na rysach twarzy, kształcie ust, wykroju oczu, czyli na analizie porównawczej, którą najlepiej jest wykonywać w ciszy i spokoju. Tu na żaden z tych podstawowych warunków nie mogli liczyć. Dodatkowym utrudnieniem było jeszcze to, że twarze, które obserwowali wywiadowcy, dosłownie migąły przed nimi i zaraz rozplywały się w tłumie. Potrzebne było szczęście.

Najpierw Zalewski zobaczył jaskrawoczerwoną zwiewną sukienkę, potem jasne długie włosy z czerwoną przepaską. Ale laska, pomyślał z podziwem. Niektórzy to mają szczęście, dodał w myślach, widząc szczupłego wysokiego chłopca-

ka, którego dziewczyna trzymała za rękę. Popatrzył na nią jeszcze raz i wtedy wydało mu się, że ta twarz jest jakby znajoma. Wpatrywał się w nią przez chwilę, aż do momentu, gdy dziewczyna przeszła obok niego.

- Kurde, to jest ona, jak Boga kocham.

Szybko przebiegł pięć metrów dzielące go od niej i stanął przed nią, zagradzając jej drogę. Jego kolega, widząc, że Zalewski podbiega do jakiejś dziewczyny, błyskawicznie znalazł się przy nich. Jej chłopak, myśląc pewnie, że szykuje się jakaś rozróżba, puścił jej rękę i wycofał się krok do tyłu, zostawiając Kaśkę samą.

- Nazywasz się Katarzyna Maciejewska? - zapytał Zalewski.

- Tak, a bo co? - odpowiedziała butnie dziewczyna, a zaraz potem obejrzała się za siebie, jakby szukała pomocy u swojego chłopaka, który stał jakiś metr za nią.

106

- Jesteśmy z milicji. Proszę, chodź z nami do radiowozu.

To potrwa tylko chwilę. - Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni spodni czarną służbową legitymację.

- Ale o co chodzi, ja nic nie zrobiłam, żeby mnie musiała zatrzymywać milicja.

- Nie jesteś zatrzymana, chcemy tylko coś wyjaśnić.

- Co wyjaśnić? - nie dawała za wygraną.

- No chodź wreszcie do auta, bo niepotrzebnie robi się tu zamieszanie.

Wokół nich zebrało się już kilkanaście osób, które z zainteresowaniem przysłuchiwały się rozmowie.

- Masz swoją legitymację szkolną? -- zapytał w końcu drugi wywiadowca.

- Nie mam, moja koleżanka ją wzięła...

- Ale my ją mamy - dokończył Zalewski. - Zaraz ci ją oddamy.

Dziewczyna zrezygnowała wreszcie z oporu. Odwróciła się za siebie. Chciała powiedzieć Jarkowi, żeby poczekał na nią, bo zaraz wróci. Ale wśród postaci, które stały z tyłu, nie było go. Zniknął. Rozejrzała się wokół, lecz nigdzie nie mogła go dojrzeć. Dostrzegła za to chłopaka w swetrze i dżinsach, z małym plecakiem biwakowym zawieszonym na ramionach. Ich spojrzenia spotkały się, a wtedy on krzyknął:

- Zostawcie ją w spokoju! Ona nic nie zrobiła!

Zalewski spojrzał za siebie i zignorował wołającego. To był błąd, powinien natychmiast podejść do niego i spróbować go uciszyć. On jednak wziął dziewczynę pod ramię i pociągnął ją w stronę radiowozu.

Jeszcze rok czy dwa lata temu coś takiego byłoby nie do pomyslenia. Ktoś, kto chciałby przeciwstawić się milicjantom, musiałby być albo szaleńcem, albo Johnem Rambo. Ten chłopak jednak w niczym nie przypominał Sylwestra Stallone'a,

107

nie widać też było w jego oczach obłądu. Dawało się za to dostrzec determinację i zdecydowanie człowieka, który chce przeciwstawić się niegodziwości dziejącej się na jego oczach.

- Zostawcie ją, wy świnię! -- wołał coraz głośniejszy chłopak.

Tłum, który dotychczas przepływał wezbranym nurtem obok, nagle zaczął gęstnieć. Do grupki już wcześniej obser-

wującej całe zajście zaczęli dołączać inni. W jednej chwili za plecami milicjantów zebrano się jakieś pięćdziesiąt osób, gotowych do ataku.

- Ludzie, patrzcie, zabrali ją za nic, zaraz zatłuką ją jak Przemyka! - wołał chłopak w swetrze.

- Chłopaki, dalej, brać ich, nie będą się tu zomowcy panoszyć! - zawołał jakiś brunet z długą brodą, który też zatrzymał się, widząc zamieszanie.

- Zomowcy biorą ludzi do suki! -- krzyknął ktoś inny za ich plecami. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Gorzej, że i ci z przodu, którzy minęli ich wcześniej, teraz zaczęli zawracać, tworząc barierę nie do przebicia. Zalewski ocenił błyskawicznie, że nie mają szans na przejście, jeśli czegoś natychmiast nie wymyśli. Jego kolega, który dotąd szedł przodem, teraz stanął bezradnie, rozglądając się wokół. Widać i on doszedł do wniosku, że praktycznie nie ma mowy o przebicciu się do auta.

Ludzi wokół nich było coraz więcej i nic nie wskazywało na to, że mają przyjazne zamiary

- Zajebać zomoli! Won, gnoje, do ruskich wypierdalać! Na Syberię z nimi! Precz z komuną! -- Nad głowami przelatywały hasła znane wszystkim doskonale z ulicznych demonstracji.

- Darek, leć na lewo! - krzyknął do kolegi Zalewski, dostrzegając lukę w tłumie. Do radiowozu mieli w linii prostej jakieś pięć metrów. Bieg w lewo wydłużał ten dystans przynajmniej dwukrotnie, ale trzeba było spróbować. Chwytał mocno dziewczynę za rękę i szarpnął za sobą. Na szczęście

dzieje wokół.

Pierwszy z milicjantów wbił się w tłum, rozpychając się łokciami. Wtedy ruszyli ci najbardziej agresywni, pozostawieni z tyłu.

- Panowie, bij zomowca!

W tym momencie rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny milicyjnej zainstalowanej na dachu nyski. Kierowca włączył długie światła i ostro świecący szperacz. Samochód ruszył przed siebie, rozganiając ludzi, którzy zaczęli uskakiwać na boki, by nie dostać się pod koła. To chwilowe rozprężenie wystarczyło, by uciekający dopadli wozu. Pierwszy do środka wskoczył Zalewski, a Darek podał mu dziewczynę, podniósł ją z ziemi lekko jak piórko. Potem sam wskoczył i zamknął za sobą przesuwane drzwi. Atakujący próbowali jeszcze dostać się do środka, ale nie dało się otworzyć auta z zewnątrz po zablokowaniu wewnętrznego zamka. Na szczęście okna nyski były zasłonięte metalowymi blendami, więc nie groziło im też, że ktoś wybije szybę. Auto wolno przesuwało się do przodu, odprowadzane wściekłymi uderzeniami bezsilnych pięści w niebieskie blachy karoserii.

- No i co, szczony, mało brakowało, a zrobiliby z was marmoladę. - Sierżant Kowal roześmiał się szczerząc zęby.

- Dzięki. - Zalewski zasalutował całą dłonią do gołej głowy. - Gdyby nie pan, marne byśmy mieli szanse. Oni po prostu oszaleli. Chcieli nas zabić gołymi rękami...

- To nie ciebie, chłopaku, chcieli zabić - powiedział kierowca, patrząc w tłum. - Oni chcą zabić nie ciebie, oni chcą wdeptać w ziemię komunę. I coś mi się widzi, że jeszcze

trochę, a zrobią to jak nic...

109

godzina 18.50

Kapitan Galaś z sb wysiadł z nieoznakowanego poloneza i sprężystym krokiem ruszył w stronę nyski, w której jak przypuszczał, siedzą te milicyjne bałwany, które nie chciały z nim rozmawiać. Był zdecydowany zakończyć tę farsę, za jaką uważał oględziny w tym nietypowym miejscu. A ci tępi milicjanci niczego nie rozumieli. Widać od razu, że wszystkim im brakuje wyrobienia politycznego. Galaś był jednak odpowiedzialnym funkcjonariuszem i dlatego postanowił, że nie pójdzie im z nim tak łatwo, jak sobie myśleli. Poza tym dochodził jeszcze dodatkowo czynnik osobisty. Czuł się znieważony, a to już dawało się podciągnąć pod paragraf dotyczący zniewagi munduru i funkcjonariusza na służbie. Nie był co prawda w mundurze, ale przedstawił im się i wyjaśnił, kim jest, a oni to zupełnie zlekceważyli. Więc zlekceważyli też funkcjonariusza, rozumował Galaś. Dlatego zawiadomił o całym zajściu swoich szefów w Poznaniu, a potem pojechał do komendy w Jarocinie odebrać wydruk dalekopisu z rozkazem o natychmiastowym zakończeniu oględzin i likwidacji wszelkich śladów na miejscu zdarzenia. Dla pewności, gdyby przypadkiem te osły nie chciały podporządkować się rozkazowi, zabrał jeszcze ze sobą trzech miejscowych funkcjonariuszy sb. Teraz wszyscy czterej podeszli do furgonetki, a Galaś jednym szarpnięciem otworzył drzwi. W twarz buchnęły mu kłęby papierosowego dymu pomieszanego z ostrym zapachem alkoholu.

Tak jak się spodziewał, ten siwy, który pierwszy go zlekceważył, i ci dwaj pozostali pajace siedzieli w środku.

- O, pan Galaś, jeśli się nie mylę - powiedział ten łysy z czeską. - Skąd pan jesteś, bo jakoś mi z głowy wyleciało?

no

Galaś zagryzł dolną wargę ze złości. Po raz kolejny znieważył go ten łysol. Udawał, że zapomniał, ale tak naprawdę chciał go znowu ośmieszyć. No bo przecież niemożliwe, żeby nie pamiętał, jak on, kapitan Galaś, mu się przedstawiał. Najwyraźniej szydził sobie z niego. No, ale on w końcu jest oficerem elitarnej służby i arogancja jakichś pętaków nie powinna wyprowadzać go z równowagi. Szybko więc przywołał sam siebie do porządku, postanawiając, że sprawdzi tego pajaca Olkiewicza dokładnie, czy aby nie ma czegoś na sumieniu, co jest schowane w aktach, a co może da się przeciw niemu wykorzystać.

- Kapitan Fabian Galaś z sb - rzucił ostro oficer.

- Zapraszam, kapitanie - powiedział uprzejmie rudzielec, uśmiechając się przy tym szeroko. Jednocześnie poklepał wolne siedzenie obok siebie i mrugnął porozumiewawczo, zachęcając, by kapitan przysiadł się do nich. Jednak uczynił to w taki sposób, jakby zapraszał na miejsce tuż przy nim jakąś panią w restauracji. To już do reszty wyprowadziło kapitana z równowagi.

- Nie przyszedłem tu na pogaduszki. Przywiozłem wam rozkaz natychmiastowego zakończenia oględzin i zlikwidowania wszystkich pozostałości po tym burdelu.

- Ten burdel, o którym pan kapitan był łaskaw wspomnieć,

to miejsce popełnienia morderstwa. A co do oględzin, to zakończyliśmy je już jakiś czas temu - wyjaśnił siwy kapitan, odkładając karty na stół. Bo jak zauważył Galaś, ci kretyni zamiast pracować, najnormalniej w świecie grali sobie w pokera. Postanowił, że to również, oprócz wszystkich wcześniejszych jego przemyśleń na temat nieodpowiedzialności i niedojrzałości politycznej prowadzących śledztwo, znajdzie się w jego pisemnym raporcie.

ni

- Czy wobec tego - z rozmachem położył przed nimi pisemną kopię rozkazu na stole, przykrywając nim kupkę banknotów - zamierzacie się podporządkować rozkazom?

-Ja tam nie wiem, jakie ma pan rozkazy, kapitanie -- powiedział rudy karciarz - ale gdyby się pan przyjrzał trochę uważniej temu burdelowi, to przekonałby się pan, że wszystkie pozostałości po nim zostały już fachowo uprzątnięte. -- Kapitan z niedowierzaniem odwrócił głowę, spojrzął za siebie i dostrzegł, że rzeczywiście po namiocie, który stał tu jeszcze dziś przed południem, nie ma śladu.

- To co wy tu jeszcze robicie? - warknął urażonym tonem esbek.

- Jak to, nie widzi pan? Gramy w karty - stwierdził flegmatycznie Teofil Olkiewicz z Wildy.

- Może się pan przyłączy? - zaproponował Brodziak i raz jeszcze poklepał wolne siedzenie obok siebie.

Tego już było dla Galasia za wiele. Z rozmachem trzasnął drzwiami furgonetki i po chwili rozptynał się w tłumie.

poznać

godzina 18.55

Łe, do cholery, panie Tunio, ile można tu, kurde, czekać? Ja miałem być o siódmej pod Koroną na Starym Rynku. Teraz diabli wiedzą, czy ten klient jeszcze będzie czekał na mnie. A facet ma do opchnięcia dwa tysiące marów. Z polecenia jest gość, od Froncka Karalucha, co stoi na Półwiejskiej, i ponoć jest jakiś taki strachliwy, i jak się spóźnię, to może dać dyla i gównem będzie z niemieckiej waluty. Pójdzie gdzieś do hotelu w cholerę i go przerobią na rulon, bez mydła, i ani on nie dostanie bejmów, ani ja nie zarobię, o panu Rychu

112

nie wspominając. Taryfa stoi już pół godziny z włączonym licznikiem... - Ruchem głowy wskazał na białego poloneza zaparkowanego na chodniku. O tej porze samochód mógł tu stać bez większych problemów, bo wszystkie miejsca parkingowe przed tym największym w Poznaniu peweksem były już wolne. Sklep zamknięto pół godziny temu i po klientach dawno już nie było śladu. Zniknęli też już cinkciarze, którzy pilnowali wejścia do budynku przez cały dzień, oferując wchodzącym i wychodzącym sprzedaż lub kupno waluty, w zależności od potrzeb.

- Gienas, co ja ci poradzę. Taka, kurna, robota. Wszystko przez tę gemelę w Wuzecie - tłumaczył się Tunio Ząbek. - Już miałem lecieć z bejmami dla pana Rycha, a tu masz ci los, szkieły się przypałały, bo jeden pener, co wylazł z puski, opijał swój powrót na łono natury i przyjął odrobinę za dużo. Wywijas był z niego niezły, więc nie chciał skończyć po dobroci, ino szatniarzowi postanowił ryfę wyklepać za niewin-

ność. Ale tam wiesz, że na szatni garuje dwóch, to jak ten się zajął klepaniem jednego, to drugi zatelefonował po szkiełków. A ci z Kochanowskiego to przez most Teatralny w pięć minut byli i onego załatwili jak się patrzy, ino że zator się zrobił przy wyjściu, bo wiaruchna chciała dawać dyla, skoro się robi zamieszanie, ale nikt nie dał rady. Szkiełki obstawiły bramkę i wypuszczali pojedynczo po okazaniu dowodu i spisaniu każdego. Na szczęście żaden z nich nie wymyślił jakiejś rewizji osobistej, bo jak nic walutę by mi zwinęli i jeszcze mogliby do wyjaśnienia zapuszkować na czterdzieści osiem. Trzeba było grzecznie, bez darcia ryja czekać, aż onego zaobrączkowanego wezną. I jak go już wzieni, to ja zaraz poleciołem. To, co mówił Tunio, to oczywiście była prawda, z tą gemelą w restauracji, ale nie do końca awantura miała wpływ na jego spóźnienie. Spóźnił się, bo zagadał się przy stoliku

113

z takim jednym gościem z Łazarza, Karolem Rowerowym, który na rynku miał interes. Sprzedawał nowe składaki prosto ze sklepu, za potrójną cenę. Miał dostęp do świeżego towaru, bo jego szwagier był kierownikiem rowerowego sklepu na Ratajach. Jak przychodziła nowa dostawa, do sprzedaży szło tylko kilka sztuk rowerów. Pozostałe natychmiast trafiły do Karola. Nowe, śmierdzące smarem i lakierem, opakowane w karton i sznurek, szły na Łazarzu jak woda. Prócz tego w ciągłej sprzedaży Karol Rowerowy miał też wszystkie niezbędne akcesoria i normalnie nieosiągalne części zamienne. Interes kręcił się więc nieźle, ale nie na tyle, żeby Rowerowy Karol był finansowym potentatem. Zarabiał na

życie, jednak kokosów z tego nie było. Dlatego, jak tłumaczył Tuniowi, postanowił zmienić branżę, a najbardziej dochodowa była ta walutowa. Tyle że pod peweksem nie mógł sobie stanąć pierwszy lepszy szuszfól, bo miejsca w całym Poznaniu były już dawno obstawione. Trzeba było mieć znajomości i dobrą rekomendację. Taką właśnie mógł dać Tunio, który znał Rowerowego od dawna.

Przy stoliku w Wuzecie właśnie omawiali sposób, w jaki Karol mógłby wejść do branży i oczywiście, co z tego będzie miał Tunio, czyli godzili się co do procentu z zysków. Musiał w końcu coś dostać za rekomendowanie nowego pracownika swojemu szefowi. Siedzieli i gadali, bo nie mogli dojść do porozumienia. Tunio postawił swoje warunki, a Rowerowy niby to się zgadzał, później się wycofywał, prosił o zmniejszenie Tuniowej prowizji, jednym słowem, kręcił i wywijał, jakby chciał, a nie mógł. W końcu zrobiło się późno i wtedy właśnie zaczęła się ta rozróbka.

- A tak w ogóle to czemu tyn Karaluch Froncek nie zrobił sam interesu, ino tobie klienta podsuwa? - zainteresował się

114

- Mówił mi, że klient na wieczór chciał się umówić w sprzyjających okolicznościach restauracyjnych, a nie jak szuszfole na ulicy. Widzi mi się, że się gość cykał, że go ktoś może przekręcić i się stłenić. No to se Froncek pomyślał o mnie, bo ja i tak bym siedział wieczorkiem pod Koroną, a ma tam jakieś sprawunki do załatwienia i gadał mi, że nie poradzi wpaść nawet pod Koronę, żeby przyjąć małego łyczka za pomyslność.

To wyjaśnienie widać rozwiało wątpliwości Tunia, bo wyraźnie stracił zainteresowanie sprawą i zaczął wpatrywać się w budynek Bałtyku po przeciwnej stronie ulicy. Gienas wyciągnął w jego stronę rękę z grubym zwitkiem zielonych banknotów.

- No dobra, panie Tunio, masz pan tu zebrane bej my od wszystkich stojących, a ja lecę, bo okazja mi się ulotni - wyjaśnił Marych Raszpła, nazywany tak ze względu na twarz naznaczoną bliznami po ospie.

Marych był szefem cinkciarzy pracujących pod peweksem na Grunwaldzkiej. Stale pracowało dla niego pięciu facetów, którzy przez cały dzień sprzedawali i kupowali walutę. Każdy, kto wchodził do tego ekskluzywnego sklepu zaopatrzonego w najlepsze zagraniczne towary, był zaczepiany przez cinkciarzy, którzy proponowali w zależności od potrzeb sprzedaż lub skup dolarów czy marek.

Peweks zamykano o osiemnastej i wtedy na miejscu pojawiał się on. Odbierał od każdego całodzienny utarg, pozostawiając każdemu ze swoich cinkciarzy dziesięć procent wypracowanej kwoty. Z całej sumy, którą zebrał, zostawiał sobie pewną część utargu, a resztę przekazywał kurierowi, czyli Tuniovi.

Tunio Ząbek swoje przezwisko zawdzięczał własnej próżności. Jakiś czas temu doszedł bowiem do wniosku, że nie może tracić wszystkich ciężko zarobionych pieniędzy na

115

gorzołę i panienki, i powinien zacząć inwestować. Przemysłał tę kwestię bardzo dokładnie i postanowił, że najlepszą inwestycją jest inwestowanie w siebie. Dlatego poszedł do

dentysty i zamówił sobie złotą koronkę na ząb. Koronka była droga i piękna, tyle że niewidoczna. Ale i na to Tunio znalazł sposób. Pracując wytrwale przed lustrem, wyćwiczył sobie sposób uśmiechania się jedną stroną twarzy. Jego górna warga unosiła się krzywo, ale efekt był oszałamiający. Każdy, z kim rozmawiał, mógł w pełni docenić bogactwo wnętrza jego jamy ustnej.

Tunio zarabiał całkiem nieźle i dlatego wstawienie drugiej złotej koronki było tylko kwestią czasu. Obliczył sobie nawet, że w ciągu najbliższych dwóch lat, jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinien dorobić się sześciu kolejnych złotych koronek. Wtedy problem krzywego uśmiechu zostałby definitywnie rozwiązany, bo zamierzał ozdobić w ten sposób wszystkie przednie zęby, a te widać było nawet bez uśmiechania, podczas zwyczajnej rozmowy.

Praca, w której Tunio tak dobrze zarabiał, polegała na siedzeniu w restauracji i czekaniu na klientów. Klientami byli pracujący dla Grubego Rycha szefowie kilku grup cinkciarzy. Każdy z nich przyjeżdżał do restauracji, w której urzędował Tunio. W zależności od dnia był to Smakosz na 27 Grudnia albo bar tuż obok Wuzetu na Fredry. Od każdego z nich odbierał dzienny utarg, pakował do torby i po obsłużeniu wszystkich obercinkciarzy ruszał do biura Rycha. Codziennie szedł pieszo przez most Teatralny, przechodził Dąbrowskiego, mijał hotel Merkury, a później kino Bałtyk i docierał przed peweks, pod którym czekał już Marych Raszpla. Z nim rozliczał się na samym końcu, bo tak mu było wygodnie. Z Grunwaldzkiej odchodził tramwaj, którym je-

chał na Junikowo. Bezpieczniej byłoby zapewne poruszać się

116

samochodem, w końcu każdego dnia wioził w torbie kilka tysięcy dolarów, jednak Rychu uważał, że takie podróżowanie tramwajem jest bezpieczniejsze, bo nikt nie zwraca uwagi na niepozornego człowieka z torbą. A do samochodu trzeba by mieć specjalnego zaufanego kierowcę, no i jeszcze sam samochód, a to wszystko niepotrzebne koszty, kalkulował Rychu, który mógłby być wręcz podręcznikowym przykładem oszczędnego poznaniaka.

Dlatego Tunio Ząbek odbywał codzienny kurs jedyką na Junikowo. Wysiadał koło lecznicy zwierząt i pieszo szedł ulicą Sieradzką aż do charakterystycznych kwadratowych budynków warsztatu samochodowego Ryszarda Grubińskiego.

Tunio schował gruby zwitek banknotów do foliowej reklamówki Marlboro, po czym ruszył w stronę przystanku, naprzeciw księgarni w Bałtyku. Spojrzał na swój ręczny elektroniczny zegarek z cyfrowym wyświetlaczem. Do siódmej została jeszcze minuta. Za trzy powinna przyjechać jedynka, nie musiał się więc śpieszyć.

jarocin

godzina 19.00

Zrobiło jej się słabo i mało brakowało, a spadłaby z krzesła, na którym siedziała od kilkunastu minut. Na szczęście Zalewski był szybki. Błyskawicznie chwycił ją za ramię i pomógł oprzeć głowę na rękach, które delikatnie ułożył na stole. Kazał oddychać głęboko, więc wciągnęła parę razy powietrze, a on pomógł jej się wyprostować.

- Dasz radę siedzieć sama? - zapytał z troską w głosie.

Skinęła głową. Podał jej więc szklanekę wody, którą zaraz wypiała.

117

Przed nią, po drugiej stronie biurka, siedział potężny milicjant w mundurze, z dwoma rombami starszego sierżanta na pagonach. To on prowadził tę nyskę, która wywiozła ich spod stadionu. Teraz, w komendzie, przedstawił się i powiedział, że nazywa się Grzegorz Kowal. To on właśnie pokazał jej przed chwilą dwa plastikowe woreczki, w których były dwie legitymacje szkolne. Jedna należała do niej, a druga do Jolki. Zapytana, czy zna właścicielkę drugiej legitymacji, wyjaśniła, że oczywiście, bo jest nią koleżanka, z którą przyjechała do Jarocina. Później ten Kowal wypytywał o to, kiedy ostatni raz się widziały. No to ona najspokojniej w świecie opowiedziała całą tę historię o tym, jak Jolka już pierwszego dnia zniknęła z tymi kolesiami z jej dawnej klasy, a później nie pojawiła się ani na chwilę w ich wspólnym namiocie. Mówiąc to wszystko, zastanawiała się, w co wplątała się jej koleżanka. Była na nią cholernie zła, bo nie dość, że zostawiła ją samą sobie na tej imprezie, to teraz przez jej głupie zachowanie ona musi siedzieć na milicji i opowiadać o wszystkim, zamiast bawić się na koncercie. A do tego jeszcze ta sprawa z Jarkiem. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Chłopak, zamiast być przy niej w tej trudnej sytuacji, najzwyczajniej w świecie przestraszył się i stłenił. Postanowiła więc, że jak ją wypuszczą, odnajdzie go i powie mu, co o nim myśli, bo zachował się jak beznadziejny, smutny gnojek. Zostawił ją samą wtedy,

gdy najbardziej go potrzebowała.

- Potrafiłabyś rozpoznać tych chłopaków, z którymi poszła twoja koleżanka? - zapytał sierżant.

- Czyja wiem - zawahała się przez chwilę. - Oni byli jacyś dziwni. Wszyscy czterej byli podobnie ubrani. Mieli spodnie moro, wojskowe czarne buty i takie czarne kurtki z materiału. No i jeszcze jedno, oni wszyscy mieli ogolone głowy, znaczy się, byli łysi.

118

- To skini - powiedział ten, który zatrzymał ją przed wejściem do amfiteatru. Siedział na krześle pod ścianą i dotąd nic nie mówił. Tylko słuchał i od czasu do czasu coś zapisywał w notesie.

- Jacy skini? - zapytał sierżant, spoglądając w prawo na swojego nieumundurowanego kolegę. Nigdy jeszcze o kimś takim nie słyszał. Owszem, obito mu się o uszy, że istnieją w Polsce gitowcy, hipisi, punkowcy i poppersi, ale skini? Nigdy.

- To taki nowy ruch, skinhead z angielskiego znaczy „ogolony łeb”. Widziałem ich kilku tu, w Jarocinie. Ten ruch nie jest jeszcze popularny w Polsce. Na Zachodzie mają już z nimi poważny problem. To wyznawcy siły rozwiązującej wszystkie konflikty. Poza tym ich ideologia zbliżona jest do faszystowskiej. To tacy neofaszyści.

- U nas, w Polsce, mogą być neofaszyści? - zdziwił się Kowal. - Jak to? W kraju, w którym faszyzm kojarzy się z czymś odrażającym, gówniarze chcą bawić się w faszyzowanie? - nie mógł zrozumieć.

- Podobno są bardzo agresywni, ale tego do końca nie wiem.

Tak się o nich mówi. Przynajmniej tu, w Jarocinie. Dwa dni temu kilku takich gości skopało jakiegoś szczonego, punka.

Najpierw obcięli mu jego irokeza...

-Jakiego irokeza, do cholery?

-No taki indiański czub na głowie. Włosy postawione na cukier, żeby się dobrze trzymały.

-To znaczy się, że go ogolili na pałę?

-Właśnie. Dopadło go czterech skinów, ścięli mu włosy, później mu wlali, no a jak leżał, to go jeszcze skopali, tak że musiało go zabrać pogotowie.

-No to w niezłe towarzystwo wpadła twoja koleżanka - skomentował te wiadomości przesłuchujący sierżant, zwracając się do Kaśki.

119

-No właśnie i dlatego trochę się o nią boję. Właściwie to bałam się cały czas, jak nie wróciła na noc. Szukałam jej wszędzie, ale jakby się pod ziemię zapadła. No, ale teraz to jestem na nią tylko wściekła, skoro ją zatrzymaliście. Tylko nie wiem, w co ta kretynka się wplątała, bo ona nigdy nie zrobiłaby niczego złego.

Sierżant Kowal nie lubił przekazywać złych wiadomości. Właściwie to zawsze miał z tym kłopot i gdy tylko to było możliwe, zwał to na kogoś innego. Ale dzisiaj nie było nikogo, kim można by się wyręczyć. Bo przecież nie mógł nakazać temu młodemu podchorążemu, żeby poprowadził za niego przesłuchanie. Spojrzał najpierw na Zalewskiego, który przyglądał się czubkom swoich butów, później wstał od biurka i podszedł do okna. Popatrzył na zewnątrz.

Pod komendę zjechał właśnie radiowóz, z którego wyszedł Mirek Brodziak, a zaraz za nim niezgrabnie wytoczył się Teofil Olkiewicz w swojej opiętej na brzuchu marynarce. Kowal odwrócił się, nie patrząc na dziewczynę. Omiótł wzrokiem pokój przesłuchań, który udostępniono mu, by mógł z nią porozmawiać. Zdziwił się, bo dopiero teraz zauważył, że on właściwie niczym nie różni się od tych, jakie mieli w komendzie w Poznaniu. Taka sama szara wykładzina z linoleum na podłodze, taka sama lamperia z odciążającą płatami zieloną farbą olejną i takie same białe ściany, bez żadnych obrazów, plakatów czy kalendarzy, czyli tego wszystkiego, co mogłoby odwracać uwagę przesłuchiwanej osoby.

Wreszcie się zdecydował.

-Twoja koleżanka... myśmy ją znaleźli, ale... wszystko wskazuje na to, że... - Dziewczyna przyglądała się sierżantowi zaniepokojona. Chyba wyczuła, że coś jest nie tak, że z Jolką stało się coś złego.

120

-Chodzi o to, że to chyba jest ona właśnie...

-Co ona zrobiła? - zapytała drżącym głosem Kaśka.

-Nic nie zrobiła, to znaczy się nie wiemy, co zrobiła. Wiemy, że ona chyba... nie żyje. To znaczy się, no, została zamordowana.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim sens tego, co powiedział przed momentem milicjant, dotarł do niej.

Poderwała się na równe nogi i krzyknęła.

-To niemożliwe! Przecież ona miała jechać za tydzień do

nrd. Ma jechać na obóz. Dostała z Juventuru skierowanie na mop. Wszystko już jest opłacone...

Zamilkła, bo zdała sobie sprawę, że to, co mówi, to kompletny idiotyzm.

Opadła na krzesło i wtedy zrobiło jej się słabo. Poczła nagle, że wszystko wokół niej zaczyna wirować, a ona sama zapada się w jakąś otchłań.

Silna dłoń Zalewskiego wyciągnęła ją z tej otchłani w ostatnim momencie.

poznań

godzina 19.01

Tunio Ząbek oparł się o biało-czerwoną barierkę odgradzającą przystanek od ulicy. Stał zwrócony twarzą do budynku Bałtyku. Z drugiej strony, od ulicy Zwierzynieckiej, było popularne kino, od którego cały budynek wziął nazwę, natomiast od strony Grunwaldzkiej, tu, gdzie stał, na dole mieściła się księgarnia Krajowej Agencji Wydawniczej i Cepelia. Tunio nie patrzył jednak na wystawę księgarni, bo tam i tak według niego nie było niczego ciekawego do oglądania. Nie interesowały go żadne książki. Uważał, że czytać to można

121

co najwyżej gazety, bo z nich idzie się dowiedzieć, co ciekawego wydarzyło się w sporcie i z kim ostatnio grał Lech, a w książkach przecież o czymś tak fascynującym, jak sukcesy i porażki poznańskiej drużyny, nikt nie pisał. No i prawda była taka, że czytanie książek zabierało tylko czas, a chleba nie dawało. Tunio czytał więc ostatnią stronę „Ekspresu Poznańskiego”! nic więcej. Nie patrzył nawet na bardzo cieka-

wą wystawę Cepelii, gdzie można było zobaczyć piękne lalki w krakowskich strojach, góralskie ciupagi i łowickie kilimki. Sztuka ludowa też go nie interesowała, bo o ile jeszcze książki mogły przydać się w trudnych sytuacjach, na przykład do podłożenia pod złamaną nogę od szafki w kuchni albo tak jak w zeszłym roku, gdy oddał na makulaturę dwadzieścia kilo jakichś grubych starych niemieckich książek znalezionych na strychu domu, w którym mieszkał, za co dostał piętnaście rolek papieru toaletowego, o tyle wszystkie te pierdółki sprzedawane w Cepelii nie służyły zupełnie do niczego.

Tunio spoglądał wyżej, na rząd okien na pierwszym piętrze. Mógłby patrzeć też na drugie piętro, ale ono nie było tak interesujące jak to niżej. Na pierwszym bowiem, w ostatnim mieszkaniu po lewej stronie budynku, znajdowało się pewne dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką. Tunio patrzył w zasłonięte firanami okna i rozpierała go duma, bo wszystko tu prezentowało się doskonale. Solidna ta kamienica, myślał. Ma pewnie już ze sto lat, ale takie to niejedno jeszcze wytrzymają, tu nawet tynk nie odpada, no, może trochę tylko, ale nie takimi płatami, jak w tych na Armii Czerwonej albo na Rybakach. Tam to dopiero jest syf. A ten dom tutaj jest taki okazały i dostojny, że pewnie jeszcze drugie sto lat wytrzyma, albo nawet i więcej. W końcu jak coś przed wojną budowali, to na długie lata.

122

Przez chwilę Tunio poczuł się jak właściciel całej tej kamienicy, choć tak naprawdę nie był żadnym właścicielem, a całą

własność, jaką posiadał, stanowiły dwa garnitury, dwie pary butów, ręcznie malowany obraz przedstawiający nieistniejący most na Chwaliszewie i złoty ząb. Ale przecież miał dopiero pięćdziesiątkę na karku. Był więc - tak mu się przynajmniej zdawało - stosunkowo młody, no i wszystko jeszcze było przed nim, zwłaszcza że w ostatnich latach, odkąd zaczął pracować dla Grubego Rycha, powodziło mu się doskonale. Patrzył więc w okna mieszkania na pierwszym piętrze, bo niedawno był w tym mieszkaniu i się nim zachwycał. Jeden pokój dzienny, w którym dumnie prezentował się segment swarzędzki na wysoki połysk, z solidną szafą i przeszkloną witrynką, a w niej na szklanych półkach stały filizanki z Chodzieży i kilkanaście kryształowych wazoników. Był tam też okrągły dębowy stół, na którym leżał marszczony biały obrus, a na samym środku pysznił się ogromny kryształowy wazon ze sztucznymi kwiatami. Na ścianie wisiał piękny obraz w grubych złoczonych ramach przedstawiający Świętą Rodzinę z barankiem, poniżej stał tapczan przykryty bordową narzutą, a pod oknem, zasłoniętym żółtą firaną, telewizor kolorowy Rubin, a na nim karafka na wódkę. Co prawda bez wódki, bo na pierwszy rzut oka butelka była pusta, ale Tunio natychmiast wyobraził sobie, że ta karafka powinna być napełniona gorzołą, bo jak tak stoi pusta, to jest, jak te klunkry z Cepelii, zupełnie nieprzydatna. Gdyby zaś była w niej wódka, to taką karafkę można by postawić na stole, w razie jakby do domu przyszli jacyś goście, i byłby to wtedy poczęstunek z fasonem, znacznie godniejszy niż lanie ze zwykłej butelki, choćby to była nawet butelka poloneza ze srebrną nalepką.

Drugiego pokoju Tunio nie widział, ale domyślał się, że jest równie piękny i gustownie urządzone, jak ten pierwszy.

123

Widział za to kuchnię z białym piecem gazowym, białym zlewozmywakiem z dwiema komorami, stołem z dwoma krzesłami i kremowym kredensem.

Do tego mieszkania przyprowadził go kolega Mietas

Sznyta, który był szatniarzem w Smakoszu. Swoje przezwisko zawdzięczał pięknej drabince sznyt ciętych żyłką na lewym przedramieniu, którą wykonał własnoręcznie podczas pobytu w Rawiczu na przymusowych wczasach. Mietas był światowym gościem, chodzącym zawsze w garniturze. Miał dobre kontakty w różnych kręgach z racji swojego szatniarskiego zajęcia. Cieszył się poważaniem wśród artystów, naukowców, dziennikarzy i kelnerów, bo dla każdego miał jakiś specjalny towar pod ladą. Dorabiał, sprzedając lewe papierosy, kawę i alkohol w swojej szatni oraz organizując Tuniovi dodatkowych walutowych klientów, którzy w restauracji musieli pilnie wymienić walutę w bezpieczny sposób i po dobrym kursie. A Tunio miał zawsze dobry kurs. Z każdej transakcji zorganizowanej przez Mietasa odpalał mu niewielką działkę, tak że obu opłacała się ta współpraca.

Z tym mieszkaniem to był czysty przypadek. Tunio mieszkał w wynajmowanej klitce, na placu Młodej Gwardii. Dotąd nie myślał o tym, żeby mieć własne mieszkanie, bo do niczego nie było mu ono potrzebne. Nie miał zbyt wielkich wymagań, a cały jego dobytek zmieściłby się w jednej walizce.

Dwa tygodnie temu, gdy jak zwykle wchodził w południe do Smakosza, Mietas przywołał go do siebie.

-- Tunio, słuchaj ino, jest okazja mieszkaniowa.

-- Ady tam -- machnął ręką Tunio. -- Nie moja branża. -

Uśmiechnął się krzywo, ukazując złoty ząb. Już chciał iść dalej, położywszy swój kraciasty przeciwdeszczowy płaszcz na ladę, ale Mietas chwycił go za rękaw marynarki.

124

-- Coś ty jest taki nie do mówienia? Gadam ci, że jest okazja za małe bejmy na duży interes i lokatę na całe życie.

Ustyszawszy słowo „lokata”, Tunio stanął zainteresowany.

W końcu od pewnego czasu myślał o zabezpieczeniu swojej przyszłości. Złote zęby to było to, co mu cały czas chodziło po głowie, ale w końcu nie zaszkodziło posłuchać, w jaki jeszcze sposób można coś odłożyć na zaś.

No i Mietas wyjaśnił mu, w czym rzecz. Sprawa była prosta.

Samotna wdowa mieszka w Bałtyku. Ma piękne mieszkanie i pewnie już niedługo wyciągnie kopyta. Interes jest prosty.

Za pięć tysięcy dolców ta kobieta jest gotowa zameldować u siebie kogoś, kto będzie mógł mieszkać, ale dopiero jak ona umrze. Mieszkanie jest kwaterunkowe, więc zameldowanego nikt nie może stamtąd wyrzucić po jej zejściu. Dodatkowo ona chce zrobić notarialny zapis na cały swój dobytek, czyli wszystkie graty, co ma w chacie, dla tego, kto jej te pięć pa-tyków zapłaci.

Początkowo Tunio nie chciał o tym słyszeć. Pięć tysięcy dolarów nawet przy jego całkiem dobrych zarobkach to była jednak astronomiczna kwota. Ale Mietas nie dawał za wy-

graną i jeszcze tego samego dnia niemal siłą zaciągnął kolegę do Bałtyku. I dobrze zrobił, bo Tunio natychmiast zakochał się w tym stole z kryształem, segmencie na wysoki połysk ze Swarzędza i telewizorze Rubin z karafką na wódkę.

Doszedł do wniosku, że teraz jego życie nagle zupełnie się zmieniło. Dotąd żył z dnia na dzień i wszystko, co zarobił, wydawał natychmiast. Nie interesowało go, co będzie się działo za tydzień czy za rok. Byleby mieć tylko dziś coś dobrego do zjedzenia i coś czystego do ubrania, a wieczorem żeby się dobrze zabawić. Tymczasem przez to mieszkanie uświadomił sobie, że dotąd nie miał celu w życiu, a teraz nagle, w jednej chwili, jego celem stało się mieszkanie i wszystkie

125

związane z nim luksusy, jak cotygodniowa kąpiel we własnej wannie czy oglądanie telewizji z własnego łóżka.

Tunio odnalazł mocny punkt na swojej życiowej mapie i postanowił, że zrobi wszystko, by do niego dojść. Marsz zaczął natychmiast.

rozdział

IV

jarocin

godzina 19.02

Pozdrowienia od pułkownika Wrony - powiedział Galaś, nachylając się do Olkiewicza, który stał przed budynkiem komendy w Jarocinie i palił papierosa. Nie zauważył nawet, że esbek doszedł do niego. Tak zatopiony był we własnych, niezbyt przyjemnych myślach, że nie spostrzegł, kiedy ten niesympatyczny typ się zbliżył. A myślał o własnej głupocie, która po raz nie

wiadomo który ładowała go w kłopoty. Gdyby nie ona, pewnie o tej porze siedziałby już w samochodzie, który odwoziłby go do Poznania. Przyjechałby do komendy, a potem spacerkiem przeszedłby mostem Teatralnym, minął Okrągłak i plac Wolności i przez Stary Rynek doszedłby na Wrocławską. Była tam piwiarnia, w której od czasu do czasu lubił posiedzieć. Nie żeby był specjalnym miłośnikiem piwa. Owszem, pił poznańskie kufłowe, ale traktował je raczej jako popychacz do czegoś mocniejszego. No właśnie, mocniejszą wódeczkę mógłby kupić po drodze w delikatesach naprzeciw Teatru Polskiego...

Niestety, nic z tego, a wszystko przez własną głupotę, myślał zły na siebie Olkiewicz. Bo jak inaczej nazwać to, co stało się dzisiaj w tej piwiarni na jarocińskim rynku. Gdyby nie poszedł do tego kibla, nic by się nie wydarzyło, poza

127

oczywiście jakimś zajściem, które nie miało dla niego żadnego znaczenia, gdyby go tam nie było. No ale skoro już tam wlaź i zobaczył tego długowłosego kretyna, który chciał młotkiem zarębać tamtego drugiego gościa, to on, milicjant Teofil Olkiewicz, powinien postąpić jak prawdziwy funkcjonariusz, czyli po obezwładnieniu delikwenta wezwać radiowóz, spisać protokół zatrzymania i w końcu wsadzić go do aresztu. Ale nie, on nie chciał robić sobie kłopotów i poprzestał na zabraniu młotka. A gdyby był prawdziwym, sumiennym funkcjonariuszem, to być może dzięki niemu cała sprawa z tym morderstwem znalazłaby już wtedy swój finał. No, ale z drugiej strony, skąd mógł wiedzieć. Starał się samemu sobie wytłumaczyć wszystkie okoliczności, stając zdecydowanie mocniej

po własnej stronie, zrzucając całą winę na nieprawdopodobny obrót spraw i nieprzychylny zbieg okoliczności. Skąd, do cholery, mógł wiedzieć, że ten od młotka to może być ktoś związany z morderstwem na polu namiotowym. Bo gdyby to wiedział, to przecież w życiu by go nie wypuścił. A tak w ogóle to obejrzał by go sobie dokładniej. A on mu się nawet nie przyjrzał. I teraz miał jechać szukać jakiegoś długowłosego gnojka na koncercie, na którym będzie dziś co najmniej z piętnaście tysięcy takich długowłosych gnojków.

- Wszystkich by ich, cholerników, wywieźć na Żuławy, do prac przymusowych, toby się im odechciało głupot i tego wycia z bębnieniem razem - powiedział głośno sam do siebie.

A wycie z bębnieniem nadchodziło z daleka, ze stadionu i amfiteatru, i osiadało na smołowanych dachach dziewiętnastowiecznych kamieniczek, odbijało się od przysadzistej wieży barokowego kościoła Świętego Marcina i spływało wolno na jarocińskie brukowane ulice, cichnąc na dole jak wybrzmiały odgłos letniej burzy, przechodzącej gdzieś daleko za miastem.

128

Koncerty trwały w najlepsze i trzeba było jechać szukać mordercy. Już chciał odejść, by wsiąść do nyski, którą podstawiała miejscowa komenda, ale ze zdziwieniem zauważył, że nie dopalił jeszcze całego ekstra mocnego. Zatopiony w myślach, zapomniał o paleniu i papieros mu zgasł. Zapalił go więc na nowo i spojrzął na nyskę, która czekała na niego. Kierowca siedział już w środku, a na tylnych siedzeniach rozparło się czterech mundurowych funkcjonariuszy, których

oddano mu pod komendę. Mieli wraz z nim przeszukiwać teren koncertu, by namierzyć tego młotkowego. Teofil tłumaczył, że to na nic się nie zda, ale Brodziak się uparł, bo jak powiedział, nie lubił nie dawać szansy szczęściu. Chcąc nie chcąc, musiał więc Teofil pojechać na koncert i spędzić tam przynajmniej kilka godzin. Był przekonany, że nie przyniesie to żadnych rezultatów, ale nie miał wyjścia. Rozkaz przełożonego jest rozkazem i nie można z nim dyskutować. Pewną nadzieję pokładał w ludziach, którzy zostali mu przydzieleni. Postanowił, że zawiezie ich na miejsce, powie, co i jak mają robić, a sam dogada się z kierowcą, żeby zawiózł go do jakiejś knajpy, by tam mógł przeczekać tych kilka godzin. Później wrócić do komendy i zameldować, że poszukiwanego nie udało się znaleźć. Pogadał więc chwilę z tym kierowcą i zapytał o knajpę, ale on chyba nie zrozumiał, o co Teofilowi chodzi, bo powiedział, że jak skończą poszukiwania zgodnie z rozkazem, to już wszystkie knajpy będą zamknięte.

Perspektywy były więc kiepskie, a nawet bardzo kiepskie, i do tego jeszcze nawinął się ten Galaś.

- Pozdrowienia od pułkownika Wrony - powtórzył Galaś, a Olkiewicz aż skulił się cały w sobie, słysząc to złowrogie nazwisko.

Kapitan stanął przed Olkiewiczem i uśmiechnął się triumfująco. Trafił go w czuły punkt tym nazwiskiem i od razu

129

po wykrzywionej gębie Teofila zauważył, że strzał był bardzo celny.

- Mam do was osobistą prośbę od pułkownika Wrony.

Gdy wymówił znów „Wrona”, Teofil skulił się jeszcze bardziej. Widać było, że gdyby tylko mógł, zapadłby się pod ziemię. Ale nie mógł. Chodnik wyłożony betonową trelinką uniemożliwiał to. Potrzebny by był kilof, ale najpierw chyba łom dla podważenia, pomyślał Olkiewicz, spoglądając na cementowe bloczki pod stopami.

- Więc pułkownik Wrona prosi was, poruczniku Olkiewicz, prosi was osobiście - powiedział, kładąc nacisk na słowo „osobiście” - żeby wyście pomogli, to znaczy, żebyście wy pomogli w naszym śledztwie prowadzonym przez sb na terenie jarocińskiego festiwalu.

- Ale ja mam swoje śledztwo - rzucił niechętnie Olkiewicz.

- Ale one nie kolidują ze sobą - uśmiechnął się Galaś. - Mnie raczej chodzi, żebyście informowali mnie na bieżąco o wynikach waszego dochodzenia. Nie musicie nawet pisać raportów, będziecie mi składać normalne ustne raporty...

- Ale po co wam ta wiedza? - próbował się bronić Teofil. - To jest zwyczajne śledztwo z morderstwem. Tam niczego dla sb nie ma, bo tu nie o politykę idzie, tylko o zwyczajne kryminalne sprawy.

- Po co, to już moja sprawa. A o co tam idzie i czy tam coś jest dla sb, czy nie ma, to pozwólcie już nam samym oceniać. Wy macie tylko robić swoje, tak jak już to nie raz robiliście...

Olkiewicz zacisnął usta, krew napłynęła mu do twarzy i zły jak diabli cisnął niedopałek pod nogi. Cholerny gnój złapał mnie za jaja, pomyślał. Wszystko się dziś popaprało, a na ko-

niec doczepiła się jeszcze ta menda.

130

Teofil poczuł się, jakby mu ktoś zakładał pętlę na szyję. Myślał, że to już nigdy nie wróci, a tu masz ci los, znowu przypomnieli sobie o nim. Wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych, kiedy to sb zwróciła na niego uwagę. Był wtedy dzielnicowym na Chwaliszewie. Urodził się i wychował w tej niezbyt przyjaznej dla obcych dzielnicy. Znał tu wszystkich i wiedział dobrze, co w trawie piszczy. A służba bezpieczeństwa też chciała wiedzieć, ale jakoś nie potrafiła się przebić przez mur niechęci miejscowej wiary. Dlatego dali mu propozycję nie do odrzucenia. Przenieśli go do siebie i kazali stworzyć wśród miejscowych wywijasów agenturę. Teofil wywiązał się z tego bardzo pięknie. Znalazł kilku płatnych agentów, którzy zgodzili się podpisać zgodę na współpracę. Ci agenci to byli ludzie z półświatka, z którymi Olkiewicz od lat robił lewe interesy, pobierając niewielkie haracze od ich złodziejskich utargów. Teraz zaoferował im dodatkowe źródło stałego dochodu w postaci pieniędzy z resortu, oczywiście zatrzymując dużą część z każdej wypłaty dla siebie. Jako funkcjonariusz sb, w dalszym ciągu zapewniał im osobistą ochronę i roztaczał parasol ochronny nad ich interesami, a oni dostarczali mu w zamian nic nieznaczące informacje o nastrojach społecznych wśród okolicznych mieszkańców. System działał bez zarzutu przez kilka lat, do czasu aż pewien ambitny oficer zorientował się, że to, co przynosi do wydziału Olkiewicz, to bezużyteczny chłam, który ma raczej wartość socjologiczną, ale na pewno nie ma wartości operacyjnej.

Ten oficer był wówczas porucznikiem i nazywał się Wrona. Na szczęście dla Olkiewicza wtedy właśnie nastąpił stan wojenny i oddelegowano go na kilka dni do wzmocnienia wydziału dochodzeniowo-śledczego. Teofil był nie w ciemności. Po pierwszej rozmowie z Wroną już wiedział, że gruntu mu się pali pod nogami i że jego pozorowane działania mogą

131

wyjscie na jaw. Dlatego natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji i poprosił o stałe przeniesienie. Bardzo zdziwił się, gdy zgodę otrzymał błyskawicznie. Jednak postawiono mu pewien warunek. Swoich dawnych przełożonych z SB miał informować o tym, co dzieje się w wydziale. Nie miał wyjścia, musiał na to przystać. I w ten oto sposób stał się informatorem wewnętrznym, śledzącym swoich nowych kolegów. Na szczęście nie zdarzało się to często. Jeszcze na początku, w osiemdziesiątym pierwszym i drugim, musiał składać normalne cotygodniowe raporty, ale później pisał coraz rzadziej i nikt nie naciskał, aby tych raportów było więcej. W końcu doszło do tego, że tylko raz na jakiś czas wzywano go na rozmowy, podczas których spocony i zdenerwowany, opowiadał o tym, co się dzieje w jego wydziale. W takich sytuacjach czuł się, jakby go ktoś złapał w kleszcze. W końcu szanował kolegów z wydziału, w tym towarzystwie czuł się dobrze i nawet lubił tę swoją robotę, pamiętał też jednak, że dostał ją tylko dlatego, że podpisał deklarację współpracy i zobowiązał się, że będzie informował o wszystkim swoich mocodawców z SB. Bo tak naprawdę cały czas był esbkiem, o czym mu parę razy przypomniano, tylko oddelegowanym do do-

chodzeniówki. Rozmawiał z nim najczęściej Wrona, którego jedno śledztwa interesowały mniej, drugie bardziej, ale najbardziej interesowali go ludzie. Charakterystyki wszystkich pracowników, łącznie z przełożonymi, musiał Teofil napisać już na samym początku, zaraz po przeniesieniu i zapoznaniu się ze środowiskiem. Odtąd żądano ich co roku. Wywiązywał się z tego obowiązku bez specjalnego entuzjazmu dopóty, dopóki nie wpadł na pewien pomysł, który bardzo mu się spodobał. Gdy przyszedł czas kolejnego sprawozdania i pisania charakterystyk, nie chciało mu się wymyślać niczego nowego, więc sięgnął po zesłoroczne teksty, których kopie

132

na wszelki wypadek przechowywał u siebie w domu. Pisanie zaczął od informacji o swoim szefie Marcinkowskim, przepisując słowo w słowo to, co przed rokiem. Nagle, mniej więcej w połowie przepisywania, zorientował się, że pomylił kartki, a to, co przepisuje, to charakterystyka Brodziaka. Zdenerwowany, już chciał podrzeć, co przepisał, gdy nagle zauważył, że cechy Brodziaka można by spokojnie przypisać Marcinkowskiemu: sumienny, pracowity, wymagający, dobrze zorganizowany... itede. Ucieszył się, zatarł ręce z zadowolenia i przepisał do końca dawną charakterystykę Brodziaka jako nową Marcinkowskiego. Potem trochę się bał, że ktoś, kto będzie to czytać, zorientuje się, że nabałaganił, minęło jednak kilka dni, potem tygodni i nic się nie stało. Zamiana została przyjęta i zamknięta w teczkach. W następnym roku przepisywał więc wszystkie opisy pracowników wydziału, zamieniając tylko nagłówki z danymi. Znów nic się nie

stało. Nikt tego nie czytał albo czytał bardzo nieuważnie. To było epokowe odkrycie. Cała papierkowa robota z jego pisemnymi raportami trafiała do teczek i nikt nie interesował się tym, co tam Teofil wypisuje, jakie są jego przemyślenia i spostrzeżenia. Więc comiesięczne raporty też zaczął pisać coraz mniej starannie, a w końcu przestał w ogóle je składać.

No i okazało się, że nikt go nie ponaglał, nikt mu nie zawracał głowy, tak jakby przestali się nim interesować. Już nawet wydawało mu się, że zupełnie o nim zapomnieli, a on sam też starał się z całych sił zapomnieć o tym, że kiedyś służył w bezpiece. Aż do dzisiaj, do chwili gdy Galaś go dopadł. Musiał widocznie telefonicznie poskarżyć się swoim przełożonym na to, co zaszło na polu namiotowym, i pech chciał, że ktoś przypomniał sobie, że Teofil ma nadal nieuregulowane zobowiązania wobec sb.

133

Teraz Olkiewicz jak zwykle w takich sytuacjach pochylił głowę i już chciał powiedzieć, że jest do dyspozycji. Spojrzał na zadowoloną z siebie gębę Galasia i nagle podjął decyzję. Coś w nim pękło. Całe to zamieszanie wokół dzisiejszego śledztwa, rozdrażnienie zagmatwaną sytuacją, która zamiast wyjaśnić się błyskawicznie, plątała się coraz bardziej, wszystko to spowodowało, że nerwy Teofila były napięte jak krowi postronek. W końcu ten balon nadmuchany złymi emocjami nie był w stanie przyjąć już nic więcej. A do tego jeszcze ten cholerny upał, który sprawiał, że koszula pod marynarką lepiała się do ciała, jakby dopiero co wyciągnięto ją z pralki.

Pod wpływem jakiegoś niewytłumaczalnego dla siebie impulsu podjął decyzję. Aż w pierwszej chwili sam się przestraszył, ale zaraz potem zaśmiał się w duchu, bo to, co chciał zrobić, wydało mu się tak niedorzeczne, że aż śmieszne.

- Galaś, słuchajcie. - Kiwnął ręką w stronę kapitana, by przybliżył się tak, jakby chciał mu powierzyć jakąś tajemnicę.

Oficer nachylił się posłusznie.

- Powiedźcie pułkownikowi Wronie, żeby przestał krakać.

Niech szlag was trafi, pierdolone szpicle!

Galaś zamarł z przerażenia. To, co usłyszał, było tak straszne, że on właściwie nie powinien nawet tego słuchać.

- Coście tak zamarli, Galaś? Pierdolicie się z tą swoją

Wroną i całą esbecją razem wziętą.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Olkiewicz strzepnął niewidzialny pyłek z kłapy swej staromodnej marynarki, po czym odwrócił się plecami do oniemiałego Galasia i drobnym kroczkiem poszedł do nyski. W połowie drogi do samochodu przystanął nagle, odwrócił się na pięcie i wrócił do oficera, który cały czas stał oszołomiony w tym samym miejscu.

Kiwnął na niego, by ten się jeszcze raz pochylił. Galaś posłusznie skłonił głowę i to był jego błąd.

Teofil błyskawicznie wziął zamach i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Esbek zachwiał się i padł jak ścięty pociskiem. Olkiewicz spojrzał na leżącego, potarł lewą ręką pięść, która zaczerwieniła się od uderzenia, splunął na chodnik, a potem spokojnie odszedł do czekającego na niego radiowozu, odprowadzany nienawistnym spojrzeniem upokorzonego kapitana Galasia.

poznać

godzina 20.12

Otworzył oczy i nad sobą zobaczył skłębioną chmurę. Z lewej strony była znacznie jaśniejsza niż z prawej. Prawa strona tego obłoku przypominającego owczy, wełniany puch była szara, a z lewej niemal jaskrawobiała. Pomyślał, że z lewej strony musi być zachód, bo już się zbliża wieczór, więc słońce jest po zachodniej stronie. Zdziwił się, że takie myśli przychodzą mu do głowy. Skąd one się brały i dlaczego on w ogóle patrzy na niebo? Co ja, do cholery, tu robię i gdzie jestem?

- Panie, panie, nic panu nie jest? - Najpierw usłyszał wysoki, piskliwy głos, a potem chmura zniknęła, przystonięta wielką głową kobiety o trwałej blond ondulacji.

- Milicja, ratunku, bandyci! - krzychała kolejna kobieta, której nie było widać. Chciał sprawdzić, kto tak krzyczy i dlaczego, ale nie mógł się podnieść. Poderwał głowę i wtedy poczuł ostry, przeszywający ból od skroni do policzka. Przestraszony, przywarł do chodnika.

- Ostrożnie, panie, leż pan, a ja pomogę panu się unieść, tylko dej pan grabę. - Ruszył prawą ręką i stwierdził, że może ją spokojnie unosić. Wyciągnął ją więc przed siebie i zaraz

135

poczuł mocny uścisk, a potem jego ciało jak wywindowane pomknęło w górę. Trzydziestoletni, dobrze zbudowany mężczyzna w krótkich spodenkach i podkoszulku w niebieskie paski chwycił go wpół i oparł o metalową barierkę. Zaraz otoczyła go grupka kilku osób.

-- Co się stało? - zapytał, zdezorientowany. Wciąż nie wiedział, dlaczego znalazł się na chodniku.

-- Jakies dwa penery z długimi plerami szanownego pana obskoczyły i zanim żeśmy ich pogonili, już polecieli tam, przez ulicę, w stronę Jowity i tyleśmy ich widzieli. Jakbym nie miał klapków - tu wskazał na stopy w białych frotowych skarpetkach i skórzanych sandałach bez pięt - tobym za nimi poleciał - wytłumaczył ten, który go podniósł.

-- A moja reklamówka? - Rozejrzał się, nerwowo sprawdzając, czy aby gdzieś nie leży.

-- Łe, panie, ten w zielonej woj skowej katanie, co biegł pierwszy, to tę siatkę porwał. Widziałam, że jak biegł, to se w portki ją wkładał, znaczy się, w kieszenie - wyjaśniła ta z trwałą.

Tunio spojrział bezradnie na kobietę, a potem chwiejnym krokiem pomaszerował tam, gdzie leżał jeszcze minutę temu. Ten w klapkach chciał go podtrzymać, ale on tylko nerwowo machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnego komara.

-- Reklamówka z forszą, moja reklamówka, ja pierdzielę, moja cholerna reklamówka. Zapierdzielili mi reklamówkę z dziennym utargiem z całego miasta. Ja pierdzielę, tyle forsy!

Kręcił się bezradnie w kółko, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić.

-- My już wezwali milicję. Zaraz tu powinni przyjechać, bo był do nich telefon. Ja dzwoniłam z Cepelii - pochwaliła się starsza kobieta w granatowej sukience z długim rękawem i z dwiema wielkimi siatkami w dłoniach. - Pewnie rychło złapią tych penerów. Boże, kto to widział, żeby w biały dzień

ludzi na przystanku napadać i torbę z zakupami zabierać.

Sodomia i gomoria razem wzięte. Wszystko przez tych cholernych komunistów.

- Rację ma pani jak nic. Gdyby Wałęsa rządził, zaraz by się porządek z tymi gnojami zrobiło - poparła ją ta z trwałą na głowie.

- Na Żuławy by ich wszystkich wysłać - powiedział dziadek w białej cyklistówce, ten, który wołał przed chwilą milicję. - Albo lepiej jeszcze, jakby ich se ruskie wzięli na Syberię albo jeszcze gdzie dalej.

- Dalej to już jest Japonia - poprawił go mężczyzna w klapkach.

- Do Japonii niech cholery jadą albo jeszcze dalej, żeby tylko nam dali święty spokój.

- A za Japonią to już tylko Ameryka.

- Reagan by ich nie wpuścił - stwierdził pewnym głosem pan w cyklistówce.

- A na co te cholery w Ameryce? Nasi ich sami pod sąd oddadzą. Niech ino władze przejmą ci z Solidarności. Za naszą krzywdę, za to, że nic do sklepów nie dają, a same żrą jak świnie najlepszą szynkę z puszki od Krakusa.

- Święte słowa, pani kochana, święte słowa. Wałęsa robi z nimi wszystkimi porządek. Podobno strajki mają już być na jesieni. Wtedy zobaczymy, kto mocniejszy, te czerwone cholery czy Solidarność.

- Łe, Jezu, co też pani mówi -- wtrąciła się dotąd milcząca niska, okrągła kobieta z torbą płócienną na ramieniu. - Ta od Krakusa wcale nie jest najlepsza. Najlepsza jest zwykła

szynka z Buszewka. Wczoraj rzucili ją u rzeźnika na Chudoby. Stałam cztery godziny w ogonku, ale dostałam całe pół kilo. I krakowska sucha też była, i nawet salceson ozorkowy, i leberka.

137

- Niemożliwe, na Chudoby wczoraj był towar? A ja jak głupia czekałam na Libelta i nic tylko zwyczajną tam dawali, i to po trzy kilo dzielili, bo ta kierowniczką to niesprawiedliwa jest kobieta. Niby dzieli dla wszystkich, ale i tak najlepsze kawałki to dla swoich pod ladą chowa...

Tunio patrzył na nich wszystkich i nie rozumiał, o czym ci ludzie w ogóle mówią. W pewnym momencie doznał olśnienia. Przypomniał sobie wszystko dokładnie i wyraźnie, sekunda po sekundzie, co wydarzyło się na przystanku.

Stał odwrócony plecami do torowiska, podziwiając okna na pierwszym piętrze, gdy usłyszał dzwonek wtaczającego się na przystanek tramwaju. Była to stara zielona bimba, z tych, co mają jeszcze drewniane siedzenia, ale drzwi otwierane automatycznie przez motorniczego. Odwrócił się więc, by wejść do pierwszego wagonu, przednimi drzwiami. Kiedy się otworzyły, ze środka wytoczyło się dwóch długowłosych młodzieńców. Jeden brodaty, w zielonej wojskowej kurtce, minął go, potrącając przy przejściu. Tunio już chciał krzyknąć na niego zły, że się po chamsku rozpycha, gdy nagle poczuł, jak ten drugi łąduje z impetem na nim.

Stracił równowagę. Pchnięty całą masą faceta w czarnej koszulce poleciał w tył i grzmotnął plecami o ziemię.

Gdy upadał, pomyślał jeszcze o reklamówce z forszą. Moc-

no zacisnął więc dłoń na rączkach siatki. Właściwie to było już wszystko, co zapamiętał, poza małymi szczegółami. Najpierw zobaczył twarz tego długowłosego w zielonej wojskowej kurtce, która uśmiechnięta pochyliła się nad nim. Później usłyszał głos tego drugiego, który warknął: Jebnij mu, Gała, i spierdalamy!", a później poczuł, że chyba Gała mu jebnął, bo wokół zapanowały ciemności.

138

jarocin

godzina 20.20

No to podsumujmy, co mamy w tej sprawie - powiedział Mariusz Blaszkowski, siedzący u szczytu stołu w niewielkiej salce konferencyjnej jarocińskiej komendy miejskiej. - Za chwilę powinien zjawić się tu porucznik Brodziak z kw w Poznaniu i chciałbym mu przekazać wszystkie dotychczasowe ustalenia, żeby miał jasność w całej sprawie.

W pomieszczeniu prócz Blaszkowskiego było jeszcze sześciu wywiadowców, podchorążych ze szkoły w Szczytnie. Przez cały dzień zbierali informacje na polu namiotowym i każdy miał teraz podzielić się swoimi ustaleniami z samowolnym dowódcą akcji, którego zwierzchnictwo przyjęto rano bez sprzeciwów. Blaszkowski rozejrzał się po sali. Żaden z nich nie wyglądał jak milicjant na służbie. Poubierani byli w najdziwniejsze kolorowe stroje, a jedyne, co upodobało ich do funkcjonariuszy, to krótko przystryżone włosy. Ciszę, jaka wypełniła pokój, przerwał w końcu Zalewski. Wyciągnął swój notes i spojrzawszy na jedną z kartek, zaczął powoli mówić.

- Katarzyna Maciejewska, lat siedemnaście, zamieszkała w Poznaniu, to jak na razie ostatnia osoba, która widziała żywą dziewczynę, tę znaną w namiocie. Zabita nazywała się Jolanta Hajduk, też z Poznania. Obie chodzą do tego samego liceum, razem przyjechały na festiwal. Według tego, co powiedziała nam Maciejewska, bo byłem na przesłuchaniu, które prowadził sierżant Kowal z komendy wojewódzkiej, no więc zgodnie z tym, co ona nam zeznała, to ta Hajduk już pierwszego dnia po przyjeździe spotkała swoich czterech koleśki z podstawówki. Faceci mieli ogolone łby i wszystko wskazuje na to, że należą do ruchu skinheadów. Hajduk

139

poszła z nimi i więcej już się nie pojawiła w swoim namiocie. Maciejewska szukała jej dość długo, jednak nie znalazła, ani na koncertach, ani na polu namiotowym. Mówi, że zrobiła wszystko, żeby ją odszukać, ale mnie się tak do końca nie wydaje, że to prawda, bo ona poznała jakiegoś smutnego waleśki i z nim cały czas się kręciła, zamiast szukać koleżanki. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że jak ją zatrzymałem, to ona szła z tym palantem. Ja ją zatrzymałem, a ten od razu dał dyla. Nawet nie próbował, szmaciarz jeden, jej jakoś pomóc...

Zalewski chyba wyczuł, że zbyt dużo emocji włożył w ostatnią część swojej wypowiedzi. Rozejrzał się po pokoju i z twarzy kolegów oraz z ich kiepsko skrywanym uśmieszkiem wyczytał, że rzeczywiście trochę za dużo ich okazał, gdy mówił o tym beznadziejnym dupku, co to rozpułnął się we mgle. Kochaś, który odszedł w siną dał, srał go pies!

- Ja rozmawiałem z dwoma chłopakami z tego żółtego namiotu, rozbitego zaraz koło tego czerwonego - przerwał wywód kolegi Janusz Poleszuk, szczupły blondyn w okularach. - Oni opisali dość dokładnie tych czterech. Nie znają ich nazwisk, ale mamy ich ksywki. - Tu zerknął do swojego notesu i odczytał: - Kalafior, wzrost około sto siedemdziesiąt centymetrów, szczupły, blizna na czole z lewej strony i na skroni też z lewej, Baca, sto osiemdziesiąt centymetrów, mocno napakowany, łysy, Gonzo, około sto siedemdziesiąt, szczupły, z garbatym nosem, łysy, i Fazi, najniższy, jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, okrągły, pucułowaty, taki mały grubasek, ogolony jak inni. Wszyscy ubrani podobnie: w wojskowe albo milicyjne buty, czarne spodnie typu moro, czarne koszulki z krótkim rękawem i takie cienkie kurtki ze ściągaczami w pasie i na rękawach. Takie mniej więcej typu szwedka.

140

- No to już wiemy, kogo szukamy -- podsumował Blaszkowski. - A co z dziewczyną, czy ktoś ją tam widział, ktoś coś słyszał?

Poleszuk znowu spojrzał do swojego notesu, przewrócił kartkę i zaraz zaczął znowu.

- Pierwszego dnia festiwalu ci skini zrobili sobie imprezę, zresztą jak wszyscy, którzy przyjechali do Jarocina. Mieli gitarę i siedzieli przed namiotem i darli się głośno, tak że nawet jeden z tych ich sąsiadów poszedł ich uciszyć, bo nie dawali spać swoimi wrzaskami, ale nic nie wskórał, bo kazali mu spadać i zagrozili, że jak będzie marudził, to mu wkopią

i jeszcze spalą namiot. To wtedy ten chłopak, Marcin Przeworski z Rzeszowa, lat siedemnaście, widział wśród nich dziewczynę. To może właśnie była ta zamordowana Jolanta Hajduk.

- No dobra, ktoś z was chłopaki jeszcze na coś trafił? - zapytał Blaszkowski, przyglądając się uważnie siedzącym po obu stronach stołu siedmiu podchorążym.

Każdy z nich po kolei przedstawił w paru zdaniach efekt swoich działań i rozmów z pola namiotowego, lecz tak naprawdę nie było w tym nic interesującego. Jeden tylko, Wiesiu Marczak, opowiedział ciekawą historyjkę o tym, że podczas gdy on rozmawiał z mieszkańcami jednego z namiotów, przypałętał się do niego jakiś śmierdzący klient, który przedstawił się jako Zenuś. Miał rozbity krwawiący nos i płacząc, opowiedział, jak rozkwaśił mu go jeden długowłosy wariat, tylko za to, że ten Zenuś chciał od niego fajkę. Nie byłoby w tym nic ciekawego, gdyby nie to, że Zenuś przysięgał, że facet nosił przytroczony do pasa młotek, tak jak się nosi na obozach harcerskich przy pasie finkę.

- I co, on tym młotkiem mu przywalił w nos? - zapytał zaciekawiony opowieścią Zalewski.

141

- No nie, młotek miał na pasku od spodni, a nos przetrącił mu pięścią, tak zwyczajnie - wyjaśnił Marczak.

Mariusz włożył obie ręce do kieszeni i ruszył wzdłuż stołu. Przemierzył pokój dwa razy w tę i z powrotem. W ten sposób chciał zyskać na czasie, bo nie bardzo wiedział, co teraz ma zrobić. Wszyscy powiedzieli już wszystko i właściwie

powinien ich już zwolnić. Ale za chwilę miał pojawić się tu Brodziak, który być może chciałby kogoś z nich wypytać o jakieś szczegóły. Powinni więc tu wszyscy siedzieć i czekać, aż przyjdzie na miejsce kierownik śledztwa. Spojrzał na kolegów i ze zdziwieniem zauważył, że wszyscy wpatrują się w niego. W końcu dla nich nadal był dowódcą dzisiejszej akcji. Musiał więc coś zrobić. Okazać, że działa i dalej pracuje. Tylko nie wiedział jak. Zaczął szybko przypominać sobie, co działo się na podobnych operacyjnych naradach w Poznaniu. Prowadził je najczęściej major Marcinkowski. On pytał każdego członka zespołu o własne ustalenia, podobnie jak Mariusz dziś swoich kolegów. Później, gdy major zebrał już wszystkie dane, wstawał i chodził przez chwilę wzdłuż stołu, by w końcu usiąść i zacząć wydawać polecenia poszczególnym uczestnikom narady. Mariusz nie wiedział, jakie polecenia mógłby wydać chłopakom, ale przejście wzdłuż stołu z rękami splecionymi z tyłu a la Marcinkowski wydało mu się dobrym, choć doraźnym sposobem wybrnięcia z niezręcznej sytuacji.

Spojrzał na Zalewskiego i przypomniała mu się nagle ta dziewczyna, którą jego kumpel przyprowadził z pola namiotowego. Jeszcze nie wiedział co, ale było coś dziwnego w spojrzeniu Wicia, gdy prowadził ją pod ramię do pokoju przesłuchań. Ten z metra ciosany olbrzym prowadził tę piękną, filigranową dziewczynę tak, jakby obawiał się, że w każdej chwili może się stłuc, jak figurka z saskiej porcelany. Nie-

dy na korytarzu, gdy mijali ich, śpiesząc się do radiowozu.

I nagle przyszło olśnienie. Coś jak grom z jasnego nieba, co spada na człowieka w chwili, w której nie spodziewa się niczego nadzwyczajnego. Zupełnie nie wiadomo skąd pojawiło się to olśnienie, ale było całkiem jasne i wyraźne. Musiał to tylko jeszcze sprawdzić do końca, by mieć całkowitą pewność. Zatrzymał się na wprost siedzącego pod ścianą Zalewskiego i spojrzał na niego uważnie.

- Wiciu, ile lat ma ta dziewczyna, którą przesłuchiwałeś z Grzechem Kowalem?

- Siedemnaście - odpowiedział bez wahania Zalewski.

- A jak ma na imię?

- Kasia.

- A pamiętasz, jaki ma kolor oczu?

- Jasne, że pamiętam, niebieski.

- Wiesiu - spojrzał na Marczaka, który siedział obok Zalewskiego - jaki kolor oczu miał ten Zenuś?

- Czyś ty oszalał? - zdziwił się Marczak. - A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć, jakie oczy miał jakiś chlor. Na pewno miał czerwone.

- A co zapamiętałeś z jego wyglądu?

- Smród - odparł coraz bardziej zdziwiony podchorąży.

Popatrzył uważnie na Blaszkowskiego i nagle zrozumiał, o co chodzi koledze. - I młotek - dodał zaraz, uśmiechając się radośnie jak małe dziecko.

- Jesteś genialny! -- krzyknął nieco zbyt głośno Mariusz.

- Co wy pieprzycie? - nie mógł zrozumieć Zalewski. Zresztą zdziwione miny pozostałych chłopaków mówiły same za

siebie. Nie wiedzieli, o co chodzi Mariuszowi.

- Nie rozumiecie, kretyni? Przecież to jasne jak słońce - zaśmiał się Blaszkowski. - Zapamiętujemy to, co jest

143

najbardziej niezwykłego w konkretnej sytuacji. Wiciu zapamiętał kolor oczu dziewczyny, bo pewnie się w niej zakochał.

- Ale teraz pierdzielisz, Blacha, ja wcale nie... - obruszył się Zalewski.

- Cicho siedź, mazurski niedźwiedziu - wszedł mu w słowo Blaszkowski. - Zapamiętujemy to, co niezwykłe. Na tobie największe wrażenie zrobiły jej oczy, a na Marczaku nie piękny Zenuś i jego braki w uzębieniu, tylko niecodzienny element jego opowieści, czyli młotek. Gdyby ten Zenuś opowiedział historyjkę o tym, że dostał w ryja, to pewnie Wiechu wcale nie opowiedziałby nam tej historyjki. Opowiedział dlatego, że Zenusiowi wlał faceta z młotkiem. Zwrócił uwagę na całą opowieść nie dlatego, że spodobał mu się Zenuś, ale zainteresował go ten młotek, rozumiecie matoty? Tak samo jak Zalewa, który zapamiętał szczegóły wyglądu tej panny, bo ona zrobiła na nim wrażenie, spodobała mu się po prostu jak Wiechowi młotek.

- No dobra, kumam już o co chodzi z tym zapamiętywaniem szczegółów - wtrącił się czerwony na twarzy Zalewski - tylko co nas obchodzi ten młotek?

Blaszkowski zatrzymał się na wprost niego.

- Widziałeś tę zabitą dziewczynę?

- No, widziałem...

- A widziałeś tę dziurę w jej głowie?

- No tak...

- A jak myślisz, czym można było to zrobić?

- Kurde, młotkiem?

- A jak wam się zdaje, ilu klientów chodzi po polu namiotowym z młotkiem u pasa? No chyba niezbyt wielu, a to oznacza, że ten młotkowy musiał być tak charakterystyczny, że zapamiętało go właśnie przez ten młotek wielu ludzi.

144

Szukamy więc młotkowego z młotkiem, no a poza tym czterech skinów z Poznania.

poznań

godzina 20.50

Gdzie to było? - zapytał Gruby Rychu.

- Dycht pod peweksem, przy targach! - wyjaśniał Tunio. -

Jakem się z Raszplą rozstał, to zaruchno chciałem, zgodnie z instrukcjami, klapnąć się z tą foliową tytką i lecieć na bimbę. No i jak już to było zaraz obok na przystanku, tym co jest naprzeciw Bałtyku. Stałem tam i czekałem, aż podjedzie, i jak podjechał, to jak zwykle chciałem wsiąść i pojechać tutaj. No, ale wtedy jak drzwi się roztworzyły, to ze środka wyhycnyło dwóch takich szczonów. Jeden to mnie obalił i jakem już został leżeć, to przylutował mi w ryfę tak, że odpłynąłem.

Mówiąc to, przyłożył rękę do obolałego, zsiniałego podbródka, jakby chciał udowodnić w ten sposób, że to, co mówi, to najprawdziwsza prawda.

-- Ile kasy mogło być w torbie? - zapytał siedzący za potężnym biurkiem Grubiński. Przyglądał się uważnie swoje-

mu kurierowi, analizując jego opowieść. Tunio to samo opowiadał już drugi raz i nie plątał się w zeznaniach. Owszem, za pierwszym razem mówił dość chaotycznie i nieskładnie, jednak gdy Rychu nalał mu setkę wódki do literatki, on natychmiast łąpczywie ją wypił, zapalił podanego mu papierosa i uspokoił się nieco, a potem opowiedział wszystko jeszcze raz, tym razem dokładnie i ze szczegółami. Rychu zauważył, że cała ta sytuacja najwyraźniej wytrąciła Tunia z równowagi do tego stopnia, że zapomniał nawet o wystudowanym uśmiechu i kwiecistym sposobie wypowiedzi i bezwiednie

145

przeszedł na mowę potoczną. Grubiński utwierdził się więc w przekonaniu, że Tunio mówi prawdę. Ktoś napadł na niego i zabrał mu całodzienny utarg spod sześciu peweksów. Mogło to być całkiem sporo waluty. Tylko ciekawe, kto był na tyle głupi, że ośmielił się napaść na mojego kuriera, zastanawiał się. Tunio mówił, że to jacyś długowłosi gówniarze. Byli na tyle cwani, że wiedzieli, bo chyba nie może to być przypadek, żeby akurat na niego napadli, więc wiedzieli, że ten niepozorny facet z foliową torbą to kurier przewożący pieniądze. Musieli go dokładnie rozpracować. Wiedzieli też, że o tej porze powinien wsiadać do tramwaju, zaskoczyli go, z łatwością zabrali mu pieniądze i uciekli. Tylko nie przewidzieli jednego: że wam takiego numeru nie podaruje i wyciągnie ich, choćby spod ziemi.

-- Pięć tysięcy osiemset dwadzieścia marek i tysiąc dwieście dolarów - odczytał Tunio ze swojego notesu. - Utarg ani większy, ani mniejszy, jak zwykle, panie Rychu - dodał,

jakby w ten sposób chciał zapewnić szefa, że nic wielkiego właściwie się nie stało. To rzeczywiście był przeciętny utarg w porównaniu z rekordowymi dniami podczas corocznych, odbywających się w czerwcu Międzynarodowych Targów Poznańskich, kiedy to cinkciarzom Rycha udawało się ściągnąć z ulicy po kilkanaście tysięcy. Obcokrajowcy, którzy przyjeżdżali do Poznania na tę imprezę, woleli wymieniać walutę na czarnym rynku niż oficjalnie, w bankach, bo te oferowały im państwowy, bardzo niekorzystny kurs wymiany, natomiast cinkciarze płacili kilkakrotnie więcej, po kursie realnym, niezwykle opłacalnym dla sprzedających.

W swoim czarnym notesie Teno Tunio każdego dnia spisywał utargi z poszczególnych peweksów i później, po przyjeździe do szefa, przepisywał dokładne dane do specjalnego zeszytu, z zaznaczeniem, skąd pochodzi jaka kwota. Dzięki

146

niemu Rychu miał codziennie szczegółową wiedzę na temat tego, jak pracują w mieście jego ludzie.

Wstał zza biurka i podszedł do uchylonego okna. Ulicą przejechała jasnoniebieska syrenka, zostawiając za sobą ogon smrodliwego dymu. Po chwili zniknęła w głębi ulicy, przesłonięta ścianą nieprzycinanego nigdy żywopłotu. Rychu odwrócił się do Tunia:

- Rzeczywiście, bardzo dużo tego nie było. Ale nieważne, czy dużo, czy mało, panie Tunio. Sam fakt, że jakieś kutasy połaszczyły się na naszą kasę, to skandal. Nie może tak być, żeby jakieś gnoje napadały w środku miasta za dnia na spokojnego człowieka.

- Święta prawda, panie Rychu - poparł go gorączkowo

Tunio, masując swoją obolałą twarz.

Grubiński otworzył szeroko okno i wychylił się na podwórko.

- Młody! - krzyknął do praktykanta, który palił papierosa przed bramą wjazdową do warsztatu. - Weź, kopnij się ino do środka i powiedz kierownikowi, żeby migiem tu przyleciał do biura, bo jest potrzebny.

Zamknął okno i wrócił na swój fotel za biurkiem. Sięgnął po butelkę i jeszcze raz napełnił szklankę Tunia.

Nie minęła nawet minuta, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Zaraz po tym na środku pokoju stanął pan Czechu, dobrze zbudowany, mierzący ponad metr osiemdziesiąt brunet z przetrąconym nosem, pamiątką z czasów, gdy kilkanaście lat temu trenował boks w klubie Sokół Piła. Podobno miał przed sobą świetną karierę w boksie, ale jak wielu młodych sportowców, którzy osiągnęli sukces, nie wytrzymał presji i zaczął pić. A że do wszystkiego, co robił, podchodził z sercem i prawdziwym zaangażowaniem, szybko wciągnął się w picie namiętne, nieznoszące żadnych ograniczeń, na przykład

147

w postaci przeszkadzających w spożywaniu trunków treningów czy sparingów. Choć przestał trenować, miłość do boksu nie zniknęła zupełnie. Jak tylko mógł, starał się łączyć oba zainteresowania. Za każdym razem, gdy się upił, natychmiast rozpoczynał poszukiwania sparingpartnera. Pewnie marnie by skończył, bo miał duże szanse, by wpaść w złe towarzystwo, ale na szczęście dla niego na jego drodze stanął Gruby

Rychu. Gdy się spotkali po raz pierwszy w Adrii, ekskluzywnej restauracji z dansingiem położonej tuż przy targach, dzięki czemu odwiedzało ją wielu gości dewizowych, Czechu był już nieźle wstawiony i w bojowym nastroju. Upatrzył sobie Rycha pijącego spokojnie piwo i postanowił mu w tym piwku przeszkodzić. Zdecydowanie źle oszacował jednak swoje szanse i nie docenił przeciwnika. Gdy Czechu zaatakował, Rychu uderzył tylko raz ręką uzbrojoną w masywny kufel. Grube szkło spadło jak młot na nos napastnika, który złamał się z nieprzyjemnym chrzęstem. Odtąd, przez ten przetrącony nos, nazywano go Czechu Kluka. A Rychu docenił bojowość i zaangażowanie Czecha. Przygarnął go do siebie i wyprowadził na ludzi, dając mu robotę za dobre pieniądze i co najważniejsze, szacunek w środowisku. A wdzięczny Czechu szybko udowodnił, że jego szef może na nim całkowicie polegać. Najpierw przestał pić. No, niezupełnie, oczywiście, przestał pić oficjalnie, w pracy, wieczorami pociągał jak dawniej, tylko mniej wybuchowo, bo w chacie nie miał kogo łać, gdyż do mamusi, z którą mieszkał, żywił szacunek wielki i w życiu by na nią ręki nie podniósł. Pracował dla Rycha jako człowiek do zadań specjalnych. W trudnych i skomplikowanych sytuacjach, kiedy trzeba było przycisnąć któregoś z nieuczciwych kontrahentów albo przekonać wahającego się, że współpraca się opłaca, Czechu był wręcz nieoceniony. Gdy wreszcie Rychu przeszedł na zawodowstwo i stał się zawodowym

148

mechanikiem samochodowym, nie zapomniał o tym, na którego zawsze mógł liczyć. Czechu dostał etat i został kierow-

nikiem warsztatu.

- Siadaj. - Grubiński wskazał mu ręką fotel pod oknem. -

Mamy pewne małe kłopoty. Pan Tunio opowie ci wszystko o tych kłopotach i dokładnie opisze, jak one wyglądają. A ja bym chciał, żebyś tym, co nam te kłopoty sprowadzili na głowę, wytłumaczył, że robienie nam kłopotów zupełnie się nie kalkuluje.

Tunio spojrział na Czecha Klukę trochę przestraszony, bo nie za bardzo lubił tego faceta. Wiedział, że on ma wiele na sumieniu i że podpaść mu znaczyło mniej więcej tyle, co wykupić se spokojne miejsce na Junikowie. Dlatego Tunio chciał jak najdokładniej opowiedzieć wszystko Czechowi, by ten nie miał jakichkolwiek wątpliwości co do jego, Tunia, roli w całej sprawie.

Szybko więc zrelacjonował całe zdarzenie, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Gdy skończył, w pokoju zapadła cisza. Spojrział w zimne oczy Czecha i w tym momencie sobie uświadomił, że już wie, co dręczyło go od chwili, gdy po całym zajściu zaczął analizować wszystko. Coś nie dawało mu spokoju, jakieś skojarzenie, które tkwiło w tyle głowy, gdzieś w zakamarkach pamięci, i leżało tam od dawna nieprzydatne. Teraz w końcu je odnalazł pod wpływem zimnego spojrzenia Czecha. Było identyczne jak zimne spojrzenie bramkarza ze studenckiego klubu przy awf-ie. Tamten facet złapał kompletnie pijanego Tunia za kłapy i wyprowadził go z klubu na zewnątrz. Tam z rozmachem kopnął go w tyłek i wrócił spokojnie do środka.

Gdy Tunio upadł na trawnik, usłyszał za sobą głośny śmiech:

„Ale masz niezłego kopa, Gała”, powiedział ktoś z uznaniem do bramkarza.

149

- Kurwa, panowie, mam! - krzyknął Tunio, podrywając się na równe nogi. - To pierdolony Gała mi jebnął na przystanku!

- Kto? - zapytał Rychu.

- Gała, bramkarz z Tropsa. To ten kutas był na przystanku, to robota tego gnoja.

Grubiński spojrzał uważnie na Tunia.

- Jesteś pan pewny?

- Stuprocentowo, panie Rychu, mogę się przysięgnąć. To ta menda. Murowane, że to był on. Znam gnoja, bo to on mnie potarł w Tropsie ze dwa miesiące temu wstecz, jakem tam był na baletach podylać z taką jedną podfruwającą. Skułem się wtedy nieco zbyt mocno, ale w przytomności cały czas przebywałem, i ten Gała mnie na kopach stamtąd wyćpiał jak stare łacie, chociaż wcale nie byłem awanturowujący.

Od razu widać było, że Tunio odzyskał cały swój rezon, bo znów zaczął używać kwiecistego języka, o którym wcześniej zupełnie zapomniał ze zdenerwowania.

Czechu podniósł się z miejsca.

- No to ja już chyba se pójdę, nie? - Popatrzył na Rycha.

Ten skinął głową na znak aprobaty.

- Ale, Czechu, jeszcze ino jedna sprawa - zatrzymał ochroniarza. - Dobrze by było, żebym tak mógł z tym Gałą trochę pogadać.

-Jasne jak słońce, zrobi się, panie Rychu. Tak go przygotuję, że nie tylko będzie gadał, ale i śpiewał...

150

jarocin

godzina 21.04

Porucznik Mioduszewski stał koło milicyjnej nyski i palił papierosa. Normalnie nie palił, ale teraz była wyjątkowa chwila i dlatego sięgnął po jednego. Nie sięgnął oczywiście do swojej kieszeni, bo sam nie nosił papierosów. Sięgnął do kieszeni sierżanta Koniarka, który palił klubowe. Koniarkowi tak naprawdę wcale klubowe nie smakowały, bo były słabsze od sportów, które nie wiedzieć czemu nazywały się teraz popularne. No ale od kiedy został sierżantem, a stało się to pół roku temu, jakoś tak nie wypadało, aby sierżant palił takie śmiecie jak szeregowy czy kapral. Nawet plutonowemu jeszcze uchodziło palenie popularnych, no ale sierżant żeby palił bez filtra, to już Koniarkowi wydawało się nieeleganckie. W końcu szarża zobowiązuje. No i jak dostał ten awans pod koniec lutego, postanowił, że czas skończyć z dziadowaniem, i przeszedł na tytoniową wyższą półkę. Pomyślał wtedy nawet, że jeśli zostanie porucznikiem, to zacznie palić marlboro. No ale na to przyjdzie jeszcze poczekać, i z drugiej strony może nawet to lepiej, że nie jest porucznikiem, bo musiałby teraz wydawać sporo pieniędzy na marlboro spod lady albo z peweksu. Natomiast zwykłe klubowe można już było dostać w prawie każdym kiosku.

No i właśnie po te klubowe sięgnął porucznik Mioduszewski, który mógłby palić coś lepszego, a brał od Koniarka.

Włożył papierosa do ust i gdy Koniarek podał mu ogień,
wciągnął z zadowoleniem pierwszą porcję dymu do płuc.

- No i widzicie, Koniarek - spojrzał na sierżanta, który
zdmuchiwał właśnie zapałkę - ci z Poznania mogą se tak ła-
zić wte i wewte i gównu zrobią. Na naszym terenie to myśmy
są bambry, a nie oni. Przez cały dzień tu łażą i się rządzą jak
151

u siebie, ale tak naprawdę by se palcem do dupy nie trafili,
a my co? Najpierw żeśmy przyskrzynili tego zakrwawione-
go gnojka, co on może być głównym podejrzanym, bo krew
jeszcze miał na łapach, prócz tego tośmy jeszcze zgarnęli tych
dodatkowych podejrzanych, a teraz jeszcze tych łysych gnoi
od tego namiotu. - Mówiąc to, wskazał głową na przedział
aresztancki nyski, w którym siedziało skutych czterech ski-
nów. Siedzieli potulnie, z opuszczonymi głowami, nawet nie
próbując rozmawiać ze sobą. Widać było na pierwszy rzut
oka, że cała ta sytuacja z zatrzymaniem i wsadzeniem do suk-
wytrąciła ich z równowagi. A to wytrącenie zafundował im
osobiście porucznik Mioduszewski.

Rano, gdy po konflikcie z tym młodym porucznikiem z Po-
znania musiał zająć się zabezpieczaniem terenu, przepytał
kilku chłopaków z pobliskiego namiotu, kto mieszkał w na-
miocie, w którym znaleźli tego trupa. No i oni mu wszystko
dokładnie opowiedzieli, że to namiot czterech skinów. Kim
są skini, wyjaśniać nie musieli, bo w kwestii alternatywnych
młodzieżowych ugrupowań Mioduszewski był na bieżąco od
kilku lat, a dokładniej od momentu gdy na jego terenie za-
gnieździł się ten paskudny festiwal.

Opisali mu dokładnie tych czterech i Mioduszewski kazał swoim ludziom szukać właśnie takich gości. Sam natomiast pojechał wieczorem na pole namiotowe, żeby się trochę rozjeździć. Krążył w okolicach miejsca zdarzenia, mając nadzieję, że na coś trafi. No i trafił prędzej, niż się spodziewał. Zobaczył ich, gdy z Koniarkiem i jeszcze dwoma szeregowymi szedł do samochodu, żeby podjechać do amfiteatru, bo na polu nikogo nie znaleźli. Środkiem głównej alejki wlokło się trzech ogolonych na tyso chłopaków, niosąc na barkach czwartego, który najwyraźniej nie miał żadnego kontaktu z rzeczywistością. Zresztą pozostali też nie wyglądali na trzeźwych. Dźwigali

152

swojego kompana i darli się na cały głos, śpiewając przeróbkę znanej wszystkim piosenki:

Na rękach go nieśli, przez plac namiotowy,

Naprzeciw glinom, na łomot gotowym.

Chłopcy skinheadzi, pomścijcie druha!

Pijany skinhead padli

Nagle procesja zatrzymała się w pobliżu miejsca, gdzie wcześniej stał czerwony namiot. Przez chwilę ci, którzy mogli patrzeć, spoglądali z niedowierzaniem na pusty plac, a po chwili wszyscy trzej puścili nieprzytomnego i pognali tam biegiem. Nieprzytomny gruchnął o ziemię jak worek pyrów. Jęknął głośno, zderzając się z ziemią, ale jego koledzy nie słyszeli już tego. Zresztą nawet jakby usłyszeli, to żaden z nich nie miałby głowy do zajmowania się kumplem. Mocno zdenerwowani, zaczęli szukać swojego namiotu, który najwyraźniej zniknął. Pozostał po nim tylko jaśniejszy ślad po-

żółkłej trawy, charakterystyczny placek obrysowujący kształt podłogi.

- Kurwa, chłopaki, ktoś nam zajebał namiot! - krzyknął ten najwyższy, najpewniej przywódca grupy.

-Trzeba się zapytać tych pacjentów obok, co się czepiali wtedy, że my tu hałasujemy - powiedział ten mały gruby.

-Ja ich, kurwa, nie będę pytał, tylko ich wszystkich zajebię! - krzyczał wysoki, wpadając w coraz większe podniecenie. -- Jak zaraz mi nie oddadzą namiotu, to ich wszystkich zajebię, kurwa, zajebię gnoi, wszystkich dookoła. I jeszcze na dodatek spalę im ich zasrane namioty, a ryje bejsbolem obiję!

-- Może by się tak na początek rozpytać trochę, o co tu biega - zaproponował rozsądnie mały.

153

-Właśnie, Baca - poparł go chudzielec. - Na napierdalanekę jeszcze czas, nie można przecież wjechać wszystkim dookoła.

- Zamknij się, Gonzo, nikt cię nie pytał - zganił go Baca.

- A ty, Fazi, też trzym ryj na kłódkę. Co, strach was obleciał, zasrańcy? Tacy z was skinheadzi, jak z koziej dupy trąba. Strepujemy wszystkie namioty dookoła i trafimy na winnych.

- Nie tak szybko, synkowie, najpierw sobie spokojnie porozmawiamy na komisariacie. - Trzej skini jak na komendę odwrócili się za siebie, w kierunku, z którego doszedł do nich głos. Ujrzeni wspierającego się pod boki niewielkiego grubego milicjanta z groźną miną.

- No, co się tak gapicie, jakbyście Ducha Świętego zobaczyli. Wszyscy grzecznie kłaść się na ziemi, ryjami do trawy, a rączki położyć na plecach i czekać, aż was milicjanci zaobrączkują. I ani słówka, bo zastrzelę każdego, który się odezwie. -- Mioduszewski obserwował ich już od kilku minut i tak jak przypuszczał, z tymi dwoma nie powinno być problemu. Najniższy, Fazi, natychmiast położył się na ziemi, zaraz w jego ślady poszedł Gonzo. Tym, który według milicjanta mógł sprawić jakiś kłopot, był ten napakowany i najwyższy z całej czwórki. Teraz stał niezdecydowany, zastanawiając się pewnie, jak wyjść z tej sytuacji. Ale długo nie postął. Z tyłu zaszedł go Koniarek i z całej siły uderzył pałką pod kolanem. Skin padł na ziemię jak rażony gromem.

- Jeszcze raz ktoś nie posłucha mojego polecenia i pały spadną na wasze durne łyse łby - powiedział porucznik Mioduszewski, stając nad leżącymi. - I jeszcze jedno: jakby się któremuś z was zachciało coś ukrywać podczas przesłuchania, to lepiej, żeby się w ogóle nie urodził, bo oszukiwać Milicję Obywatelską zwyczajnie się nie opłaca. Milicja jest

154

z wami szczerza do bólu, to i wy, łyse pały, macie być z nami szczerzy, jak na spowiedzi świętej w konfesjonale. Zrozumielście, świńskie ryje?

godzina 21.30

Tato, ja będę, będę artystą!

Tato, przecież wiesz, gdzie mam to wszystko...

Tato, a Ty wciąż wierzysz we mnie,

Ja wierzę w siebie.

Jednak wierzymy całkiem w co innego.

Tato, zrozum -- nie jestem Tobą!

-- darł się ze sceny wokalista zespołu Zielone Żabki, a publiczność pod sceną witała słowa piosenki głośnymi gwizdami i krzykami. Tłum falował rytmicznie, zgodnie z rytmem wybijanym przez bębny, gdzieniegdzie tylko zakłócanym i rozrywaniem przez rzucających się jak w konwulsjach punków tańczących pogo. Tego chyba nikt nie mógł przewidzieć. Nad miejskim stadionem niósł się chrapliwy, metaliczny dźwięk gitar, suchy łomot perkusji i krzykliwy głos wokalisty, które wzięte z osobna mogłyby się wydawać kakofonią. Jednak gdy zlewały się w jedno, wypływając razem z ogromnych czarnych kaset głośników ustawionych z dwóch stron sceny, tworzyły wspólnie falę dźwięków, która wpływając do uszu piętnastotysięcznej widowni, zmieniała się w muzykę harf anielskich, głos protestu przeciwko niekompetencji i głupocie festiwalowych decydentów. Większość zebranych na koncercie finałowym koneserów muzyki była przekonana o tym, że Zielone Żabki, które grały właśnie na scenie, to kiepski i przeciętny zespół, jednak to na nich właśnie oddali swoje głosy, by

155

zaprotestować przeciwko temu, co działo się podczas całego festiwalu. I udało się. Hasło „Uwolnić słonia, zabić Winderę”, które od samego początku imprezy podchwycili niemal wszyscy jej uczestnicy, stało się wyrazem buntu przeciwko tym, którzy chcieli zrobić z niezależnego festiwalu muzyki alternatywnej festiwal muzyki alternatywnej wobec alternatywnej, czyli takiej, która podoba się organizatorom. Dlatego

właśnie, mając do wyboru kilkanaście dobrych kapel z powodzeniem zasługujących na to, by wyróżniła je publiczność, większość słuchaczy wbrew zdrowemu rozsądkowi zagłosowała na Zielone Żabki. Kolesie, którzy nawet według organizatorów nie mieli szansy pokazania się na poważnych scenach w amfiteatrze czy na stadionie, bo przeznaczono ich tylko do zagrania na małej scenie na polu namiotowym, dostali tak dużo głosów, że musieli wygrać cały festiwal. No i wygrali, na złość miłośnikowi bluesa Winderowi, który jako kierownik artystyczny festiwalu chciał zmienić jego oblicze. I rzeczywiście udało mu się to w pełni. Owsiak i jego akcja „Uwolnić słonia” uwolniła protest przeciwko Winderowi. A zespół Zielone Żabki święcił dziś triumf, okrzyknięty przez publiczność najlepszą kapelą festiwalu.

Teofil Olkiewicz nie miał pojęcia, czy to, co przelatuje mu nad głową i w jakiś osobliwy sposób wpływa do wnętrza jego mózgu poprzez zatkane watą uszy, to Zielone Żabki. Gdyby na ich miejscu grał dziś Pink Floyd, Genesis czy nawet polski Perfect z piosenkami, których niekiedy, według Teofila, można było nawet posłuchać, jak choćby tej o tym, że dla Poli Raksy twarzy każdy by się zabić dał, to i tak on uważałby, że cała ta muzyka to diabelski wymysł, skierowany przeciw niemu osobiście. Bo ten cholerny festiwal to jakaś kara za moje grzechy, myślał Olkiewicz. No, wiadomo, nie jestem idealny, zawsze mam coś tam na sumieniu, ale żeby aż tak mnie

156

karać? Pomyślawszy to, spojrzął w niebo, szukając zrozumienia u stwórcy. Mogłem se siedzieć w chacie, patrzeć w tele-

wizor albo pić wódeczkę z sąsiadem Marczakiem, a tu nic z tego, muszę szukać jakiegoś szuszczyka z przetrąconą kluką i na dodatek słuchać jeszcze wrzasków tych orangutanów, co drą mordę na scenie, i tych, co wydzierają się pod sceną. Nic, tylko burdel na kófkach, i do tego bez dziwek.

Chodził zły na siebie po obrzeżach tłumu, przypatrując się uważnie zbieraninie najdziwniejszych, niecodziennie ubranych postaci, w pełni przekonany, że w życiu nie odnajdzie żadnego faceta z obitym nosem. To już drugie takie zadanie w ciągu tej nocy, myślał Olkiewicz. Za pierwszym razem szukał tego od młotka, a teraz musiał szukać tego drugiego, któremu ten młotkowy obił głowę. Ten cholerny Brodziak z Blaszkowskim dobrali się w niezłą parę. Rzucili się obaj na to śledztwo jak dwa psy na jedną kość i każdy wymyślał ciągle coś nowego. Najpierw Brodziak kazał mu szukać tamtego z tym młotkiem, więc szukał wytrwale i nie znalazł. Zresztą szukało go w tej chwili ze stu funkcjonariuszy, ale tak naprawdę widział go tylko Teofil, no więc zgadzał się, że skoro go widział, to jakoś go tam zidentyfikuje, jeśli się znajdzie. Ale się nie znalazł. I gdy Teofilowi wydawało się, że już będzie miał spokój i wreszcie uda mu się gdzieś spokojnie odpocząć, zjawił się Blaszkowski z rewelacją, że jest jeszcze jeden gość, który młotkowego zapamiętał dobrze i pewnie lepiej od Teofila, bo miał z nim starcie i dostał od niego w klukę. Pewnie Olkiewicz puściłby to mimo uszu, bo myślami był już gdzie indziej, w nysce, rozłożony na tylnym siedzeniu, ale gdy usłyszał, że ten z rozbitym nosem jest śmierdzący, szczerbaty i nazywa się Zenuś, nie wytrzy-

mał i parsknął śmiechem. Kiedy koledzy spojrzeli na niego zdziwieni, wytłumaczył, że takiego łachudrę Zenusia widział

157

na dworcu, bo ten gnojek chciał od niego ćmika dostać. Gdy to powiedział, zrozumiał, że popełnił błąd.

Brodziak natychmiast zarządził penetrację dworca. Pojechali tam, ale Zenusia nie znaleźli. Obejście całej stacji zajęło im zaledwie kwadrans. Ludzi było niewielu, bo teraz nikt z gości festiwalowych raczej nie wyjeżdżał. Wszyscy poszli na finałowy koncert, więc nietrudno było przewidzieć, co wymyśli Brodziak. Tak jak się Teofil spodziewał, wymyślił wyjazd na stadion. No i przez te pomysły porucznika Teofil łąził teraz tam i z powrotem. W końcu zrezygnowany wspiął się na szczyt widowni. Postanowił, że usiądzie sobie na ławeczce i popatrzy z góry, może w ten sposób coś wypatrzy. Już wchodząc po niewielkich schodkach, dostrzegł grupę kilku pochylonych nastolatków, którzy gorączkowo naradzali się nad jakąś sprawą. Był na lewo od nich, więc nie zauważyli go, zwróceni przodem do sceny.

- Dawaj, ja otworzę tę flaszkę - usłyszał milicjant.

- Czym chcesz otworzyć, masz korkociąg, debilu? - odpowiedział mu opryskliwie drugi.

- Ośle, tu nie trzeba korkociąga, tylko trza ruszyć mózgowicą. Widzisz tę blaszkę? Wystarczy ją czymś podważyć, jakimś wihajstrem, i opaska puści, a później to już będzie łatwo zedrzyć i odkręcić.

- A może ja wam pomogę, panowie? - powiedział Olkiewicz, zaskakując niedoszłych pijaków. Ci odwrócili się

gwałtownie. Jeden z nich trzymał w rękach butelkę whisky Johnnie Walker.

158

godzina 21.32

Gucio siedział przed młodym milicjantem w cywilu. Milicjant za biurkiem, a on na drewnianym taborecie z drugiej strony biurka. Patrzył na niego trochę nieobecny wzrokiem. Parę minut temu obudzono go i kazano pójść do pokoju przesłuchań, w którym siedział już ten funkcjonariusz. To był ten sam milicjant, przypomniał sobie Guciu. Kiedy rano ocknął się po omdleniu w namiocie, to on najpierw podał mu wody, a później, gdy Guccio już doszedł do siebie, dokładnie go przesłuchał. To właśnie przez niego cały dzień i wieczór spędził w komisariacie. Nie, nie jako zatrzymany. Wyjaśniono mu, że jest tu na prawach gościa. Ma siedzieć w świetlicy i czekać, aż go wezwą, bo na pewno będzie jeszcze potrzebny. Milicjant, który zaprowadził go do tej świetlicy, powiedział, że może sobie nawet włączyć telewizor, a jak będzie coś chciał, na przykład jeść, pić czy sikać, to ma podejść na drugą stronę korytarza do dyżurnego i mu o tym zameldować. Wyjaśnił jeszcze, dlaczego ma tu siedzieć. Chodziło o to, że trzeba oficjalnie go przesłuchać, spisać na maszynie wszystkie jego zeznania, a gdy złapią któregoś z właścicieli namiotu, to on będzie musiał ich natychmiast zidentyfikować. Siedział więc grzecznie przez cały dzień, obejrzał wszystko, co dało się obejrzeć w telewizorze, łącznie z „Wieczorynką” i „Dziennikiem Telewizyjnym”, aż w końcu zasnął zmęczony, oparłszy głowę na rękach złożonych na konferencyjnym stole. Ledwie przysnął, a już po-

czuł szarpnięcie za ramię. Obudził go ten sam milicjant, który przed południem przyprowadził go do tej wyłożonej drewnianą boazerią świetlicy, śmierdzącej stęchlizną i nikotyną.

- Koniec spania - powiedział, pochylając się nad nim. - Zeznania musisz złożyć do zaprotokołowania, a jak już złożysz, to po spisaniu będziesz mógł iść.

159

Zaspany chłopak wstał natychmiast i ruszył za milicjantem.

Po chwili znaleźli się w niewielkim pokoju, z biurkiem na środku i maszyną do pisania ustawioną na niewielkim stoliku pod ścianą. Milicjant kazał mu usiąść na taborecie i zaczekać chwilę. Gucio usiadł, ziewnął trzy razy, poczochnął czuprynę i zaledwie zdążył się rozejrzeć, gdy drzwi ponownie się otworzyły i do środka weszło dwóch mężczyzn: facet w cywilu, znany mu już z pola namiotowego, i drugi, w mundurze, który zaraz zasiadł do maszyny.

- Nazywam się Mariusz Blaszkowski i jestem z Komendy Wojewódzkiej z Poznania - przedstawił się milicjant po cywilnemu, który zasiadł na wprost niego za biurkiem. -

Chciałbym, żebyś opowiedział mi jeszcze raz wszystko po kolei, zaczynając od tego, jak ci od czerwonego namiotu pożyczeli od ciebie gitarę, a później jak sam poszedłeś do tego namiotu. My to wszystko spisujemy, a ty zeznanie podpiszesz.

Jak podpiszesz, będziesz już wolny, z tym że musisz pamiętać, że możemy cię jeszcze w Poznaniu, jak będziesz już w domu, wzywać, jeśli będą jakieś wątpliwości. Bo ty z Poznania jesteś, o ile pamiętam?

- No, z Poznania - odpowiedział Gucio, z trudem panując

nad kolejnym ziewnięciem.

Milicjant zauważył, że Gucio walczy z ogarniającą go sennością. Uśmiechnął się, a potem zapytał:

- A skąd to przezwisko Gucio?

- No jak, nie wie pan? - chłopak wyraźnie się ożywił. - Gucio to z Pszczółki Mai. Ten jej kolega miał na imię Gucio. On był taki w paski, a ja kiedyś miałem taką koszulkę w paski, no to tak mnie jakoś nazwali... Jeszcze w podstawówce zostałem Guciem i tak jakoś się przykleiło...

Blaszkowski miał rozłożony na biurku swój notes w plastikowej okładce. Spojrzał teraz na jedną z kartek, a potem

160

delikatnie zamknął zeszyt, niczego w nim nie zapisując. Zrobił to bardzo wolno, pochylając nieco głowę, jakby był wyjątkowo mocno zainteresowany tą czynnością. Jednocześnie kątem oka cały czas przyglądał się chłopakowi. Zaobserwował kiedyś podczas jednego z pierwszych przesłuchań, przy którym dane mu było asystować, że w ten sposób zachowuje się major Marcinkowski. Nie wiedział, dlaczego on to robi, ale że Blaszkowski był bystrym obserwatorem, zauważył, że zawsze w takiej chwili przesłuchiwany bacznie przygląda się zamykanemu notesowi. Tym razem było podobnie. Powolny ruch ręki zamykającej notatnik przykuł uwagę Gucia. Wiedza o takiej reakcji na przewracanie kartek mogła się okazać jak najbardziej przydatna, tylko że Mariusz nie bardzo wiedział, do czego można by ją wykorzystać, a pytać majora, dlaczego to robił i co z tego wynikało, było mu trochę głupio. Więc nie zapytał, lecz przy pierwszej okazji wcielił tę metodę

w życie i z radością przekonał się, że efekt jest taki sam jak ten, który zawsze osiągał Marcinkowski.

-- No to dobrze, ale zanim zaczniemy, to chciałbym, żebyś poszedł ze mną do pokoju obok i zobaczył kilku chłopaków, których właśnie zatrzymano na polu namiotowym. Wszystko wskazuje na to, że są to ci od czerwonego namiotu. Powiesz nam tylko, czy to oni, i już.

- Ale proszę pana, jak oni mnie zobaczą, że ja tu jestem i że ich rozpoznają, to oni później mnie zabiją. To są skini, oni nie żartują...

Blaszkowski uśmiechnął się. Przewidział to, że chłopak może się bać okazania i dlatego uparł się, żeby wykorzystać do tego celu pokój z fenickim lustrem. Znowu w ten sposób naraził się Mioduszewskiemu, który zatrzymanych skinów trzymał na korytarzu i chciał tu urządzić okazanie. Uważał, że Blaszkowski robi niepotrzebne ceregiele i patyczkuje się

161

z gówniarzem, jednak w końcu uległ, widząc, że z tym młodym z kw nie da się pogadać. Zaprowadził więc dla spokoju ducha zatrzymanych do pokoju i ustawił ich na wprost okienka z lustrem, niewiele większego od okienek w kioskach Ruchu. Kazał skinom ustawić się w szeregu twarzą do niego i grzecznie czekać. Potem wyszedł z pokoju, pozostawiając z nimi milicjanta, żeby nie mieli czasami możliwości porozmawiania ze sobą. Chodziło o to, żeby nie mogli uzgodnić zeznań, próbując wymyślić jakąś fikcyjną wersję zdarzeń. Po chwili na korytarzu pojawił się Blaszkowski z chłopakiem. Mioduszewski otworzył im drzwi do pokoju okazań

i wszedł za nimi do środka.

- No i co powiesz, chłopaku? Znasz tych tysiąch zasrańców? -

spytał porucznik, zadowolony z siebie i z efektów swoich działań operacyjnych, które przyniosły tak ważny skutek, jakim było zatrzymanie podejrzanych.

- Poruczniku, a dlaczego nie ma tu jeszcze innych zatrzymanych? Przecież na okazaniu wybiera się podejrzanych spośród grupy kilku osób? - zdenerwował się Blaszkowski.

- A na cholere nam inni jeszcze, jak mamy tych, co potrzeba. - Mioduszewski zaśmiał się głośno, a potem klepnął w plecy Gucia.

- No mów, szczone, znasz tych tysoli?

- No, to są ci z tego namiotu. Ten największy to jest Baca, ten chudy to jest Gonzo, ten najmniejszy to Fazi, a ten, co ledwo stoi, to ja nie pamiętam, jak na niego mówią.

- No widzicie, poruczniku, zbędne ceregiele z mieszaniem okazywanych. I tak wyszło na moje...

- I to oni pożyczili od ciebie gitarę? - pytał dalej Blaszkowski, nie zwracając uwagi na porucznika.

- No, oni tam byli i była jeszcze dziewczyna, ale gitarę to nie oni pożyczili.

162

-A kto?

- Charon.

-Kto?

- No taki gość, co był razem z nimi. On przyszedł do mnie po gitarę i powiedział, że będzie grać obok, u moich sąsiadów, dlatego mu ją pożyczyłem, bo niedaleko chciał ją wziąć.

I nawet poszedłem z nim na chwilę zobaczyć, czy na pewno umie grać. No wie pan, bo jakby walił w nią jak w bęben, to bym mu zabrał. Ale grał całkiem niezłe, palcówką grał...

- A jak ten Charon wyglądał? - dopytywał dalej Blaszkowski, który natychmiast wyczuł, że to, co mówi chłopak, to coś istotnego.

- Miał takie długie włosy i taką hipisowską suknię związaną paskiem.

- No to wyglądał jak każdy hipis w Jarocinie - skomentował złośliwie Mioduszewski, który natychmiast zauważył, że te informacje mogą oddalić zainteresowanie śledztwa od zatrzymanych przez niego skinheadów. A przecież to oni byli właścicielami namiotu, w którym dokonano morderstwa. Teraz trzeba było tylko znaleźć ich powiązania z tym zakrwawionym gnojkiem, którego zatrzymał rano i który już się do wszystkiego przyznał. Gdyby to się udało, to cała zaśluga ujęcia sprawców, czy sprawcy i jego pomocników, przypadłaby jemu. Tymczasem ten tu wyjeżdża z jeszcze jakimś hipisowskim obszcymurem.

Gucio spojrział na podłogę, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Blaszkowski cierpliwie czekał. Cisza przedłużała się i już porucznik Mioduszewski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Mariusz powstrzymał go gestem ręki.

- On był trochę inny... - zaczął niepewnie chłopak. - Znaczą się, taki trochę nawiedzony, no ja nie wiem, jak to powiedzieć, taki odjechany, jakby był na haju...

163

- Jak po zażyciu narkotyków? - pomógł mu Blaszkowski.

- No właśnie, ale on chyba był taki dziwny z natury, a nie po trawce czy czymś takim. Tak mi się wydaje.

- Czyli jakiś świr? - wtrącił się porucznik Mioduszewski.

- No można właściwie tak powiedzieć, że taki lekko podświrowany był ten Charon. No bo kto normalny nosi przypięty do paska młotek.

godzina 21.35

Teofil błyskawicznie ocenił, z kim ma do czynienia. Czterech smarkaczy z butelką dobrego peweksowego alkoholu. Żaden z nich nie wyglądał na osiemnaście lat, więc sprawa była prosta.

- A co się pan nas doczepia. Idziemy, chłopaki - powiedział ten z butelką i odwrócił się od Olkiewicza.

- Nie tak szybko, kawalerowie. Milicja Obywatelska jestem. - Mówiąc to, wyciągnął legitymację służbową i machnął im przed oczami. - No, to jak ja już wam się przedstawiłem, to teraz kolej na was. Legitki szkolne dawać, ino migiem.

Chłopcy niechętnie sięgnęli do kieszeni i wydobyli legitymacje. Okazało się, że chodzą do ósmej klasy. Miał więc ich w ręku.

- Alkohol rekwiruję, zrozumiano? A po legitymacje zgłosicie się jutro na komisariacie.

- Ale psze pana, niech pan nam odda legitymacje, przecież myśmy nic nie ukradli -- próbował go przekonać były właściciel flaszki.

- Nie? A skąd ta butelczyna?

- Z domu...

- Tata ci dał w prezencie? - Olkiewicz się zaśmiał, bo to, co powiedział, wydało mu się bardzo śmieszne. Wyobraził sobie bowiem, jak ojciec wręcza butelkę gówniarzowi.

- No nie... -- odpowiedział chłopak, wbijając zakłopotane spojrzenie w ziemię.

- No, toś, szczone, ojcu podprowadził z barku, jak mi się widzi. Legitymacje będą do odbioru jutro na komendzie. Chłopak nie podnosił oczu, był bliski płaczu. Jego koledzy również patrzyli na czubki swoich butów. Znaleźli się w beznadziejnym położeniu. Wymknęli się z domu na koncert. Chcieli posłuchać muzyki, a przy tym przez moment poczuć się jak ich starsi koledzy. Do tego potrzebny był im alkohol, którego nikt nie sprzedałby im w sklepie. Ale ukradzioną z barku ojca butelka rozwiązywała problem. Wypiliby po kilka tyków i zaczęłyby się zabawa. Jednak, niestety, wpadli już na samym początku, i to w sposób najgorszy z możliwych. Bo gdyby butelkę odebrał im jakiś starszy koleś, mógłoby to się skończyć najwyżej na kopniakach w tyłek. Chcieli tego właśnie uniknąć, więc poszli na samą górę widowni, by tam spokojnie dokonać aktu konsumpcji. Ale jak na złość napatoczył się ten gliniarz po cywilnemu i wszystko runęło w jednym momencie. Legitymacje do odbioru w komendzie to było coś z najbardziej koszmarnego snu. Oznaczało, że dostaną swoje dokumenty z powrotem, tylko że dowiedzą się o tym rodzice i szkoła. Mieli więc kompletnie przerąbane.

Olkiewicz popatrzył na butelkę, a potem na chłopaków stojących przed nim. Usiadł na ławce i pomyślał przez chwilę.

Trochę było mu ich żal, bo przypomniał sobie, jak to na meczach Warty Poznań, wiele lat temu, sam popijał z kumplami z podstawówki wino patykiem pisane. Wtedy, tak samo jak dzisiaj, trzeba było być nie lada chojrakiem, żeby zdobyć się na taki wyczyn w sytuacji, gdy każdy dorosły mógł się okazać

165

wrogiem czyhającym na ich z trudem zdobyte flaszki. Nagle przez głowę przeleciała mu szybka jak Irena Szewińska, genialna myśl:

- A zacie wy może takiego jednego klienta z obklejonym klubrem, co się nazywa Zenuś? Taki śmierdzący papudrak z długimi kudłami.

-Ja znam, panie oficerze - powiedział szybko mały, stojący z lewej strony, którego już wcześniej Teofil ocenił jako wzorowego wywijasa. Chłopak, mówiąc to, podniósł do góry rękę, złączając dwa palce, jakby zgłaszał się w szkole do odpowiedzi.

- Jesteście tutejsi?

-Co?

- Czyście są stąd?

- Znaczą się z Jarocina? -- zapytał mały.

- Jesteśmy z Jarocina - odpowiedzieli chórem.

- Co to za jeden jest ten Zenuś?

- A, taki miejscowy rojber on jest.

- Z Jarocina?

- No, mieszka na i Maja - wyjaśnił gorliwie chłopak, który chyba dostrzegł szansę na odzyskanie legitymacji.

- A widzieliście go gdzieś tutaj?

- Dziś nie, ale pewnie tu łązi, szuszał jeden, i ludzi naciąga na ćmiki.

- Jak ni ma ćmików, to zbiera pety na mieście - dodał ten od butelki.

- I flachy po gorzole zbiera, i do skupu jeździ z wózkiem - uzupełnił gorliwie milczący dotąd szczupły blondyn, stojący najdalej z prawej.

Olkiewicz, który postawił przed sekundą odebraną butelkę na cementowej podłodze, oparł ręce na kolanach i spojrzął z uśmiechem na chłopaków.

166

- To ja wam powiem tak, nędzni pijaczkowie. Jak wy mi tego Zenusia znajdziecie i do mnie onego zholujecie, to ja wam zaraz te legitymacje wasze w nagrodę oddam. No i co, idziecie na to?

- A jak jego nie będzie tu? - zapytał ten mały cwany.

- To wy się wywiecie, gdzie on dokładnie mieszka, i napiszecie mi adres na kartce. Tylko to musi być prawdziwy adres, a nie żadne gówno wymyślone. Bo jakby nie pasował, to ja jutro przyjdę do was do domu z mundurowym funkcjonariuszem i wypytam o wszystko, bo adresy wasze to ja zaraz se spiszę do notesu i już mi nie znikniecie, kawalerka.

- No ale panie milicjancie, jak my go znajdziemy, to jak mamy mu powiedzieć, żeby on z nami tu przylazł? Przecież on będzie miał nas w nosie. I jeszcze ten Zenuś może nam bęcki spuścić, jak go będziemy ciągnąć tutaj.

Olkiewicz klepnął się z radości w udo, bo ten pomysł coraz bardziej mu się podobał. Nie musiał nigdzie łązić, mógł

sobie spokojnie pociągać z zarekwirowanej flaszki, czekając na efekt swoich działań operacyjnych. Całą robotę odwalą za niego młodociani wywiadowcy.

- Słuchajcie, szczone. Zenuś pewnie lubi wychlać, nie?

- Lubi -- odpowiedzieli niemal jednocześnie chłopcy.

- Lubi zajarać?

- No lubi.

- No to powiedzcie mu, jak go znajdziecie, że jest tu na widowni jeden gość, co ma przy sobie flaszkę gorzoly i ćmiki i można mu to wszystko podebrać, bo jest nawalony jak stodoła, ale wy sami nie poradzicie, potrzebujecie kogoś starszego, co by mu to wszystko wyskubał. Jak ja się znam na życiu, to on nie przepuści takiej okazji.

Widać było, że plan przypadł im do gustu, bo żaden nie odezwał się z jakimiś wątpliwościami. Zenuś był hieną

167

i ścierwojadem, więc dobrze wiedzieli, że wykorzysta każdą sytuację, by wysepić papierosy czy podprowadzić flaszkę.

Zresztą podczas całego festiwalu niczym innym się nie zajmował, jak tylko sępieniem na polu i na koncertach.

Chłopcy już chcieli lecieć, ale ten od flaszki zatrzymał się jeszcze niezdecydowany. Wątpliwości, jakie malowały się na jego twarzy, Olkiewicz dojrzał natychmiast.

- No i co tak stoisz, jak koziołki przed tryknięciem? - zapytał milicjant.

- Odda nam pan legitytki, jak podeślemy Zenusia?

Teofil spojrzął na chłopaka, groźnie marszcząc brwi, a palcem prawej ręki pogroził mu.

- No, a co ty myślisz. Jak powiedziałem, że oddam, to szlus. Umarł w butach i fertig. Na słowie milicjanta polegaj jak... - przez chwilę milczał, bo zapomniał, na kim to się ma zawsze polegać, ale po sekundzie przypomniał sobie i radośnie się uśmiechnął. - Jak na słowie czekisty!

rozdział

V

poznań

godzina 22.50

Przestrzeń między akademikiem numer pięć i stołówką studencką politechniki wypełniały dudniące dźwięki muzyki. Utworu nie dawało się rozpoznać, bo melodia została gdzieś w środku, a na zewnątrz przebijały się tylko basowe rytmiczne uderzenia bębnów.

-- Łeżej, nie bądź taki, wpuść nas! Przyjechaliśmy na dyskę specjalnie z Lubonia -- przekonywał długowłosy blondyn postawnego bramkarza, który ze złożonymi rękami stał w drzwiach klubu. Przed nim zebrał się mały tłumek kilkunastu młodych ludzi, bezskutecznie próbujących pokonać cerbera.

W piątkowe i sobotnie popołudnia przed studenckim klubem Trops, na poznańskim Poligrodzie, zawsze był duży ruch. Klub, który należał do awf-u, organizował w dwa weekendowe wieczory otwarte dyskoteki, nie tylko dla studentów, ale także dla młodzieży niestudiującej. W te dwa wieczory mógł tu wejść każdy. Tylko że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, by dostać się do środka. Klub miał określoną pojemność, więc sprzedawano jedynie tyle biletów, ile osób dało się upchnąć

na parkiecie i przy stolikach, tak aby nie panował zbyt wielki

169

tłok. Spóźnialscy mogli liczyć albo na łaskę bramkarza, który od czasu do czasu litował się nad jednym czy drugim, a częściej nad jedną czy drugą z oczekujących, albo na to, że jakiś gość wyjdzie wcześniej i zwolni się miejsce.

-Wszystko zajęte, że szpilki nie upchniesz. Trzeba czekać, aż ktoś wyjdzie, to będę mógł wpuścić. Tylu wpuszczam, ilu wyjdzie - tłumaczył beznamiętnym matowym głosem napakowany ochroniarz.

-Ja mogę zapłacić nawet za podwójny bilet - zaoferował chłopak z Lubonia. - No przecież niemożliwe, żeby było tyle ludzi w środku, żeby jeszcze kilku nie dało się wepchnąć.

Przecież nie będę tu tkwił jak kotek w płocie, zamiast się bawić. Po to przyjechałem do Poznania, żeby se tu postać, czy jak?

-Ja też mogę dać więcej - zadeklarowała szczupła blondynka w dżinsach i obcisłej czarnej koszulce.

- W pompie mam waszą kasę - uciął te łapówkarskie propozycje cerber. - Jak się zrobi luźniej, to wejdziecie.

Mówiąc to, otarł wierzchem dłoni pot z czoła. Tego wieczora było wyjątkowo parno. Tegoroczny sierpień zaczął się wielkimi upałami i wszystko wskazywało na to, że tak będzie jeszcze długo. W prognozie pogody „Dziennika Telewizyjnego” zapowiadali niewielkie ochłodzenie dopiero w drugiej połowie miesiąca. Bramkarz przyjrzał się uważniej stojącej metr od niego blondynce. Lustrując ją od stóp do głów leniwym spojrzeniem, na chwilę zatrzymał się na lekko wil-

gotnym dekolcie i kształtnych niewielkich piersiach, przykrytych szczelnie dopasowaną koszulką. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak mogą wyglądać bez tej koszulki. Pomyślał, że dobrze by było to sprawdzić.

- Dobra, ty możesz wejść - zdecydował, patrząc cały czas na dziewczynę.

170

- Zara, chwilka, ja byłem pierwszy, a ta młoda przyszła po mnie, jak tu już stałem... - zaczął się wyklócać chłopak z Lubonia.

Ochroniarz bezceremonialnie odsunął go na bok, robiąc przejście dziewczynie.

- Ciąg stąd, szmaciarzu, bo ryło wyklepię i na kotlety przerobię, a ty, mała, się ładuj do środka.

Dziewczyna skwapliwie skorzystała z propozycji i po sekundzie była już za szklanymi drzwiami, przyozdobionymi nieaktualnym plakatem informującym, że „koncert Starego Dobrego Małżeństwa odbędzie się szóstego czerwca w salce telewizyjnej ds numer sześć”. Na chwilę na zewnątrz przedarło się parę taktów piosenki Strange love zespołu Depeche Mode.

W tym momencie od strony stołówki politechniki wolno podjechała pod dyskotekę biała honda civic. Auto zatrzymało się tuż obok wejścia do akademika. Gdy zgasł silnik, drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadł krótko ostrzyżony, ubrany w ciemne sztruksy i sztruskową kurtkę tego samego koloru, dobrze zbudowany, wielki jak szafa mężczyzna. Na oko mógł mieć około czterdziestu lat. Zamknął swój luksusowy samochód, a potem dziarskim

krokiem ruszył w kierunku klubu.

Ochroniarz pomyślał, że to musi być jakiś ważny gość.

Wskazywało na to porządne ubranie, no i przede wszystkim samochód, którego pozazdrościć mógł każdy właściciel wytworów rodzimej myśli technicznej.

Mężczyzna bez trudu przebił się przez grupkę niedoszłych dyskotekowych imprezowiczów, bo ci rozstąpili się, robiąc mu przejście. Gdy doszedł do drzwi, stanął, wyjął paczkę marlboro i podsunął ją bramkarzowi. Ten natychmiast skorzystał z okazji i wyciągnął z paczki papierosa. Facet w sztruksie

171

podał mu ogień, a potem sam zapalił. Obaj stojący naprzeciw siebie byli podobnej postury, mocno zbudowani, barczyści mężczyźni w milczeniu mierzyli się spojrzeniem. Pierwszy spuścił wzrok bramkarz. Oceniał właściwie nowo przybyłego.

W starciu nie miałyby z nim żadnych szans. Z gościa emanowała jakaś dziwna moc, której on, zaprawiony w wielu bojach i potyczkach klubowy wykidajło, nie potrafiłby nazwać, ale wyczuł ją natychmiast. Zresztą spłaszczony nos boksera, świadczący o dużym doświadczeniu sztruksowego, mówił sam za siebie. Zadrzeć z nim znaczyło tyle, co wykupić sobie bilet ekspresowy na Junikowo. Bramkarz natychmiast to zauważył i dlatego wiedział już, że jeśli ten facet będzie chciał wejść do środka, to wejdzie bez żadnego gadania, a on jeszcze pójdzie z nim na salę, by zrobić dla niego miejsce. Ale tamten wcale nie zamierzał wchodzić na dyskotekę.

- Jak się nazywasz? - zapytał bramkarza.

- Chłopaki mówią na mnie Kotlet - uśmiechnął się dum-

nie Kotlet. To przezwisko zawdzięczał swojemu ulubionemu powiedzonku. Gdy ktoś go wkurzył, ostrzegał delikwenta, że przerobi go na kotlety.

- Przerabiasz frajerów na kotlety? -- domyślił się gość.

- No, zdarza się nieraz. Taka robota - odpowiedział skromnie Kotlet.

- Słuchaj, Kotlet, szukam Gały - powiedział i strzepnął popiół z papierosa. - Znasz go?

- Łe, co mam nie znać, robił tu ze dwa lata. Dłużej ode mnie...

- Robił?

- No mówię. Już nie robi. Jeszcze przed wakacjami odszedł z klubu. Mówił, że zakłada własny interes. Tylko nie chciał powiedzieć, o co idzie.

- Wiesz, gdzie mieszka, gdzie go można znaleźć?

172

- Podobnież ma gdzieś chatę koło Półwiejskiej. Coś jakby na Rybakach, ale dokładnie gdzie, to ja nie wiem, bo to nie mój kumpel jest, ten Gała.

- A kto może go znać lepiej, kto będzie wiedział, gdzie go znajdę?

- No to chyba najlepiej to jest rozeznany kierownik.

On Gałę zatrudniał i pewnie ma jeszcze jego papiery...

- No to prowadź mnie do kierownika. Jak ci na imię?

- Rafał.

- No to prowadź, Rafał, bo czasu za dużo to ja nie mam.

Rafał posłusznie otworzył drzwi. Na zewnątrz, prócz nieprzyjemnego zapachu spoconych ciał i ostrych dezodoran-

tów, wydostały się uwolnione z dyskotekowego tłoku czyste dźwięki przeboju zespołu Red Box For America.

Obaj mężczyźni zniknęli w środku, odprowadzani nienawistnymi spojrzeniami tych, którzy nie mieli tyle szczęścia, by przekroczyć próg bramy dyskotekowego raj.

Bramkarz szedł przodem, prowadząc po schodach na pierwsze piętro. Tam w niewielkim korytarzyku zatrzymał się przed białymi drzwiami ozdobionymi tabliczką „Kierownik klubu”. Przystanął na sekundę, a potem zapukał i zaraz nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Kierownik, wieczny student, lekko łysiejący grubas, wyraźnie po trzydziestce, siedział za swoim biurkiem z wyrazem błogości na twarzy. Był tak zajęty, że nie zauważył wejścia gościa. Całą jego uwagę pochłaniała głowa o jasnych włosach poruszająca się rytmicznie między jego udami.

- O Jezu! - jęknął kierownik, tymczasem ochroniarz Kotlet, widząc, co się dzieje, błyskawicznie wycofał się za próg. Szarpnął za rękaw mężczyznę, którego przyprowadził, ale ten, nieskonfudowany, stał dalej, patrząc z uśmiechem na kierownika i jego nastoletnią przyjaciółkę.

173

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział w końcu, siadając w fotelu przy ścianie szczelnie obklepionej plakatami zespołów muzycznych. Obie postacie za biurkiem zastygły w przerażeniu. Pierwsza zareagowała dziewczyna.

Podniosła się z kolan i spojrzała na intruza.

- Co tu, kurwa, robisz, gnoju? Ciąg stąd, ale już!

- No właśnie! - warknął kierownik, podnosząc się z fotela,

ale zaraz usiadł z powrotem, bo rozpięte spodnie spadły mu na kolana.

- Może troszkę grzeczniej - powiedział gość, po czym błyskawicznie wstał, złapał dziewczynę za rękę i wypchnął ją z pokoju na korytarz. Potem zamknął drzwi na zamek patentowy od środka i znów usiadł na fotelu. Kierownik wykorzystał ten moment, by doprowadzić się do porządku. Podciągnął spodnie i szybko usiadł wyprostowany za biurkiem, odwracając się twarzą do mężczyzny.

- Co to za najście, do cholery? - odezwał się drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Żadne najście, szanowny kierowniku. To tylko służbowa wizyta w ważnej sprawie. Powiedziałbym nawet, w sprawie niecierpiącej zwłoki. Mam nadzieję, że nie obraził się pan, że odprowadziłem panienkę do drzwi. Nie chciałem, żeby słyszała, o czym będziemy rozmawiać.

- A pies z nią tańcował - machnął ręką kierownik. - Ale chciałbym wiedzieć, kto pan jest i o co chodzi?

Mężczyzna wyciągnął paczkę papierosów i podsunął je siedzącemu naprzeciwko kierownikowi. Ten skwapliwie przyjął peweksowskiego marlboro. Zapalili.

-Jestem Czechu. Nazwisko panu nic nie powie. Wystarczy, że wspomnę tylko, że pracuję w inicjatywie prywatnej dla pewnego bardzo wpływowego człowieka. A pan jak się nazywa, kierowniku?

174

- Bednarski jestem. Kierownik klubu studenckiego, Bednarski.

- No to prezentację mamy już za sobą. A teraz, panie Bednarski, niech pan posłucha. Mój szef chciałby spotkać się z pańskim pracownikiem, niejakim Gałą.

- Domagała.

- No mówię, że nie Domagała, tylko Gała.

- Gała to Domagała. Takie przezwisko od nazwiska - wyjaśnił Bednarski.

- Rozumiem - zaśmiał się Czechu. - No to ten Domagała-

-Gała jest mi niezbędnie potrzebny natychmiastowo.

Kierownik Bednarski obrzucił chytrym spojrzeniem Czecha. Na pierwszy rzut oka widać było, że zaczyna coś kalkulować. W końcu musiał być niezłym kombinatorem, skoro potrafił utrzymać się na stanowisku kierownika klubu po osiągnięciu wieku chrystusowego. Trzeba nieźle lawirować, aby mając trzydzieści pięć lat, być w dalszym ciągu studentem. Bo kierownikiem klubu studenckiego, zgodnie z ucelnianymi przepisami, mógł być tylko student. A Bednarski był studentem trzeciego roku budownictwa lądowego. Studiował już piętnaście lat, nie ukończywszy dotąd żadnego kierunku. Zaczynał studia cztery razy. Na każdym z kierunków, na które udało mu się dostać, wykorzystywał wszystkie możliwe dziekanki i powtarzania roku, by trwać w najlepsze na swojej ciepłej posadce, która zapewniała mu, oprócz pokątnych dochodów z dyskotek i koncertów, także pojedynczy pokój w akademiku.

- A co ja z tego będę miał, jeśli powiem, gdzie go można znaleźć?

Czechu błyskawicznie zerwał się z fotela, złapał Bednar-

skiego za rękę i szarpnął nią z całej siły, tak że staw barkowy niebezpiecznie zatrzeszczał. Kierownik wrzasnął z bólu,
75

ale ogromna dłoń napastnika natychmiast zakryła mu usta. Po chwili leżał na biurku kompletnie unieruchomiony. Czechu pochylił się nad nim, zbliżając usta do ucha leżącego.

- Po pierwsze, będziesz mieć satysfakcję, że mi pomogłeś, a po drugie, będziesz miał całe ręce, które mogą ci się jeszcze przydać do wyciągania siusiaka z porów. - Powiedziawszy to, puścił Bednarskiego, a ten usiadł z powrotem na swoim krześle, rozmasowując obolałe ramię.

- Rybaki 14, mieszkania 7. Tam mieszka Domagała. Ale czy jest w chacie, tego nie powiem, bo nie wiem. U nas już nie pracuje.

- Czemu odszedł?

- Nie odszedł, tylko został wylany na mordę, bo zajmował się nie tym, co trzeba. Na bramce kręcił swoje lody i sprzedawał gówniarzom narkotyki. Więc nie mogłem gnoja tu trzymać.

- A więc koleś robi w biznesie narkotykowym?

- Gówno, nie biznes. Koleś gotuje kompot makowy i takie paskudztwo sprzedaje dzieciakom. To nie narkotyki, tylko trucizna.

- No i widzi pan, panie kierowniku, nie można tak było od razu? Zaoszczędzilibyśmy sobie kłopotu.

godzina 23.30

Wielka, tłusta mucha latała jak oszalała po całym pokoju, co chwilę zbliżając się do lampki, która ostrym światłem razi-

ła prosto w oczy siedzącego na taborecie chłopaka. To jego
przezwiśka Gucio nie potrafił przypomnieć sobie podczas
okazania zatrzymanych. Może dlatego, że był z całej czwórki
najbardziej niepozorny. Taki chłopak, który na pierwszy rzut
176

oka nadawałby się na ministranta, a nie na skina, ocenił go
Blaszkowski, gdy tylko wprowadzono go do pokoju przesłu-
chań. To porucznik Brodziak zdecydował, że skinów trzeba
natychmiast przesłuchać, nie dając im ani chwili na zastano-
wienie się, zebranie myśli i ułożenie jakiejś pokrętej histo-
rii. Wzięto więc czterech zatrzymanych w obroty w czterech
przylegających do siebie niewielkich pokojach. Chodziło o to,
aby każdy z przesłuchujących miał szybki kontakt z kolega-
mi, gdyby pojawiły się jakieś informacje, które można byłoby
natychmiast skonfrontować. Mariuszowi dowódca przydzie-
lił chłopaka, który wydał mu się najbardziej miękki z całej
paczki. Miał wrażenie, że niedoświadczone podchorąży po-
winien sobie poradzić z wydobyciem od niego wszystkiego
na temat zabitej dziewczyny i tego, jak doszło do jej śmierci.

I rzeczywiście, Brodziak się nie pomylił. Wystarczyło parę
pytań zadanych rzeczowym tonem, by chłopak się załamał.

- Nazwisko, imię, imię ojca... - zaczął standardowo Blaszkowski.

- Ciepela Zbigniew, a imię ojca Damian -- odpowiedział
płaczliwym, łamiącym się głosem skin.

- Urodzony którego?

- Pierwszego grudnia 1972.

- Jaką masz ksywkę, jak kumple mówią na ciebie?

- Ciapek...

- Ładnie - uśmiechnął się milicjant. Ciapkowi jednak wcale nie było do śmiechu. Nie mogąc znieść ostrego światła, pochylił się i zakrył rękami twarz. Mariuszowi wydawało się, że chłopak płacze. Przesunął więc lampę, tak by światło padało na blat biurka, za którym siedział. Nie potrzebował już wywierać presji na przesłuchiwanym za pomocą tej prostej oślepiającej metody. Chłopak był załamany i widać było, że za chwilę wszystko ze szczegółami opowie.

177

- No dobra, panie Ciepiela, zabieramy się do roboty. Teraz opowiesz mi wszystko po kolei, ale bez żadnych krętactw, bo jak będziesz kłamał, to tylko wszystko pogorszysz.

Chłopak wyprostował się na taborecie i zażawionymi oczami spojrzał na milicjanta.

- Powiem wszystko, tak jak było, przysięgam.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

- No właśnie wiem. Wiedziałem, że to się tak skończy. Ja mówiłem im, żeby tego nie robili, że to jest beznadziejnie głupie i że tak się nie robi, ale oni nie słuchali i tylko się ze mnie śmiali, i mówili jeszcze, że jestem dzieciak i nigdy nie dorosnę, jak tego nie zrobię, bo w końcu jak jest okazja, to trzeba z niej korzystać, nie? Ale ja nie chciałem, no to oni sami to zrobili i już mnie nawet nie namawiali, tylko sami tam chodzili do tego namiotu, a Gonzo to nawet tam był dwa razy, tak się gnojkwowi spodobało. No to ja już nie mogłem tego wytrzymać i poszedłem na stadion i jak zobaczyłem milicjantów w mundurach, co stali przed wejściem, to po-

wiedziałem im, co się dzieje... Ale oni mnie olali.

Chłopak przerwał. W pokoju zapadła cisza. Mariusz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. To, czego jeszcze chłopak nie powiedział, a czego milicjant zaczął się domyślać, było tak wstrętne, że nie mieściło mu się najzwyczajniej w głowie. Potrzebował chwili, by zebrać myśli, a potem spokojnie zapytał.

- Chodzili do niej się z nią kochać, a ona im na to pozwalała? - przyjął najłagodniejszą z możliwych wersji wydarzeń.

- Ale tam, zaraz pozwalała. Nic nie mogła powiedzieć, bo była nieprzytomna. Tak się nawaliła tymi jabolami, że nie wiedziała, co się dzieje. Jak się źle poczuła, to Baca kazał jej się położyć w namiocie, że niby se odpocznie i dojdzie do siebie. No i ona tam poszła, a wtedy on poszedł za nią. A nam powiedział, że on z nią kiedyś chodził i że właściwie to jest

178

jego laska i dlatego on do niej pójdzie, tam, do tego namiotu. A potem, jak wyszedł ze środka, to się wszystko zaczęło, bo on zaczął się śmiać i powiedział, że ją wyruchał, a ona jest taką kurwą, że nawet się nie ruszyła i jak my chcemy, to ona jest zupełnie nieprzytomna i można ją rznąć, jak się tylko chce i kto tylko ma ochotę. No to ja im powiedziałem, że to jest świństwo i skurwysyństwo. To oni wtedy zaczęli się ze mnie śmiać i mówić, że jestem gówniarz, a nie dorosły facet. To ja wtedy im powiedziałem, że w życiu się na to nie zgodzę, żeby oni tam do niej chodzili, i jeszcze, że nie wpuszczę nikogo do namiotu. To wtedy oni wszyscy we trzech się na mnie rzucili i wlali mi, i jeszcze mnie przytrzymał Baca z Fazim. Normalnie to mi by nie dali rady tak łatwo, ale już

byłem nachlany... Tak wtedy usiedli mi na plecach, no i Gonzo poszedł, a potem Fazi...

Blaszkowski wpatrywał się w niego coraz bardziej szerokiemi oczami. Czegoś równie obrzydliwego jeszcze nie słyszał. Owszem, wiedział o przypadkach gwałtów zbiorowych, bo takie przecież się zdarzały, szczególnie wśród ludzi z marginesu społecznego. Ale to, co opowiadał ten chłopak, przechodziło wszelkie granice wytrzymałości normalnego człowieka. Niby zwykli chłopcy z podwórka, dziewczyna z ich szkoły, która ma do nich zaufanie jak do starych kolegów, a oni... szkoda gadać. Wszystko się w nim zagotowało. Wiedział, że jako milicjant i w przyszłości oficer śledczy powinien do takich spraw podchodzić z dystansem godnym zawodowca. Ale nie potrafił. Popatrzył uważnie na chłopaka i zauważył, że on również nie mógł się z tym pogodzić. Dlatego pewnie od razu zaczął opowiadać mu wszystko, jak najdokładniej, by zrzucić z siebie ten ciężar, który przygniatał go do ziemi.

- A ja już wtedy nie wytrzymałem, wyrwałem się jakoś, bo oni jak zrobili swoje, to mnie wcale tak mocno już nie

179

trzymali. Tylko śmiali się ze mnie, że nie chciałem - mówił dalej Ciepela - i poleciałem szukać kogoś na pomoc, no bo chciałem im to przerwać, bo mówili, że jeszcze będą tam do niej chodzić. Ale byłem mocno nachlany, więc jak powiedziałem o tym dwóm milicjantom, co ich spotkałem, to oni w ogóle ze mną nie chcieli gadać i jeden jeszcze mi pałą dał po dupie, i powiedzieli, że bym spierdalał, bo mnie zamkną...

Blaszkowski nagle wstał zza biurka. Gestem dłoni uspokoił

chłopaka, którego przestraszył ten gwałtowny ruch.

- Spokojnie, muszę na chwilę wyjść. - Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał jeszcze raz na chłopaka. - A powiedz mi jeszcze, był tam z wami taki hipis, co się nazywa Charon. On też brał w tym udział?

- Ale gdzie tam. On przylazł do nas wtedy, ale wcześniej, jak jeszcze ta laska z nami piła. Przysiadł się do nas i grał na gitarze, ale przynudzał trochę i Baca go wykopał, to znaczy kazał mu spadać. Mało nie doszło do bójki, wtedy ten Charon wyciągnął młotek, co go miał przyczepionego do paska, i powiedział, że nas wszystkich zajebie, i uciekł.

Brodziak wyszedł na korytarz i podszedł do zapełnionej po brzegi aluminiowej popielniczki. Zapalił papierosa, by przemyśleć swoje podejście do Bacy, który od momentu rozpoczęcia przesłuchania nie chciał przyznać się do niczego.

Mirek zastanawiał się więc, czy aby nie za delikatnie obchodzi się z tym skinem. Może trzeba było zastosować bardziej radykalne metody wydobywania zeznań. Strzepnął popiół, który sturlał się po stercie petów i spadł na podłogę. Cholera, który to już dziś papieros? Zaczął się zastanawiać, ale przy drugiej paczce stracił rachubę.

Palił papierosy od piątej klasy podstawówki. Wcześniej też sięgał po fajki, ale było to sporadyczne popalanie. W piątej był

180

już nałogowcem. Wszystko przez starszych kolegów, którym chciał dorównać. Ci, co mu imponowali, to chłopaki z jego podwórka, którzy w tym czasie chodzili do ósmej klasy. W jego oczach byli prawdziwymi bohaterami, bo potrafili już zwędzić

koła od zaparkowanych na ulicy samochodów czy włamać się do kanciapy na działkach pracowniczych. Ale niestety, żaden z nich nie chciał ryzykować i zabierać na robotę rudowłosego szczona i jego misiowatego kolegi. Bo Miras przyjaźnił się z chłopakiem z sąsiedniej kamienicy, nazywał się Rychu Grubiński. Wszędzie łązili razem i wspólnie obmyślali różne zabawy, które mogłyby doprowadzić do rozpaczy rodziców, oczywiście, gdyby ich rodzice interesowali się tym, co robią ich pociechy. Ale ich starzy nie mieli czasu na zajmowanie się dorastającymi smarkaczami, więc wychowywała ich ulica i rzecz jasna przykład, jaki dawali im starsi koledzy.

Gdy Mirek wracał pamięcią do tamtych czasów, stawała mu przed oczami ich nocna wyprawa do kiosku Ruchu na placu Wiosny Ludów, wymyślona po to, by zaimponować starszym kolegom. Czekali przeszło godzinę na sprzyjający moment. Kiedy na placu nie było nikogo, podbiegli do budki. Rychu kamieniem stłukł okienko, przez które do środka wcisnął się Mirek. Natychmiast zaczął podawać koledze wszystko, co mu wpadło w ręce. Rychu trzymał siatkę, w dwie minuty wypchali ją po brzegi wszelkim dobrem, a potem, nie niepokojeni, przez nikogo, wrócili do domu. W piwnicy, do której poszli dzielić łupy, okazało się, że ukradli cztery kartony sportów, kilka butelek szamponu tataro-chmielowego, dwie paczki zapalek i pudełko żołnierzyków z plastiku. Z żołnierzyków ucieszyli się najbardziej, ale radość nie trwała długo, bo gdy otworzyli paczkę, okazało się, że wszystkie figurki były takie same. Stali się więc szczęśliwymi posiadaczami pięćdziesięciu Grigorijów Saakaszwili.

Nikt nigdy nie dowiedział się, że to oni byli sprawcami tego brawurowego skoku. Tym bardziej że już na drugi dzień milicja zatrzymała czterech ósmoklasistów, tych samych, którym oni dwaj chcieli zaimponować. Okazało się, że zaraz potem, jak Mirek i Rychu uciekli z miejsca popełnienia przestępstwa, przy kiosku pojawili się ich starsi koledzy. Zobaczyli wybitą szybę i długo się nie namyślając, zaczęli kończyć to, co zaczęli tamci. Pech chciał, że ujrzał ich w trakcie tej pracy pewien fryzjer, który miał zakład na Półwiejskiej, a o tej porze wracał z imienin chwiejnym krokiem do domu. Próbował kupić w kiosku papierosy, ale został podstępnie przewrócony. Padł na trawnik koło kiosku i zasnął snem sprawiedliwego. Rano, po nocy spędzonej w izbie wytrzeźwień, trafił na komendę w charakterze podejrzanego. Jednak na jego korzyść świadczył fakt, że w kieszeniach nie znaleziono u niego niczego, co by pochodziło z kiosku. Fryzjer Ratajczak, bo tak nazywał się ów mistrz nożyczek i grzebienia, chociaż w nocy był kompletnie pijany, dobrze zapamiętał napastników, bo znał ich od lat. Wszyscy przynajmniej raz w miesiącu stawiali się u niego na strzyżenie. Bez trudu rozpoznał więc ich czupryny i twarze.

Wszyscy czterej jeszcze tego samego dnia zostali zatrzymani. Milicja znalazła też cały łup, brakowało tylko kilku paczek sportów, kilku butelek szamponu tataro-chmielowego, dwóch paczek zapalek i jednej paczki żołnierzyków. Śledczy nie dali wiary zatrzymanym, że to nie oni wybili szybę w kiosku i że ktoś wcześniej dokonał tam kradzieży. Uznano, że

musieli ten brakujący towar najwyczejniej zgubić podczas ucieczki.

Czterech złodziejasków wkrótce skazano na kilka miesięcy w poprawczaku. Ten wyrok dotknął nie tylko samych skazanych, ale sprawił też, że dwaj inni początkujący złodzieje

182

przeżyli prawdziwy szok. Obaj postanowili, że więcej nie będą obrabowywać kiosków i odtąd staną się uczciwymi obywatelami. Jeden wytrwał w postanowieniu i został milicjantem, drugiemu się nie udało i skończył jako szef poznańskich cinkciarzy.

Zdenerwowany Blaszkowski wyszedł na korytarz, żeby poukładać myśli. W głębi, pod oknem, był kącik dla palaczy.

Stał tam, paląc papierosa, porucznik Brodziak. Mariusz podszedł do niego.

- No, Młody, jak ci idzie rozmowa? - zagadnął go po przyjacielsku oficer.

- Ma pan papierosa?

Brodziak zdziwił się, bo wiedział, że Mariusz nie pali. Ale nie pytając o nic, wydobyl z kieszeni otwartą paczkę marlboro.

Blaszkowski nieporadnie zapalił i zaraz zakrztusił się dymem. Wytrzymał jednak i po chwili wciągnął dym znacznie ostrożniej, ale zaraz go wypuścił, nie zaciągając się.

Dopiero teraz porucznik dostrzegł, że chłopak jest zupełnie blady.

- No mów, co się dzieje, co cię tak wkurzyło?

Nie odpowiedział od razu. Jeszcze raz pociągnął, znów zakrztusił się dymem i w końcu doszedł do wniosku, że palenie

jest do dupy. Zgasił papierosa w aluminiowej popielniczce wypełnionej po brzegi petami.

- A ten pana coś powiedział?

- Idzie gnojek w zaparte. Na razie milczyjak zakłęty i mówi, że o niczym nie wie i że w ogóle nie widział żadnej dziewczyny w ich namiocie.

- Ten, co go pan przesłuchuje, to jest Baca, nie?

- No, tak się przedstawił, to ten największy z nich, taki niby twardziel, ale damy mu radę.

183

- To on zaczął. To robota tego skurwysyna!

- Co zaczął? Mów jaśniej, Młody, bo nie mam siły na żadne rebusy.

- To ten pierdolony Baca zaczął gwałt, a później zrobili to dwaj pozostali. Zgwałcili kilka razy tę dziewczynę, zanim ją zabili.

- Ten twój chłopak opowiedział ci wszystko? - zapytał rzeczowo Brodziak.

- Dokładnie tak jak to wyglądało, minuta po minucie.

Najpierw Baca, potem Gonzo, potem Fazi i znowu Gonzo, drugi raz...

Brodziak zdecydowanym ruchem wcisnął swojego papierosa w stertę petów, tak że część wysypała się na podłogę. Ale żaden z nich nie zwrócił uwagi na taki szczegół.

- Zawołaj, Młody, Grzecha Kowala i tego, jak on się tam się nazywa, Mioduszewskiego. Przerwij im ich przesłuchania i powiedz o wszystkim, czego się dowiedziałeś. Niech przycisną tych swoich gnojków. I powiedz im, że za godzinę chcę

mieć podpisane przez nich przyznania się do winy. A ja teraz pogadam sobie z panem Bacą.

- Poruczniku - Blaszkowski zawołał za odchodzącym. Brodzia odwrócił się na pięcie. - Niech mu pan wyrwie jaja!

godzina 23.35

Głośna, dudniąca muzyka zdawała się wypełniać całą przestrzeń. Ciemność nocy co kilka sekund rozjaśniały jasne smugi punktowych reflektorów, krojących niebo świetlnymi sztychami. Wracając z podniebnych wycieczek, spływały po głowach ludzi tańczących przed sceną i siedzących na widowni. Między tymi, którzy siedzieli pojedynczo lub w małych

184

grupkach, jak w ukropie uwijał się Zenuś i zaczepiał każdą napotkaną osobę, prosząc o cokolwiek - papierosa, łyk piwa czy niepotrzebną już konserwę.

Młodzi wywiadowcy Olkiewicza namierzili go bez większych trudności.

-- Gdzie jest ten klient? - zapytał Zenuś z błyskiem w oku.

Wyczuł okazję i wiedział, że musi z niej skorzystać. To nie było co dopaść faceta, który leży nawalony. Podczas całego jarocińskiego festiwalu Zenuś oskubał już kilkudziesięciu zachlanych chłopaków, kiedy zalegli po pełnych wrażeń przeżyciach na wydeptanym polu namiotowym. Ale to była drobnica, zabierał im jakieś marne grosze, zegarki, papierosy i niedopite resztki wina czy piwa. Czasami udało mu się też obrobić jakiś namiot. Wtedy zgarniał stamtąd wszystko, co dało się upchnąć do plecaka, czyli śpiwory, ciuchy czy w końcu jakieś biwakowe drobiazgi. Ale jak dotąd, podczas całego

festiwalu, nie trafił jeszcze na pijanego dorosłego, i to w garniturze. A z tego, co opowiadali ci gówniarze, wynikało, że jest to facet porządnie ubrany i do tego jeszcze pijący jakąś peweksowską wódkę. Już z daleka Zenuś poczuł duże pieniądze. Nie wiedzieć czemu nabrał od razu przekonania, że ten, o którym mówią chłopaki, musi mieć portfel wypchany po brzegi walutą. Oczami wyobraźni widział już, jak za wyciągnięte od tego leżącego dolary kupuje sobie w peweksie wódkę żytnią z kłoskiem i ananasy w puszcze. Zenuś nigdy dotąd nie jadł ananasów w puszcze, ale marzył o nich od dawna. Kiedyś jeden jego kolega opowiadał mu, że był na takiej imprezie, na której podawali zmrożoną żytnią wódeczkę zmieszaną z ananasowym sokiem, a na zagrychę do tego były, pokrojone w małą kostkę, ananasy z wbitymi w nie wykałaczkami, żeby nie brać z talerza tych kostek paluchami, tylko kulturalnie, za drewnienko. No i ten koleś mówił mu, że to było najlepsze,

185

co w życiu pił i jadł. Że taka zagrycha nie umywa się nawet do szprotek w oleju, nie mówiąc już o paprykarzu szczecińskim. Zenuś dobrze zapamiętał tę opowieść. Śniło mu się nawet kilka razy, że jest ubrany w garnitur i białą koszulę i uczestniczy w takim przyjęciu, na którym jest zmrożona wódeczka żytnia z kłoskiem i ananasy na patyczkach... Mocno wierzył w to, że ten sen się kiedyś spełni i on też będzie mógł sobie taką pańską ucztę zafundować. Od czasu do czasu wstępował nawet do peweksu, by sprawdzić, czy te ananasy mają w ciągłej sprzedaży, bo co do wódeczki, to sprawdzać nie było trzeba. Zawsze stała na swoim miejscu, na półce po

lewej stronie od kasy. Ananasy też były, trzeba tylko trochę pieniędzy i nie ma problemu, ucztą gotowa. Butelka wódki kosztowała dziewięćdziesiąt centów, a puszka ananasów czterdzieści. Czyli nawet nie tak drogo, ale dla Zenusia była to fortuna. Jednak teraz taka fortuna leżała gdzieś w zasięgu ręki i jego skromnych możliwości, strzeżona przez opitego klienta, gdzieś niedaleko, na stadionowych ławkach. Nie ma co się zastanawiać. Trzeba działać.

Zenuś wyciągnął z kieszeni kraciatą brudną chustkę, otarł spoconą twarz i prze pocone ręce. Pocił się obficie, bo noc była duszna i parna, a przecież nie mógł pozwolić sobie na to, by mieć mokre dłonie w chwili, gdy będzie obrabiał faceta. Fałszywy ruch mógłby tamtego zbudzić i wszystko poszłoby się pieprzyć.

- No, to dawaj go tu, młody. Idziemy! - powiedział uradowany Zenuś i ruszył za swoim przewodnikiem. Chłopcy z grupy poszukiwawczej Olkiewicza mieli szczęście. Zlokalizowali Zenusia bardzo szybko. Kręcił się koło wejścia na stadion, naciągając przechodzących na fajki. Festiwal kończył się dzisiejszej nocy, więc zostało mu już niewiele czasu na zrobienie zapasów. Zaczepiał niemal każdego, a wysepione

186

papierosy chował do specjalnej puszki po landrynkach, którą nosił w chlebaku, zwędzonym komuś w przeddzień festiwalu na jarocińskim dworcu.

Teraz chlebak, wypchany po brzegi fantami, miarowo objął mu się o udo, bo Zenuś przyśpieszył kroku, by zdążyć za czwórką przewodników. Gdy weszli na pustą koronę nie-

wielkiego miejskiego stadionu, chłopcy zatrzymali się.

- Co jest? - zapytał zaniepokojony Zenuś. -- Stłenił się facet?

- Nie - uspokoił go szczupły blondyn. - Leży tam, widzisz? -- Wskazał ręką coś ciemnego na ławce na łuku widowni.

- No dobra, obszczymurki, wy zostańcie tu i patrzcie, jak działa fachowiec. Jak go oskubię, to swoją dolę dostaniecie. Czekajcie tu na mnie. - Powiedziawszy to, Zenuś przerzucił przewieszony przez ramię chlebak na tyłek i ruszył powoli w stronę śpiącego. Podszedł bardzo ostrożnie i stanął jakieś dwa metry od jelenia, którego chciał oskubać. Rzeczywiście, wszystko było tak, jak mówili ci młodzi. Facet w garniturze leżał na ławce nieprzytomny. Zenuś był pewien, że gość chrapie w najlepsze, ale tego chrapania nie było słyhać, bo wszystko zagłuszała głośna muzyka płynąca ze sceny. Jeden z reflektorów oświetlających publiczność prześlizgnął się po Zenusiu i zaraz przepłynął po leżącym. Refleks odbił się od butelki, która stała na ziemi pod ławką. Zenuś natychmiast zobaczył, że to łyskacz. Oględziny wypadły nadzwyczaj korzystnie, a warunki do pracy były takie, że lepszych nie można sobie wymarzyć. Zenuś podszedł do leżącego i pomacał jego pierś z lewej strony. Poczuł, że jest tam coś twardego, o pokaźnych rozmiarach. Portfel zapowiadał się bardzo obiecująco. Popatrzył jeszcze na twarz śpiącego i upewniwszy się, że gość jest nieobecny duchem, wsunął rękę pod marynarkę.

187

W tym momencie stało się coś, czego złodziej nie był w stanie

przewidzieć. Zwisająca dotąd bezwładnie prawa ręka śpiącego błyskawicznie chwyciła go za szyję. Mocny uścisk sprawił, że oczy mało nie wyleciały mu z orbit. Na domiar złego Zenuś poczuł, że na jego prawej dłoni zatrzasnęła się jakaś metalowa obręcz. Śpiący dotąd mężczyzna podniósł się gwałtownie i z całej siły uderzył go czołem w przetrącony nos. I to było już wszystko, co z tamtej chwili zapamiętał Zenuś, oprócz oczywiście rozdzierającego bólu, który błyskawicznie wprowadził go w ciemności.

Czterech młodych wywiadowców natychmiast znalazło się przy Olkiewiczu. Ze zdziwieniem patrzyli na Zenusia rozłożonego na ziemi. Milicjant, pochylivszy się nad nim, spokojnie przypinał mu kajdanki do metalowego wspornika ławki.

Olkiewicz, zadowolony z siebie, spojrział na chłopaków.

- No, dobrzeście się sprawili. Możecie już uciekać do chaty.

Nic do was nie mam.

- Panie milicjancie, a nasze legitytki? - zapytał były właściciel butelki.

- A właśnie, jako się rzekło, oddaję wam. - Wydobył z kieszeni cztery legitymacje szkolne w plastikowych owijkach. --

Oddaję wam, ale jeszcze jedno musicie zrobić, a właściwie dwie rzeczy musicie zrobić, żeby nasze rachunki się całkiem wyrównały.

Chłopcy z niepokojem spojrzeli na siebie. W końcu dotrzyмали zobowiązania, a ten facet chciał od nich czegoś jeszcze.

Tego przecież w umowie nie było.

Olkiewicz dostrzegł ich konsternację i zaśmiał się radośnie, klepiąc się przy tym swoim zwyczajem po udzie.

- Nic się nie bójcie, szczyony, legitytki są wasze i sprawy ni ma.
Ale musicie mi tu przysiąc się z ręką na sercu, że więcej nie
sięgniecie po gorzołę, a po ojca gorzołę to w szczególności.

188

- Jasne, przysięgamy, jak Boga kocham, już nigdy więcej... -
zaczęli się przekrzykiwać, zadowoleni, że sprawy przybrały
dla nich tak korzystny obrót.

-I jeszcze, jak będziecie stąd znikać, to podejdźcie do
pierwszego milicjanta, jakiego spotkacie, i powiedzcie, że
porucznik Olkiewicz jest tu na miejscu i potrzebuje pomocy,
kapewu?

- Tak jest, panie poruczniku - powiedział szef grupy.

Olkiewicz oddał im legitymacje i po chwili po chłopakach
nie było już śladu. Wyciągnął więc z kieszeni ekstra mocnego
i zapalił. Zaraz sięgnął po butelkę, którą w trakcie czekania
na Zenusia poważnie nadwerężył. Spojrzał z dezaprobatą na
resztkę, jaka w niej została, i opróżnił ją do końca.

- Dobra ta kapitalistyczna gorzoła - powiedział do siebie. -
Nasz socjalistyczny przemysł spirytusowy ma jeszcze długą
drogę do pokonania, żeby dogonić ten cholerny zgniły kapi-
talizm. Tylko jak on, ten kapitalizm, jest taki zły, to czemu
robi taką dobrą gorzołę?

poznać

godzina 23.40

Ady co ja teraz mam robić? Kto to mógł wiedzieć, że te
szczyony będą tam czekać na mnie. I co ja za to mogę? Pan
Rychu powiadał mi, że mam się nie martwić, ale przecież to
jest właśnie moja wina. Jakbym się nie zasiedział w Wuzecie,

tobym był na czas pod peweksem i nic by nie było...

Tunio chwycił szklankę do połowy napełnioną wódką Bałtycką i wypił wszystko duszkiem. Potem uśmiechnął się jednak tak żałośnie, że nawet nie pokazał się jego złoty ząb. Widać było na pierwszy rzut oka, że jest naprawdę roztrzęsiony.

189

- Nie martw się, złotko, wszystko się jakoś łoży - powiedziała pani Weronika, właścicielka domu uciech wszelakich, mieszczącego się w starej willi przy ulicy Kaliskiej. Widząc, że szklanka Tunia jest pusta, odwróciła się za siebie. Na ryczce pod oknem siedziała pani Bronia, postawna kobieta o wielkich dłoniach, która tymi dłońmi potrafiła zarówno wyszywać piękne makatki, jak i przylać w gębę klientowi, jeśli nie potrafił się kulturalnie zachować. Kobieta natychmiast domyśliła się, o co chodzi szefowej. Podeszła do lodówki Polar i wyciągnęła ze środka kolejną butelkę bałtyckiej. Otworzyła ją i postawiła na stole, przy którym obok Weroniki siedział załamany Tunio.

Po rozmowie z Rychem i jego ochroniarzem wsiadł w tramwaj i przyjechał tu, na Rataje, do domu, którego właścicielką była pani Weronika. Wiedział, że może tu spokojnie posiedzieć i przemyśleć wszystko, bo w tym miejscu zostanie na pewno życzliwie przyjęty. W końcu Wera to stara przyjaciółka jego szefa, u której Grubiński bywał regularnie, szczególnie często od chwili, gdy jego narzeczona wyjechała na stałe do Niemiec rozkręcać samochodowy biznes. Ale jej przychylność dla Rycha miała też inne podłoże, nie tylko finansowe. Dwa lata temu bardzo pomógł jej w pewnej

sprawie, w którą Weronika wplątała się na własne życzenie. Chciała pomścić na własną rękę śmierć jednej ze swoich dziewczyn i do tego celu wynajęła pewnego niesympatycznego zbira. Jednak sprawy przyjęły tak fatalny obrót, że musiał w nie włączyć się Gruby Rychu, który posprzątał cały bałagan. Odtąd Weronika, która prowadziła niezależną działalność gospodarczą, zaczęła traktować Rycha jak swojego opiekuna. Nie płaciła mu co prawda za ochronę, ale starała się zaspokajać potrzeby jego i jego ludzi, którzy w jej apartamentach zawsze mogli liczyć na poważny rabat.

190

Tunio przychodził tu dość często i można powiedzieć, że nawet zaprzyjaźnił się z Werą. Dlatego teraz nie musiał topić swojej rozpacz przy barze w pokoju gościnnym, ale bardziej familijnie, w kuchni, w towarzystwie właścicielki i jej gospodyni.

- Niech sobie pan strzeli jeszcze jednego, a później zaprowadzę pana do którejś z dziewczynek. Dam panu dziś gratysowy karnet do rana.

- Czy ja wiem, pani Weroniczko kochana. Czy mnie tam dziś myśleć o ksiutach, jak tu taka poważna sprawa się zrobiła. A wszystko przez moją własną głupotę.

- Ady tam zaraz, panie Tunio, ksiuty. Chłop musi se czasami szpycnąć na wyoglane cycki, żeby mu się polepszyło -- wtrąciła się do rozmowy pani Bronia. - Chlapnij se pan jeszcze jednego i leć na wyszki, do tego pokoju, co okna wyglądają na ulicę. Tam panu łóżko już zrobiłam.

- No właśnie - poparła ją Weronika. - Niech pan pójdzie

poleżeć, a jak będzie trzeba, to któraś z dziewczyn przyjdzie na górę.

- Dziękuję. - Tunio z wdzięcznością popatrzył na obie kobiety i wypił kolejną szklankę wódki.

- Najgorsze jest to, że wszystko to przeze mnie jest. Cała ta gemela to przez to, że się zasiedziałem w tej knajpie. Bo jakbym na czas przylazł, to przecież ci szusfole wcale by na mnie nie wyskoczyli, bobym innym tramwajem już dawno pojechał do Junikowa...

W tym momencie Tunio przypomniał sobie moment, w którym chciał wyjść z Wuzetu. Niby dogadali się już z Rowerowym, ale ten jeszcze go przytrzymał i prosił, żeby usiadł. Więc Tunio wrócił do stolika, a tamten wtedy zaczął się wycofywać z ustaleń i złożył mu nową propozycję podziału zysków, propozycję, którą Tunio natychmiast odrzucił, bo była 191

dla niego całkowicie niekorzystna. Dogadywanie zajęło im kolejny kwadrans i gdy już byli blisko osiągnięcia porozumienia, ten od rowerów znowu zaczął wybrzydzać. W końcu stracili w ten sposób pół godziny i gdy Tunio znudzony i porzytywany całą sytuacją chciał już skończyć to ciche gadanie, nagle jego rozmówca przystał na wszystko, co wcześniej zaproponował Tunio. Dogadali się więc. Kiedy wstawali od stołu, zaczęła się ta awantura w szatni i za chwilę zjawiła się już na miejscu milicja. Ale nie to było ważne. Tunio uświadomił sobie, że ta cała rozmowa z Rowerowym była zupełnie idiotyczna. Mogli dojść do porozumienia w ciągu dwóch minut, a oni stracili ponad pół godziny, po czym w rezultacie

wrócili do punktu wyjścia. I w tym momencie Tunio zrozumiał, że Rowerowy wcale z nim nie negocjował. On najzwyczajniej w świecie przytrzymał go na miejscu, by wypuścić z knajpy w odpowiednim momencie. W chwili kiedy ci, którzy mieli na niego napaść, będą gotowi do akcji. Wystarczyło tylko dokładnie prześledzić rozkład jazdy tramwajów i zsynchronizować go z momentem wyjścia Tunia z restauracji. O tej porze tramwaje jeździły przeciętnie raz na pół godziny, więc nie było problemem ustalić, w który tramwaj trzeba wsiąść, by zaskoczyć go na przystanku. Musiał tylko wyjść z knajpy w ustalonym przez napastników momencie. I wyszedł dokładnie wtedy, kiedy oni chcieli, bo zaraz po tym, jak skończyli rozmowę. Rozróżba w barze nie przeszkodziła mu wcale, bo z milicją minął się na progu knajpy, a historyjkę o legitymowaniu gości wymyślił tylko po to, by wytłumaczyć czymś konkretnym swoje spóźnienie na spotkaniu pod peweksem.

Teraz wszystko stało się jasne. Tunio zrozumiał, że napad na niego był dobrze przemyślany i przygotowany, a Rowerowy jest zamieszany w całą sprawę.

192

- Już ja temu gnojowi pokażę - warknął Tunio sam do siebie, gdy zrozumiał, że padł ofiarą chytrej intrygi.

- Co, panie Tunio? - zapytała Weronika, przyglądając mu się badawczo.

- Kochana pani - uśmiechnął się Tunio swoim przeciwczonym uśmiechem, ukazując piękny złoty ząb - już wszystko ogarnąłem i se poukładałem przestrzennie. Wiem, kto mnie

napadł dzisiaj. Już wszystko rozumiem, szanowna pani. Cał-
ściowo zfiltrowałem tę całą sytuację w ogóle i w szczegó-
le nawet również. - To odkrycie tak dalece poprawiło mu
humor, że automatycznie przeszedł na wyszukany sposób
formułowania myśli. - Jeżeli panie pozwolą, chciałbym za-
telefonować do pana Rycha, gdyż mam dla niego pilną in-
formację niecierpiącą na oczekiwanie, gdyż może okazać się
kolosalnie ważna w sprawie i nawet istotna. - Powiedzia-
wszy to, wstał od stołu i z gracją ucałował rękę pani Weroni-
ki, unosząc ją do swoich uśmiechniętych ust.

poznać

godzina 23.50

Biała honda civic stała przy chodniku na rogu Rybaków
i Kwiatowej. Nieco dalej, w miejscu, gdzie ulica Kwiatowa
łączyła się z Półwiejską, na narożniku był peweks, w którym
można było dostać zachodni sprzęt grający. Czechu Kinol,
który siedział za kierownicą hondy, znał to miejsce dosko-
nale. To właśnie spod tego peweksu w zeszłym roku musiał
usunąć trzech cinkciarzy, którzy postanowili przejąć teren
należący do Grubego Rycha. To właśnie dzięki elektronice,
którą tu sprzedawano, miejsce to było szczególnie atrakcyj-
ne dla handlarzy walutą. Ludzie, którzy przychodzili tutaj

193

na zakupy, nie wymieniali drobnych kwot. Tu kupowało się
lub sprzedawało setki marek czy dolarów, bo dobry sprzęt
tv musiał kosztować. Dlatego już nie raz peweks na Pół-
wiejskiej próbowali przejąć obcy cinkciarze. Z pojedynczymi
nachalnymi nowicjuszami ludzie Rycha radzili sobie błyska-

wicznie, spuszczać im lanie w którejś z pobliskich bram czy na jednym z podwórek. Obity i pozbawiony za karę pieniędzy niedoszły cinkciarz zazwyczaj rezygnował i już więcej się w tym miejscu nie pojawiał. Zresztą wszyscy w branży dobrze wiedzieli, że tu pieczę nad sklepem sprawuje Gruby Rychu, i mało kto próbował włożyć mu w szkodę. W zeszłym roku jednak coś się zmieniło. Któregoś ranka pod sklep podjechała grupa kilku osiłków i w kilka minut dosłownie zmiotła cinkciarzy Rycha. Faceci zostali wywiezieni w okolice Kiekrza, tam pobito ich do nieprzytomności i zostawiono nago w lesie. Całe szczęście, że nie było zbyt zimno, wszystko działa się w październiku, i pobici nie pomarli z wyziębienia. Znalazł ich jakiś grzybiarz, który zawiadomił pogotowie. To ich uratowało. Ale nic nie mogło uratować tych, co weszli w drogę Rychowi. Do działania przystąpił Czechu Kinol. Przystąpił zupełnie sam, bez żadnych pomocników. Zasadził się na klatce schodowej kamienicy naprzeciw przejętego przez obcych peweksu. Po godzinie obserwacji znał już cały system. Dwóch stało pod sklepem, a jeden dochodzący, ten od grubszych transakcji, siedział w pobliskiej piwiarni. Co jakiś czas dwaj stacze donosili mu swój utarg. Chodziło o to, by żaden z nich nie miał przy sobie zbyt dużo waluty, którą mogli w razie jakiegoś nalotu skonfiskować milicjanci. Ten system stosowali też ludzie Rycha. Był bezpieczny i nie narażał cinkciarzy na zbyt duże straty. Czechu, widząc to, ocenił, że ma do czynienia z fachowcami z branży. Nie byli to jednak miejscowi handlarze. Tych z Poznania znał wszystkich.

Ci musieli przyjechać tu na gościnne występy, licząc pewnie, że zanim ktoś będzie chciał ich stąd wykurzyć, minie trochę czasu i uda im się zarobić trochę forsy. Czechu na klatce przesiedział niemal cały dzień. Krótco przed zamknięciem peweksu zobaczył, jak jeden z cinkciarzy idzie do piwiarni. Wyszedł więc na ulicę i podszedł do drugiego. Powiedział mu, że ma do sprzedania tysiąc marek. Cinkciarzowi zaświeciły się oczy i natychmiast chciał kupować. Ale Czechu udał strachliwego klienta i zaproponował transakcję w pobliskiej bramie. Wejście, kilka silnych ciosów i zawleczenie nieprzytomnego za szopki podwórkowe trwało nie więcej niż minutę. Czechu zabrał mu wszystkie pieniądze, a na koniec ku przestrodze złamał nieprzytomnemu rękę.

Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy drugi cinkciarz leżał połamany dwa domy dalej. Pozostał jeszcze trzeci.

Czechu poszedł do piwiarni i bez zaproszenia przysiadł się do stolika, przy którym zaniepokojony cinkciarz czekał na swoich kumpli. Grzecznie przedstawił się, powiedział, że przysłała go Gruby Rychu i prosi o opuszczenie należącego do niego terenu. Powiedział mu dla podkreślenia wagi swoich słów, że jego koledzy leżą w bramach z połamanymi rękami. W tym momencie koło piwiarni przejechała karetka na sygnale. Wóz zatrzymał się przy budynku w głębi ulicy. Zaraz wokół karetki zebrał się spory tłumek ciekawskich. Cinkciarz chciał zerwać się i uciec, jednak żelazna ręka Czecha osadziła go na miejscu. Nie trzeba już było go specjalnie namawiać, żeby zgodził się oddać całodzienny utarg. Oddał i zniknął. Nikt z tej grupki nigdy więcej nie pojawił

się na Półwiejskiej.

Na Rybakach było ciemno. W tej części ulicy, w której parkowała honda, nie świeciła się ani jedna lampa. Nie było

195

tu ulicznych latarni, tylko lampy powieszony na stalowych linach przeciągniętych od kamienicy z jednej strony ulicy do przeciwległego budynku. Tak było bezpieczniej, bo o wiele trudniej jest trafić kamieniem w taką wiszącą lampę niż w latarnię. Ale jak widać i to się udawało najzagorzalszym przeciwnikom ulicznego oświetlenia, bo lampa, która miała oświetlać bezpośrednie otoczenie kamienicy, obserwowanej teraz z wnętrza samochodu przez Czecha, była rozbita i ciemna. Nieco dalej, w głębi, w kierunku Strzeleckiej, wisiały za to dwie działające. Oświetlały drogę tym, którzy wylewali się chwiejnym strumieniem z pobliskiej piwiarni, nazywanej przez wszystkich miejscowych amatorów piwa barem u Dudy. Duda był kiedyś właścicielem tej piwiarni. Później, jeszcze w latach pięćdziesiątych, państwo przejęło od niego lokal. Prywaciarz Duda zniknął z szyldu, ale miejscowi i tak, na przekór wiatrom historii i polityce nacjonalizacji w małej gastronomii, nadal chodzili pić do Dudy. O tej porze lokal dawno już był zamknięty, jednak w uliczce do niego prowadzącej kręciło się jeszcze kilku niedopitych osobników, którzy za wszelką cenę starali się znaleźć jakąś okazję, by dzień zakończyć z fantazją i przytupem. Czechu zupełnie obojętnie przyglądał się tym facetom, którzy co jakiś czas schodzili się pod którąś z bram, tworząc kilkusobowe grupki, by zaraz się rozproszyć, przemieszać z innymi grupkami, w koń-

cu zniknąć na chwilę w jednym z podwórek dziewiętnastowiecznych odrapanych, poznaczonych liszajami czynszówek. Niezamykane na noc, niepilnowane przez dozorców bramy stanowiły świetne miejsce do wypicia składkowej flaszki i w miarę potrzeby do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Jedną z tych bram, oznaczoną numerem 12, pilnie obserwował Czechu. Parę godzin temu był tam w środku. Przeszedł przez śmierdzący moczem ciemny tunel i skrzypiącymi 196

drewnianymi schodami dostał się na drugie piętro. Stał przed drzwiami z numerem 7 i zapukał. Najpierw delikatnie, a gdy to nie przyniosło żadnego efektu, uderzył kilkakrotnie zdecydowanie mocniej. To również nie dało spodziewanego rezultatu. W mieszkaniu najprawdopodobniej nie było nikogo. Już chciał zejść na dół, gdy w tym momencie otworzyły się drzwi po prawej stronie klatki schodowej. Najpierw ze środka wypłynęła struga żółtego, mdłego światła z czterdziestowatowej żarówki, a zaraz potem w szparze między framugą a drzwiami pojawiła się kobieca głowa w papilotach i grubych okularach.

- A pan szanowny to względem czego? - zapytała starsza kobieta.

- A nic takiego, miła pani. Szukam takiego jednego szczona. Nazywa się Domagała. Ponoć tu mieszka w tej chacie -- wyjaśnił Czechu, wskazując na drzwi przed sobą.

- Mieszka, mieszka, co ma nie mieszkać. Ino że onego to w domu raczej ni ma. I rychło nie będzie. On tak przyłazi nad ranem. Powiadał mi zaś, że na nocną zmianę robi. Naj-

lepiej, żeby był do mówienia, to przyjść tak na dziewiątą, abo i później. Wtedy to on śpi i na pewno będzie. Bo co rano przychodzi do domu... A teraz to on w ogóle chyba precz pojechał, bo już ze cztery dni będzie, jak ostatni raz ja jego widziała.

- A pani to chyba wszystko wie o tych, co tu mieszkają? -

Czechu się uśmiechnął, patrząc w połyskujące, bystre oczy kobiety. Od razu wiedział, co to za typ. To jedna z tych, które całe dni przesiadują w oknie, oparte łokciami na poduszce rozłożonej na parapecie, i obserwują każdy najdrobniejszy ruch przed domem, a na dźwięk skrzypiących schodów natychmiast zajmują miejsce przy drzwiach z okiem przyklejonym do judasza.

197

- No niby to co tu człowiek może mieć innego do roboty, jak tylko z ludźmi pogadać. Jak się tak gada ze wszystkimi, to się niby wszystkich zna, no nie? To lepsze, jak tak stale na telewizor patrzeć, bo choćby się człowiek nie wiem jak zaparł, to z telewizorem se nie pogada.

- To prawda - przytaknął Czechu, ale powiedział to w taki sposób, jakby chciał już skończyć rozmowę, bo nie bardzo chciało mu się wysłuchiwać wywodów staruszki.

Ta jednak nie dawała za wygraną, w końcu nie co dzień miała okazję pogadać nocą z kimś trzeźwym i dobrze ubranym. Jej jedyną nocną rozrywką było uspokajanie z wysokości okna łażących na dole pijaków. Ale takie rozmowy kończyły się bardzo szybko, kwitowane jakimś obelżywym określeniem, odnoszącym się do jej wieku i proweniencji jej

matki. A ten tu, od razu widać było, że nie do przeklinania jest, ale do mądrej rozmowy, choć kluka miał przetrąconego i gębę dziadowską. Za to jego ubranie śmierdziało peweksem na odległość, więc musiał być to ktoś znaczny.

- Ale z telewizora i tak można się dużo mądrych rzeczy dowiedzieć. Zwłaszcza jak jaki dobry film dadzą. Jak na przykład ten o tym Tulipanie, co tyle dziewczuch oszukał. Aż strach pomyśleć, jakie te baby to są głupie. Żeby takiemu wywija-sowi dać się tak omotać. Nic ino głupota sama, bo widać, że życia nie znają. Ja to takiego szczona, co się tak mizdrzy i uśmiecha, to bym przez próg nie wpuściła, żeby później nie żałować, a tamte to same mu swoje pierścionki oddawały i całe złoto, a nawet samochody. Co to się wyrabia to aż strach pomyśleć...

Kobieta spojrzała przed siebie, jakby w tym miłym mężczyźnie chciała znaleźć potwierdzenie dla tego, co mówi, ale tam, gdzie on dotąd stał, nie było nikogo. Facet zniknął, a ona nawet nie zauważyła kiedy.

198

- Co za chamstwo tu się po klatce kręci! - powiedziała sama do siebie i zamknęła z trzaskiem drzwi, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla niewłaściwego zachowania człowieka, co do którego tak bardzo się pomyliła.

Zobaczył go koło trzeciej nad ranem, gdy siedząc w swoim samochodzie, walczył z ogarniającą go sennością. Już chciał przymknąć oczy, by choć na chwilę wyłączyć się z nocnej rzeczywistości, gdy nagle ujrzał szybko przemykającą postać. Czechu klepnął się mocno po gębie, by odgonić resztki sen-

ności. Poskutkowało, nawet aż za bardzo, bo pysk przeszyła ostra iskra bólu, który zniknął dopiero gdzieś powyżej ucha. Ale w końcu Czechu nie potrafił robić niczego na pół gwizdka. Jak lał w mordę, to z uczuciem, za to bez wyczucia. Ten, na którego czekał, szedł szybko od strony Strzeleckiej, lekko przygarbiony pod ciężarem plecaka. Wszystko się zgadzało: szczupły, wysoki facet z długimi włosami. Jeśli wejdzie do tej bramy, nad którą widniała charakterystyczna płaskorzeźba przedstawiająca twarz brodatego starca, będzie wiadomo, że to ten, którego szuka. Pięć kroków, cztery, trzy, rozejrzał się wokoło, zatrzymując się przed właściwą bramą. Widać oględziny wypadły pomyślnie, bo śmiało ruszył do środka.

- Boisz się, gnojku - wymamrotał pod nosem Czechu. -

No i masz całkowitą rację, jak jesteś na tyle głupi, żeby po tym, co zrobiłeś, wracać na noc do domu.

Zadowolony z siebie, zgasił papierosa w samochodowej popielniczce, a potem wysiadł z auta. Nie musiał się śpieszyć.

Wiedział, że jego klient już mu nie ucieknie. Nie było takiej możliwości.

199

jarocin

sobota, godzina 1.30

Mariusz Błaszowski siedział za przykrytym zielonym suk-nem stołem narad, obok porucznika Brodziaka. Naprzeciw nich usiadł, wyraźnie z siebie zadowolony, lekko podpity podporucznik Teoś Olkiewicz, z mocno zaczerwienionym nosem. W sali zebrali się wszyscy ci, którzy od rana uczestniczyli w śledztwie. Brakowało tylko kapitana Leszczyńskie-

go, bo on po dokonaniu oględzin pojechał z ekipą techniczną do Poznania. Miał przed sobą jeszcze całą noc pracy. Musiał się śpieszyć, by na jutro przed południem dostarczyć zespołowi śledczemu wstępną analizę wszystkich śladów znalezionych na miejscu przestępstwa. Ci, którzy zostali w Jarocinie, zajęli się teraz podsumowaniem tego, co wydarzyło się przez cały dzień.

-Mówię wam, panowie, ani zipnął. Zainkasował strzał w ryja i padł jak długi. Musiałem go jakoś znieczulić, bo wiecie, jakby mi zaczął uciekać, to pewnie bym go nie dopadł. W końcu giry już nie te co dawniej. Ale najważniejsze, że mamy onego pod kluczem, cieszył się Olkiewicz.

- Nie tylko tego śmierdziela, ale też tych czterech z czerwonego namiotu, co zgwałcili i zabili tę dziewczynę - wtrącił się porucznik Mioduszewski, który stał przy otwartym oknie. Dym papierosowy, jaki wypełniał niewielką konferencyjną salkę komendy w Jarocinie, sprawiał, że trudno mu było oddychać. Mimo że sam od czasu do czasu popalał, to jednak nie lubił zadymionych pomieszczeń. Dlatego otworzył okno, by do środka dostało się trochę świeżego powietrza. Niestety, powietrze na zewnątrz było tak parne i gęste, nieporuszone najdrobniejszym podmuchem wiatru, że nie było mowy o tym, by salka się przewietrzyła.

200

- No dobra, panowie. - Brodziak wstał od stołu i sprężystym krokiem przemierzył salę z papierosem w ustach. Nie zapalił go, bo tego dnia wypalił już ponad dwie paczki i czuł się niezbyt dobrze. Odgarnął swoją rudą grzywkę, która zsunęła mu

się na czoło. Zatrzymał się przed Blaszkowskim i powiedział:

- Młody, twoi koledzy - tu spojrzął na grupę podchorążych ze Szczytna, którzy wyglądali jak banda przebierańców - i ty, oczywiście, wszyscy razem zrobiliście kawał dobrej roboty. Od samego początku, to jest od momentu zabezpieczenia miejsca zdarzenia, poprzez zebranie istotnych informacji, aż do odnalezienia koleżanki zabitej dziewczyny. Co prawda podchorąży Zalewski mało nie doprowadził do wybuchu zamieszek pod stadionem, ale myślę, że możemy to złożyć na karb jego braku doświadczenia w taktyce walk ulicznych. Zalewski spuścił głowę i zaczął przyglądać się czubkom swoich butów. Brodziak nie zamierzał jednak pastwić się nad chłopakiem. Dobrze wiedział bowiem, że ten zachował się najlepiej jak umiał.

- Ale podchorąży Zalewski, należy się wam pochwała za zachowanie zimnej krwi w ekstremalnej sytuacji.

Poklepał po ramieniu Zalewskiego, a potem podszedł do Olkiewicza.

- Teofil Olkiewicz znów stanął na wysokości zadania, bo wyłuskał z tłumu Zenusia, czyli osobę, która widziała gościa podejrzanego o to morderstwo. Portret pamięciowy już jest narysowany i jeszcze dziś zostanie powielony. Dostanie go każdy funkcjonariusz tu, w Jarocinie, a rano będzie też we wszystkich komendach województwa. Jest więc szansa, że gość zostanie wkrótce zatrzymany.

- A co z tymi gośćmi, co my ich zatrzymali? -- zapytał nadąsany Mioduszewski, który był przekonany, że to jego skini są sprawcami zbrodni.

- No jak to co, poruczniku? Zapakujemy ich do śledczego i będziemy ustalać, jaka była ich rola. Na razie dwaj z nich przyznali się do gwałtu, jeden idzie w zaparte, a kolejny nam to wszystko opowiedział. Więc poruczniku, macie swoich zatrzymanych. Czy współdziałali w tym morderstwie, do tego będziemy starali się dojść. Na razie mamy na nich na pewno ten gwałt. Pozostałych zgarniętych w ciągu całego dnia już kazałem wypuścić.

Brodziak stanął u szczytu stołu i zapalił wreszcie papierosa. Poczuł gorzki, nieprzyjemny smak, który wypełnił mu usta. Przemógł obrzydzenie i chęć splunięcia, a potem przejechał spojrzeniem po wszystkich zebranych.

- Panowie, nie pozostaje nam nic innego, jak zabrać się na poważnie do poszukiwań młotkowego. Aha, jeszcze jedna sprawa, podchorąży Blaszkowski i podchorąży Zalewski, zostajecie odkomenderowani do dalszego udziału w śledztwie, w związku z tym jutro z Poznania pójdzie teleks do Szczytna, do komendanta szkoły.

Blaszkowski spojrzał zadowolony na Zalewskiego. Perspektywa dalszego udziału w śledztwie była bardzo kusząca. No i przede wszystkim Poznań, gdzie mieszkała pewna sympatyczna dziewczyna, którą Mariusz poznał dwa lata temu... W tym momencie uświadomił sobie, że tu, w Jarocinie, ma jeszcze coś do załatwienia. Na śmierć zapomniał o tym, że dziś miał spotkać się z siostrą. Już na samym początku festiwalu odnalazł ją na polu namiotowym. Tak jak powiedziała rodzicom, przyjechała tu z grupą koleżanek i kolegów z klasy.

Mariusz znał ich wszystkich i wiedział, że tego towarzystwa nie trzeba się obawiać. Troska rodziców jest czymś naturalnym, ale w tym wypadku ojciec chyba jednak trochę przesadził ze swoją opiekuńczością. Aśka była tu z fajnymi przyjaciółmi, wśród których nie ma żadnego rozrabiacza. Mariusz

202

postanowił więc, że nie będzie jej nachodził i sprawdzał, jak się zachowuje. Umówił się z nią, że w ostatni dzień festiwalu zajdzie do nich na biwak. No i niestety zapomniał o tym, porwany wirem wydarzeń. Postanowił, że wcześniej rano pójdzie do niej, pomoże jej się spakować i wtedy będą mieli chwilkę na rozmowę.

Spojrzał na Brodziaka, który zapalał właśnie kolejnego papierosa.

- Obywatelu poruczniku, jutro rano spakujemy swoje ciuchy, zwiniemy namioty i jedziemy do Poznania. O ile oczywiście uda nam się jakoś dostać na pociąg.

- Ależ, panowie, nie będziecie się tłuc pociągiem. Poprosimy porucznika Mioduszeńskiego, żeby dał wam auto z kierowcą. Koledzy z Jarocina na pewno chętnie nam pomogą, co nie, poruczniku?

Mioduszeński uśmiechnął się krzywo. Nie miał wyjścia, musiał dać auto, skoro prosił o to kolega z kw. Ale wcale się do tego nie palił, zwłaszcza że cały aż kipiał ze złości. Był zły, bo właśnie wyszło na jaw, że został zrobiony w konia. Okazało się, że ten młody, który wydawał mu rano rozkazy, wcale nie jest porucznikiem, ale zwyczajnym podchorążym. Ja mu jeszcze pokażę, kto tu rządzi, zagotował się w sobie porucz-

nik, obmyślając już zemstę.

poznań, sobota, 6 sierpnia

godzina 4.12

Włodas Mrowiński, zwany przez kolegów Mrówą, poczuł nagle, że jego prawa noga robi się jakoś dziwnie ciepła. Przyjemne uczucie rozlało mu się ciepłym strumieniem po większej części nogawki i doszło do kolana. Otworzył jedno oko,

203

ale nie zobaczył niczego, oprócz lekko jaśniejącego nieba.

Zdziwił się, że widzi niebo. Zazwyczaj, gdy budził się rano, widział nad sobą sufit swojego pokoju w kamienicy na Półwiejskiej. Skąd tu to cholerne niebo?, zaczął się zastanawiać, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdziwił go też smród, który otaczał go zewsząd. Wokół śmierdziało rozkładającym się jedzeniem, brudnymi butwiejącymi szmatami i kocimi szczynami. Postanowił, że najrozsądniej będzie się rozejrzeć. Uniósł więc głowę, która zaraz jednak opadła mu z powrotem, uderzając w coś twardego, co, jak się domyślił, mogło być cementową posadzką. Dodatkowo przeszył go jeszcze inny ból głowy, tępy i mocny, tkwiący gdzieś w środku mózgu, który nie miał nic wspólnego z jakimkolwiek uderzeniem. Ten ból znał bardzo dobrze, bo towarzyszył od wielu lat jego wszystkim przebudzeniom. Brał się z nadmiaru wrażeń dnia poprzedniego i ze zbyt dużej ilości przepuszczonego przez przetyk denaturatu. Co z tego, że podwójnie filtrowanego przez bochenek chleba. Ośródka zatrzymywała niebieski kolor i może trochę tego świństwa skażającego spi-

rytus. Mimo starań zawsze to jednak był denaturat, a nie porządny korbol. A ile razy przyrzekał sobie, że na korbolkach poprzestanie. Po nich nie ma takiego tępego kaca i łeb tak nie boli. No ale na przyrzeczeniach się kończyło. Zazwyczaj rozpoczynał poranne biesiadowanie pod sklepem z jabołem w rękę, a kończył z denaturatem, bo na nic innego nie było już pieniędzy, a pić się chciało. Przypomniał sobie, jak wczoraj wieczorem, tuż przed północą, poszedł do starej Gwizdałowej z Półwiejskiej, która zajmowała się zaopatrywaniem wszystkich potrzebujących w artykuły pierwszej potrzeby. Prowadziła melinę pełną wszelakiego dobra, od wódki, przez najtańsze wino i piwo, aż po denaturat dla zdesperowanych

204

i najbardziej spragnionych. Kupił butelkę, wysupłując z kieszeni podartej kurtki kilka banknotów. Zapłacił dwieście pięćdziesiąt złotych, tyle, co za konserwę turystyczną w sklepie, jednak znacznie mniej, niż musiałby dać za flaszkę wódki stołowej, która w monopolowym kosztowała tysiąc osiemset, a na melinie dwa i pół tysiąca.

Pieniądze zbierał przez cały dzień, zaczepiając przechodniów na Półwiejskiej i prosząc ich o drobne najedzenie. Pod wieczór wiedział już, że uzbieranych w ten sposób banknotów wystarczy mu na połówkę niebieskiej nalewki na gnotach. Pamiętał jeszcze, że w domu wypił pierwszą szklanekę, a potem niczego już nie pamiętał.

Ciepło, które rozgrzało mu przed chwilą nogę, teraz zaczęło się robić zimne, więc postanowił podnieść się i sprawdzić, co to jest. Szarpnął się gwałtownie do góry i mało nie ze-

mdlał z bólu. Pies, wielki rudy kundel, odskoczył gwałtownie i skrył się za niewielkim murkiem.

- Łe, ty gnoju! - krzyknął za nim Włodas, ale nie za głośno, bo nie miał siły, a i głos wydobył się z przepalonego gardła jakis taki chrapliwy i zniekształcony. Zrozumiał w mig, mimo kacowego przytępienia umysłu, skąd to ciepło się wzięło. Ten cholerny kejter nasikał mu na nogawkę...

Z trudem usiadł i rozejrzał się dookoła. Na prawo od niego stał równy rząd czterech ocynkowanych kubłów na śmieci. Wokół otaczał go ceglany mur. Czyli siedział na środku śmietnika. Rozejrzał się uważniej i stwierdził, że to jego śmietnik, na podwórku kamienicy, w której mieszkał. Poznał charakterystyczne wyszczerbione ceglane ogrodzenie i śmierdzące, brudne kubły, z których często wygrzebywał puste butelki i resztki jedzenia. Poznał też psa, który bezczelnie patrzył na niego, wystawiając ostrożnie zza ogrodzenia kawałek łba. Pies należał do Nowakowej, sąsiadki z trzeciego

205

piętra, która nie miała jednej giry i od kilku lat nie wychodziła z domu, a psa wypuszczała rano - żeby se kejter trochę polotał. Włodas rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem jakiegoś kamienia, którym mógłby rzucić w sobakę. Nie natrafił na kamień, ale na szczęście tuż obok, w zasięgu ręki, leżał jakiś młotek. Wiele się nie namyślając, chwycił go i z całej siły cisnął w psi łeb. Pies był szybszy, schował się błyskawicznie, a młotek z trzaskiem opadł na chodnik.

Gdy się tak wychylił do rzutu, kątem oka zauważył coś dziwnego, wystającego zza ostatniego kubła ze śmieciami. To

coś wyglądało jak noga w bucie. Ale z tej odległości nie mógł dojrzeć szczegółów. Nie było jeszcze jasno, bo słońce dopiero zaczynało wspinać się na niebo, a to, co mogło być obutą nogą, znajdowało się w najciemniejszym kącie śmietnika, którego nawet w samo południe nie oświetlały słoneczne promienie. Zaintrygowany Włodas dźwignął się na kolana i wolno podpełzł do nogi. Zdziwił się, bo rzeczywiście była to noga ubrana w prawdziwe markowe buty. Do tego odziana w sztruksowe spodnie. Noga miała jeszcze jedną dziwnie podwiniętą towarzyszkę w takiej samej nogawce. Co więcej, miała też brzuch opięty kurtką, również ze sztruku, ręce spoczywające nieruchomo na udach i głowę, a właściwie pół głowy, bo jedna jej połowa była dziwnie wklęsnięta, tak jak piłka, w której zabrakło powietrza.

- Łe jery - jęknął Włodas - ale cię sprawili, chłopie.

Zapomniawszy o swoim kacu i bólu głowy, szybko poderał się na równe nogi. Rozejrzał się dookoła, ale nie zobaczył niczego niepokojącego. Na podwórku nie było nikogo, nawet rudego psa od Nowakowej. Błyskawicznie podjął decyzję. Trzeba coś zrobić z tym nieboszczykiem. Bo tego, że ma przed sobą zimnego trupa, był pewien, bo przecież nikt nie mógłby przeżyć z taką dziurą w głowie.

206

Po pięciu minutach ciężkiej pracy na betonowej posadzce śmietnika leżało zupełnie gołe ciało z wklęsniętą czaszką. Po markowych ciuchach i Włodasie nie było śladu. Przyszedł za to pies od Nowakowej, tej bez giry z trzeciego piętra.

rozdział

VI

poznać

godzina 5.15

Ta staro Nowokowo nie mogła ścierpieć tych szczonów, co lotali po całej chałupie i robili gemele taką, że aż łeb boleł.

Tyle razy im godała, że mają stąd iść precz, i co powiecie?

Ani jedyn ni miał ji w poważaniu. Z tego wszystkiygo ta

staro tak się wnerwiała, że aż jej żyłka pękła i szlag ją tra-

fiał. Znaleźli ją, jak leżała na podłodze i koło niej siedziół tyn

kejter. A taki był zawziynty, że żodnymu nie doł do niej dojść.

Wył tak, że my myśleli, że coś się stało. A tu nic, ino że ta

leżała na podłodze, a kejter obok niej.

- Kipiła?

- Całkowicie, na śmierć!

- A kto ją znalazł w tej chacie? - spytała kobieta w chustce na głowie, siedząca na parapecie witryny sklepowej, najbliższej Kaczmarkowej, pulchnej sześćdziesięciolatki o tlenionych włosach ułożonych w piękny kok.

- No, jak to kto, pani Ławicka, przecie gadam, że te szczony z czwartego kija, te wywijasy od Fronczakowy. Siły na nich, cholerników, ni ma. Gdyby ich stary żył, toby im pokazał, jak się trzeba zachować. Ale że bez ojca się chowają, to tak doka-
zują, a ta ich biedno matka se całkiem nie radzi z onymi.

208

- I to oni wpadli do niej do mieszkania? - wypytywała dalej Ławicka, którą zżerała ciekawość. Widziała wczoraj, jak koło południa pod kamienicę naprzeciwko jej domu podjechało pogotowie, a później karawan. Od razu też dowiedziała się

od sąsiadów, że to zmarła Nowakowa, którą znała doskonale, bo od lat spotykały się tu w kolejce, u rzeźnika na Rybakach, tego, pod którym stały w tej chwili. Znały się, ale nie przepadały za sobą, bo tak po prawdzie tej Nowakowej nikt nie lubił, a kolejka spod rzeźnika już szczególnie. Wszystko przez tę jej nogę, a właściwie jej brak. Żeby zająć dobre miejsce w kolejce pod sklepem, trzeba było wstać już o czwartej, a niekiedy nawet o trzeciej, przyjść tu i odstać swoje kilka godzin do otwarcia rzeźnika o siódmej. Tak zachowywały się przyzwoite kolejkowiczki. Jednak były też i takie, które przychodziły pod sklep tuż przed otwarciem i ustawiały się w drugą, uprzywilejowaną kolejkę. Wszystko przez zarządzenie ministerstwa handlu, które wydrukowane na tekturze wisiało na jednej ze sklepowych ścian, obok książki skarg i zażaleń. Rozporządzenie mówiło, że osoby mundurowe na służbie, inwalidzi, kobiety w ciąży oraz z dzieckiem na ręce obsługiwani są poza kolejnością. No i właśnie na mocy tego przepisu Nowakowa mogła przychodzić pod sklep na chwilę przed otwarciem i ustawiać się z drugiej strony. Na szczęście kierowniczka sklepu rzeźnickiego pani Łucja Maciąg była życiową kobietą i wprowadziła zasadę, która pozwalała zminimalizować napięcie między obiema skłóconymi kolejkami. Napisała na maszynie, podbiła pieczęcią i złożyła podpis, a później powiesiła pod ministerialnym rozporządzeniem informację, że podczas sprzedawania towaru obie kolejki, normalna i uprzywilejowana, obsługiwane są na przemian. Mimo wszystko jednak kobiety z prawdziwej kolejki nie nawidziły szczerze tych z antykolejki. Nowakową jeszcze

można było znieść, bo w końcu to prawdziwa kaleka bez nogi, ale inne? Większość z nich wyglądała normalnie, bez wyraźnych, widocznych schorzeń, a miały orzeczenie o stopniu inwalidztwa. Wszystko to pewnie załatwione w pokrętny i oszukańczy sposób, żeby się móc z taką inwalidzką legitymacją rozpychać zdrowymi łokciami pod sklepem, domyślały się ich przeciwniczki, dla których najgorsze jednak były te z brzuchem albo z dzieciakiem na ręku. Młode i silne zamiast stać, jak Pan Bóg przykazał, przyłaziły do uprzywiłejowanej kolejki, obnosząc się z tą swoją ciężą albo wózkiem z dzieciakiem, byle tylko przywłaszczyć sobie, bez żadnego czekania, najlepsze kawałki wędlin i mięsa. W rozmowach pod sklepem pojawiały się nawet takie teorie, że niektóre młode kobiety specjalnie i złośliwie zachodziły w ciążę, żeby tylko uprzykrzyć życie tym uczciwie kupującym.

Ta antykolejka ustawiała się tuż przed otwarciem sklepu, bez czekania i męki nocnego wstawania. A Nowakowa przychodziła pod sklep o szóstej, była więc zawsze pierwszą obsługiwaną osobą i dlatego jej trafiały się najlepsze kęski. Podobnie jak pozostałe kobiety, wykupywała towar nie tylko na swoje kartki, ale także dla wszystkich znajomych i sąsiadów. Nie robiła tego oczywiście bezinteresownie. Ludzie płacili jej za kolejkowe usługi, podobnie jak wszystkim innym kolejkowiczkom, które w ten sposób zarabiały na życie.

- Lecieli po schodach na dół i jak zwykle przed drzwiami Nowokowej narobili rabanu. Oni zawsze dzwonili do niej do drzwi, a później ona się darła na nich z okna. I wtenczas zle-

cieli na dół, a onej nie było w oknie. No to polecili jeszcze raz i znów zadzwonili, ale w chacie było cicho, tylko ten kejter wył jakoś tak żałośnie. No to polecili powiedzieć matce, że pierwszy raz nie wylazła do okna, jak zadzwonili, i chyba się co musiało tam stać, bo kejter wyje. No i ta Fronczakowo 210

poszła na trzecie, zadzwoniła, a jak nikt nie odkluczył, to nacisnęła klamkę i drzwi puściły. Zobaczyła, że ta leży, a kejter przy niej, no i narobiła rabanu, ale i tak wyszła za późno, bo Nowokowo już była bez życia. A ten kejter, jak ją już zabrali, to uciekł z chaty i nikt go nie widział od tamtyj pory.

- Pewnie zdechł z żalu - powiedziała Ławicka, spoglądając smutno na miejsce na parapecie sklepowym, które zazwyczaj zajmowała Nowakowa. - Takie psy, to jak właściciel zemrze, to z utrapienia zdychają, bo tak tęsknią...

- Święta prawda - poparła ją niska brunetka z brwiami namalowanymi czarną kredką. - Gadzina się przywiązuje mocno. Jak mój teść umarł, to zaraz po nim poszła cała pasieka. Wszystkie pszczoły, co do jednej, wyzdychały, takie były przywiązane.

- Łe, kejter to co innego niż pszczoły, mądrzejszy, bo pszczoły są głupie - stwierdziła Ławicka.

- Jakby były głupie, toby miód dawały? A poza tym to czemu wymarły, z głupoty? Ja swoje wiem, niby takie mikre, ale swój rozum mają - zdenerwowała się brunetka.

- Nie z głupoty, ino z tęsknoty - stwierdziła autorytatywnie Kaczmarkowa. - A taki piesek to i tydzień może łązić koło domu i wyć za swoją panią, zanim giry wyciągnie.

- Kiedyś to by go hycel chwycił i byłoby po ptokach, a tak to pewnie gdzieś lato, bo żeby zdechł, to nie powiem, bo nikt go nie widziot od wczoraj.

-I komu to przeszkadzało, powiedz pani, że hycle wyłapywali te kejtry bezpieczeństwa. Kiedyś to był porządek, nie to co teraz. Teraz to i psy na ulicach, a zamiast hycli szkiełót tyle, co nigdy wcześniej. A porządku i tak ni ma. Jedna gemela.

-Święte słowa, pani Ławicka - poparła ją Kaczmarkowa. -

Jedyn wielki rajbach i nie tylko na ulicach, ale i wszędzie. Do czego to podobne, żeby ludzie musieli godzinami wystawać

211

pod rzeźnikiem. Jakby był porządek, toby tu szkiełót i sprawdzał legitymacje tych, co to przyłażą tu do drugij kolejki. Wszystko przez te chłtelerną komunę... -- Nie dokończyła, bo w tym momencie w głębi ulicy rozległ się ryk silnika, a po paru sekundach ukazał się czerwony star ze srebrną budą przyozdobioną niebieskim napisem „pss Społem”. Wyczekiwany przez kolejkę transport mięsa i wędlin zatrzymał się po chwili przy krawężniku tuż przed sklepem. Z szoferki wyskoczył szczupły pomocnik kierowcy, konwojent Krupa, a z drugiej strony wygramolił się potężny, przypominający olbrzymi baleron pan Ziutas, obwiązany w samym środku swej masy szerokim wojskowym pasem. Kobiety znały go dobrze i miały w poważaniu, bo mimo poważnego wyglądu lubił pożartować i dawało się z nim pogadać. Nie robił tajemnicy z tego, co przywoził do sklepu, tak jak ten jego zmiennik Marczak, mrukliwy i nieobyty.

- Szacuneczek, babeczki - uśmiechnął się Ziutas, przepły-

wając lekkim krokiem w kierunku zamkniętych na głucho drzwi sklepu. Zastukał energicznie w szybę, by oznajmić kierownicze, że już czas wziąć się do roboty.

-- A co tam dziś mamy dobrego, panie kochany -- zagadnęła niby od niechcienia Kaczmarkowa.

-- A paróweczki cienkie będą dziś w plastikowym flaku, a z delikatesów jeszcze szynka konserwowa Krakusa w puszkach...

- Parówki cienkie, szynka konserwowa - poszedł po kolejce szept pełen przejęcia, który tym z samego początku dawał radość i serca przepętniał szczęściem, lecz im dalej od czoła, napawał niepokojem, czy aby wystarczy dla nich, czy uda się jeszcze dobrać do tych delicji...

-Jezus Maria! - rozległ się przeraźliwy krzyk gdzieś od czoła kolejki. Te z tyłu zaraz wychyliły się z niepokojem w oczach, czy aby nie ogłoszono, że sprzedaży dziś nie będzie.

212

-Jezu! - krzyczała jakaś kobieta, ale nie w kolejce, tylko nieco dalej, w bramie kamienicy pod szesnastym. Wszystkie spojrzenia powędrowały w tamtym kierunku. Zaraz też wybiegła stamtąd dama w różowym szlafroku, przystrojona w papiloty przytrzymywane siatką na głowie. W ręku trzymała plastikowe wiadro na śmieci.

-Tam na gemeli - wskazała ręką z wiadrem -- leży facet nieżywy z potrzaskaną łepetyną.

- Nieżywy! - poszło po kolejce podawane z ust do ust.

- I do tego jeszcze cały goły jak świnynty turecki.

Chwilę trwało nieme osłupienie, w końcu przez kolejkę przeszedł jakiś impuls, jak dreszcz emocji podczas meczu Lecha tuż przed rzutem karnym, by w końcu eksplodować. Szereg kolejki, równy dotąd i spójny niczym pierwszomajowy pochód, pękł gdzieś w środku i już po sekundzie rozsypał się, jak uczestnicy pochodu na widok stoiska z parówkami na gorąco. Ludzka lawina ponad trzydziestu kobiet z krzykiem ruszyła w stronę bramy, unosząc ze sobą wielkiego Ziutasa i konwojenta Krupę. W końcu parówki cienkie w plastikowym flaku czy szynka konserwowa Krakus mogły chwilę poczekać. Nie miały najmniejszej szansy w konkurencji z gotym nieboszczykiem z potrzaskaną łepetyną.

Jarocin

godzina 6.10

Mariusz zatrzymał się przed żółtym namiotem i rozejrzał się dookoła. Pole namiotowe usłane różnokolorowymi płachtami namiotowych dachów jeszcze spało w najlepsze.

213

Gdziekolwiek tylko można było dostrzec jakiś nieznaczny ruch pojedynczych obozowiczów. Większość odsypiała wczorajsze szaleństwa finałowego koncertu festiwalu. Młodzi ludzie przyjechali tu, żeby się wyszumieć. Władze pozwalały im na to, mając nadzieję, że Jarocin to swoisty wentyl bezpieczeństwa, który dobrze kontrolowany może skierować falę młodzieńczego buntu w odpowiednią stronę. Partia bała się tego, że młodzież zacznie się angażować w politykę, dlatego chciała jej dać igrzyska, by odwrócić uwagę od rzeczywistych problemów kraju, biedy, braków w zaopatrzeniu,

powszechnej niechęci do władzy, a przede wszystkim tego widocznego gołym okiem dysonansu między pięknymi hasłami o wolności i równości, wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, a rzeczywistością, która była szara, brudna, byle jaka i do tego jeszcze kontrolowana przez aparat bezpieczeństwa. Ale ta władza nie przewidziała, że młodzi ludzie potrafią myśleć samodzielnie, a Jarocin to doskonałe miejsce do wymiany poglądów nie tylko w kwestiach muzycznych, lecz także światopoglądowych. Władza nie przewidziała też, że rock and roli to nie tylko skoczna muzyka, przy której można się zabawić. Rock to naturalny głos buntu, który od lat siedemdziesiątych brzmiał coraz głośniejszy w umysłach młodzi. Początkowo był to nieśmiały bunt przeciw rzeczywistości, później coraz bardziej świadomy i wraz z powstaniem Solidarności stanowił już sprecyzowany opór przeciw władzy partyjnych nieudaczników i ignorantów uczepionych kurczowo socjalizmu i sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Nic więc dziwnego, że w tym miejscu spotykali się ci, którzy chcieli w kraju coś zmienić, poznawali innych zapaleńców, dyskutowali, wymieniali poglądy, nielegalne gazetki i książki. Później rozjeżdżali się po całym kraju, zachłyśnięci tą chwilą wolności pod okiem esbecji. Zabierali ze sobą nowe

214

idee i poglądy, rozwozili po Polsce, zaszczepiając je tym, którzy nie mieli szczęścia tu przyjechać.

Mariusz widział to wszystko na własne oczy i szczerze cieszył się z tego jarocińskiego fermentu. Przecież to było to, na czym mu zależało. Chciał zmieniać kraj, a przede wszystkim

milicję, chciał, żeby ludzie mieli szacunek do jego pracy, by mundur, tak jak ten, który przed wojną nosił jego dziadek, był powodem do dumy. Ale wiedział jednocześnie, że coś takiego może zdarzyć się tylko wtedy, kiedy wszystko wokół znormalnieje, a milicja zajmie się tym, do czego jest stworzona, czyli ochroną obywateli przed bandziorami, a nie rozpędzaniem manifestacji. Jeśli więc ci młodzi ludzie, którzy pooddychali wolnym powietrzem w Jarocinie, ruszą w Polskę i zaczną myśleć inaczej, coś zmieniać, istniała szansa na to, że za kilka, kilkanaście lat nastąpi zmiana warty i do głosu dojdą ci, co wychowali się nie na Marksie, ale na rocku.

Na polu namiotowym czuć było wilgoć, która wznosiła się ku górze lekką mgiełką ponad kolorowymi potaciami brezentu. To jest ta nowa Polska, pomyślał Mariusz i zaśmiał się cicho, bo wydało mu się bardzo zabawne, że przyszłość narodu śpi jeszcze, zamroczona skutkami imprezowania do świtu.

Zastukał ręką w płachtę namiotu i przez chwilę czekał na reakcję. Po jakiejś minucie z wnętrza wyjrzała zaspana twarz.

Aśka spojrzała w górę i prychnęła niezadowolona.

- Zwariowałeś, czy jak. Która jest godzina, do diabła?

- Dziesięć po szóstej - odpowiedział, spoglądając na ręczny zegarek.

- Daj se luz, bracie. Idę w kimę. Poszłam spać jakąś godzinę temu. Jestem kompletnie wypompowana.

- Nie da rady. - Pokręcił głową. - Za pół godziny zjeżdżam do Poznania. Jak nie pogadamy teraz, to kaplica.

Aśka spojrzała na brata tak, jakby zobaczyła go dopiero w tej chwili. Powoli zaczęły do niej docierać słowa Mariusza. Odgarnęła kosmyk jasnych włosów, który spadł jej na czoło, potarła zaspane oczy, a potem uśmiechnęła się i bez słowa zniknęła w namiocie.

- Co ty robisz? Co się kręcisz? Śpij i przestań łązić - ze środka dobiegł zaspany głos Beaty, najlepszej koleżanki Aśki, z którą chodziła do jednej klasy. Mariusz uśmiechnął się pod nosem. Właśnie stwierdził na własne uszy, bo nie zobaczył, lecz usłyszał, że jego siostra śpi w namiocie z koleżanką. Przynajmniej w tym punkcie obawy rodziców zdawały się nieco przesadzone. Przy założeniu, oczywiście, że w tym namiocie między dziewczynami nie śpi jeszcze jakiś potencjalny narzeczony jego siostry. Ale tego Mariusz postanowił nie sprawdzać, bo wydawało mu się to zbyt nieprawdopodobne. Mimo to spojrzał jednak na namiot i zmierzył go uważnym spojrzeniem. Za mały na trzy osoby.

- Spoko, stara, zaraz będziesz mogła dalej garować. Muszę się tylko ubrać i spadam - uspokoiła ją Aśka.

- Gdzie spadasz? Zwariowałaś, przecież noc jeszcze.

- Mój brachol przyszedł. Muszę z nim pogadać.

Zapinane na zamek błyskawiczny drzwi namiotu odchyliły się. Dziewczyna usiadła w wyjściu i zaczęła zakładać trampki, które schowane były pod tropikiem. Ten moment otwarcia do środka wystarczył, aby Mariusz przekonał się, że oprócz zawiniętej w śpiwór koleżanki nie ma tam nikogo nadprogramowego.

- Ty to masz pomysły, chłopie. Żeby w środku nocy budzić

porządnych ludzi - mówiła Aśka, zawiązując pomarańczowe fluorescencyjne sznurowadła. Te sznurówki to był hit sezonu. Przywożono je z Turcji i sprzedawano na bazarach. Był to towar, który sprzedawał się niemal na pniu. Wystarczyło takie

216
sznurowadła założyć do najpaskudniej szarych trampek wyprodukowanych przez Polsport i już były jakie buty zmieniały się w odjazdowe obuwie. Nie każdy jednak mógł sobie na takie cudo pozwolić. Jedna para takich sznurówek kosztowała tyle, co dwie flaszki wódki. Wydatek był więc poważny, no ale jak się chciało zaszpanować w towarzystwie, trzeba było się starać. Dla Aśki postarał się Mariusz. Kupił jej te sznurowadła i jeszcze cztery w innych kolorach na poznańskim Łazarzu. Dziewczyna szybko zawiązała cenne sznurowadła i poderwała się na nogi, śmiesznie przy tym podskakując. Jak mała dziewczynka, pomyślał Mariusz, uśmiechnął się i nagle, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Aśka momentalnie przylgnęła do niego. Stali tak przez kilka sekund, a potem odstąpili od siebie oboje, chyba trochę zdziwieni i zmieszani tym niespodziewanym przyływem czułości, który dotąd bardzo rzadko im się zdarzał.

- Miałeś być tu już wczoraj -- powiedziała z wyrzutem.

- No właśnie, wczoraj chciałem, ale nie dałem rady. Wiesz, jak to jest...

- No dobra, rozumiem, że masz swoje sprawy i swoje towarzystwo. Całe szczęście, że nie jesteś tu służbowo, w mundurze, bo bym się chyba ze wstydu zapadła pod ziemię. Słysza-

łeś, co wczoraj przed koncertem zrobili zomowcy?

-Nie?

- No, wyszarpali z tłumu jedną dziewczynę, zupełnie za nic. Jej chłopak ledwo dał radę zwać. Tam mało nie doszło do regularnej bitwy z ludźmi, bo wiara chciała tę laskę wyciągnąć z suki... I w ogóle ludzie gadają, że takich aresztowań była wczoraj cała masa. Podobno to dlatego, że milicja kogoś zabiła na polu namiotowym i teraz aresztują wszystkich, którzy mogliby coś wiedzieć. Jest afera, nie? A namiot, ten,
217

co to w nim zabito jakąś laskę z Poznania, to został szybko zwinięty i śladu po nim nie ma. I jeszcze zaaresztowali wszystkich skinów, co byli w pobliżu. Że skinów łapią, to się nie dziwię, bo to są straszne gnoje, ale żeby tak dziewczynę niewinną zabrać...

- Nie, to nie tak było - zaprzeczył gwałtownie Mariusz.

Siostra spojrzała na niego zdziwiona.

- Słyszałeś o tym?

- Wiem, bo byłem wczoraj na komendzie. -- Spojrzał na nią i zaraz dodał, wyjaśniając: - Jako świadek tam byłem. Widziałem jakąś zadymę i musiałem pójść interweniować - skłamał na poczekaniu. - W końcu nie mogę być obojętny jako milicjant, nie?

- No, ale jesteś na urlopie.

- Na urlopie czy nie, ale zawsze funkcjonariusz.

- Niby tak, jednak lepiej, że nie jesteś w mundurze, bo byłaby siara na całe pole namiotowe dla mnie. Zadawanie się z milicjantem to jest obciach na całej linii. Mówię ci. Mili-

cyjant to dla nich wszystkich coś najpaskudniejszego pod słońcem. A wiesz, jaki dowcip o gliniarzach jest najlepszy?

Idzie milicjant i myśli...

Przeszli alejką między namiotami jakieś pięćdziesiąt metrów. Tu krzyżowały się główne drogi pola namiotowego.

Pod drewnianym drogowskazem z tabliczkami wskazującymi, gdzie jest recepcja, toalety i umywalnie, bezpośrednio na ziemi leżał jakiś chłopak w wojskowej kurtce i czarnych spodniach. Spał w najlepsze, zmęczony całonocną zabawą.

- Chyba nie znalazł drogi do namiotu. - Mariusz z uśmiechem wskazał leżącego.

- Jak lubi, to niech śpi na trawie. Może potrzebuje bliskiego kontaktu z przyrodą. Tu takich wielbicieli Matki Ziemi mógłbyś znaleźć całe zastępy. Zresztą co ja ci gadam, byłeś

218

tu, to widziałeś. Ale właściwie dlaczego nie miałeś czasu się ze mną zobaczyć? Jesteś tu z jakąś dziewczyną?

-- Nie, coś ty, jestem z kilkoma chłopakami ze szkoły i właśnie za chwilę wyjeżdżamy, dlatego chciałem cię jeszcze zobaczyć przed wyjazdem, bo diabli wiedzą, kiedy teraz będę w Pile i kiedy się spotkamy...

-- No, jak będziesz chciał, to się spotkamy. Czym się zajmujesz? - Spojrzała na niego uśmiechnięta tymi swoimi wielkimi niebieskimi oczami. Tym spojrzeniem zawsze go rozbrajała. Ile razy zdarzało się, że coś przeszkrobała, wystarczyło tylko, że popatrzyła na niego w ten swój sposób i już wszystkie groźby o tym, że rodzice się dowiedzą, przestawały mieć jakąkolwiek moc.

Teraz też poczuł to samo. Czym się mam w końcu przejmować? Jest już prawie dorosła i przede wszystkim jest mądra. Tata niepotrzebnie przesadza. W tej chwili podjął decyzję. Do tego momentu chciał porozmawiać z nią o obawach rodziców, o tym, że się o nią boją, ale nagle pomyślał, że to zupełnie niepotrzebne.

-Wiesz co, Asica - zaczął, używając przezwiska, które przed laty sam wymyślił, gdy jak mała łasica naprzykrzała mu się, przewracając równe kolumny maszerujących plastikowych żołnierzyków. - Jadę zaraz do Poznania i jakbyś chciała, to w naszym samochodzie pewnie by się znalazło jeszcze miejsce...

-- Coś ty, stary - zareagowała natychmiast. - Ja jadę ze swoimi. Nie mogę ich tu zostawić, bo se sami nie dadzą rady. To w końcu moja wiara, nie?

-- No jasne. Rozumiem. Jak wpadnę do Piły, to może będziemy mieć więcej czasu na pogaduchy. Dawno nie rozmawialiśmy...

-Jak przyjedziesz, to pogadamy.

219

- Pewnie, ale wiesz, chciałem cię o coś prosić. Jak będziesz w domu, przytul od czasu do czasu mamę i tatę. Tak jak ja dzisiaj ciebie. Coś mi się wydaje, że tego potrzebują.

Aśka popatrzyła na niego uważniej, a potem bez słowa jeszcze raz przytuliła się do niego.

- Na pewno nie chcesz jechać ze mną? Po co masz się cisnąć w tym tłumie na dworcu? Tu masz komfortowy przejazd samochodem. A potem z Poznania jakiś pociąg do Piły się

znajdzie.

- Nie samochodem, tylko milicyjną suką! - weszła mu w słowo, zarazem odsuwając się od niego.

- No i co z tego, że milicyjnym wozem?

- Przecież ci mówiłam, że milicja to obciach. Jakby mnie ktoś zobaczył w takim samochodzie, tobym się chyba zapadła pod ziemię. Ludzie by mi ręki nie chcieli podać - wyjaśniła pośpiesznie, nie dostrzegając, że robi przykrość bratu.

Mariusz spojrział na swoje dłonie, a potem uśmiechnął się krzywo.

- Mnie też nie powinno się podawać ręki?

Zauważyła wreszcie, że trochę się zagalopowała.

- No nie, ale wiesz, milicja, to przecież oni są odpowiedzialni za te wszystkie świństwa. A zomole to już w ogóle... - zaplątała się, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

- Moje ręce są czyste -- powiedział, energicznie wyciągając obie dłonie przed siebie.

- Mariusz, po co ty w ogóle poszedłeś do tej choliernej bandy? Nie mogłeś wybrać normalnych studiów? Po co ci było to zomo?

- No przecież wiesz, że dzięki temu miałem łatwiejszy wstęp do Szczytna - rzucił opryskliwe, coraz bardziej zirytowany jej słowami. Ona, jakby tego nie zauważyła, brnęła dalej.

220

- Wszyscy to wiedzą. Tu, w Jarocinie, i wszędzie, że milicja to bandyci w mundurach. Zgraja degeneratów. Wdepnąłeś w gówno i myślisz, że się nic nie stało? Czy chcesz, czy nie,

już jesteś naznaczony na całe życie. Możesz sobie być najporządniejszym człowiekiem na świecie, a i tak zawsze będzie się to za tobą ciągnęło.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- O tym, że byłeś w zomo. Możesz mieć to głęboko w nosie i myśleć sobie, że to nic nie znaczy dla ciebie. Ale dla mnie, niestety, znaczy bardzo dużo. Bo to ja musiałam się za ciebie wstydić przed ludźmi. To o mnie mówili: siora tego zomola. To ze mną ludzie nie chcieli gadać i to mnie nie zapraszano na imprezy, i to mnie nie podawano ręki...

Spojrzał na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Co ona, do cholery, gada, jaki wstyd, przecież w tym zomo był tylko trzy miesiące. Ona o tym doskonale wie, a mimo to mówi, że się musiała za niego wstydić...

-Wiesz co? Pogadamy w Pile, jak przyjadę. Zastanów się nad tym, co powiedziałaś!

Zostawił ją samą i ruszył szybko w głąb alejki utworzonej przez dziesiątki kolorowych namiotów.

-To ty się nad tym zastanów! - usłyszał za sobą głos siostry. Ale nie odwrócił się już do niej i nie zobaczył, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

poznać

godzina 7.05

Niebieski fiat 125p zatrzymał się tuż przy krawężniku. Drzwi od strony pasażera natychmiast się otworzyły i ze środka wyskoczył młody oficer milicji. Szybko założył czapkę, a potem

221

sprężystym krokiem ruszył w stronę bramy otoczonej wia-

nuszkami kobiet. Dwaj milicjanci, którzy pilnowali, żeby nikt nie wszedł w głąb podwórza, na widok oficera szybko zrobili przejście w szpalerze gapiów. Oficer w kilka sekund był koło śmietnika. Od razu podszedł do niego korpulentny sierżant z podpuchniętymi oczami. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że sierżant dopiero niedawno musiał skończyć suto zakrapianą biesiadę. Zapach przetrawionego alkoholu unosił się za nim jak smród spalin za dostawczym żukiem.

- Podporucznik Zawadzki z komendy miejskiej - przedstawił się oficer, podając dłoń sierżantowi. - Co tu mamy ciekawego?

- Jestem dzielnicowy Kaczyński - przedstawił się sierżant, przesuując sobie czapkę na tył głowy. - Ano, poruczniku, mamy tu zimnego truposza, i do tego na golasa całego - powiedział, niby to meldując oficerowi, ale uczynił to z taką nonszalancją, na jaką może sobie pozwolić tylko doświadczony i stary podoficer w stosunku do żółtodzioba z oficerskimi gwiazdkami.

- Co dotąd zostało zrobione? - pytał dalej Zawadzki.

- A tyle, ile się dało. Te baby z kolejki przyleciały tu zaraz jak kwoki i wpadły do śmietnika, to ja sam od razu je wywaliłem, żeby która na trupa nie wlaźła i jakich śladów nie zdeptała. Później, jak mi z komisariatu przysłali dwa patrole do pomocy, to my je wszystkie z tego podwórka precz pognali i teraz tam se stoją w bramie. Stamtąd to se mogą patrzeć, wiele chcą, ale tu nic nie będzie widać. Zresztą jak przyjedzie wóz techniczny, to wjedzie w bramę i zastawi cały widok.

- Ekipa techniczna powinna być tu za chwilę. Jak wyjeżdżałem z komendy, dyżurny powiedział mi, że już się szykują.

222

Kaczyński spojrzał uważnie na podporucznika, a potem uśmiechnął się lekko pod swoim zrudziałym od papierosów, niegdyś czarnym wąsem. Widać było, że młodzieniec się przejął i koniecznie chciał się wykazać. Zdaje mu się, że będzie miał okazję, jednak jeszcze nie wie, jak wygląda prawdziwe życie. Miał widać poranny dyżur i gdy wypłynęła ta sprawa trupa ze śmietnika, dyżurny komendy kazał mu jechać i sprawdzić, o co chodzi. Doświadczony oficer z kilkuletnim stażem poczekałby najpierw na ekipę techniczną i wtedy dopiero wybrałby się na miejsce, gdy już specjaliści od zbadania i zabezpieczenia śladów zrobią swoje. Ten tymczasem przyjechał tu pierwszy, nie czekając na nikogo. Tak mu się widać paliło do poprowadzenia samodzielnego śledztwa. I pewnie je dostanie, bo któremu ze starszych oficerów chciałoby się babrać w jakimś gównie ze śmietnika na Rybakach.

Porucznik zostawił sierżanta samego i wszedł do śmietnika. Zabity leżał na plecach za pojemnikiem ze śmieciami.

Był zupełnie nagi. Porucznik podszedł do nieboszczyka tylko na bezpieczną odległość około dwóch metrów. Wiedział, że nie powinien podchodzić bliżej, bo mógłby zatrzeć jakiś ważny ślad. Takie miejsce trzeba zostawić technikom. Już oni znają się na swojej robocie. Przyjrzał się uważnie zwłokom, a przede wszystkim twarzy. Miał wrażenie, że już kiedyś widział tego człowieka, jednak początkowe wrażenie bardzo

szybko się rozplynęło. Po chwili wpatrywania się w martwą twarz bez wyrazu upewnił się, że jednak go nie zna. Odetchnął więc z ulgą i wyszedł ze śmietnika. Trafił na sierżanta Kaczyńskiego, który właśnie odpalał papierosa. Powiało smrodem popularnego i porucznik, który był zdecydowanym wrogiem palenia, pomachał ręką przed nosem. Niezrażony tym dzielnicowy palił dalej, coraz buchając kłębam szaroniebieskiego smrodliwego dymu.

223

- No i jak tam oględziny, poruczniku? -- zapytał sierżant.

- Łe tam - machnął ręką Zawadzki. - Nic na pierwszy rzut oka nie można powiedzieć. Musimy poczekać na techników, no i na lekarza. Jak się tu sprawią, to będziemy wiedzieć, co było przyczyną śmierci.

- Co było przyczyną śmierci, to ja panu od razu powiem.

Przyczyna to ta rozwalona łepetyna. Nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, bo to już się człowiek na niejednego truposza w życiu napatrzył i na pierwszy rzut oka widać, że facet z tak rozoraną makową nie dałby rady po mieście łązić.

Sierżant obrócił się nagle i z rozmachem kopnął w tyłek psa, który nie wiedzieć skąd się tu przyplątał. Zwierz skulił pod siebie ogon i z piskiem uciekł w kierunku bramy.

- Żeby cholernik nie naszczał na ślady - wytłumaczył milicjant.

- No to, sierżancie, jak tak widzicie wszystko, to powiedzcie, czy znacie tego klienta? Bo przecież na swojej dzielnicy to pewnie znacie wszystkich.

Kaczyński zdjął czapkę i podrapał się w tysięjącą czaszkę.

-Tak po prawdzie to powiem, obywatelu poruczniku, że jakbym go gdzieś już kiedyś widział, ale kto to jest, to nie powiem. Jedno jest ino pewne, że ten tu goły facet to nietutejszy jest, znaczy się spoza naszej dzielnicy tu przywędrował.

Może nawet nie tu został sprawiony, ino podrzucony.

- No ale dlaczego jest nago? - zastanawiał się głośno porucznik. - Może ktoś w ten sposób chce ukryć jego tożsamość. Żebyśmy mieli kłopot z identyfikacją ciała... Dlaczego go rozebrali?

- No jak dlaczego? Musiał być to jakiś forsiasty gość! - wyjaśnił sierżant.

- Nie rozumiem, sierżancie, co ma jedno z drugim wspólnego. Jeśli miał pieniądze, to dlaczego jest nagi?

224

- Łe, to przecie proste poruczniku - zaczął tłumaczyć jak dziecku dzielnicowy. - Jak miał bejmy, to musiał być dobrze ubrany, nie? No a jak miał dobre ciuchy, no to ich już ni ma.

Proste, nie?

- Zaraz, zaraz, czy wy chcecie powiedzieć, że zabito go dla jakichś ciuchów? - zdziwił się młody milicjant.

- Ady tam zaraz, panie poruczniku, dla ciuchów to ino szuszfale utytłanemu gościowi, co nie chce po dobroci się rozebrać, mogą michę wyklepać i porwać mu pory czy nawet cały ancug razem z trzewikami, ale żeby zabijać za garderobę, to tego, panie, u nas ni ma. To jest porządny fyrtel.

- To dlaczego go rozebrali?

- No, poruczniku, mówię przecie, że onego rozebrali, bo musiał mieć dobre ciuchy, ale zabity to on został za całkiem

inne sprawy.

- Więc sugerujecie, sierżancie, że najpierw go zabito, a później dopiero rozebrano?

- Ja nic nie sugeruję, ale swoje wiem. Jak nic facet dostał w pałę, wyzionął ducha, a potem dopiero ktoś go tu rozebrał do golasa w tym śmietniku. Dopiero potem, jak go tu przynieśli.

- O, to ciekawe - zdziwił się porucznik. - To nawet wiecie, sierżancie, że rozebrano go tu na miejscu i że go ktoś tu przyniósł...

- A widział pan, jak tyn tam ma rozbity łeb?

- No, widziałem.

- No to przy takim rozbiciu musi być trochę krwi, nie? A tu nigdzie krwi ani śladu. Więc mnie się tak zdaje, że onego tu nam ktoś podrzucił. A miejsce zabicia jest gdzie indziej, w innym miejscu.

Podporucznik Zawadzki przyjrzał się uważnie dzielnicowemu Kaczyńskiemu, który właśnie skończył palić kolejnego 225

papierosa. Facet zna się na rzeczy, pomyślał porucznik. Trzeba słuchać, co mówią tacy starzy praktycy. Pewnie od nich można się czegoś nauczyć.

- Dziękuję, sierżancie, za te wasze uwagi. Bardzo ciekawe obserwacje poczyniliście. Na pewno przydadzą się w śledztwie. A teraz, jeśli mogę prosić, chciałbym, żebyście przeszli się po mieszkaniach i pozbiali informacje od mieszkańców. Może któryś z nich coś widział.

Sierżant popatrzył w górę na szczyt mocno nadwerężonej

zębem czasu kamienicy, objechał spojrzeniem dwie odrapane oficyny i w nie lepszym stanie budynek zamykający podwórko u jego drugiego końca.

-Jakby pan porucznik zaczął od kamienicy głównej, a ja od lewej oficyny, to do przyjazdu techników mielibyśmy już wszystkich przepytanych.

-No ale technika zaraz ma przyjechać... Muszę zapoznać ich z sytuacją...

-Obywatelu poruczniku, stawiam resztę swoich siwych włosów, że będą tu nie prędzej niż za godzinę. Przecież dopiero jakieś pół godziny temu dostaliście sygnał w miejskiej, że mamy tu truposza. Zanim się zejdą, zanim zapakują do nyski, zanim tu przyjadą, to trochę jeszcze zejdzie.

Porucznik spojrział na sierżanta najpierw z niedowierzaniem, ale widząc na jego twarzy szelmowski uśmiech, sam się uśmiechnął. No bo w duchu musiał przyznać, że ten sierżant Kaczyński ma przecież rację. Te trzydzieści kilka mieszkań da się przecież oblecieć we dwóch w jakąś godzinę. W końcu nic nie stało na przeszkodzie, żeby posunąć śledztwo trochę do przodu, zanim zjawią się na miejscu technicy.

226

godzina 7.15

Ryszard Grubiński miał dziś od rana doskonały humor.

Czekał go przecież dzień pełen atrakcji. Wyspany i zadowolony z siebie i ze swojego planu dziennego wstał już o szóstej rano. Szybko się ogolił, wciągnął swoje ulubione dzinsy Levisa i wyszedł z psem na ulicę. Rudego cocker spaniela kupił jakieś dwa miesiące temu. Doszedł bowiem do wniosku,

że skoro staje się poważnym obywatelem z legalnym interesem, powinien zacząć budować swój wizerunek szanowanego mieszkańca Junikowa. Stąd pomysł, by przechadzać się codziennie rano z psem na smyczy. Kupił na Sielance spaniela, bo dość często widywał takie psy prowadzone na spacery przez ich nobliwych właścicieli. Wydawało mu się więc, że ta rasa jest odpowiednia dla ustatkowanego właściciela warsztatu samochodowego. Początkowo chciał go nazwać zwyczajnie kejter, ale jego pracownicy wytłumaczyli mu, że taki pies powinien mieć bardziej godne imię. Wśród swojej załogi ogłosił zatem konkurs na imię dla psa. Szybko odrzucił banalne propozycje Mercedes, Rat, Passat, Opel, i w końcu sam wpadł na Trabant. Niby auto już do niczego, ale w samej nazwie była jakaś siła, wytłumaczył sobie Rychu i tak jego spaniel otrzymał wdzięczne imię po enerdowskim szmelcowatym samochodzie.

Codziennie z Trabantem u nogi przemierzał dystans jakichś czterystu metrów do osiedlowego sklepu. Po drodze kłaniał się sąsiadom i sąsiadkom, z niektórymi wymieniał kilka zdawkowych uwag na temat pogody i polityki, z wyprowadzającymi swoje psy rozmawiał o psach i ich zwyczajach. Dotarwszy do pawilonu spożywczego, przywiązywał Trabanta do porzewiałego stojaka na rowery i wchodził do środka, by zrobić zakupy. Kupował zazwyczaj kilka bułek,

227

bochenek chleba, mleko pełne w butelce ze złotym kapslem i kilka butelek kefiru w butelkach od śmietany ze srebrnym kapslem w zieloną kratkę. O tej porze, tuż po otwar-

ciu sklepu, można było jeszcze dostać i kefir, i pełne mleko czy nawet niekiedy ser edamski w plasterkach. Dla tych, co przychodzili później, zostawało mleko chude ze srebrnym kapslem i serki topione, gouda albo tyłzycki, no i chleb, bo świeżych bułek też nie zawsze wystarczało. Towar jednak był dla wszystkich, bez czekania, bez walki o lepsze kąski i co najważniejsze, codziennie. Od pewnego czasu wphw, które od lat miało poważne problemy z rytmicznym dostarczaniem świeżego towaru do swoich sklepów, jakby się nieco poprawiło. Złośliwi mówili, że to dlatego, że źle działającą firmę miał wziąć w ajencję któryś z agentów sklepowych, ale inni uważali, że to niemożliwe, żeby taki kolos mógł zostać wydzierżawiony osobie prywatnej. No chyba że firmie polonijnej, to inna sprawa, bo wiadomo, polonijne firmy dysponowały walutowym kapitałem, a zastrzyk gotówki wtłoczony w zamierający krwiobieg przedsiębiorstwa mógł uczynić cuda. No i stąd dyrekcja przedsiębiorstwa, broniąc się przed zmianą właściciela, zaczęła bardziej dbać o regularne dostawy towaru.

- To wszystko efekty pierestrojki Gorbaczowa. Teraz, jak u nich coś się zaczęło dziać, to i u nas musi być lepiej. Wreszcie tę cholerną komunę szlag trafi jak nic. Bo ile to lat może jeszcze trwać to skaranie boskie? Wałęsa zacznie rządzić z Solidarnością, to i porządek się zacznie. A tego Jaruzelskiego to niech diabli wezną. Łachudra jedna, ani rządzić nie potrafi, ani ludziom żyć nie daje - mówiła sprzedawczyni ze sklepu, pani Majcherkowa, jak zwykle najlepiej poinformowana ze wszystkich. I mówiła to głośno, bez obawy, bo prze-

cięż jak pierestrojka, to i głośność, mówił sam Gorbaczow,

228

a ona, skoro sam pierwszy sekretarz KPZR mówił głośność,

to co, miała być cicho?

-Ma pani całkowitą, słuszną rację - odparł emerytowany milicjant Napierała, który podobnie jak Rychu codziennie chodził do sklepu wcześniej rano ze swoim owczarkiem niemieckim Cywilem. -- Jaruzelski, mimo że wojskowy, to na rządzeniu się nie zna. I nie ma podejścia do ludzi. On tylko by dryl wprowadzał i myśli, że wszystko można na rozkaz. Ale z ludźmi tak się nie da. Trzeba po ludzku. Tak jak Gierka, ten to potrafił i z człowiekiem pogadać, i licencję na fiata załatwić. A na mieszkania to za Gierka czekało się po pięć lat...

- Daj pan spokój. Za Gierka to niby było inaczej?

- A pewnie, że było inaczej i lepiej. A pamięta pani, że w sklepach było wszystko, co se człowiek zamarzył. Nawet sardynki w puszcze i ananasy w ciągłej sprzedaży. A na pierwszego maja to i parówki z bułką prosto z samochodu sprzedawane, i książeczki samochodowe dla każdego. I co, źle było? - zaperzył się były milicjant.

- Prawda, że wszystko w sklepach było, a w komercyjnych sklepach to i kabanosy dawało się dostać bez kolejki - rozmarzyła się sprzedawczyni.

- A widzi pani. Wszystko było i byłoby jeszcze lepiej, jakby nie ci, co chcieli Gierka od władzy odsunąć. I odsunęli, taki Kania, Olszowski i Jaruzelski. Dla władzy to zrobili i kraj zrujnowali, a Solidarność jeszcze im dopomogła.

- Solidarność chciała dobrze - wtrąciła niepewnie Maj-
cherkowa.

- Pewnie, że dobrze, tyle że za szybko. Oni chcieli socja-
lizm od razu obalić, nie tylko u nas, ale wszędzie. A tak się
nie da, bo władza jest za silna. Mój znajomy, jeden taki były
milicjant z sb, powiada, że zmiany muszą być, ale powolutku,
229

kroczek po kroczku trzeba na nich wymuszać, to wtedy będą
ustępować. Bo od razu to nic się nie da zrobić. Trzeba było
odczekać i znów ich za gardło chwycić. Zobacz pani, że
jeszcze trochę i władzę Solidarności oddadzą, bo to zdro-
wy robotniczy ruch, który może socjalizm utrzymać. Bo Pol-
ska tylko socjalistyczna być może. A i krajem rządzić powi-
nien tylko ktoś, kto z robotniczego ruchu się wywodzi. Taki
Wałęsa to jest prawdziwy robotniczy przywódca. Jeszcze bę-
dzie pierwszym sekretarzem kc, zobaczy pani. Wspomni
pani moje słowa.

- No ale przecie on elektryk jest, bez wykształcenia.

- A Gierek to niby wykształcenie miał? Prosty górnik był
i dał radę rządzić całym krajem. Mówię pani, tylko prawdzi-
wy robotniczy przywódca może ten kraj uratować - stwier-
dził na koniec były milicjant, pakując do torby dwa pełne
mleka, cztery serki tyłżyckie i dziesięć knypelków.

Rychu przysłuchiwał się tej dyskusji, ale nie wtrącał się.

Z zasady nie zabierał głosu w sprawach politycznych. Tak
naprawdę nie obchodziło go wcale, kto rządzi w kraju. In-
teresowało go tylko jedno - robienie interesów. Jeśli władza
dawała mu możliwość zarabiania, był spokojny o przyszłość

swoją i kraju. Oczywiście, nie raz powtarzał, że wolałby żyć w Polsce, w której tych, co handlują walutą, nazywa się bankierami, a nie cinkciarzami, ale na taką zmianę na razie się nie zanosilo. Jeśli ojczyzna dałaby mu możliwość legalnego działania, natychmiast poświęciłby swój samochodowy biznes dla legalnych operacji finansowych. Niestety, każdego, kto sprzedawał i kupował dolary czy marki, władze traktowały jak przestępcę. Rychu był jednak optymistą. Wierzył, że kiedyś to się zmieni, a wtedy on stanie się prawdziwym biznesmenem, a nie szemranym gościem z poznańskiego półświatka.

230

Jednak aby to mogło nastąpić, potrzebne były zmiany polityczne, ale przede wszystkim także potrzebny był porządek w jego własnych interesach. Ten zachwiał się trochę po napaści na Tunia Ząbka. Rychu uważał, że to tylko jednorazowa, zupełnie przypadkowa wpadka, która już więcej się nie powtórzy. Ale by nigdy więcej coś podobnego się nie zdarzyło, trzeba było teraz działać zdecydowanie. Do akcji przystąpił już jego najlepszy człowiek od zadań specjalnych, Czechu. Że doprowadzi swoje działania do końca, tego Rychu był pewien, bo dotąd jeszcze się nie zdarzyło, aby jakaś sprawa powierzona Czechowi nie została doprowadzona do szczęśliwego końca. Jednak on, szef walutowego przedsiębiorstwa, na które dokonano zamachu, też nie zamierzał siedzieć z założonymi rękami. Wczoraj późnym wieczorem przyjechał do niego Tunio i opowiedział mu wszystko o swoich podejrzeniach w sprawie udziału w całej sprawie Karola Rowerowego

z Łazarza. No i Rychu postanowił sam rozmówić się z tym Karolem. Nie mógł przecież pozwolić, żeby jakiś szuszfol z rynku wchodził mu w szkodę.

Kupił pełne mleko, pięć bułek, ser edamski w plasterkach i „Głos Wielkopolski”.

Zapakował swoje zakupy do nylonowej siatki i dziarskim krokiem ruszył w kierunku domu. Miał jeszcze trochę czasu na śniadanie. Samochód z kierowcą zamówił dopiero na dziewiątą.

pleszew

godzina 8.10

Podaj teraz korbę, spróbujemy zakręcić.

-Jaką, kurza twarz, korbę?

231

- No normalną, nie rozumiesz? Takie coś do kręcenia. Alternatywny rozrusznik ręczny - wyjaśnił kapral, wskazując na bagażnik. - Powinna tam gdzieś leżeć. Jak nie leży, no to my leżymy.

Milicjant z podwiniętymi rękawami i dłońmi pobrudzonymi smarem wyprostował się i spojrzał z uśmiechem na dwóch cywili, którzy asystowali mu podczas bezskutecznych prób naprawy samochodowego silnika. Stara milicyjna warszawa przemierzyła odcinek drogi między Jarocinem a Pleszewem z zawrotną szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Widać jednak ta prędkość była dla niej zbyt wielkim wyzwaniem, bo auto jakieś pięć kilometrów za miastem zaczęło wyc, później coś zastukało i zasyczało pod maską, a potem samochód stanął. Pierwsze oględziny wykazały, że zagotowała

się woda w chłodnicy i para wydostała się na zewnątrz, pokonując nieszczelny korek. Na to szczęśliwie znalazła się rada. Z pobliskiego gospodarstwa Mariusz Blaszkowski, pasażer tego zabytkowego samochodu, przyniósł wodę w pożyczonym wiadrze. Chłodnica została napełniona i już wydawało się, że będzie można ruszać, gdy jednak okazało się, że silnik za nic nie chce zaskoczyć. Nie było rady, kierowca, kapral oddelegowany do odwiezienia podchorążych do Poznania, musiał zabrać się do pracy. Jednak nie starczyło mu umiejętności. Warszawa, której lata świetności przypadały na początek lat siedemdziesiątych, nie dała się podejść pierwszemu lepszemu mechanikowi. Z pozoru wszystko wyglądało dobrze, żaden element nie sprawiał wrażenia uszkodzonego, a i wszystkie kable i przewody były na swoim miejscu, co kapral sprawdził własnoręcznie. Mimo to żadna z prób odpalenia samochodu nie przyniosła rezultatu. Ostatnią szansą była korba.

Witek Zalewski zanurzył głowę w ogromnym bagażniku, by po chwili zawołać z triumfem:

232

- Mam, panowie! To chyba jest ta korba. Widziałem ją w Czterech pancernych, to musi być to urządzenie.

- Czyś ty zwariował, chłopie - zdziwił się kapral. - Jak naszą korbę mogłeś widzieć w filmie?

- Nie ta, co ją mam w ręku, tylko taka sama, co służy do odpalania samochodów. Dzięki Jankowi Kosowi wiem, jak się nią postugiwać.

Kierowca spojrział na Zalewskiego, jakby ten postradał zmysły od upału. A gorąco zrobiło się rzeczywiście. Mimo

że było jeszcze wcześniej, żar już lał się z nieba strumieniami, a ich złośliwe auto stanęło akurat w szczerym polu, w miejscu pozbawionym przydrożnych drzew i najmniejszego cienia.

- Kolega chyba nie oglądał czterech pancernych i psa Szarika - rzucił w kierunku Zalewskiego oparty o burtę auta Mariusz.

- No co wy, jak nie oglądałem? Oglądałem za każdym razem, jak dawali w telewizji. Ostatni raz chyba w zeszłym roku. Puszczali w „Teleferiach”...

- No to jakbyś uważniej oglądał, tobyś pamiętał, że w Sielcach nad Oką, w pierwszym odcinku, Janek odpala ciężarówkę Wichury za pomocą takiego właśnie skomplikowanego urządzenia -- wyjaśnił Zalewski, który uklęknął przed maską samochodu w poszukiwaniu otworu, w który można by wepchnąć korbę. Po chwili przyrząd tkwił już w odpowiedniej dziurze. Zanim jednak Zalewski zaczął kręcić, spojrzął na kaprała i powiedział:

- Widziałem ten film pewnie ze sto razy, ale powiem wam, chłopaki, że jak się dorobię i kupię sobie wideo, to zaraz nagram wszystkie odcinki i będę mógł sobie wtedy puszczać, kiedy tylko będzie mi się chciało...

233

Nad nieskoszonym jeszcze polem pszenicy wznosił się rozkrzyczany skowronek, a na brzegach rowu drenarskiego, oddzielającego drogę od pola, uganiały się cykające koniki polne. Pachniało trawą, dojrzałym suchym zbożem i przepalonym olejem silnikowym

-- A może by tak do jakiegoś warsztatu zaholować tego tru-

pa? - zaproponował Mariusz, układając się na poboczu, na rozłożonej na trawie kurtce.

- Człowieku, kto ci naprawi to barachło? - zaśmiał się kapral. - Są dwie możliwości: albo ten wysłużony samochód dojedzie do Poznania i tam oddam go na warsztat w komendzie wojewódzkiej, gdzie ktoś da mu jeszcze jedną szansę, albo zostanie tu, na drodze, i rozpadnie się ze starości. Tego wozu nie był w stanie naprawić nikt w Jarocinie. Dlatego jedzie dziś do Poznania na przegląd. Jeżeli tam się nie uda nic zrobić, będzie złomowany.

Mariusz przypomniał sobie dzisiejszą poranną scenę pożegnania z porucznikiem Mioduszewskim. Zgodnie z wczorajszą umową razem z Zalewskim pojawili się przed komendą w Jarocinie punktualnie o siódmej. Na schodach czekał na nich uśmiechnięty od ucha do ucha porucznik. Oświadczył, że samochód, który wczoraj obiecał Brodziakowi, za chwilę się podstawi i kapral Szymura Roman odwiezie ich do Poznania, do samej komendy wojewódzkiej. Potem uśmiechnął się jeszcze raz na pożegnanie i nie wiedzieć czemu, zacierając ręce, zniknął w drzwiach komendy. Wtedy Mariusz jeszcze nie wiedział, dlaczego porucznik tak się cieszył. Gdy zobaczyli samochód, którym podjeżdża Szymura, zaczął już coś podejrzewać, a teraz, siedząc przy rowie w porannym upale, miał już pewność. Ten zawistny gnojek wysłał ich w drogę tym trupem, żeby się na nich zemścić. Z formalnego punktu widzenia wykonał wszystko jak najlepiej. Wyekspediował

tak jak życzył sobie tego prowadzący śledztwo. A że samochód był stary i rozsypywał się, i nikt nie dałby złamane-
go grosza, że ta ruina dojedzie do Poznania, to inna sprawa.
Zresztą Mioduszewski i tutaj był kryty. Kierowca wiół do-
kument mówiący o tym, że auto skierowane jest do warsztatu
w komendzie wojewódzkiej. W dobrej wierze połączył więc
dwie sprawy i wysłał auto z rozkazem wyjazdu z podchorą-
żymi, którzy mieli się do Poznania dostać. Proste i genialne
zarazem.

Silnik jęknął dwa razy, ale nie zaskoczył. Wysiłki Zalew-
skiego, który włożył całe serce i wszystkie swoje siły w próbę
uruchomienia wozu, spełzły na niczym.

- Może być trochę pokorblował? - Zmęczony Wiciu spoj-
rzał złym okiem na rozłożonego na trawie Mariusza.

- Ani mi się śni. Nie mam najmniejszego zamiaru przyłą-
czyć się do reanimacji. Jeśli o mnie chodzi, to ten zabytkowy
pojazd może tu zgnić i rozlecieć się na drobne kawałki.

Zalewski spojrzał na niebieską, błyszczącą w słońcu maskę
warszawy.

-Jeszcze zobaczycie, że za jakiś czas będą powstawać kluby
miłośników tych pocziwych aut. W końcu to kawał historii
polskiej motoryzacji.

- Ale na tej historii dzisiaj do Poznania nie dojedziesz -
przerwał mu Mariusz.

- No to jak chcesz dojechać do Poznania?

- Normalnie, stopem!

- Świetnie - wtrącił się kapral Szymura. - Wy sobie po-
jedziecie, a co ze mną? Mam tu zgnić na tej drodze?

- No nie, zrobimy tak. - Mariusz podniósł się i zaczął wydawać polecenia. -- Uruchom ten radiotelefon i połącz się z komendą w Pleszewie, i powiedz im, że tu stoimy. Niech

235
przyślą jakiś wóz do zholowania tego rupiecia. Ty wrócisz do Pleszewa, a my pojedziemy stopem przed siebie.

- No jasne, tylko szanowny kolega nie wziął pod uwagę tego, że ten radiotelefon, podobnie jak cały samochód, jest do dupy i nie można się nim z nikim połączyć.

- A to zmienia postać rzeczy. W takim razie zatrzymujemy dwa auta, jedno do Pleszewa dla ciebie i jedno do Poznania dla nas. Zatrzymujesz ty, bo masz mundur i kierowca na pewno stanie, widząc machającego gliniarza.

Nie minęło dziesięć minut, jak kapral Roman Szymura siedział w sfoferce żuka jadącego w kierunku Pleszewa. W tym samym czasie na tylnym siedzeniu małego fiata pędzili w stronę Poznania dwaj podchorążowie.

poznań

godzina 8.20

Głośne dudnienie mało nie rozsadziło mu czaszki. To na dole, na podwórku, któraś z sąsiadek trzepała dywan, jednak Włodasowi Mrowińskiemu wydawało się, że to nie odgłosy trzepaczki, lecz armatnie wystrzały. Głowa bolała go tak, jakby przed chwilą kopnął go koń. Otworzył oczy i stwierdził, że ma nad głową swój własny sufit. Przynajmniej tyle dobrego. Że jest u siebie, poznał to po wielkim lizaju, pozostałości po zesłorocznym zalaniu, kiedy sąsiad z góry, Wacław Cichy, niegdyś inkasent elektrowni, a obecnie pijak

patriota, postanowił zakończyć swój marny żywot w wannie. Podciął sobie żyły w wodzie i zapomniał zakręcić kurki. Podciął niefachowo, bo szczyrykiem, a nie żyłką, i dlatego nie uszkodził żadnej z arterii. Krew sączyła się bardzo wolno, ale woda szybciej. To go uratowało. Na całe szczęście jego

236

sąsiad akurat leżał tak jak dziś na łóżku i w pewnym momencie krople przesączające się przez sufit zaczęły mu kapać na głowę. Zdenerwowany Włodas zerwał się na równe nogi, pobiegł na górę, otworzył niezamknięte drzwi i wywlókł Cichego z wanny. Dał mu najpierw w papę za zalanie sufitu, a potem poszedł do sąsiadki Janiakowej z pierwszego piętra, jedynej, która w kamienicy miała telefon, i zadzwonił po pogotowie.

Od tego czasu Cichy codziennie opijał swoje cudowne ocalenie, a sufitowy liszaj pozostał na pamiątkę.

- Co jest, do cholery? - mruknął do siebie, a potem powoli podniósł się z barłogu zmiętolonych starych kołder i koców, rzuconych byle jak na wysłużony tapczan. Ze ściany z wyrzutem spoglądała na niego Święta Rodzina, uwieczniona podczas zajęć domowych i zamknięta w grubych ramach. Święty Józef niby to strugał jakąś deskę heblem, jednak spod zmarszczonych krzaczastych brwi pilnie obserwował Włodasa. Podobnie Matka Boska, niby to zajęta utrzymaniem na kolanach rozbrykanego Jezusa, a jednak także kątem oka patrzyła na niego, szczerze zmartwiona i zatroskana jego podłą kondycją. Nawet owieczka, której widać było tylko łeb, też gapiała się na niego swoim tępym zwierzęcym spojrzeniem.

To, że oni wszyscy patrzą na niego, Włodas zauważył już dawno, jeszcze w czasach, kiedy prócz tapczanu w tym pokoju były też inne meble. Któregoś dnia siedząc przy stole, który zajmował sam środek pokoju, poczuł na sobie ich oczy. Co więcej, gdy znalazł się w innym miejscu, pod oknem albo koło drzwi, dalej czuł, że oni się na niego gapią. Obraz i Święta Rodzina zdawały się mówić: „Włodas, zmień się!”. Ale Włodas nie mógł się zmienić, bo nikt poza obrazem nie sugerował mu żadnych zmian. Poza tym obraz patrzył tylko w domu, a on większość czasu spędzał poza nim.

237

Wieczorami, gdy wracał, najczęściej mało co widział, no i pozostawały te paskudne ranki z kacem, z wyrzutami sumienia i z patrzącym obrazem. Już nieraz był bliski sprzedania malunku. Za każdym razem, gdy wyprzedawał jakiś mebel domowy, myślał o sprzedaniu i jego, ale jakoś nie mógł się zdecydować. W końcu to pamiątka jeszcze po babci. No i został wreszcie w pokoju-mieszkanie tylko z tapczanem przywalonym stertą śmierdzących kołder i z obrazem, który zawsze rano wpędzał go w kiepski nastrój.

-Już idę, idę. Nie pali się przecież, nie?

Począł w kierunku drzwi, w które łomotał jakiś natręt.

Nie musiał się ubierać, bo spał w ubraniu. Jak wszedł do mieszkania, zwał się na swój barłóg i natychmiast zasnął.

Zanim otworzył, spojrzął przez dziurkę od klucza, by sprawdzić, kto to może niepokoić go o świecie. Przyłożył oko, ale nic nie dostrzegł. Po chwili przypomniał sobie, że żarówkę z korytarza wykręcił w zeszłym tygodniu i sprzedał za pięć dych,

czyli za równowartość paczki popularnych. Żarówki należały do towarów deficytowych, więc ze znalezieniem chętnego na zakup lekko przechodzonej, za to w atrakcyjnej cenie, nie było problemu. Problem za to mieli teraz wszyscy lokatorzy mieszkania, z którego w tajemniczych okolicznościach zniknęła żarówka. Włodas mieszkał w tak zwanej komunałce, czyli w dawnym, przedwojennym, dużym, pięciopokojowym mieszkaniu, w którym władze lokalowe zakwaterowały pięć rodzin. Każda miała jeden pokój z używalnością wspólnej kuchni, ubikacji i korytarza. Włodasowi, mimo że nie miał rodziny, przyznano najmniejsze z pomieszczeń w czasach, gdy był jeszcze wykwalifikowanym robotnikiem zatrudnionym na etacie w firmie rembud. Z pracy wylano go za pijaństwo, ale mieszkania na szczęście nikt mu nie odebrał. Choć istniała realna groźba, że w końcu zostanie wykwaterowany.

238

Nie płacił bowiem czynszu już jakieś pięć lat, więc spodziewał się, że kiedyś do jego drzwi zapuka ktoś, kto pokaże mu nakaz eksmisyjny. To dlatego właśnie teraz z obawą spoglądał przez dziurkę od klucza.

-Mrowiński, otwieraj, do diabła. Długo mam tu jeszcze sterczeć? -- Za drzwiami rozległ się głos należący do dzielnicowego Kaczyńskiego. Włodas rozpoznał go natychmiast i w gruncie rzeczy ucieszył się, że to tylko dzielnicowy, a nie ktoś z adm-u.

-Już, panie dzielnicowy szanowny. Już otwieram, ino łączków szukałem.

Przekręcił klucz w zamku i drzwi stanęły otworem. W pro-

gu stał dzielnicowy i jakiś młody porucznik. Sierżant bez słowa wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie gospodarza. Natychmiast podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wewnątrz śmierdziało jak w kiblu na dworcu kolejowym. Porucznik oparł się o framugę drzwi i wyciągnął chusteczkę, którą natychmiast przyłożył do nosa, jeszcze nieprzyzwyczajonego do penetrowania pijackich melin. Po chwili przeciąg zrobił swoje, wypychając masy stęchłego powietrza na zewnątrz.

- Słuchajcie no, Mrowiński, my względem tego, co znaleźliśmy dziś w śmietniku u was na podwórku - zaczął urzędowym tonem sierżant.

Szybko uwinęli się z wywiadami w większości mieszkań i zostały im już tylko dwa piętra prawej oficyny. Kaczyński postanowił, że teraz będą chodzić razem, bo jak powiedział porucznikowi, tu właśnie mieszka najgorszy element, na który trzeba uważać, bo diabli wiedzą, co te szuszfole mogą wywinąć. Mrowiński poszedł na pierwszy ogień.

- No więc myśmy tu przyszli w kwestii tego, czyście co nie widzieli dziś w nocy albo nad ranem.

239

Włodek wrócił na łóżko i przysiadł na jego brzegu. Zaczął się zastanawiać. Co on niby miał widzieć w nocy? W nocy to chyba raczej spał, o ile mógł sobie przypomnieć. Ale i tego przypomnieć sobie nie mógł, bo w głowie miał całkowitą pustkę. Można by nawet powiedzieć, że była to kompletna czarna dziura. Zaczął powoli odtwarzać, co działo się wczoraj, ale mimo jak najlepszych chęci ostatnią rzeczą, jaką za-

pamiętał, był moment zakupu na melinie flaszki denaturatu.

Nie pamiętał już nawet, jak go wypił i z kim.

- Melduję, panie władzo szanowna, że ni cholery nic nie widziałem, bo spałem, i nie wiem nawet, o co w takim wypadku się rozchodzi, co, znaczy się, miałbym mianowicie widzieć.

- Widzieć to miałbyś Mrowiński gołego faceta z potrzaskaną łepetyną, co leżał se spokojnie w śmietniku, w którym zazwyczaj robisz inwentaryzację starych klonków.

Gdy milicjant powiedział o gołym facecie w śmietniku, w głowie Włodasa zapaliła się jakaś żaróweczka. Ale tak szybko jak się zaświeciła, tak i błyskawicznie zgasła. Znow zapanaowały kompletne ciemności w kolorze denaturatowego indygo.

- Ni cholery, panie dzielnicowy, kompletnie niewiedzący jestem, gdyż mi się po biesiadzie, w której uczestniczyłem i spożywałem trunki wyskokowe, wyłączyła z kontaktu mózgowica i nic się nie zapisało w pamięci. W tej sytuacji muszę powiedzieć, pardonsik, ale jako świadek czegokolwiek jestem kompletnie nieużytkowy.

- Dobrze się zastanów, Mrowiński -- powiedział sierżant, wyjmując z kieszeni paczkę popularnych. Podeszedł do porucznika i wyciągnął ku niemu dłoń z papierosami. Porucznik odmówił, więc dzielnicowy zapalił sam. Tymczasem Mrowiński siedział dalej na tapczanie, obserwując spode łba świętego Józefa.

240

Nagle porucznik podeszedł szybko do siedzącego pijaka.

- Wstańcie! -- powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Włodas podniósł się natychmiast.

- Co macie w tym tapczanie? - zapytał oficer.

- Łe, a cholera tam wie, panie poruczniku. Jakieś lomy stare będą tam w środku.

Do tapczanu zbliżył się też dzielnicowy, zaintrygowany nagłą aktywnością porucznika.

- Otwórz no ten tapczan, Mrowiński, jak pan porucznik grzecznie prosi.

Włodas popatrzył na sierżanta, potem na porucznika:

- A nakaz rewizji to aby macie?

- A w ryja dostałeś już dzisiaj? - odparł natychmiast sierżant. - Jakżeś jeszcze nie dostał, to zaraz mogę ci taką ścieżkę zdrowia zafundować, że całe lata będziesz pamiętał.

Mówiąc to, sięgnął do przewieszanej przez ramię raportówki i czule pogłaskał rękojeść przytroczonej doń białej pałki. Ten rodzaj zachęty najwyraźniej wystarczył, gdyż gospodarz natychmiast schylił się i uniósł pokrywę tapczanu.

Okazało się, że Włodas miał rację. Skrzynię wypełniały po brzegi jakieś stare łachy, ale kilka sztuk garderoby było zupełnie nowych i odstających swym stanem od reszty. Jednak najciekawszy przedmiot znajdował się na samym wierzchu sterty ubrań. Był to zwykły młotek z drewnianym trzonkiem.

- A to skąd się tu wzięło? - zdziwił się Mrowiński.

- Jasny gwint! - szepnął sierżant. - Skąd pan wiedział, poruczniku?

- Powinienem powiedzieć, że ma się tego nosa, co nie, sierżancie? - zaśmiał się zadowolony z siebie oficer. - Ale tak na-

prawdę, to zobaczyłem kawałek sztruksu wystającego z tego tapczanu. To była ta nogawka od spodni.

241

- No to pięknie, panie Mrowiński. Mamy ciuchy, które pewnie będą pasowały do naszego golasa, no i mamy jeszcze narzędzie zbrodni... Byłeś se dotąd spokojnym pijaczną i co? Naraz ci się zachciało mokrej roboty?

- Ale panie dzielnicowy, jak Boga kocham, ja nic nie wiem. Skąd te lomy i ten młotek, nie mam zielonego pojęcia...- próbował się tłumaczyć, sam jednak czuł, że fakty są przeciw niemu.

- Dobra, już nie gadej tyle. Czasu będziesz miał dość na komendzie -- przerwał dzielnicowy, zakładając mu na ręce kajdanki. Gdy stalowa obręcz zacisnęła się na lewym nadgarstku, Włodas niespodziewanie skoczył do przodu, przewracając niczego niespodziewającego się sierżanta. Nie myślał racjonalnie. Chciał tylko wydostać się na zewnątrz i uciec jak najdalej. Nie mógł przecież dać się zamknąć do więzienia. W końcu niczego nie zrobił, a przynajmniej nie pamiętał, żeby zrobił coś złego.

Już wydawało mu się, że zdoła wydostać się na korytarz... Silne kopnięcie podcięło mu nogi. Runął jak długi na podłogę. Porucznik, który skosił go w najlepszym futbolowym stylu a la Boniek, rzucił się na niego i całym ciężarem ciała przygniótł uciekiniera do ziemi. Nie minęło dziesięć sekund, a ręce Włodasa zostały zapięte kajdankami na plecach.

poznań

godzina 8.30

Niebieski passat zatrzymał się pod sklepem spożywczym.

Był to pawilon postawiony w latach siedemdziesiątych z prywatnej inicjatywy. Wyglądał więc jak pudełko po papierosach ułokowane zupełnie przypadkowo w miejscu, w którym

242

mogłaby stać porządna kamienica. Jednak w czasach, w których w kraju budowało się bloki z wielkiej płyty, nie było miejsca na wznoszenie porządných, mieszczańskich budynków. Nie było mieszczaństwa, a ci, którzy mieli pieniądze na budowanie, mogli pozwolić sobie co najwyżej na stawianie klatek przypominających klatki dla królików. Ten sklep nie różnił się niczym od setek podobnych, małogabarytowych pawilonów wyrastających w każdym zakątku kraju. Nie było mowy o przyciągającej kupujących atrakcyjnej fasadzie. Stawiało się prosto i oszczędnie, niezgodnie z wymogami estetyki, ale w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Materiały załatwiane spod lady nie dawały żadnych możliwości. Trzeba było zbudować ściany nośne i dach w jak najprostszy sposób. W końcu obowiązujące standardy i wzorce architektoniczne wyznaczały piękne, proste i estetyczne domy z wielkiej płyty, z których placów budowy pochodziła większość prefabrykatów pozwalających wznieść prywatnej inicjatywie pawilon handlowy. Skoro nie istniała możliwość kupienia materiałów w normalny sposób, trzeba było pojechać na najbliższą budowę, wejść w komitywę z kierownikiem, zaopatrzeniowcem albo nawet z majstrem i zakupić cegłę, suporeks, nadproża od tych, którzy taki towar mieli, czyli od budowlańców. W ten sposób budowlańcy i transportowcy dorabiali sobie

do skromnych pensji, a prywatni właściciele kupowali dość tanio towar, który praktycznie był nieosiągalny na rynku. Nic dziwnego, że wokół placów budów w najbliższej okolicy błyskawicznie wyrastały nowe osiedla domków jednorodzinnych albo bliźniaków przypominających swoją prostą bryłą bloki. W ten sam sposób, metodą gospodarczą, wznosiło się także małe prywatne sklepy, które mimo niechęci władz gdzieś tam powstawały. Powstanie takiego sklepu zależało nie tylko od obrotowości właściciela, ale przede wszystkim

243

od dobrych układów, no i jeszcze odrobiny szczęścia. Układy trzeba było mieć w urzędzie miejskim, gdzie wydawano zgodę na lokalizację. Chodziło o to, by znaleźć tam odpowiednio uprzywilejowaną osobę, która potrafiła przepchać sprawę budowy, a później pozwolenia na prowadzenie działalności handlowej przez wszystkie szczeble decyzyjne. Każdego z urzędników trzeba było sownie opłacić, nie mówiąc już o prowizji dla pilotującego sprawę zaprzyjaźnionego urzędnika. Często te wszystkie zabiegi kosztowały tyle, co sama budowa, ale na koniec okazywało się z reguły, że to tylko drobne koszty poniesione przez przyszłego biznesmena, który po otwarciu swojego interesu zaczynał robić prawdziwe pieniądze. Jednak i wtedy nie mógł czuć się całkowicie bezpiecznie. Fiskus bowiem bacznie przyglądał się działaniom prywatnej inicjatywy, czekając tylko, by prywatniacarz osiągnął zbyt wielkie dochody. Jeśli pojawiała się progresja, natychmiast nakładano na delikwenta domiar podatkowy, który mógł sięgnąć nawet osiemdziesięciu procent. Bo w Polsce Ludowej nikt

nie powinien bogacić się ponad stan. Dlatego każdy zdrowo myślący prywaciarz starał się, jak mógł zafałszowywać swoje dochody, tak jak pan Gustaw Florczak, właściciel kwiaciarni na Lodowej, koło Rynku Łazarskiego, jednocześnie badylarz, który miał w Złotnikach pod Poznaniem pół hektara pod szkłem. Uprawiał tam kwiaty cięte, bo te najlepiej się sprzedawały, a produkcja nie była zbyt kosztowna, za to dochody... Kilka popularnych imienin w ciągu roku, a poza tym święta takie, jak Dzień Kobiet czy rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, kiedy obowiązkowo trzeba kupić bukiet goździków, to były prawdziwe żniwa dla kwaciarzy. Ale i przez resztę roku nie było co narzekać na dochody.

- Byleby tylko ten cholerny urząd podatkowy dał pożycz, to byłoby całkiem znośne życie - mówił Florczak, właściciel

244

willi i rocznego mercedesa, którego zamówił w firmie Rycha Grubińskiego.

- Jak tam samochód się sprawuje? - zawołał od progu Gruby Rychu, wchodząc do kwaciarni. Florczak podniósł głowę z nad księgi rachunkowej, do której wpisywał wzięte z głowy liczby, niemające żadnego związku z realnym obrotem jego firmy.

- Witam szanownego pana Ryszarda! - Badylarz rozpromienił się, widząc tak znamienitego gościa. - Autko chodzi jak ta lala. Nic w nim nie zgrzyta, nie trzaska, a jeszcze na dodatek pali tyle co nic, za ledwie osiem litrów na setkę.

Wnętrze sklepu wypełniał charakterystyczny zapach, jakby żywcem przeniesiony ze szklarni. Zresztą panowała tu tylko nieco niższa temperatura niż pod szkłem, jednak wilgotność

była podobna. W kilkunastu dzbanach stały świeżo ścięte goździki, tulipany i róże. Te kwiaty sprzedawały się najlepiej, a na florystyczne fanaberie nie było zapotrzebowania. Z bardziej wyszukanych odmian były jeszcze tylko chryzantemy, ale te być musiały, bo jakże bez nich iść na cmentarz na groby bliskich.

- A co się pan dziwisz? Merc to jednak firma. Zamówił pan dobry model, no to nie ma opcji, musi mało żreć paliwa. Jeszcze się pan nim nacieszy, bo w takim autku nic nie ma prawa się popsuć. Byleby tylko przeglądy były regularnie robione, ino nie w żadnym państwowym zakładzie, ale w dobrej firmie.

- Rozumie się, panie Rychu, że jak trzeba będzie olej, filtry czy pasek wymienić, to ja do pana zjadę. Wolę zapłacić więcej i mieć wszystkie części oryginalne od mercedesa, a nie jakieś gówna robione przez naszych prywaciarzy w przydomowych warsztatach.

- Tak za dwa, trzy miesiące będzie pan musiał w takim razie przyjechać na pierwszy przegląd, żebyśmy mogli przyrzec mu się z bliska i sprawdzić, co trzeba będzie zamówić do

245

wymiany. Wszystko dla pana sprowadzimy prosto z rfn-u. Nie ma obawy, żadnej paterajki nie będzie. Nie w moim warsztacie. To nie Polmozbyt. A swoją drogą, to słyszał pan, że u nas w poznańskim Polmozbycie dział szybkiej obsługi ma jeszcze dłuższe kolejki niż normalnie, bo nie ma kto im tam robić?

- Nie mają pracowników? - zdziwił się Florczak.

- Kilku mają, ale są na urloпах i teraz jakby pan dał auto

do nich do naprawy, tak zamiast tygodnia musiałby pan czekać trzy.

- To ale dziady są w tym Polmozbycie, nie dość, że wykręcają części z naprawianych aut, to jeszcze każą ludziom tyle czekać.

- Panie, jak ja bym u siebie w warsztacie miał takie tempo napraw, to na suchy chleb bym nie zarobił. Mówię panu, to się musi w końcu wszystko rozlecieć, jak tak dalej pójdzie. To nie jest system dla normalnych ludzi.

- Święte słowa, panie Rychu. Pierdolnie prędzej czy później, ale w końcu na pewno. Wiara już ma tak dość tego wszystkiego, w końcu musi się tu coś zmienić, żebyśmy wreszcie mogli normalne interesy robić, a nie fałszować księgi podatkowe. - Mówiąc to, wskazał na swoją otwartą na ladzie książkę.

Rychu tylko machnął ręką na znak, że doskonale rozumie, o czym Florczak mówi, bo on, działając w legalnym biznesie, musi wypełniać taką samą książkę.

- Napije się pan kawy? - zaproponował badylarz. -- Mam dobrą, austriacką, żona z wycieczki do Wiednia przywiozła.

- Nie, niech się pan nie kłopotuje. Ja tylko na chwilę wpadłem do pana...

W tym momencie drzwi do kwaciarni otworzyły się i do środka wszedł chudy mężczyzna w pomiętej flanelowej koszuli w kratkę z siatką w ręce. Miał w niej pół litra wódki

246

wyborowej i konserwę turystyczną. Przerwali więc rozmowę, bo klient święta rzecz. Rychu usiadł na krześle przy stoliku, czekając, aż gospodarz załatwi sprawę. Wpadł tu do kwia-

ciarni wcale nie po kwiaty. Przed chwilą wysiadł ze swojego auta, a jego człowiek pojechał na Rynek Łazarski, by zaprosić na krótką przejażdżkę pewnego człowieka zajmującego się handlem rowerami. Rychu wołał się tam sam nie pokazywać, bo znało go zbyt wielu ludzi. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, powtarzał zawsze, a ostrożność pozwoliła mu wyjść obronną ręką już z wielu opresji. Pomyślał więc, że zaczeka w zaprzyjaźnionej kwiaciarni na wynik działań podwładnego.

Klient przez chwilę przypatrywał się wazonom z kwiatami i po chwili podjął decyzję.

- Pan da jakiś wiecheć dla narzeczonej. Mogą być goździki czerwone, trzy sztuki z aszparagusem i wstążką, w cylofonie. Po chwili narzeczonej zniknął z bukietem, podążając w kierunku Rynku Łazarskiego.

- Polska miłość -- uśmiechnął się Rychu do Florczaka, gdyż przypomniała mu się piosenka Młynarskiego. -- Bez kwiatków, flachy i zagrychy nie ma kochania.

W tym momencie zauważył, że pod sklep podjeżdża jego passat. Od strony chodnika siedział jakiś mężczyzna, a za kierownicą jak zwykle Władziu, jego kierowca i tak zwany goryl. No to wszystko się udało, pomyślał z zadowoleniem Grubiński, wstając z krzesła.

- Ale to żeśmy zagadali się o pierdołach, a ja tu od pana bukietek chciałem poprosić - zdecydował, patrząc na piękne chryzantemy.

- Nie ma sprawy, szanowny panie Rychu. A na jaką okazję to będzie? Ślub, imieniny, oświadczyzny?

- Łe tam, taka tam okazja - machnął ręką Rychu. - Kwiatki

na grób jadę położyć.

rozdział

VII

poznań

godzina 9.20

A wy dokąd chcecie jechać w Poznaniu? -- zapytał długowłosego kierowcę malucha, odwracając się w stronę dwóch pasażerów. - Bo my jedziemy prawie do samego centrum.

Siedzący obok niego również długowłose młodzienc odwrócił się do tyłu i wyjaśnił:

- Na Rybaki jedziemy, to niedaleko Starego Rynku, zaraz przy Półwiejskiej.

Wjeżdżali właśnie do miasta szeroką, nowoczesną sześciopasmową ulicą Krzywoustego. Po lewej stronie widać już było ogromne deskowate wieżowce Osiedla Oświecenia.

Mariusz rozpoznał natychmiast masywną szarą bryłę budynku, w którym mieszkał major Marcinkowski, człowiek, któremu on sporo zawdzięczał. Przede wszystkim, to dzięki niemu nie musiał odbywać służby w zomo. Trafił tam, bo nie dostał się na studia i groziło mu wojsko, więc postanowił, że pójdzie odrabiać wojsko w milicji. Zresztą po studiach i tak chciał zostać milicjantem, więc ta decyzja miała przyspieszyć tylko to co było nieuniknione. Jednak w zomo natychmiast przyszło potężne rozczarowanie. Myślał, że znajdzie tu ludzi, którzy podobnie jak on chcą zmieniać obraz Milicji

248

Obywatelskiej, którzy myślą o godnej i uczciwej służbie.

Srodze się jednak zawiódł. W jego koszarach na Taborowej

w Poznaniu zebrał się chyba najgorszy i co tu dużo mówić, najgłupszy element z całego kraju. Faceci, którzy myśleli tylko o tym, gdzie się napić, gdzie wyrwać jakieś panienki i komu przylać. O jakimś intelektualnym fermentcie nie było tu mowy. Jedyne, co fermentowało, to zacier w kwaterach podoficerskich.

W ciągu trzech miesięcy unitarki Mariusz nie zaprzyjaźnił się z nikim, wręcz przeciwnie, zrobił sobie sporo wrogów wśród tych, którzy nie bardzo mogli zrozumieć, dlaczego zamiast wieczorami grać w karty na fajki, on woli czytać jakąś nudną Kryminalistykę Hołysta czy Medycynę sądową Manczarskiego. Jeden szczególnie namolny podoficer, znany ze swej tępoty i jednocześnie szczególnej złośliwości wobec podwładnych, kapral Fik, zwany przez wszystkich Kurfikiem ze względu na pewne ulubione przez niego słowo, skonfiskował mu nawet któregoś wieczora książki.

- Nie będziesz tu, kurwa, udawał profesora. Książki, kurwa, to w czytelnicy, a tu, na sali, to, kurwa, ma być relaks, kurwa, a nie kurewskie książki - objaśnił rezolutnie kapral Fik swoją decyzję i wyszedł z książkami pod pachą.

Wrócił z nimi za dwie minuty i z trzaskiem położył je na stole.

-- Rozmyślałem się, kurwa, Blaszkowski, kurwa, zabieraj te kurewskie książki i czytaj, kurwa, bo to są książki, które milicjantom się mogą przydać. I innym, kurwa, też masz pożyczyc. A wy, jebańcy - rozejrzał się po sali, w której na łózkach leżało dziesięciu mężczyzn o twarzach nieskażonych głębszą refleksją -- a wy, kurwa, też do czytania macie się zabierać, bo

jak nie, to, kurwa, będziecie mieć, kurwa, ze mną do czynienia. Bo czytanie, kurwa, to jest... - tu zatrzymał się i rozejrzył

249

po sali, jakby szukał odpowiedniego słowa, ale zaraz znalazł je w niezmiernie płytkich pokładach pamięci - czytanie, to jest, kurwa, klucz do wiedzy! - powiedział dumny z siebie kapral Fik, co to w życiu nie przeczytał żadnej książki.

Następnego dnia Mariusz dowiedział się od szeregowego, który froterował linoleum na korytarzu, co wpłynęło na tak szybką zmianę decyzji kaprała. Podoficer po wyjściu z pokoju niemal natychmiast wpadł na przechodzącego korytarzem oficera. Nieopatrznie pochwalił się kapitanowi Łuczakowi, który był oficerem polityczno-wychowawczym, że książki, jakie dźwiga pod pachą, to efekt jego własnych działań wychowawczych, bo zabrał te głupoty szeregowcowi, co wyróżniał się szczególną krnąbrnością, dupowatością i ogólnym kretynizmem.

Kapitanowi wystarczył tylko rzut oka na tytuły, by po raz kolejny stwierdzić, że ma do czynienia z idiotą. Zapytał o nazwisko tego, który to czytał, a później kazał Fikowi natychmiast oddać książki i jeszcze zachęcić do lektury innych.

Podoficer, chcąc nie chcąc, musiał więc wrócić do pokoju, by wygłosić to piękne przemówienie.

Krótko po tym, akurat gdy Mariusz już bardzo poważnie zastanawiał się nad tym, w jaki sposób uciec z zomo, uwagę na niego zwrócili, zupełnie przypadkowo, dwaj oficerowie z komendy wojewódzkiej, Brodziak i Marcinkowski. Wraz ze swoją kompanią zabezpieczał wtedy teren znalezienia bezgłowych zwłok nad Wartą. Wkrótce okazało się, że przydał

się w prowadzonym wówczas śledztwie. W nagrodę Marcinkowski załatwił mu stałe oddelegowanie do pracy w jego wydziale. Skończyła się więc dla niego udręka w zomo, a z kożarami na Taborowej łączyło go tylko łóżko we wspólnej sali, bo całe dnie, a starał się, żeby to były również popołudnia i wieczory, spędzał na komendzie. Przypominając sobie to wszystko, zastanawiał się zarazem nad tym, co powiedziała

250

jego siostra. Nie mógł zrozumieć, o co jej chodziło. W końcu nic złego nie zrobił, a przecież nie może sam odpowiadać za całe zomo. To był tylko krótki epizod, a większość jego służby to praca w poznańskiej kw.

Z zadowoleniem przypomniał sobie ten czas, a zrobiło mu się jeszcze bardziej przyjemnie, gdy pomyślał sobie, że najbliższe dni spędzi również w Poznaniu. Przede wszystkim śledztwo, które trzeba było jak najszybciej doprowadzić do końca. Wierzył, że się do czegoś przyda. No i oprócz tego miał tu coś jeszcze do załatwienia. Zamierzał wyjaśnić pewne sprawy z dziewczyną, która nie wszystko chciała zrozumieć...

No właśnie, gdziekolwiek w centrum nas wysadzicie, to damy radę. Musimy się dostać do dworca kolejowego - skłamał Mariusz, uwiarygodniając do samego końca ich legendę miłośników rocka wracających z Jarocina.

Musieli w jakiś sposób wytłumaczyć tym dwóm facetom, którzy podwozili ich do Poznania, swoją obecność na drodze i zatrzymanie przez milicjanta.

Malucha zatrzymał bowiem ich szofera w milicyjnym mundurze, który najpierw sprawdził dokumenty, a później, gdy

ustalił, że kierowca jedzie do Poznania, kazał im zabrać dwóch swoich pasażerów do miasta. Chcąc nie chcąc, właściciel samochodu i jego pasażer musieli zrobić dla dwóch gości miejsce. Posadzono ich z tyłu, jednak worki, które dotąd zalegały na siedzeniu, musieli wziąć na kolana.

Podróż w ekstremalnych warunkach, pod workami ze słomą dla królików, jak opisał dziwną zawartość worków kierowca, trwała na szczęście tylko godzinę. Dało się przeżyć.

- My jedziemy na Rybaki, więc jak chcecie, to możecie tam wysiąść, a ze Strzeleckiej każdy tramwaj zawiezie was do centrum - powiedział kolega kierowcy.

251

- Możemy wysiąść już wcześniej, gdzieś tak koło awf-u, jak będziecie zjeżdżać w Strzelecką - zaproponował Mariusz.

- Łe tam, nie będziemy gemeli robić z tymi worami na środku ulicy. Podjedziemy do nas i wysiądziecie na podwórku, bez obciachu. Będziecie se mogli przynajmniej pory otrzepać z tych paprochów.

- Dobra, niech będą Rybaki! - Blaszkowski uśmiechnął się do siebie. Może te Rybaki to jakiś znak. Ciągnie go do siebie to miejsce w jakiś dziwny sposób. Nie myślał, że w najbliższym czasie będzie mógł tam pójść. No ale co zrobić. Żeby z Rybaków dostać się do komendy, będzie musiał skręcić w Kwiatową i zaraz znajdzie się na Półwiejskiej, dokładnie pod kamienicą, w której na drugim piętrze mieszka pewna Dorota o zielonych oczach.

Wysiedli jednak nie w bramie, ale nieco wcześniej, tuż przy sklepie spożywczym. Do bramy nie dało się wjechać, bo

blokowała ją niebieska milicyjna nyska.

godzina 9.30

Teofil Olkiewicz człapał wolno, noga za nogą, ulicą Półwiejską w kierunku swojego domu na Wildzie.

O tej porze na tym deptaku panował raczej umiarkowany ruch. Ludzie kręcili się tylko w okolicach sklepów spożywczych. Więcej przechodniów pojawi się dopiero za pół godziny, kiedy otworzą pozostałe sklepy, które teraz informowały napisami na drzwiach, że w soboty otwarte dopiero od dziesiątej. Ale Teofil nie interesował się ani spożywczakami, w których nie było nic godnego uwagi, ani tym bardziej sklepami z ciuchami czy nie daj Boże, mijaną właśnie księgarnią medyczną. Przesuwając się w głąb Półwiejskiej, z niepokojem

252

wypatrywał po prawej stronie znanej mu doskonale witryny piwiarni. Niepokoił się, czy aby na pewno kierownik jest już na miejscu w knajpie. Bywał tu częstym gościem, szczególnie od czasu wprowadzenia stanu wojennego. Ajentem i kierownikiem tego lokalu był jego dobry znajomy Władek Kajzerek, z którym robili wspólne interesy od wielu lat. Gdy Jaruzelski wprowadził sprzedaż alkoholu od godziny trzynastej, Teofil Olkiewicz wymyślił sposób na ominięcie tego idiotycznego przepisu, za który wszyscy pijacy w kraju powinni wystawić mu pomnik. Bo mimo że wymyślił to w Poznaniu, w knajpie na Półwiejskiej, to pomysł został podchwycony i błyskawicznie rozprzestrzenił się na cały kraj. Sposób okazał się banalnie prosty, ale jednak trzeba było być wybitnym znawcą tematyki alkoholowej, aby na niego wpaść.

Knajpy otwierano już rano, a do trzynastej trzeba było coś pić. Teofil podpowiedział więc swojemu koledze agentowi, żeby zaufanym pijakom zaczął sprzedawać wódkę w butelkach po oranżadzie. Jednak aby na wypadek nagłej kontroli cała sprawa się nie wydała, podawano ją w butelkach od oranżady zmieszanej z bąbelkowanym płynem w proporcji pół na pół. Taki koktajl nalany do literatek wyglądał i pachniał jak oranżada.

Wkrótce knajpy w całej Polsce zapełniły się wesołymi biesiadnikami o niewyjściowych pyskach, którzy już od wczesnych godzin rannych raczyli się hektolitrami oranżady o smaku malinowym.

Podążając w kierunku pijalni, Teofil miał nadzieję, że kierownik jest już na miejscu i wpuści go do środka przed oficjalnym otwarciem. Musiał się dziś napić, po poprzednim dniu i nocy pełnej przeżyć. Nad ranem przyjechał do komendy w Poznaniu. Wszedł do swojego pokoju, odnalazł w biurku ukrytą reszkę wódki Bałtyckiej, wypił wszystko do

253
dna i zasnął na siedząco. Teraz ledwie się ocknął, doszedł do wniosku, że musi jeszcze zagospodarować sobie jakoś ten poranek, no i skierował swe kroki na Półwiejską.

- A ty co tak rychło łazisz po moim fyrtku? - wyrwał Olkiewicza z zamyślenia znajomy głos. Spojrzał w lewo, w ulicę Kwiatową, i ku swojej radości dostrzegł podążającego w jego kierunku dzielnicowego Kaczyńskiego.

- Łe, Jasiu, a ty już w robocie? A ja z roboty lecę do chaty.

Całą noc w Jarocinie byłem.

-Nie wiedziałem, że lubisz takie imprezy - zaśmiał się dzielnicowy.

- Ady tam lubię, służbowo byłem. Całą noc my szukali jednego gnojka, co to zabił jedną podfruwajkę młotkiem. Ale nam się szczon wymknął. Idę teraz do chaty trochę się prześpać, ale przedtem muszę coś łyknąć, bo mnie suszy jak cholera po tych nocnych koncertach.

Dzielnicowy swoim zwyczajem zdjął czapkę i podrapał się po łysinie. Obaj spojrzeli najpierw w stronę pijalni, a potem na siebie. Nie musieli dużo gadać. Zrozumieli się bez słów. Ruszyli zgodnie w wiadomym kierunku.

- Mam nadzieję tylko, że jest kierownik - mruknął Kaczyński -- bo na sali nie mogę pić w mundurze.

- Powinien być, o tej porze najczęściej już liczy flaszki przed otwarciem. Wpuści nas na zaplecze i jak ludzie usiądziemy - uspokoił kolegę Teofil.

- Mi też zaschło w gardle, bo już od rana latam po Rybakach. Baby z kolejki znalazły tam gołego truposza z rozwaloną łepetyną. Aleśmy już podejrzanego namierzyli i odwieźli na komendę.

-No to masz szczęście, jak sprawa zamknięta. Ja się będę z tym chłelernym młotkowym woził pewnie jeszcze długo.

254

- Młotkowym, powiadasz? A ty wiesz, że ten mój zatrzymany Mrowiński to tego gościa młotkiem chyba załatwił? Olkiewicz spojrzał na sierżanta z uśmiechem.

- Taki kraj, cholera. Jakbyśmy żyli w Ameryce, to wiaruchna

by się zabijała normalnie, po ludzku, z pistoletów. A tu działy kalwaryjskie młóćą się po łbach czym popadnie, młotkami nawet. Ale co tam, pieprzyć to barachło. Niech się gnoje mordują, a ja muszę się napić.

- I to jest właśnie najpiękniejsze w naszej robocie - zaśmiał się sierżant Kaczyński, klepiąc radośnie Olkiewicza po plecach. -- Pieprzyć ich wszystkich, byleśmy tylko mogli w spokoju robić swoje.

Stanęli przed knajpą. Nie musieli pukać, bo kierownik Kajzerek, który spostrzegł ich przez szybę, natychmiast podszedł, aby wpuścić do środka nieoczekiwanych, aczkolwiek miłych gości.

poznań

godzina 9.50

Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Poznaniu mieścił się przy ulicy Kochanowskiego. To ścisłe centrum miasta. Niedaleko stąd do dworców, kolejowego i autobusowego, a także, co dość istotne dla bezpieczeństwa kraju, do terenów, na których co roku odbywają się Międzynarodowe Targi Poznańskie. Impreza ta miała niezwykle wysoką rangę, jeśli chodzi o interes narodowy, gdyż tu można było zaprezentować zawsze w czerwcu to, co najlepszego wytworzyła nasza myśl techniczna i czym Polska Ludowa mogła pochwalić się na arenie międzynarodowej. To tu menedżerowie socjalistycznej gospodarki nawiązywali kontakty handlowe

255

z przedstawicielami zgniłego kapitalizmu, który oferował swoje technologie w zamian za polskie towary, bo tak na-

prawdę wytwory naszej myśli technicznej nie miały zbyt dobrej opinii na międzynarodowej arenie. No ale jak mogły cieszyć się uznaniem nasze maszyny czy urządzenia, jeśli robione były z kiepskich materiałów, a dodatkowo jeszcze wszystko wykonywano w niechlujny, mało precyzyjny sposób.

Ze słabości naszych wyrobów wszyscy zdawali sobie sprawę. Dość powiedzieć, że nasz sprzęt psuł się na potęgę i nie dawało się z tym nic zrobić. Ta wiedza wystarczała potencjalnym kupcom z Zachodu, by zrozumieć, że nie warto kupować w Polsce ładnie wyglądających wyrobów, które opuszczają linie produkcyjne zawirusowane niechlujstwem wykonania o wysokim współczynniku zawodności. Nie przeszkadzało to jednak specjalistom różnych branż pojawiać się na targach, skoro socjalistyczna Polska dawała im taką możliwość. Więcej było jednak sprzedających świetne zachodnie wyroby niż potencjalnych kupców poszukujących pereł socjalistycznej myśli technicznej. Targi były również okazją dla tych wszystkich, którzy chcieli przyjechać do Polski, by pod przykrywką interesów gospodarczych wwieźć do naszego kraju wrogie myśli, a nierzadko także wrogie ideologicznie materiały, które miały wspomóc ekstremistyczne podziemie, chcące siłą zburzyć socjalistyczny porządek. Ale na szczęście Służba Bezpieczeństwa czuwała i robiła wszystko, by nie dopuścić do niepożądanych kontaktów wysłanników kapitalistycznych wywiadów z naszą solidarnościową ekstremą. Jednym z tych, którzy na tym polu mieli szczególne osiągnięcia, był kapitan Fabian Galaś. On to w ubiegłym roku, podając się za solidarnościowego działacza, aresztował dwóch

szpiegów z rfn-u, którzy jako przedstawiciele niemieckich zakładów Kruppa chcieli przekazać mu dla nielegalnej

256

Solidarności dwa powielacze, które mogłyby posłużyć do drukowania niebezpiecznych dla prl-u ulotek. Za tę udaną akcję porucznik Fabian Galaś został awansowany do stopnia kapitana, a ponadto dostał jeszcze od szefa swojego pionu talon na dużego fiata. Te wszystkie dawne osiągnięcia nie były jednak w stanie złagodzić wściekłości pułkownika Wrony, przed którym kapitan stał teraz na baczność.

-- Wydałem wam, kapitanie, prosty i jasny rozkaz, a wy co mi tu gadacie? Że nasz dawny współpracownik i informator, nie dość, że odmówił współpracy, to jeszcze obił wam głębę? Czegoś tu nie rozumiem. Umieliście poradzić sobie z niemieckimi szpiegami, a nie daliście rady jakiemuś zasrańcowi, który nie jest naszym wrogiem, ale sprzymierzeńcem! - wykrzykiwał pułkownik chrapliwym głosem, krążąc wokół wyprężonego jak struna Galasia. - Olkiewicz to jest nasz współpracownik, były oficer służby, więc czemu odmówił wam współpracy, a jeszcze na dodatek dał wam w mordę? Odpowiedzcie mi na pytanie, Galaś!

-- Wydaje mi się, obywatelu pułkowniku, że on przeszedł na wrogie pozycje. To znaczy, że nie jest już naszym sprzymierzeńcem, tylko ekstremistą w mundurze milicjanta. Należy się więc zastanowić nad tym, dlaczego postąpił w ten sposób, kto go do tego skłonił, czyli kto jest jego mocodawcą. Czy przypadkiem wrogowie ustroju nie przyczaili się w wydziale dochodzeniowo-śledczym w większej liczbie. A po tym, co

widziałem tam, na miejscu, mam powody przypuszczać, że w ich szeregach panuje wrogie nastawienie do Służby Bezpieczeństwa, a także do obowiązków służbowych i co za tym idzie, do ustroju socjalistycznego.

Pułkownik Wrona opadł na fotel i sięgnął po butelkę potyczniaki. Wlał trochę gazowanej wody do szklanki, a potem wypił wszystko do dna.

257

- To jak ten gnój powiedział? - zapytał jeszcze raz pułkownik.

- Powiedzcie pułkownikowi Wronie, żeby przestał krakać i żebyśmy my wszyscy z sb spierdalali w podskokach, bo jesteśmy pierdolone szpicle i w ogóle, że ma nas wszystkich w dupie i że mamy się od niego raz na zawsze odczepić.

Pułkownik zbladł, słysząc taką zniewagę. Ośmielił się ją wypowiedzieć pod jego adresem jakiś pętak z milicji!

Spojrzał na wiszący na ścianie po lewej stronie, oprawiony w złote ramy portret Feliksa Dzierżyńskiego. Ten ręcznie malowany obraz dostał w prezencie od wojewódzkiego szefa sb w osiemdziesiątym pierwszym. Była to nagroda uzupełniająca okazałych rozmiarów kopertę, kiedy udało mu się zlikwidować podziemną drukarnię, którą urządzili w piwnicy Wydziału Nauk Społecznych na Szamarzewskiego dwaj młodzi pracownicy naukowcy. Akcja przeprowadzona została tak sprawnie, że obu drukarzy zatrzymano na gorącym uczynku, a przy okazji skonfiskowano cały nakład nierozkolportowanej jeszcze gazetki i zatrzymano także czterech studentów socjologii, którzy mieli się zająć kolportażem.

Co zrobiłby Feliks Edmundowicz na moim miejscu, pomyślał pułkownik ze wzrokiem utkwionym w chmurnym obliczu szefa czerezwyczajki. Po chwili uśmiechnął się, bo już wiedział: Feliks kazałby zaraz takiego drania postawić pod ścianą. No ale cóż, czasy się zmieniły. Nie rozstrzeliwuje się już wrogich elementów, a szkoda.

- Słuchajcie mnie, Galaś, uważnie, co ja sobie w chwili obecnej myślę o całej tej sprawie - zaczął spokojnym, opanowanym głosem pułkownik. - Jeśli ktoś jest wrogim elementem, i do tego nastawionym na działania zmierzające do obalenia ustroju socjalistycznego siłą, to trzeba takim delikwentem zająć się bardzo szybko, żeby ta zaraza nie

258

rozprzestrzeniła się i nie opanowała zdrowej tkanki milicyjnej struktury. Bo taki wróg w naszych szeregach, co dotąd się skutecznie ukrywał, gorszy jest od tego wroga, co jest wrogiem otwartym i znanym z tego, że jest wrogiem. A ten przyuczajony może wyrządzić niepowetowane szkody, sącząc swój zgniły wywrotowy jad do uszu młodej ideowej kadry. Trzeba działać zdecydowanie i wyciąć zdecydowanym ruchem raz na zawsze tego wrzoda - zdecydował pułkownik Wrona.

- Rozumiem, że mam się nim zająć i spowodować, żeby przestał się rzucać w oczy. - Galaś, dotknięty do żywego postawą Olkiewicza, z radością odczytał intencje swojego szefa.

Niestety, odczytał błędnie.

- Galaś, myśmy się na błędach w sprawie Popiełuszki już czegoś nauczyli. Tak by było najprościej, do worka i do rzeki.

Tyle że jak się wyda, to co, pójdziemy do więzienia, jak Pio-

trowski i Pietruszka przez takiego bandzwoła? Już ta cała akcja w Jarocinie, która miała być, jak wyście to powiedzieli, koronkową robotą, całkowicie się wam nie udała, a i sprzątanie spieprzyliście pokazowo. Nie dziwota więc, że szukacie teraz pomsty na tym, co wam dopomógł wszystko spieprzyć, bo gdyby pomógł, to choć może coś by się dało jeszcze uratować. Ale jak mówicie, przez niego się nie udało. I dlatego ja myślę, że ten Olkiewicz, ta nędzna, podstępna kreatura, to jest taka gnida, którą my sobie nawet nie będziemy brudzić rąk. Jak ja mówię wyciąć, to jest w przenośni, a nie żebyście od razu łapali za pistolet. My go wytniemy prościej i bardziej dla tego gada dotkliwie. My mu damy kopniaka w dupę i wywalimy z resortu na zbitą mordę. A wtedy ten obszcymur zrozumie, że popełnił poważny błąd. Bo w tym kraju można wiele, ale jednego nie wolno nikomu. Nikt nie może bezkarnie robić sobie jaj ze Służby Bezpieczeństwa!

259

godzina 10.05

Mimo że to dopiero przedpołudnie, było już bardzo ciepło. Słońce na bezchmurnym niebie zapowiadało kolejny upalny dzień. Ptaki pracujące wśród iglastych gałęzi uwijały się jak w ukropie, wrzeszcząc niemiłosiernie. Z oddali dochodził pracowity stukot dzięcioła, niezwykle ostry, poprzez swą wyrazistość, na tle tego jazgotliwego tumultu. Od drogi na Katowice było stąd dość daleko, więc odgłosów wydawanych przez leśny organizm nie zakłócał najmniejszy dźwięk cywilizacji, poza jednym drobnym szczegółem. Obcy element to powtarzający się co chwila dźwięk szpadla krojącego piach.

Ziemia była piaszczysta i po przebiciu się przez ściółkę zalegającą grubą warstwą u podnóża sosen można było już łatwo kopać. Szpadel wchodził w lekką żółtą glebę jak w masło, nie napotykając nawet większego oporu sosnowych korzeni, które zapewne to starannie wybrane miejsce ominęły, by wgryzać się gdzieś dalej. Mimo że kopać można było z łatwością, kopiący co rusz przerywał, ocierał pot z czoła, rozglądał się dokoła, jakby czekał, że któryś z pomysłodawców tego kopania każe mu przerwać. Widać było na pierwszy rzut oka, że ta robota mu nie idzie, bo i komu by szło gładko i przyjemnie kopanie swojego własnego grobu?

A pomysłodawca najważniejszy stał pięć metrów obok i palił papierosa. Obok niego stał drugi, niepalący, za to trzymający w ręku piękny, lśniący i pachnący jeszcze smarem akumulator. Lufa automatu skierowana była w dół, jednak gdy kopiący przestawał kopać, by spojrzeć na swoich oprawców, ten z karabinem natychmiast unosił lufę i kopiący wracał do przerwanej pracy.

Karol Rowerowy pomyślał, że ma dziś cholernego pecha.

Dał się podejść jak dziecko i przez własną głupotę, żeby nie

260

powiedzieć własny kretynizm, stał teraz po kolana w piaszczystym grobie. Nie wiedział, na co się porywa i w co się pakuje. Uwierzył swojemu kuzynowi Domagale, że to taka prosta sprawa, którą raz - dwa załatwią i nikt się nawet nie zorientuje. Miał się umówić tylko ze swoim znajomym Tuniem na spotkanie w sprawie interesów. Pozwodzić go trochę, przystać w końcu na warunki, albo i nie przystawać, wszyst-

ko jedno. Chodziło jedynie o to, by rozmowa zakończyła się o odpowiedniej porze.

Za taką drobnostkę obiecano mu aż sto dolarów. Tyle kasy za nic, myślał Karol. Jakbym nie wziął, to można by powiedzieć o mnie, że ja jest ciężki frajer. W końcu zielone stówki nie leżą na ulicy!

Z chęcią przyjął propozycję, nie wgłębiając się zbyt w jej sens. O co w tym wszystkim chodzi, dowiedział się, kiedy poszedł do Adrii na dancing.

Wśród jego znajomych, cinkciarzy i handlarzy z Łazarza, lotem błyskawicy rozeszła się nieprawdopodobna wieść.

Wszyscy mówili tylko o tym jednym, bo była to sensacja na skalę światową.

- Co się dzieje w naszym fyrtku? - zapytał Mundka Szmarciarza, przysiadając się do jego stolika. Brodaty, kędzierzawy Mundek na pierwszy rzut oka przypominał beczkę piwa, którą tylko przypadkiem ktoś usadził na malutkim krzeselku. Swoje przezwisko zawdzięczał, tak jak Karol Rowerowy, handlowemu asortymentowi. Raz na miesiąc jeździł na wycieczki do Istambułu i stamtąd przywoził ogromne torby wypełnione po brzegi marmurkowymi dżinsami, kurtkami i hitem ostatnich lat, swetrami szalowymi. Dorobił się na tych szmatach mieszkania w bloku na Kosmonautów, małego fiata w kolorze yellow bahama i sympatycznego przezwiska.

261

Mundek spojrział na Rowerowego nieco mętnym wzrokiem, zmąconym przez trzy butelki bałtyckiej i uśmiechnął

się radośnie, rozpoznając w stojącym obok mężczyźnie swojego kolegę z rynku.

-- Siadaj i słuchaj, mówię ci, jaja jak berety. Ale najpierw się napij, bo musisz być zmachany. Pij karniaczka, bo masz trochę do nadrobienia.

Nalał z butelki do literatki i podsunął szklankę koledze.

Ten wypił szybko, bo ciekawość go zżerała. W końcu nie co dzień można liczyć na jakąś sensacyjkę, która porusza środowisko. A że coś je poruszyło, było widać od pierwszej chwili, od momentu, w którym Karol przekroczył próg restauracji, bo wszyscy jego znajomi, zazwyczaj leniwie i bezrefleksyjnie pijący o tej porze wódkę, rozmawiali o czymś z ożywieniem.

-- Tunio Ząbek, kurier Grubego Rycha, dostał w tytę na przystanku, a bandyci zabrali mu całodzienny utarg.

-- O kurde!

-- Kurde? Ja bym powiedział raczej, jasna kurwa, albo i jeszcze gorzej.

-- Jeszcze gorzej -- powtórzył jak echo Rowerowy.

-- Gorzej, a pewnie, że gorzej. Ja bym powiedział nawet: przejebane! - Popatrzył na pobladłego przyjaciela, podrapał się w głowę, a potem z radością klepnął się w kolano i wybuchnął śmiechem.

-- Nie mogę tego zrozumieć - powiedział, zaśmiewając się do łez. - Nie rozumiem, jak można być takim idiotą. Co tam idiotą, kwadratowym debilem o dębowej czaszce, żeby wpaść na taki pomysł i chcieć obrobić Grubego Rycha! Przecież ten facet wyciągnie spod ziemi tych przygłupów i dla przykładu

oderwie im te zakute łby, żeby na przyszłość nikomu się już nie zachciało wpadać na taki durny pomysł!

262

- Co ty mówisz? - Do Rowerowego dotarła straszna prawda o przedsięwzięciu, w jakim uczestniczył. Został wykorzystany i wystawiony. Dał się wrobić jak idiota. Za sto dolarów, które miał teraz w swoim portfelu, dobrowolnie położył głowę pod topór. A Tunio Ząbek musiałby być ostatnim krety-nem, żeby nie powiązać tej ich rozmowy w Wuzecie z napadem.

- Mówię, że Rychu nie odpuści. Cha, cha, spod ziemi wyciągnie tych idiotów, co mu wleźli w paradę. Dla niego to sprawa honorowa... Trzeba nie mieć mózgu, żeby zadzierać z Rychem...

Dla mnie to sprawa honorowa - powiedział Rychu, spoglądając z góry na Karola Rowerowego, stojącego w sięgającym mu do pasa rowie.

Karolowi sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała się absurdalna. Miał wrażenie, że to wszystko wcale go nie dotyczy, że to jakiś koszmar senny. Ale nie, to jawa! Był wściekły na tych facetów, którzy go uprowadzili z Poznania i wywieźli do lasu, a on nie potrafił im się przeciwstawić.

Jednak najbardziej był zły na siebie, że dał się tak podejść dziś rano. Jak co dzień stał przy swoim stoisku na Łazarzu. Tu czuł się zupełnie bezpieczny, bo wiedział, że na miejscu nikomu krzywdy nie zrobi. Poza tym był przekonany, że tak od razu ludzie Grubego Rycha nie będą szukali jego, tylko najpierw zajmą się poszukiwaniami tych, którzy napadli Tunia.

Pilnował więc interesu bez obawy i wcale nie zaniepokoiła go propozycja tego wysokiego, dobrze zbudowanego faceta w beżowej marynarce. Klient powiedział, że ma w bagażniku auta rower prosto z rfn-u i chce go opchnąć. Rowerowy bez wahania zgodził się przejść kawałek na parking, żeby rzucić okiem na towar. No a jak podeszli do niebieskiego passata, 263

to się okazało, że żadnego roweru nie ma. Jest za to pistolet w ręce tego gościa. Karol nie zdążył nawet pisnąć. W ciągu zaledwie paru sekund siedział na przednim siedzeniu przykuty kajdankami do uchwyty nad drzwiami.

- No więc sam rozumiesz - ciągnął Rychu - że nie mam ochoty na ksiuty. Wiem wszystko na temat twojego udziału w napadzie na Tunia. Więc bądź tak miły i opowiedz mi wszystko dokładnie o tym, co się wydarzyło, i kto wpadł na ten kretyński pomysł.

- Szefie, może go pierdolnąć w kolano, to zaraz mu się za-
chce gadać.

- Spokojnie, Władziu, on chyba chce nam jednak coś powiedzieć.

- Jedna kulka w kolano nie zaszkodzi. Język mu się roz-
wiąże.

- A masz przestawiony automat na pojedynczy strzał? Bo jakbyś miał na ogień ciągły, to za jednym pociągnięciem cyn-
gla kałach wypluwa cały magazynek i wtedy, wiesz, co będzie.

Nie tylko kolano możesz mu odstrzelić, ale i fiuta.

- Nie wiem, szefie, gdzie to się przełącza. Ja jeszcze nigdy z takiej maszynówki nie strzelałem.

-Jak nie strzelałeś? To co robiłeś w wojsku?

- Maszerowałem cały czas. Byłem w kompanii reprezentacyjnej.

- No widzisz! - Rychu przerwał rozmowę z Władziem i spojrzał na trzęsącego się jak osika Rowerowego. - Z kim ja muszę pracować? Ten Władziu nawet nie wie, jak się tęgiwerę obsługuje. I taki gość ma być specjalistą od mokrej roboty?

264

godzina 10.10

Drzwi były stare, przedwojenne, wykonane z porządnego litego drewna, nie takie, jak te dzisiejsze, w blokach, robione z byle jakiej płyty. Te z nowego budownictwa można było sforsować za pomocą solidnego kopniaka. Mariusz pamiętał, jak ojciec któregoś dnia po przyjściu z pracy oświadczył, że ich drzwi do mieszkania są do niczego i że je trzeba z jednej i drugiej strony wzmocnić sosnową boazerią. Najlepiej byłoby jeszcze jakąś blachę wsadzić pod to drewno, bo boazeria jest nietrwała i też można ją zedrzyć, a blacha to jednak solidne uzbrojenie. Tyle że takiego wielkiego płata blachy raczej się nigdzie nie dostanie, a z boazerią to już się jakoś da radę coś załatwić, zwłaszcza że jeden znajomy miał dobre układy z warsztatem stolarskim - wyjaśniał ojciec Mariuszowi. Dopiero po chwili zorientował się, że nie wytłumaczył dokładnie, o co chodzi z tymi drzwiami. A sprawa była prosta. W jednej z „zielonych desek” na ulicy Roosevelta w ciągu zaledwie jednego przedpołudnia złodziejska szajka okradła osiem mieszkań. „Zielone deski” - taką nazwę nadali miesz-

kańcy Piły nowym blokom, których ściany zbudowane z wielkiej płyty przyozdobione były ceramiczną zieloną emalią.

No więc tych osiem mieszkań obrabowano przed południem w ciągu kilku godzin. Przystępcy weszli do lokali bez wytrychów czy podrabianych kluczy. Wszystkie drzwi sforsowali silnym kopniakiem, który okazał się zabójczy dla cienkiej płyty wiórowej. Najciekawsze było jednak to, że nikt z sąsiadów niczego nie słyszał. Oznaczało to, że kopniaki nie musiały być wcale mocne, a drzwi nadzwyczaj słabe.

Ojciec krytycznie przyjrzał się drzwiom do ich mieszkania i zdecydował. Jak tylko załatwię boazerię, natychmiast je objemy.

265

Nie załatwił. Do dziś drzwi w mieszkaniu rodziców Mariusza nie doczekały się wzmocnienia, bo koledze ojca jakoś nie udało się zorganizować sosnowych desek. Za to tych, przed którymi Mariusz stał teraz, nie trzeba było niczym objąć dla wzmocnienia. Solidna przedwojenna robota, pomyślał, pukając w chropowatą powierzchnię, z której płatami odłaziła brązowa farba olejna. Ale przydałoby się je pomalować i przywrócić im dawną świetność, ocenił prawie jak gospodarz mieszkania znajdującego się za drzwiami. Nie był co prawda jego właścicielem, ale swego czasu bywał tu dość często, stąd to gospodarskie myślenie się wzięło.

Zapukał jeszcze raz i wtedy usłyszał jakiś ruch dochodzący ze środka.

Właściwie trzeba by też naprawić ten dzwonek. Spojrzał na czarny ebonitowy przycisk po lewej stronie. Odkąd pamiętał,

nigdy nie działał.

-Już, chwileczkę, już idę. - Usłyszał głos zza drzwi i serce zabiło mu radośniej. Dorota była w domu.

Nie widział jej już prawie od roku. Ostatni raz spotkali się tuż przed jego wyjazdem do szkoły w Szczytnie. Na początku pisywali do siebie regularnie, ale w końcu odpowiedzi z Poznania zaczęły napływać rzadziej, a ton listów od dziewczyny stał się jakiś oschły, pozbawiony uprzedniej sympatii. Mariusz miał wrażenie, że przestało jej zależeć na tym związku, choć nigdy tego oficjalnie mu nie powiedziała...

W końcu przestał pisać, licząc na to, że wtedy ona zrozumie, że się opamięta. Ale widać nie zrozumiała, bo korespondencja urwała się całkowicie. Pewnie poznała kogoś, myślał, a poza tym ten związek z góry skazany był na porażkę. Analizował przeszłość, starając się w jakiś sposób zrozumieć jej postępowanie i jednocześnie usprawiedliwić je. Choć jakkolwiek by podszedł do tej kwestii, zawsze na końcu pojawiała

266

się jedno słowo: milicja. Chociaż ona od początku wiedziała, że jest milicjantem, to jednak gdzieś musiało to w niej tkwić jak drzazga pod paznokciem. Ona była studentką, obracającą się w środowisku zdelegalizowanego nzs-u, a on milicjantem z zomowską przeszłością. Klasyczny mezalians w siermiężnym prl-owskim wydaniu. Ten związek nie miał szans na przetrwanie już od samego początku, a mimo to i on, i ona uparcie brnęli coraz głębiej. No i gdy tylko oddzieliła ich odległość kilkuset kilometrów, ona pierwsza się poddała. A potem Mariusz dał za wygraną i postanowił, że nie będzie się

narzucać. Ostatni jego list był właściwie tylko relacją pogodową z informacją o lekkim przeziębieniu. Nie potrafił już zdobyć się na nic bardziej intymnego po serii jej zdawkowych odpowiedzi na poprzednie listy. Początkowo łudził się jeszcze, że jednak przyjdzie odpowiedź. Na próżno czekał. Dyżurny przynosił regularnie do jego pokoju listy od rodziców, niekiedy od siostry, ale tego w żółtej kopercie, z kompletu papeterii kupionej w papierniczym na Półwiejskiej, nie było.

Dopiero teraz, gdy wracał do Poznania tym śmierdzącym małym fiatem zawalonym workami ze słomą, przyszła refleksja, że skoro los kieruje go w pobliże jej domu, mógłby do niej wpaść i choć chwilę pogadać. Rozum mówił mu, że niepotrzebnie robi sobie nadzieje, jednak serce jak zwykle w takich wypadkach podpowiadało coś zupełnie innego. Dlatego zaraz po wyjściu z auta zostawił kolegę Zalewskiego na Półwiejskiej, proponując mu samodzielne zwiedzanie tej ciekawej ulicy. Obiecał, że tylko coś załatwi i wróci w ciągu pół godziny, a potem już razem pojedą do koszar milicyjnych na Taborową, gdzie mieli wyznaczone kwatery.

Zapukał jeszcze raz, choć słyszał już wyraźnie szybkie kroki z drugiego końca korytarza za drzwiami.

267

Zgrzytnął zamek. Drzwi uchyliły się na długość łańcucha. W szparze pojawiła się głowa o gładko zaczesanych jasnych włosach i zielonych dużych oczach. Na twarzy dziewczyny dostrzegł niedowierzanie, które po chwili przeszło w niepewny uśmiech.

-Cześć, Dorota -- rzucił trochę zbyt głośno i z nieco przesadną radością. Powiedział to tak, jakby pod tym niby radosnym okrzykiem chciał ukryć zakłopotanie.

-To ty? - powiedziała dziewczyna, stwierdzając stan faktyczny. - Nie wiedziałam, że przyjedziesz - dodała szybko.

- Ja też nie wiedziałem. Tak zupełnie przez przypadek jestem w Poznaniu. Nie wiedziałem nawet, że będę w pobliżu, ale tak się złożyło, że wylądowałem tuż obok, na Rybakach, no więc jak już tu jestem, to sobie pomyślałem, że wpadnę i zapytam, co u ciebie słychać.

Dorota bez słowa otworzyła szerzej drzwi. Łańcuch zadźwięczał i opadł luźno, uderzając o drewno.

Miała na sobie czerwoną sukienkę. Nie zdążyła założyć butów, stała więc na bosy.

- Mogę wejść? - zapytał, chcąc już przekroczyć próg. Ale żeby to zrobić, musiałby staranować gospodynię, bo stała w samym środku przejścia. Założywszy ręce na krzyż, podniosła głowę i spojrzała na niego tymi zielonymi oczami, które tak dobrze pamiętał od chwili, gdy zobaczyli się po raz pierwszy.

- Wiesz, nie spodziewałam się, że przyjedziesz.

Cofnął się o krok, bo dopiero w tej chwili wyczuł, że ona mówi do niego jakimś dziwnym głosem. Tak jakby się go bała. Przez chwilę w milczeniu przypatrywali się sobie. Ona, spoglądając na jego twarz, on, lustrując powoli krągłości jej piersi, biodra, by zatrzymać się na bosych stopach. Podczas tych oględzin stwierdził, że pod sukienką nie ma na sobie

bielizny. Musiała dopiero co wstać i narzucić na siebie szybko tę sukienkę, pomyślał.

- Nie wiedziałam, że przyjedziesz... - zaczęła znowu, jakby w ten sposób chciała dać mu coś do zrozumienia.

W tym momencie z pokoju w głębi korytarza, o którym doskonale wiedział, że to sypialnia Doroty, wyszedł jakiś młody, mniej więcej w jego wieku chłopak. Ubrany tylko w szare spodnie od dresu, z gołym torsem. Brodaty, na nosie miał okulary, a jego długie kręcone włosy były potargane i na pewno nie zaznały dziś jeszcze kontaktu z grzebieniem.

- Co tam, Dorotko? - zapytał ten rozczochrany, poprawiając okulary, które zsunęły mu się niemal na czubek nosa.

Ona odwróciła się za siebie zmieszana, a potem spuściła głowę, jakby chciała odszukać gdzieś na podłodze zagubiony wątek.

- Nie wiedziałam, że przyjedziesz... - powtórzyła po raz czwarty.

Mariusz zagryzł wargi do krwi, potem bez słowa odwrócił się i powoli ruszył w dół klatki schodowej.

Ale ze mnie kretyn, pomyślał wściekły, a stare drewniane schody, jakby wtórując jego myślom, skrzypiały w takt kroków kre-tyn, kre-tyn, kre...

Wiciu Zalewski siedział na ławce i jadł loda bambino, którego kupił w pobliskiej budce. Lód był śmietankowo-kakaowy, nadziany na prosty patyczek.

Mariusz dostrzegł kolegę, jak tylko wyszedł z bramy. Podszedł szybko, a potem usiadł bez słowa obok niego.

- No i jak tam, załatwiłeś wszystko tak jak trzeba? - zagad-

nał bez specjalnego zainteresowania, bo naprawdę zainteresowany był dwiema ładnymi dziewczynami w miniówkach, które zjadały lody na ławce obok.

269

- Wiesz co, Wiciu, wszystko jest do dupy...

- Do dupy to jest papier toaletowy, a wszystko jest przed nami -- odparł Zalewski, nie spuszczać oczu z dziewczyn, które dawno już dostrzegły zainteresowanego nimi sąsiada, tylko udawały, że są bardzo zajęte sobą...

Mariusz chciał coś powiedzieć, ale Zalewski właśnie przed chwilą nawiązał kontakt wzrokowy z tą siedzącą bliżej niego, podniósł się więc szybko i już siedział na drugiej ławce.

Przekonanie obu dziewczyn co do tego, że warto z nim pójść na piwo, zajęło mu niespełna dwie minuty. Chcąc nie chcąc, naburmuszony i dotknięty do żywego Mariusz dołączył wreszcie do roześmianego towarzystwa. Bo co miał właściwie innego do roboty? Mógł pójść z nimi albo pojechać do koszar i spędzić resztę dnia, leżąc na łóżku i roztrzaskając swoją uczuciową porażkę. Ruszyli w głąb Półwiejskiej.

Do najbliższej piwiarni mieli zaledwie sto metrów.

godzina 10.15

Rowerowy spojrział najpierw na lufę automatu, którą goryl Władziu skierował w jego głowę. Z tej strony nie mógł się spodziewać żadnego ratunku. Zrozumiał, że jedyną instancją odwoławczą w tej chwili jest Rychu. Popatrzył więc na niego błagalnie i jęknął, mając nadzieję, że w ten sposób wzbudzi litość oprawców.

-Jezu święty, ja nic nie wiem, o co się rozchodzi, panie

Rychu szanowny. Jak na spowiedzi gadam. Nic, kurde, nie wiem. Co ja mogę mieć wspólnego z jakimś napadem?

Ja mam swój rowerowy biznes i w nic się nie mieszam.

- Obrażasz moją inteligencję - powiedział zimno Rychu.

Władziu, słysząc to, spokojnie przeładował automat.

270

Metaliczny, ostry dźwięk sprawił, że Karol Rowerowy skulił się w sobie, a z oczu zaczęły płynąć mu łzy. Chciał powiedzieć wszystko, co wiedział, ale coś chyba palnął nie tak. Zrozumiał więc, że ma ostatnią szansę, bo Rychu chyba nie lubi, jak się nie odpowiada precyzyjnie na jego pytania.

- Panie Rychu, jak Boga szczerze kocham. Ale domyślam się, o co idzie. I wszyściutko panu powiem jak na spowiedzi.

Powiał wiatr, poruszając lekko koronami drzew. Dzieciot przeniósł się znacznie bliżej, bo stukanie rozległo się niemal nad ich głowami. Rychu, zaciekawiony, spojrzął w górę. Dostrzegł czarny łebek i czerwony grzbiet ptaka.

- To było tak, że mój kuzyn ze strony matki, co się nazywa Wiechu Domagała, przylażł do mnie w zeszłym tygodniu. Będzie tak chyba w niedzielę. To poszli my na piwo na Wrocławską, bo tam jest najbliżej ode mnie z chaty. Bo ja na Maształerskiej mieszkam. A on mieszka na Rybakach.

Blisko mieli my też do Dudy na Strzelecką, ale tam nie było piwa, no to my poszli na Wrocławską, bo jak tam nie leją do kufła, to dają w piwnicy butelkowe.

- Nie truj mi tu o piwie, ino gadaj o sprawie - przywołał go ostro do porządku Rychu.

- No ady przecie gadam. Poszli my na piwo i on wtedy,

szuszfol pieprzony, właśnie mnie to zaproponował. Znaczący się o żadnym napadzie nie było gadania. On mi ino powiedział, czy chcę zarobić sto baksów. No to ja mu mówię, że jasne, że chcę, bo kto by nie chciał. Przecież sto baksów to jest kupa szmalu. No to on mnie powiedział, że mogę tę stówkę zarobić w pół godziny. Trzeba tylko umówić się z Tuniem na konkretny dzień i godzinę i tak z nim gadać, żeby Tunio nie wyszedł z knajpy w czas, ino żeby się trochę zasiedział. To ja go wtedy spytałem, o co biega w tym wszystkim, znaczący się, gdzie tu jest haczyk. A Domagała mi na to, że nie ma żadnego

271

haczyka, bo sprawa jest czysta jak glacia Gorbaczowa. Zagaduję Tunia i wieczorem tego samego dnia inkasuję kasę.

- I co, nie wzbudziło to żadnych twoich podejrzeń, że coś jest nie tak? - zapytał Rychu.

- Ale tam! Co ja miałem myśleć, że jest nie tak, jak on mi powiedział, że chce tylko kupić pod peweksem większą sumę od jednego cinkciarza i nie chce, żeby o tym wiedział Tunio, bo ten facet chce mu sprzedać tańsze dolce, po kursie państwowym, jakieś poza rozliczeniem z Tuniem, a Tunio by za taką kasę dolców nie puścił, bo ma jasne wytyczne co do ceny dnia.

- To znaczący, że miał sprzedać dolce poniżej ceny zakupu? - zdziwił się Rychu.

Zmarszczył brwi, pokręcił głową, spojrzął na Władzia, a potem roześmiał się głośno. Także Władziu zaczął się śmiać, potrząsając przy tym kałasznikowem, jakby celował do dewizowego jelenia. Karol patrzył, zdeorientowany, na obu face-

tów, nic nie rozumiejąc.

- Słyszałeś, Władziu, co ten idiota powiedział? Takiego durnego wytłumaczenia by nikt nie wymyślił. Ten facet jest albo nieprawdopodobnym kłamcą, albo największym kretynem, jakiego widziałem w życiu.

Jestem kretynem, pomyślał Karol Rowerowy

- Co za różnica, panie Rychu, kropnijmy kretyna -- zaproponował rezolutnie Władziu.

- Zaraz, zaraz, Władziu! -- zatrzymał go na miejscu Rychu.

Spojrzał na Rowerowego, groźnie marszcząc brwi.

- Gdzie mieszka ten Domagała?

- Na Rybakach - odpowiedział szybko.

- Jaki numer?

- Pod dwudziestym, na drugim.

- Na pewno?

272

- Mogę się przysięgnąć.

Grubiński spojrział na Władzia i skinął głową.

Ten szybko podszedł na skraj wykopu i dzielił niespodziewającego się niczego Rowerowego kopniakiem prosto w twarz. Mężczyzna, oszołomiony nagłym ciosem, stracił równowagę i runął na dno.

Po sekundzie do uszu Rowerowego doszedł suchy trzask przeładowywania karabinu. Znał ten dźwięk doskonale, bo dwa lata odsłużył w Wałczu. W tej jednostce pierwszorzutowej, zwanej przez żołnierzy „cyrkiem” z powodu nieustającego, niemal nigdy ostrego, bojowego pogotowia. Zdarzało mu się, że w ciągu jednego dnia musiał rozładowywać i łado-

wać od nowa swojego kałacha kilkadziesiąt razy z rzędu. Ten koszmarny zgrzytający trzask nie raz śnił mu się później po nocach. Teraz miał towarzyszyć jego ostatniej wędrówce. Pomyślał jeszcze, że właściwie mógłby powiedzieć temu idiocie z karabinem w ręku, jak przestawić tę giwerę z ognia ciągłego na pojedynczy, bo nie bardzo chciałby wyglądać jak tamten chłopak z drugiej kompanii, który po pijaku wlaź na strzelnicę akurat podczas ostrego strzelania ogniem ciągłym. Seria wypuszczona z kałasznikowa przecięła go niemal na pół, wypruwając z brzucha wszystkie flaki. Po kolejnej sekundzie Rowerowy doszedł jednak do wniosku, że to i tak w żaden sposób nie zmieni jego katastrofalnej sytuacji, bo w końcu jaka to różnica, czy polecą na apel do świętego Piotra zjedną, czy kilkoma kulami nadbagażu.

Zdążył jeszcze pomyśleć o tym, że jutro miał odebrać w sklepie pięć nowiutkich składaków Sokół z Rometu w Bydgoszczy...

Potężny huk wystrzału rozdarł powietrze. Gdy wybrzmiał, wokół zapadła kompletna cisza. Nawet dzięcioł przestał wystukiwać swój rytm.

273

Przełączył na pojedynczy, pomyślał Rowerowy i naraz poczuł, że puściły mu zwieracze.

Przez chwilę leżał nieruchomo, oswajając się z tą dziwną sytuacją. Nagle jak grom z jasnego nieba spadła na niego refleksja. Zaraz, zaraz, jeśli się zesrałem, to znaczy, że żyję! Ten dureń nie trafił. Muszę leżeć i udawać martwego, to może drugi raz nie strzeli.

I rzeczywiście nikt nie strzelił. Potem zaczął się zastanawiać, czy aby nie zakopią go żywcem w tym dole. Zastanawiał się właśnie, co wybrać, czy powtórny strzał i natychmiastową śmierć, czy też zasypanie, które mogło dać jakąś, choć minimalną szansę na samodzielne wydostanie się z grobu. Po chwili do uszu niedosłzłego nieboszczyka doszedł dźwięk odpalanego silnika samochodowego. Auto powoli ruszyło i zaraz przestrzeń wokół znów wypełniła cisza, przecinana tylko miarowym stukotem, bo dzieciół znów wziął się do roboty.

godzina 10.30

O tej porze w sobotnie przedpołudnie przy ulicy Kochanowskiego w Poznaniu prawie nie było ruchu. Co jakiś czas pojedyncze auta - fiaty, polonezy czy dostawcze żuki - przemykały to w jedną, to w drugą stronę, by zniknąć za zakrętem, w dole na Poznańskiej lub w górze na Dąbrowskiego. Kierowca bordowego wartburga, który wyjechał rozpędzony z Kochanowskiego, nie zauważył nadjeżdżającego z Ogrodów tramwaju linii numer dwa i mało brakowało, a wpakowałby mu się prosto pod koła. Na szczęście zdążył wcisnąć hamulec do deski i ernerdowski cud techniki stanął z piskiem opon na środku jezdni. Motorniczy, który nie zdążył zareagować, bo dostrzegł auto w ostatniej sekundzie, otarł pot z czoła i dopiero

274

teraz zaczął hamować, by zatrzymać się na przystanku pod Teatrem Nowym.

Co to za kretyni jeżdżą po naszych ulicach. Drogówka powinna takim osłom odbierać bezterminowo prawo jazdy, pomyślał major Marcinkowski, który zmierzając w kierun-

ku komendy wojewódzkiej, stał się mimowolnym świadkiem całego zdarzenia. Wartburg szybko przejechał na drugą stronę ulicy i zniknął przy skrzyżowaniu z Roosevelta, odprowadzany złym spojrzeniem motorniczego.

pir 54-95, major zanotował w myślach numer rejestracyjny. Nie zamierzał składać doniesienia do drogówki o piracie drogowym z Piły. Zapamiętał numery, bo takie miał przyzwyczajenie, że ilekroć trafiał na jakiś szczegół w prowadzonych przez siebie śledztwach, natychmiast odkładał go do odpowiedniej szufladki w pamięci. Ten nawyk sprawiał, że gdy miał do czynienia z czymś niecodziennym, starał się zapamiętać jak najwięcej drobiazgów. W pracy było to oczywiście bardzo przydatne, w prywatnym życiu niekiedy męczące. Zapamiętywał wszystkie, nawet najdrobniejsze wydatki z budżetu domowego, łącznie z cenami. Dlatego żona często wypominała mu, że w ich życiu brakuje spontaniczności, choćby w zakupach, bo Fred liczył każdy grosz i drobiazgowo analizował koszty. Dopiero z przeprowadzonej kalkulacji wychodziło mu, na co w tym miesiącu mogą sobie pozwolić. I wcale to wszystko nie wynikało z wielkopolskiej oszczędności, tylko z chłodnej kalkulacji człowieka, którego umysł, jak komputer Odra 1305, nastawiony był na analizę danych. Major Marcinkowski miał dziś dzień wolny. Jednak nie znalazł w domu nic ciekawego do roboty, bo żona z synem pojechali na wakacje nad morze. Fred też miał jechać, ale niestety musiał zostać w Poznaniu. Wszystko przez to morderstwo w Jarocinie, którym zajęli się jego ludzie. Nie mógł zostawić

sprawy, nie zarządziwszy rozpoczęcia śledztwa. Trzeba było w końcu wszystko przygotować, rozprościć ludzi, opracować całą logistykę działań poszczególnych śledczych, no i w końcu przydzielić wszystkim zadania. A on był szefem wydziału, więc tę pracę organizacyjną musiał wykonać sam. Liczył, że zajmie mu to jeden, no, najwyżej dwa dni, tak że przy sprzyjających wiatrach będzie mógł wsiąść do pociągu jadącego do Kołobrzegu najpóźniej we wtorek. Dziś rano zapakował rodzinę do poloneza i drżącymi rękami przekazał żonie kluczyki i dowód rejestracyjny. Bał się trochę, że Grażyna, niezbyt doświadczona w prowadzeniu samochodu i zupełnie nieradząca sobie z parkowaniem, może, nie daj Boże, porysować lakier albo wgnieść blachę na parkingu przed domem wczasowym Mewa w Kołobrzegu. O stłuczeniu reflektora nawet nie chciał myśleć. Gdyby go strzaskała, musiałby później jeździć z pękniętym, bo części zamiennych w Polmozbycie nie mieli już od wielu miesięcy. No ale co robić? Wczasy z Funduszu Wczasów Pracowniczych były już dawno wykupione i nie dało się z nich zrezygnować. Żegnając rodzinę, obiecał, że dołączy jak najszybciej. Był przekonany, że mu się uda. Jednak dotychczasowe ustalenia śledztwa wskazywały na to, że może ono potrwać jeszcze dłuższy czas. W końcu szukanie mordercy w wielotysięcznym tłumie uczestników jarocińskiego festiwalu przypominało trochę szukanie igły w stogu siana. Major miał jednak nadzieję, że tę igłę uda się im wyłuskać. Zwłaszcza że za sprawę zabrał się jego wieloletni przyjaciel Mirek Brodziak, a to dawało gwarancję, że każdy szczegół będzie poddany należytej analizie.

Brodziak był dobrym śledczym, potrafił logicznie myśleć i składać do kupy wszystkie elementy, które na pierwszy rzut oka nie przystają do siebie. Śledztwo w jego rękach gwarantowało powodzenie.

276

Do tego dochodził jeszcze ten młody Blaszkowski, który od osiemdziesiątego szóstego pracował w ich wydziale. Z tego chłopaka będziemy mieć pociechę, myślał Marcinkowski. Pracował już przy dwóch poważnych śledztwach, „Łowcy głów” i „Obcinacza rąk”. Trzeba przyznać, że w jednym i drugim przypadku przyczynił się do wykrycia sprawcy. Miał milicyjnego nosa, dlatego nie ma się co dziwić, że Brodziak postanowił wykorzystać go także teraz.

Major zatrzymał się na chwilę przed schodami prowadzącymi do komendy. Skinął głową wartownikowi w mundurze moro z przewieszonym przez plecy automatem, który regu-
laminowo zasalutował mu, po czym ruszył do drzwi.

- Co słychać? - zagadnął porucznika siedzącego w dyżurce za szklaną szybą.

- Wszystko w porządku, obywatelu majorze - odparł z uśmiechem zagadnięty.

- Ktoś tu pracuje dziś w ogóle? - zapytał, czekając, aż oficer wpisze jego nazwisko do księgi wejść-wyjść i poda mu klucze do jego pokoju.

- Jak to przy sobocie, cisza i spokój, obywatelu majorze.

A u pana w wydziale to na dyżurze dzisiaj jest porucznik Adamski, no i jeszcze porucznik Brodziak jakąś godzinę temu przyjechał. Powiedział, jak tu wchodził, że musi przy-

gotować papiery na poniedziałkową naradę.

- A to świetnie - ucieszył się major. Brodziak na miejscu w komendzie to dobra wiadomość. To znaczy, że wspólnie będą mogli przygotować wszystko na poniedziałek, bo Mirek już teraz złoży mu szczegółowy raport z wydarzeń w Jarocinie. Rozmawiali co prawda wcześniej przez telefon. Brodziak zadzwonił do niego do domu, zaraz jak wrócił do Poznania. Powiedział, że postara się napisać wszystko i zostawi mu papier na biurku. Major był przekonany,

277

że Brodziak zrobi tylko notatkę służbową i zaraz ucieknie do domu, ale na szczęście się zasiedziało. A to oznaczało, że na pewno znajdzie jeszcze trochę czasu, by opowiedzieć mu wszystko ze szczegółami.

Gdy major wszedł do pokoju, w którym wraz z Brodzikiem urzędował Olkiewicz, przekonał się, że Mirek ma dziś chyba aż za dużo czasu. Siedział za swoim biurkiem, jak zwykle zawalonym papierami do granic możliwości. Szare teczki, jakieś zapisane kartki i stare gazety tworzyły ogromne stosy, między które milicjant wcisnął swoje nogi obute w peweksowskie adidas. W zębach miał niezapalonego papierosa. Rozparty w fotelu, trzymał na kolanach niewielkich rozmiarów książkę. Musiała być bardzo zajmująca, bo porucznik śmiał się głośno, jakby czytał co najmniej ostatni numer „Szpilek”. Pochłonięty lekturą nie zauważył nawet wejścia swojego szefa.

- Co się tak kielczysz? -- zapytał Marcinkowski, podchodząc do biurka.

Brodziak spojrział na majora i wierzchem dłoni otarł łzy z oczu.

- Kurde, Fred, czytam kryminał!

- Nie wiedziałem, że umiesz czytać - zakpił Marcin-kowski.

- No jak to, przecież jestem z milicji. Skoro ty umiesz pisać, to ja muszę umieć czytać, co nie? - odpowiedział porucznik, nawiązując do popularnego dowcipu.

- No ja myślałem, że oglądasz tylko obrazki w komiksach, a tu, proszę, taka niespodzianka. I do tego fachowa lektura, polski kryminał. - Major wziął do ręki książkę, którą Brodziak odłożył na biurko.

- Jerzy Edigey, Alfabetyczny morderca. Szukasz natchnienia dla swojego śledztwa?

278

- Stary, tu nie znajdziesz żadnego natchnienia. To książka dla idiotów. Dlatego ją czytam. Musisz też koniecznie przeczytać. Czegoś takiego nie widziałem, jak żyję!

- Tak wciąga?

- Wciąga? To chłam pierwszej wody. Ten Edigey pisze tak, że każdy milicjant będzie przecierał oczy ze zdumienia. On nie ma zielonego pojęcia o naszej robocie, wymądrza się tak, jakby zjadł wszystkie rozumy. Wyobraź sobie, że w jakimś małym miasteczku działa facet, który zabija ludzi w kolejności alfabetycznej. Nazwisko pierwszego trupa zaczyna się na a, drugiego na b i tak dalej. No i komenda miejska w tym miasteczku prowadzi śledztwo, a wojewódzka nie chce im pomóc, bo nie mają ludzi...

Wyobrażasz sobie, że w naszym, na przykład, Stęszewie działa seryjny morderca, a my im mówimy, że mają sobie sami z tą sprawą poradzić? Ale najlepsze jest to, że ten miejscowy komendant pisze do wojewódzkiej pismo z prośbą o pomoc, a oni mu odpisują, że nie pomogą. Jak w dziewiętnastym wieku, rozumiesz? Nie korzystają z telefonów, dalekopisów itede, tylko do siebie piszą, a facet w tym czasie zabija ludzi...

Marcinkowski usiadł w fotelu za biurkiem należącym do Olkiewicza. Jego blat, w odróżnieniu od tego należącego do Brodziaka, nie nosił śladów działalności ludzkiej. Teofil nie trzymał na nim żadnych papierów. Brzydził się pisaniem i wszystkie sporządzane przez siebie protokoły natychmiast wypływały z pokoju do odpowiednich komórek organizacyjnych.

- No to rzeczywiście jakiś absurd. Po pierwszym trupie bylibyśmy już na miejscu -- zaśmiał się Marcinkowski

- A wyobraź sobie, że ci z wojewódzkiej w tej książce nie chcą nawet przysłać ekipy technicznej.

279

- To znaczy, że pracują tam jacyś sabotażyści.

- Sabotażystą jest ten pisarz, bo robi z nas wszystkich idiotów. Jak ktoś niezorientowany w temacie czyta takie bzdury, to myśli sobie, że w milicji pracują same cymbały.

- A tak nie jest?

- No, paru by się znalazło - przyznał porucznik.

- Idiotów ci u nas dostatek, ale na szczęście w sprawach kryminalnych jakoś dajemy radę. A prawda jest taka, że ci,

którzy wydają te książki, myślą, że robią nam dobrze, a robią coś zupełnie odwrotnego. I do tego taki chłam wydaje się w ogromnych nakładach.

Brodziak otworzył powieść na pierwszej stronie. Była tam stopka redakcyjna.

- Sto tysięcy nakładu. To znaczy, że przeczyta to głównie co najmniej jeszcze raz tyle ludzi. I oni wszyscy po lekturze takiego kryminału dojdą do wniosku, że milicja nie daje sobie rady z najprostszymi sprawami.

- Ale za to będą myśleć, że milicjanci posługują się grzecznym, wyszukany językiem, wszyscy są szarmanccy, grzeczni, dobrze ułożeni, a najbrzydsze słowo, jakiego używają, to cholera jasna.

- Czytałeś tę książkę, Fred? - zdziwił się porucznik.

- Nie, ale kiedyś wpadła mi w ręce też tego Edigeya Walizka z milionami. Dobrnąłem może gdzieś do połowy i mało nie umarłem z nudów. Facet pisze tak nudnym językiem, że robi się niedobrze. A poza tym wszyscy tam mówią jednako. Zauważyłeś? Czy to szkieł, czy przestępca, czy robotnik, wszyscy gadają w taki sam sposób. Ten pisarz nie ma pojęcia nie tylko o milicji, ale nawet o pisaniu.

- Co chcesz, jaki kraj, tacy pisarze. A jeśli chcesz przeczytać dobry kryminał, to polecam Chandlera. Gość jest pierwsza klasa.

280

- No co ty, Miras, czytałem wszystko, co się ukazało. Philip Marlowe to mój stary kumpel. Razem byliśmy w Szczytnie.

- A, to przepraszam, obywatelu majorze. Nie wiedziałem,

że jest pan znawcą tak dobrej literatury.

- A ja dotąd nie wiedziałem, że pan porucznik już wyrósł z Tytusa, Romka i A'Tomka.

- Coś ty, Fred, z tego się nie wyrasta. Tytusy to najlepsza rozrywka, poza gorzołą, oczywiście...

- A tak wracając do innych rozrywek, to może opowiedziałbyś mi coś ciekawego o tym, jak rozrywaliście się wszyscy w Jarocinie – zmienił temat major.

- No, ubaw był po pachy. Morderstwo, wcześniej chyba gwałt zbiorowy. Na razie mamy sukces, bo zatrzymaliśmy tych gnoi, którzy zgwałcili dziewczynę. Nie jesteśmy jednak stuprocentowo pewni, że gwałciciele są mordercami. Ale pewne jest jedno: mamy ich już pod kluczem, a na podstawie tego, co zebraliśmy w śledztwie, ci gówniarze mogą natychmiast dostać prokuratorską sankcję na trzy miesiące. A to oznacza, chłopie, że mamy trzy miechy spokoju na przyjrzenie się sprawie. Żytni będzie mógł zameldować w Komitecie, że trzymamy oko i ucho na pulsie. A tych zatrzymanych chcę wziąć w poniedziałek na kolejne przesłuchania i pomęczyć ich jeszcze. Mamy ich trzech. Dwóch już przyznało się do gwałtu. Trzeci idzie w zaparte, a czwarty, ten, co ich wszystkich wydał i nie brał w tym udziału, jest zwolniony do domu, ale ma się zameldować u mnie też w poniedziałek. Jednym słowem, połów wyszedł niezłe.

- No to wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale masz jakieś wątpliwości, czy wśród zatrzymanych jest morderca?

- To właśnie jest problem. Dziewczyna została zabita czymś w rodzaju młotka. I mnie się zdaje, że powinniśmy

szukać tego młotkowego. Najlepsze w tym wszystkim jest to,

281

że kogoś takiego prawie zatrzymał Teofil. Zatrzymał, zabrał mu młotek i wypuścił.

- O kurczę -- jęknął Marcinkowski.

- Też tak pomyślałem, tylko trochę mocniej. Na szczęście mamy młotek i rysopis młotkowego. Zaczniemy go szukać od poniedziałku. To tylko kwestia czasu, bo wiemy dość dużo. Mamy chyba wszystko, co pozwoli nam poskładać te klocki.

Major Marcinkowski wstał z fotela i podszedł do okna.

Otworzył je szerzej, by wpuścić więcej powietrza. Do pokoju wpłynęła fala gorąca zmieszana ze smrodem spalin. Na dole stał z włączonym, kopcącym silnikiem star do przewozu aresztantów. Trzeba było więc zamknąć okno.

- No to co, do poniedziałku mamy spokój. Czyli możesz dokończyć przez niedzielę tę fascynującą książkę. -- Mówiąc to, Marcinkowski stuknął palcem w okładkę kryminału.

- Żartujesz. Już się ubawiłem po pachy. Teraz mogę co najwyżej iść się napić.

- No tak, o ile ci twoja Marzena pozwoli.

- Nie ma strachu, szefie, wyjechała nad morze w zeszłym tygodniu.

- Tak, a dokąd pojechała, bo moją Grażynę z Filipem właśnie dziś wsadziłem do samochodu i wyprawiłem na wczasy do Kołobrzegu.

- No to Marzena będzie niedaleko. Dostała skierowanie na wczasy z pss Społem w Chłopach.

- Może się spotkamy gdzieś w Kołobrzegu, bo i ja tam ruszam najdalej we wtorek. Miałem jechać już dzisiaj, ale okazało się, że załatwiliście mi ten pasztet z morderstwem.

A ty się czasem nie wybierasz w odwiedzinę?

- Coś ty, stary - uśmiechnął się Brodziak. - Mam dobro-
wolnie rezygnować z dwóch tygodni ciszy i spokoju? Wybie-
282

ram Poznań. No, ale skoro ty też jesteś bez swojego nadzorcy, to może skoczmy teraz razem na jakieś piwko i pogadamy jeszcze o tym, co będziemy robić od poniedziałku?

Fred Marcinkowski spojrzął na Brodziaka, a potem, nie wiedzieć po co, na zegarek. Było dość wcześnie, a on nie miał jakichś szczególnych planów na ten dzień. Myślał co prawda o tym, by wybrać się po południu na mecz piłki nożnej na stadion Olimpii. No, ale w końcu do osiemnastej było jeszcze sporo czasu.

godzina 10.35

Od razu się zorientowali, że w tym barze nikt nie napije się piwa. Lokal świecił pustkami. Załedwie dwa stoliki były zajęte. Siedzieli przy nich jacyś smutni obywatele o niewyjściowych twarzach, patrzący mętnym wzrokiem przed siebie. Jeden, ten siedzący bliżej drzwi, wbił wzrok w wiszący na ścianie obraz. Był to oprawiony w ramkę obrazek, wycięty z pokrywki bombonierki Goplany. Przedstawiał pięć małych kotków w wiklinowym koszyku. Koneser sztuki bombonierkowej oderwał oczy od „obrazu” i spojrzął na drzwi, w których pojawiły się dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Załedwie omiótł ich wzrokiem i natychmiast powrócił

do kontemplowania kocięj rzeczywistości. Drugi z gości nie zwrócił na wchodzących najmniejszej uwagi. Patrzył przez szybę na ulicę. Zatopiony we własnych myślach, czekał zapewne, aż agent zdecyduje się na otwarcie kurków z piwem. Bo oni, jako starzy bywalcy, dobrze wiedzieli, że piwa wcale nie zabrakło. To, że się go nie sprzedaje, nie ma nic wspólnego z przejściowymi trudnościami rynkowymi w dystrybucji piwa niepasteryzowanego beczkowego. W tej piwiarni

283

nie sprzedawano piwa, bo tak postanowił właściciel. On miał tu nieograniczoną władzę i jak nie chciał sprzedawać, to nie sprzedawał, i koniec. Nie można mu było nic zrobić. A dziś akurat pan Władziu Kajzerek nie sprzedawał piwa, bo doskonale wiedział, że o tej porze nie opłaci się podłączać beczki, ponieważ większość okolicznych pijaków siedzi teraz w pobliskich piwiarniach na Strzeleckiej i Wrocławskiej. Tam piwo lano już od rana. Niestrategicznie, mówił agent Kajzerek swoim najbardziej zaufanym znajomym. Według niego tamci ajenci nie mieli zielonego pojęcia o strategii sprzedaży. Sprzedawali piwo od rana, a po południu nie mieli już co sprzedawać. Piwo schodziło błyskawicznie, a przecież dostawy z browaru przychodziły tylko raz na dwa, trzy dni. Tę niewielką ilość można było wyprzedać w ciągu kilku godzin, a później siedzieć z założonymi rękami i czekać na kolejne beczki. Kajzerek zaś myślał przestrzennie, bo swoją sprzedaż rozkładał w przestrzeni czasowej. Sprzedawał piwo po południu i tylko przez dwie godziny. Później nieodwołalnie zamykał kran. Dzięki temu piwo było u nie-

go codziennie, a gdzie indziej, jak się trafiło. Dzięki temu każdego dnia w okolicach trzynastej schodzili się do niego spragnieni piwa pijacy z całej dzielnicy. Pili do wyczerpania limitu, a później zostawali już na wódeczce. Genialny strateg zgarniał więc wszystkich pijaków do siebie, a jego obroty były kilka razy wyższe niż u innych agentów. Kiedyś przestrzenne myślenie Kajzerka, wsparte twórczym talentem Teofila Olkiewicza, pozwalało na ciągłą sprzedaż alkoholu w butelkach po oranżadzie już od chwili otwarcia. Jednak tak przygotowany koktajl mogli zakupić w bufecie tylko znajomi, bo nie było co ryzykować utraty agencji dla jakiegoś szuszfola. Dziś akurat w knajpie siedzieli dwaj dobrzy znajomi agenta Kajzerka, ale ci nie mieli co liczyć na ten

284

oranżadowy napój. Byli to pijacy o dość niskim statusie społecznym w hierarchii barowej klienteli. Pili codziennie, ale nie za swoje. Własnych pieniędzy nie mieli nigdy, a pić było trzeba. Dlatego gdy ruszała sprzedaż, obaj siedzący teraz przy stolikach zaczynali też swoją pracę społeczną w barze. Chodzili od stolika do stolika, poganiając pijących, by szybciej dopijali swoje piwo. Gdy tylko któryś z klientów opróżnił kufel, oni, czujni jak sokoły, natychmiast wrywali puste naczynie i zanosili do zlewu wypełnionego mętną brudną wodą. Kajzerek szybko wyciągał oplukany w ten sposób kufel i napełniał go piwem. Chodziło o to, by zachować ciągłość sprzedaży. Bo przy bufecie stał długi ogonek spragnionych, tymczasem kufli w knajpie było zaledwie około setki. Dlatego ci, którzy załapali się na piwo, musieli wypić je jak naj-

szybciej i wrócić z powrotem do kolejki po następne. Ale nie było takiej możliwości, żeby stać w kolejce z pustym kuflem. W czasie stania kufel musiał obsłużyć dwóch, trzech innych klientów. I co ciekawe, nikt spośród piwozwy nie kwestionował takiego stanu rzeczy. Zdarzały się nawet sytuacje, kiedy oczekujący sami wskazywali wolontariuszom, przy którym stoliku pije się za długo. Ale tak naprawdę nie trzeba było im specjalnie mówić, gdzie mają zaatakować. Wiedzieli bowiem, że od tego, jak sobie poradzą z donoszeniem kufli do baru, zależy ocena ich pracy. Oceniał oczywiście agent Kajzerek, który za pomoc w organizacji spożycia odpłacał obu pomocnikom darmowym piwem. Co jakiś czas po dostarczeniu pustych kufli każdy z nich mógł liczyć na jedno darmowe piwko dla siebie. Zasada była prosta - przyniesiesz dziewiętnaście pustych kufli, dwudziesty napełniam dla ciebie. Ten niezwykle motywujący system akordowy sprawiał, że puste naczynia błyskawicznie lądowały w zlewie z wodą z dodatkiem odrobiny płynu Ludwik. Teraz obaj współpracownicy spokojnie

285

czekali na czas sprzedaży i żaden z nich za nic w świecie nie opuściłby swojego strategicznego miejsca w barze. Bo przecież na taką pracę tylko czyhali inni. Gdyby któryś z nich nie pojawił się na posterunku w odpowiedniej chwili, zaraz znalazłby się inny, kto mógłby godnie zastąpić nieobecnego na jego lukratywnym stanowisku. Jedyne problemy to godzina, w której Kajzerek rozpoczynał sprzedaż. Jednego dnia była to dwunasta, innego jedenasta, a bywały dni, że łać do kufli zaczynał dopiero o czternastej. Dlatego obaj pomocnicy wo-

leli zająć swoje stanowiska zaraz po otwarciu lokalu, żeby przypadkiem nie wypaść z obiegu.

Dwaj młodzi mężczyźni z dwiema dziewczynami nie stanowili dla nich zagrożenia. Wystarczyło tylko przelotne spojrzenie, by stwierdzić, że żadne z nich nie ma zamiaru starać się o posadę wolontariusza podczas dzisiejszej ceremonii lania piwa. Nic więc dziwnego, że obaj stali bywalcy po zarejestrowaniu faktu przybycia nowych klientów natychmiast powrócili do swoich zajęć, znacznie ciekawszych od przyglądania się gościom.

- Piwa tu się nie napijemy - stwierdził Wiciu Zalewski, ogarnąwszy spojrzeniem bezludną przestrzeń baru.

- Ale oranżadę to tu chyba dają, co nie? - powiedziała blondynka w czerwonej minispódnicy.

-Może być oranżada - poparła ją koleżanka, brunetka z włosami sięgającymi pasa. - Jak jest tak gorąco jak dzisiaj, to ja zaraz po lodach muszę się czegoś napić, bo mnie mgli trochę - wyjaśniła. Zalewski spojrzał na zemgloną, a potem na Mariusza, który stał w milczeniu tuż za dziewczynami.

- Mariusz, weź no panie do stolika, a ja skoczę zobaczyć, co tu dają w tej mordowni. - To powiedziawszy, Zalewski ruszył w kierunku bufetu.

Reszta grupy zajęła miejsce przy stoliku najbliższym okna.

286

Po chwili Wiciu dołączył do nich z czterema butelkami czerwonej oranżady. Postawił je na blacie i zaraz wyjaśnił:

- Nie ma literatek ani nawet szklanek. Ten barman chciał mi dać kufle, ale jak by to wyglądało, jakbyśmy pili oranżadę

z grubego szkła.

- Obciach jak nic - poparła go brunetka, która widać wpadła w oko Zalewskiemu, bo ten chwycił swoje krzesło i ustawił je tuż obok niej.

- A słyszeliście ten kawał, jak milicjant kupował episkopat? - zapytała blondynka. Ciszę, jaka zapadła po pytaniu, uznała za przyzwolenie.

- No to przychodzi milicjant do sklepu fotograficznego i mówi temu sprzedawcy, że se chce kupić episkopat, a sprzedawca mu mówi, że nie ma episkopatu, tylko jest ten, no jak to się nazywa, taki rzutnik, ale nie do przeźroczy, tylko taki, że jak się na nim coś napisze, to można to wyświetlić na ścianie.

- Epidiaskop - pomógł jej Zalewski.

- No właśnie - ucieszyła się dziewczyna. - On chciał kupić epidiaskopat, a nie episkopat. To ten sprzedawca mu tłumaczy, że nie ma episkopatu. A ten szkieł mu przerywa i mówi, że on wie lepiej, bo jest prymusem.

- Nie prymusem, a prymasem! Ty Kamila, to ale głupia jesteś, znowu pochrzaniłaś cały kawał - zganiała ją koleżanka. - On, ten szkieł, powiedział, żeby ten sprzedawca mu nie chrzanił głupot, bo on wie lepiej, bo w szkole był prymasem.

- No to właśnie mówiłam - nadąsała się blondynka.

- Ona zawsze kładzie kawały.

- I tak niezły dowcip był, a koleżanki to raczej miejscowe są czy przejazdem w Poznaniu? - zapytał Wiciu.

- Łe tej, no coś ty, my poznaniarki jesteśmy. Z Wildy! - odpowiedziała mu ta, do której Zalewski przysiadł się zdecydowanie zbyt blisko. - My w tym roku żeśmy skończyły

szołę i teraz mamy wakacje. Bo egzamin zawodowy żeśmy już zdały, a po wakacjach do roboty.

- O, to znaczy, że macie już fach w rączkach -- ucieszył się Wiciu. - A można wiedzieć jaki?

- Magazynier sprzedawca - odpowiedziała Kamila, która w tym rozdaniu powinna przypaść Mariuszowi.

Tymczasem on nie wykonał najmniejszego gestu, który świadczyłby o jego zainteresowaniu dziewczyną. Za to na brak zainteresowania nie mogła narzekać brunetka, która przed chwilą poczuła, jak wielka ręka Zalewskiego łąduje pod stolikiem na jej kolanie. Widać było, że nie przeszkadza jej to wcale, bo ciągnęła niezrażona dalej, podejmując wątek zawodowy.

--Ja dostałam już skierowanie do wphw i mam pracować na Ratajach w Becie, a Kamila - tu wskazała głową na koleżankę -- ona ma skierowanie do odzieżowego w Okrąglaku.

- No to się dużo nie narobisz - odezwał się wreszcie Mariusz, który cały czas nie mógł sobie poradzić z tym, co zastał w mieszkaniu swojej byłej już dziewczyny.

- Jak nie? - zaśmiała się blondynka, zadowolona z nawiązania kontaktu. - Roboty jest tam od licha i trochę. Na sklepie w sprzedaży jest mało co, ale na magazynie to inna kwestia. Towar najpierw idzie do sprzedawczyń, one wybierają co lepsze ciuchy i wykupują same, a reszta idzie na sklep. Ty wiesz, jak na tym idzie zarobić? Miesięcznie to jest druga pensja, jak się te ciuchy pogoni na Łazarzu. Tyle że na początek to jest przerabane, bo póki się nie jest na etacie, a tylko na

stażu, to te stare cholery nie dopuszczą cię do towaru. Ale za jakiś czas to będzie prawdziwa eldorado.

- Eldorado - poprawił ją Blaszkowski.

- No właśnie mówię, robota marzenie. Gorzej będzie miała Dominika, bo ona na nabiale to raczej nie dorobi...

288

Ciemnowłosa Dominika nie usłyszała tej uwagi, mocno zajęta tym, co szeptał jej do ucha Zalewski. Widać było, że oboje są już w doskonałej komitywie, bo ręka chłopaka z kolana przesunęła się na udo.

- A wy gdzie robicie? - zapytała Mariusza Kamila.

- My się jeszcze uczymy.

- Tacy starzy i nauka? Nie szkoda wam czasu?

- No nie, bo musimy skończyć szkółkę, zanim pójdziemy do roboty.

- Łe, jak szkółkę, to żeście są w woju, nie? Dominika, słyszałaś, że szczony są na szkółce?

-Co?

- Oni są wojskowymi w cywilkach.

- Tu, w pancu? - raczej stwierdziła, niż spytała Dominika, spoglądając uważnie na Zalewskiego. -- No to nieźle. Po szkole macie fajnie, oprócz roboty od razu mieszkanie dostajecie, no i pensja całkiem niezła... A na oficerskiej czy podoficerskiej jesteście?

- Oficerskiej - bąknął Mariusz.

- Ekstra - ucieszyła się Kamila. - Wojskowi są ekstra, i w ogóle. A ja to bym chciała choć raz pójść na bal podchorążego. Moja jedna kumpelka kiedyś była i mówiła, że to naj-

piękniejsza impreza, jaką można sobie wyobrazić...

- Blacha, a ty co tak tu siedzisz, zamiast zajmować się robotą? - ryknął nad stolikiem rozbawiony do łez Olkiewicz, który właśnie wyłonił się chwiejnym krokiem z zaplecza prowadzony pod rękę przez równie wesołego dzielnicowego Kaczyńskiego. Teofil dostrzegł Blaszkowskiego i nie mógł nie zareagować na widok swojego młodszego kolegi.

Blaszkowski i Zalewski natychmiast poderwali się na równe nogi, ale nie przyjęli postawy zasadniczej. W końcu nie było to służbowe spotkanie.

289

- Obywatelu poruczniku, w chwili obecnej jesteście na wolnym - wyjaśnił natychmiast Zalewski.

Olkiewicz machnął ręką i zaśmiał się głośno.

- Tego tu - Olkiewicz wskazał palcem na Mariusza - to znam dobrze, bo ze mną pracował w komendzie wojewódzkiej, a ciebie to jakoś tak kojarzę, chłopaku, ale zdawa mi się, że w mniejszym stopniu, czyli że tak w ogóle to cholera wie, skąd ja ciebie mogę znać.

- Może z listu gończego - wtrącił sierżant Kaczyński. - Najnowsze listy to ja mam u siebie w raportówce. Zaraz możemy to porównać. Znaczą one do tych ryjów niemytych z listów.

To powiedziawszy, milicjant zaczął szukać swojej raportówki, jednak okazało się, że nie ma jej przy sobie.

- Pardonsik, Teoś, ale okazanie i porównanie w chwili obecnej jest niemożliwe, bo raportówka z dokumentacją chwilowo jest w innym pomieszczeniu. To znaczy, że nie ma jej tam, gdzie tego wymaga regulamin, czyli na moim ramieniu pra-

wym i tu, przechodząc przez pierś do lewego boku...

- Obywatelu poruczniku, myśmy razem byli w Jarocinie -
wyjaśnił Wiciu.

- Aha - uśmiechnął się Olkiewicz i serdecznie klepnął Zalewskiego w plecy. - No widzisz, to swój chłop, też milicjant, jak ja i ty, a tyś go chciał od razu listem gończym. Ludziom trzeba wierzyć... Wszystkich nie da się posadzić. Nie dalibyśmy rady.

- No i teraz wpadliśmy na oranżadę - dodał Mariusz.

Olkiewicz wziął do ręki jedną ze stojących na stole butelek i przyłożył ją sobie do nosa. Wciągnął głęboko powietrze, a potem skrzywił się i z niesmakiem odstawił ją na stolik.

- A czyja wam, chłopaki, zabraniam, żebyście się napili, czy jak. Pijcie sobie na zdrowie, bo od poniedziałku do roboty się bierzemy.

290

- Pewnie, tyle że tu nie ma co pić - rzucił Zalewski, wskazując na butelki z oranżadą.

- Jak nie ma? Żeby moi ludzie z mojej grupy dochodzeniowo-śledczej, musieli siedzieć z pannami przy oranżadzie?

To nie może tak być, prawda, Jasiu?

- Jasne jak słońce - poparł go dzielnicowy. - Tak nie może być.

- No, to weźcie panny i zameldujcie się na zapleczu, i powiedzcie ajentowi Kajzerkowi, który jest moim przyjacielem, żeście są ode mnie, to was godnie obsłuży. A jakby co, to my zaraz wrócimy i tam se spokojnie z wami pogadamy, ino że teraz trzeba nam do ubikacji. Prawda, Jasiu, że dla naszych młodych funkcjonariuszy musi się znaleźć kielonek?

-Święta prawda, Teoś. Milicjant też człowiek i wypić se musi... Nie jak wielbłąd!

Obaj podchmieleni mężczyźni odpłynęli w kierunku toalety. Przy stoliku zapadła niezręczna cisza. W końcu przerwała ją Dominika.

-To wy jesteście podchorąży, ale nie z wojska, tylko z milicji?

-A jaka różnica? Też mundurowi, tyle że nie od strzelania z armat, ale od łapania bandziorów - próbował sprawę skwitować żartem Wiciu.

-I od pałowania - dorzuciła Kamila, wstając. Jej koleżanka również podniosła się z krzesła.

-Co wy, dziewczyny? Impreza dopiero się zaczyna. Dokąd się wybieracie? - nie dawał za wygraną Zalewski, choć widać było wyraźnie, że nastrój jak czołgiem T-54 rozjechał Olkiewicz.

-Dla nas impreza się skończyła - odpowiedziała zimno blondynka.

-Ze szkielecami nie pijemy - dodała brunetka i po sekundzie już ich nie było.

291

Pojawił się za to radosny jak skowronek porucznik Olkiewicz w towarzystwie Kaczyńskiego.

-No co tam, chłopaki, panny już spławiliście? - ucieszył się Teofil. - To dobrze, po co baby się mają kręcić przy stoliku, jak mężczyźni piją. Chodźcie z nami na zaplecze. Przecież nie będziecie tu siedzieć jak te smutne wały. Co nie, Jasiu? Mam rację?

- Absolutną rację masz, Teoś, w zupełności się z tobą zgadzam, a nawet oczywiście! - entuzjastycznie poparł kolegę sierżant Kaczyński.

Poszli, w końcu co mieli robić.

rozdział

VIII

poznań

poniedziałek, 8 sierpnia

godzina 7.30

Gruby Rychu spojrzął na zegarek. Właśnie przed chwilą otworzył warsztat, w którym jak zwykle punktualnie pojawili się jego ludzie. Zaczął się normalny dzień pracy, jednak ten dzisiejszy różnił się nieco od wszystkich poprzednich. Dziś kierownik Grubiński sam musiał wziąć do ręki okazały pęk kluczy, otworzyć bramę wjazdową i wpuścić do środka wszystkich mechaników. Otwieranie firmy należało do obowiązków szefa warsztatu. Dzisiaj go jednak nie było. Po raz pierwszy nie przyszedł do pracy. Niekonsultowana wcześniej z szefem nieobecność jeszcze mu się nigdy nie zdarzyła. Dlatego Rychu trochę się zaniepokoił. W końcu nie był to facet, myślał, który by podchodził niepoważnie do swoich obowiązków. Coś się musiało stać. I to coś niedobrego, skoro go tu nie ma. Co gorsza, miał się pojawić już wczoraj. A jeśli nie mógł przyjechać, to powinien choć zadzwonić. Tymczasem nie było po nim śladu. Czechu Kluka zniknął jak papier toaletowy z kiosku Ruchu.

Jedynym realnym wytłumaczeniem dla absencji swojego pracownika, jakie mógł znaleźć Rychu, to zwyczajne zapicie mor-

dy. Z drugiej jednak strony, Czechu powinien być przecież

293

zdawać sobie sprawę z tego, jak ważne zadanie powierzył mu szef. Gdyby zamiast zajmować się sprawą poszukiwania złodziei waluty, Czechu poszedł na wódkę i stracił kontakt z rzeczywistością, to konsekwencje dla niego i jego kariery zawodowej w branży siłowej mogłyby być katastrofalne. Rychu nie tolerował bowiem żadnych naruszeń niepisanego regulaminu wewnętrznego swojego przedsiębiorstwa. A jeden z najważniejszych punktów tego regulaminu to bezwzględny zakaz picia alkoholu w godzinach pracy. Dziwny był to punkt w kraju, w którym mimo zakazów, utrudnień w sprzedaży i ograniczeń w podawaniu alkoholu w knajpach piło się stale, bez względu na miejsce i porę. Żadne państwowe zakazy nie mogły zaradzić problemowi pijaństwa. Picie, ten narodowy sport, uprawiane było tak powszechnie i z taką miłością i oddaniem przez wielkie rzesze zawodników, że z powodzeniem można je było zaliczyć do najbardziej popularnych dyscyplin w kraju. Nawet uwielbiana nad Wisłą piłka nożna miała zdecydowanie mniej miłośników, nie mówiąc już o czynnie ją uprawiających. Zresztą wielu biernych koneserów futbolu z taką samą pasją oddawało się oglądaniu popisów narodowej reprezentacji, jak i picciu wódki Bałtyckiej. Tym bardziej że obie te przyjemności łatwo połączyć. Można przecież oglądać i pić. Zdarzali się też i tacy, którzy łączyli to wszystko, czynnie grając w reprezentacji, a ich zaangażowanie na boisku było równie wielkie, jak i to pomeczowe w barach hotelowych i restauracjach.

Ryszard Grubiński lubił sobie wypić, więc jak większość rodaków miał tolerancyjny stosunek do alkoholu. Uważał jednak, i w takim podejściu do sprawy był jednym z nielicznych pracodawców, że roboty z piciem połączyć się nie da. Pozwalał, owszem, na picie po godzinach, bo w końcu to prywatna sprawa pracownika, co robi ze swoim wolnym czasem.

294

Nie tolerował jednak nawet małego piwa w godzinach pracy. Niejeden spośród jego ludzi przekonał się na własnej skórze, co znaczy ten zakaz. Raz złapany na picciu, dostawał ostatnią szansę. Ostatnią, bo drugiej już nie było. Powtórne przyłapanie oznaczało natychmiastową rezygnację z usług takiego delikwenta. Ten zakaz odnosił się zarówno do pracowników warsztatu, jak i do cinkciarzy stojących pod peweksami. I co ciekawe, jakoś nikt z nich nie buntował się przeciwko takim obostrzeniom. To się zwyczajnie nie opłacało. Jeden przeciętny handlarz walutą pracujący dla Rycha zarabiał w miesiąc więcej niż nauczyciel polskiego w liceum przez rok. Warto więc było poczekać z wypiciem piwa do wieczora.

Tymczasem dziś jeden z jego najbardziej zaufanych ludzi nie przyszedł do pracy i trudno było ten postępek wytłumaczyć czymkolwiek innym, jak tylko zalaniem pały.

Rychu zgasił papierosa w kryształowej popielniczce stojącej na jego pięknym dębowym biurku, podniósł się z fotela i ruszył w kierunku drzwi prowadzących na podwórze.

Otworzył je i natychmiast poczuł uderzenie fali gorącego powietrza. W domu, który zbudowano z rozbiórkowej, solidnej przedwojennej cegły, było chłodno, bo ściany dobrze izolo-

wała gruba warstwa tynku. Rychu, zanim wprowadził się do willi, kazał otynkować niezbyt pięknie prezentujące się zewnętrzne mury. Dzięki temu teraz nawet w największe upały mógł cieszyć się wewnątrz przyjemnym chłodem.

Stanął na wysokim ganku, z którego roztaczał się widok na całą posiadłość. Na wprost, po drugiej stronie wybetonowanego dziedzińca, mieścił się magazyn części zamiennych i mały podręczny warsztat. Do tego budynku z prawej strony przylegała hala napraw, która łączyła się z willą poprzez niewielki budynek kotłowni. Po lewej stronie Rychu miał okazałą, pomalowaną na zielono bramę wjazdową i betonowy

295

płot, który dochodził do lewej ściany magazynu. Tuż za bramą, już na dziedzińcu, znajdowało się kilka miejsc parkingowych dla naprawianych aut. To pierwsze z brzegu było puste. Zawsze zajmowała je honda civic Czecha.

Grubiński spojrzął w tamtą stronę, splunął sobie pod nogi i szedł powoli na dół. Tuż przy schodach stał zaparkowany jego nowy niebieski passat, sprowadzony zaledwie dwa miesiące temu z rfn-u. Władziu, kierowca i goryl w jednej osobie, stał oparty o maskę. Założył dziś na siebie białą koszulkę z czarnym napisem „Modern Talking” i podobiznami dwóch uśmiechniętych członków zespołu. Z głową uniesioną w górę wystawiał twarz na piekące słońce, by złapać trochę więcej opalenizny. Władziu był zwolennikiem naturalnego opalania się. Mówił, że tylko prawdziwe słońce nadaje skórze i mięśniom odpowiedni złotawy kolor. Jako kulturysta z prawdziwego zdarzenia, bo Władziu harmonijnie rozwijał

mięśnie od ósmej klasy podstawówki, gardził tymi wszystkimi, którzy przed pokazami kulturystycznymi malowali się, by ładniej wyglądać, bejcą do drewna. Nie uznawał też chodzenia do solarium. Trochę bał się tego nowego wynalazku od czasu, jak za młodu poparzył się dotkliwie lampą kwarcową, której używała jego starsza siostra. W końcu w takim solarium tych lamp jest znacznie więcej, więc o jeszcze gorsze oparzenia nie było tam pewnie trudno. Mówił kolegom, że to dobre dla bab, a nie dla prawdziwego mięsiora. On cenił naturalne piękno ludzkiego ciała, które jego zdaniem podkreślały tylko kąpiele słoneczne. Dlatego wykorzystywał każdą okazję, by złapać trochę promieni. Gdyby mógł, to przez całe lato wylegiwałby się na plaży, nad Rusałką, opalając swoje ogromne mięśnie, i na przemian siedziałby na siłowni. Niestety, nie mógł. Praca pochłaniała go niemal całkowicie. Na szczęście dla niego Rychu w jednym z pomieszczeń warsztatu

296

tu urządził minisalkę gimnastyczną, w której zainstalował ławeczkę obciążoną miękką skórą i sztangę do wyciskania na profesjonalnym stojaku. Dzięki temu Władziu w wolnych chwilach, między jednym a drugim wyjazdem, mógł ćwiczyć.

Rychu podszedł do niego i lekko klepnął go w ogromny kark.

-- Koniec tej zabawy, chłopaku. Trzeba nam załatwić kilka spraw na mieście - powiedział i otworzył tylne drzwi auta. Władziu uśmiechnął się, radośnie ukazując szparę między dwiema górnymi jedynkami.

- A dokąd to, szefie, się wybieramy dzisiaj?

- No jak to? Jedziemy na Rybaki pogadać z tym gnojem, co to postanowił zaopiekować się naszymi pieniędzmi.

-- To mam wziąć ze sobą tę nową giwerę?

- Dej se spokój, Władziu. Nie idziemy na wojnę, tylko upomnieć się o swoje. Wystarczy zwykły gnat, ten co go masz pod siedzeniem. Nie zamierzam robić tam rozpierduchy, ale chcę kulturalnie z tym panem pogadać, bo jak widzę, na Czecha to raczej nie ma już co liczyć. Pewnie gdzieś leży, zapijaczony ryj, i nic nie wie o bożym świecie.

-- Szefie -- Władziu rozsiadł się za kierownicą i spojrzał na Rycha we wstecznym - coś mi się nie widzi, żeby on zamienił robotę u pana na gorzołę. Co prawda, jest z pijących, ale też obowiązkowy i akuratny. Po pracy, owszem, nie powiem, wypije sobie jedną, dwie flaszeczki, ale bez przesady. Te czasy, kiedy nachlany jak świnia siedział w knajpie, to już raczej ma za sobą.

-Też mi się tak wydawało. No dobra, odpalaj brykę i jedziemy na pogaduchy, a jak Czechu się pojawi, to zobaczymy, jaką historię przyniesie. Mam nadzieję, że taką, w którą będę mógł uwierzyć.

297

Silnik jęknął i zaskoczył od razu. Kierowca włączył odtwarzacz Blaupunkt i wcisnął w otwór kasetę magnetofonową. Urządzenie ożyło. Najpierw zapaliły się diodowe przyciski, a potem przez stereofoniczne głośniki zainstalowane w drzwiach samochodu popłynęły słowa przeboju Republiki: Gdzie oni są, ci wszyscy moi przyjaciele.

godzina 8.00

W pokoju konferencyjnym siedzieli już niemal wszyscy członkowie zespołu dochodzeniowo-śledczego, których na dzisiejszą poranną naradę wezwał major Marcinkowski.

Podchorąży Mariusz Blaszkowski wraz z Zalewskim stanęli w drzwiach, rozglądając się po sali. Powinni byli się zameldować, ale major uprzedził ich i wskazał ręką wolne krzesła przy końcu stołu. Dziś rano stawili się w komendzie już o siódmej. Przyszli wcześniej tak na wszelki wypadek, choć Mariusz doskonale wiedział, że o tej porze nikogo jeszcze nie będzie. Gdy pracował w Poznaniu, też przychodził do pracy mniej więcej o tej godzinie, a pierwszy z oficerów zjawiał się dopiero po ósmej. Ten czas wykorzystywał na przejrzenie akt sprawy, nad którą właśnie pracował zespół, no i na uporządkowanie korespondencji przychodzącej do biura. Wcześniej nikt tego nie robił i w papierach zawsze panował bałagan.

Gdy teraz wszedł do pokoju, w którym pracował, a który należał do Brodziaka i Olkiewicza, od razu zauważył, że obaj lokatorzy wrócili do dawnych nawyków. Olkiewicz nienawidził papierów na biurku, układał je więc stertami na półkach szafy pod ścianą, natomiast Brodziak, z właściwym sobie bałaganiarstwem, podobne papierowe wieże piętrzył na swoim biurku. Różnica między nimi była tylko taka, że Brodziak

298

czytał zaadresowane do niego pisma, a Olkiewicz nawet nie otwierał kopert. To odkrycie wcale go nie zdziwiło, zdumiał się natomiast, widząc siedzącego za biurkiem Teofila Olkiewicza, który pochylony nad blatem, pisał coś na kartce papie-

ru maszynowego.

Okazało się, że Teoś ma problem. Wczoraj dowiedział się od Marcinkowskiego, że koledzy z sb, a w szczególności niejaki kapitan Galaś, chcą od niego jakiegoś raportu na temat zajścia, do którego doszło w Jarocinie. Mariusz nie miał pojęcia, o jakie zajście chodzi, a Olkiewicz nie chciał nic powiedzieć. Kazał tylko obu podchorążym wynosić się z pokoju, żeby mu nie przeszkadzali. Poszli więc do bufetu, a tam, o dziwo, natknęli się na Marcinkowskiego i Brodziaka. Ci kazali im zjeść śniadanie i o ósmej zameldować się w sali konferencyjnej. Przyszli tam punktualnie.

Mariusz uczestniczył już w kilku takich operatywkach, ale nie pamiętał, by podczas którejś z nich panowała taka grobowa atmosfera.

Major siedział u szczytu stołu przykrytego zielonym sukniem, po jego lewej ręce jak zwykle rozparł się porucznik Brodziak. Naprzeciw niego kapitan Michał Leszczyński swoim zwyczajem, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się dookoła, pograżony był w lekturze „Życia Warszawy”. Brodziak, na zmianę z Olkiewiczem, zawsze robili sobie żarty z czytelniczego nawyku kapitana, który jako warszawiak z urodzenia, mimo że już ponad dwadzieścia lat mieszkał w Poznaniu, nie potrafił przetrząść się na lokalną wielkopolską prasę. O ile dla Brodziaka był to powód do żartów i docinków, dla Olkiewicza czytanie warszawskiej gazety było prowokacją i jawną drwiną z uczuć lokalnego patrioty, za jakiego oczywiście się uważał. Tym razem jednak porucznik Brodziak milczał. Pałac papierosa, zatopił się we własnych myślach. Miejsce Teosia,

na lewo od niego, było puste. Do zespołu należeli jeszcze porucznik Wiesław Adamski, niepozorny, lekko szpakowaty pięćdziesięciolatek w grubych okularach, nazywany przez Brodziaka głównym księgowym z powodu jego skrupulatności i zamiłowania do grzebania w papierach, potężny sierżant Grzechu Kowal, oraz podporucznik Albin Chudecki. Teofil Olkiewicz mówił o nim, że jest to wrzód na dupie całego zespołu. Dołączył do nich w ubiegłym roku prosto po szkole. Już na pierwszym spotkaniu zrobił na majorze Marcinkowskim fatalne wrażenie przemądrzałego gówniarza, który nie ma pojęcia o robocie, a jednocześnie uważa, że wszystko wie najlepiej. Taka postawa nie stanowiła dobrej rekomendacji do grupy starych praktyków. Nic więc dziwnego, że wszystkich natychmiast do siebie zraził i był traktowany jak meteor, który wkrótce zniknie z ich pola widzenia. Tymczasem minął rok, a Albin dalej się wymądrzał, irytując cały zespół. Wszystko przez to, że podporucznik, mimo swojego paskudnego charakteru, okazał się przydatny. Od czasu gdy się pojawił, zniknęły kłótnie o to, kto ma się zająć najnudniejszą i najbardziej żmudną robotą. Kiedy trzeba było, na przykład, sprawdzić i wypytać o coś wszystkich szewców w Poznaniu, zadanie to Marcinkowski natychmiast przydzielał Chudeckiemu. Porucznik, mrużąc pod nosem, zabierał się do roboty, a trzeba przyznać, że z każdego takiego zadania wywiązywał się z właściwą sobie sumiennością.

-- Ryciny też nie lubię, ale nieraz muszę z niej korzystać -

powiedział jakiś czas temu o podporuczniku Teoś Olkiewicz, który uwielbiał pastwić się nad Chudeckim, wymyślając mu coraz to nowe zadania. Dziś Chudecki, szczupły brunet, jedyny spośród wszystkich znajdujących się na sali ubrany w przepisowy mundur, siedział wygodnie rozparty na krześle 300

z rękami założonymi na brzuchu. Pod równo przyciętym ciemnym wąsem a la Clark Gable błąkał się ledwo widoczny, drwiący uśmieszek. Dziś podporucznik triumfował, bo jego główny dręczyciel miał poważne kłopoty.

- Siadajcie, panowie - powiedział major Marcinkowski na widok dwóch podchorążych.

Zajęli miejsca na końcu stołu, koło Chudeckiego, który nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem. Dla niego nie byli to jeszcze żadni milicjanci, a jedynie narybek, który wcale dobrze się nie zapowiadał. Major znał Blaszkowskiego od paru miesięcy i jak mógł, utrudniał mu pracę, traktując go zawsze z wyższością, żeby nie powiedzieć z pogardą. Mariusz niewiele mógł na to poradzić i musiał przyjąć taki stan rzeczy, bo ze starszym stopniem nie mógł przecież walczyć. Postanowił, że zniesie wszystko z godnością, a odpłaci temu typowi, jak skończy szkołę i wróci do pracy z oficerskimi szlifami.

Mariusz rozejrzał się wokół, uważnie lustrując twarze wszystkich zebranych. Widać było, że w napięciu na coś czekają. Wyczuł, że chodzi o Olkiewicza. Bez niego narada nie mogła się zacząć, tymczasem był on ze swoim raportem u samego pułkownika Żyto. Pułkownik to porządny

człowiek i raczej z jego strony Teofil nie musiał niczego się obawiać, widocznie jednak coś było nie tak, skoro wszyscy spuścili nosy na kwintę.

- U was tak zawsze wesoło jak w rodzinnym grobowcu? - spytał Zalewski szeptem, pochylając się do Mariusza.

- Coś się, cholera, szykuje, chyba z tym Teofilem, tym, co pisał raport. Zdaje się, że sobie nabrechał. Ale o co chodzi, to nie wiem.

- Strzelił w mordę tego pacana z sb.

- Co? Co ty pierniczysz?

301

- Nie wiedziałeś? W komendzie w Jarocinie wszyscy o tym gadali. Przed budynkiem i przy świadkach tak mu przywalił, że tamten zjechał na chodnik. Ładnie mu przyłożył.

- No to już wszystko jasne...

-Jeszcze chwilę, panowie - powiedział do nich major Marcinkowski, biorąc ich szepty za oznakę zniecierpliwienia. - Czekamy na Teofila, który poszedł wyjaśnić coś pułkownikowi. Powinien zaraz tu być i wtedy zaczniemy.

Po chwili drzwi do sali otworzyły się, ale zamiast oczekiwanego przez wszystkich Olkiewicza stanął w nich czerwony jak burak pułkownik Żyto. Zapadła kompletna cisza. Żyto podszedł do szczytu stołu, oparł się pięściami o blat, po chwili wyprostował się i założył ręce z tyłu. Widać było wyraźnie, że nie wie, jak zacząć. W sali zrobiło się zupełnie cicho, słychać było nawet tykanie zegara, który wisiał na ścianie niedaleko ozdobnego talerza z polskim orłem bez korony i z podpisem „mo 30 lat w służbie narodu”.

Pułkownik wyjął z kieszeni mundurowej marynarki kracias-
tą chustkę i otarł nią spocone łyse jak kolano czoło, poprawił
okulary, które zsunęły mu się na nos, a potem, odchrząknąw-
szy, zaczął:

- Panowie, muszę wam zakomunikować, że niestety, pro-
szę ja was, nasz kolega Teofil Olkiewicz to według kolegów
z sb nie jest on nasz żaden kolega, tylko element wywrotowy
i niebezpieczny. Tak mnie przedstawili to koledzy z sb, infor-
mując, proszę ja ciebie, że on, ten Teofil, pobił drugiego kole-
gę z sb, Galasia Fabiana, w trakcie wykonywania służbowych
czynności, czyli w pracy. Do mnie wpłynęła oficjalna skarga
z sb i raport Galasia w tej sprawie...

Przerwał na chwilę, by sięgnąć po butelkę wody mineral-
nej. Napełnił literatkę, wypił, po czym przetarł usta swoją
gustowną chustką.

302

- W tej sytuacji ja muszę to oficjalne pismo rozpatrzyć i dać
odповідź w ciągu dwóch tygodni, bo koledzy z sb doma-
gają się natychmiastowego wyrzucenia Teofila ze służby, pro-
szę ja was. Ale urzędowy termin ustosunkowania się do skar-
gi drugiego pionu w komendzie to jest dwa tygodnie, to ja
je w takim razie w pełni wykorzystam i rozpatrzę tę skargę
z całą uwagą, na jaką zasługuje. Więc ja im muszę odpisać, co
ja postanowiłem, a postanowiłem tak, że ja jego mogę zawie-
sić dopiero, jak się skończy śledztwo, którego on jest jednym
z prowadzących i ma wiedzę operacyjną, przez co usunięcie
go z szeregów pozbawiałoby zespół tej wiedzy i pracownika,
który na temat tego śledztwa wszystko wie. Dlatego ja, pa-

nowie, ani go nie wyrzucę, ani tym bardziej nie zawieszę, tylko, proszę ja was, daję wam Teofila Olkiewicza do śledztwa, a później to się zobaczy.

A jeszcze wam powiem, że jeśli Teofil będzie miał w śledztwie sukces, to mnie, proszę ja was, będzie łatwiej jego potem nie wyrzucać, a co najwyżej zawiesić na czas jakiś...

Skończywszy to przemówienie, usiadł ciężko na krześle obok Marcinkowskiego i sapnął głośno jak mors.

Powietrze w pokoju konferencyjnym zgęstniało tak, że można by je kroić nożem.

W końcu ciszę przerwał major.

- Obywatelu pułkownika. Co na to wszystko Olkiewicz?

Przyznał się?

- Nie tylko, że się przyznał, to jeszcze powiedział na koniec, że jak tego Galasia spotka gdzieś na ulicy, to mu jeszcze dołoży podwójnie.

- A powiedział, o co chodziło?

- A jakże, powiedział, że ten Galaś chciał go zwerbować na agenta tajnego, żeby on, proszę ja ciebie, mówił temu Galasiowi, co się dzieje w śledztwie.

303

- To skurwysyn jeden! - nie wytrzymał Brodziak. - Sam bym gnoja zabił, jakby mi coś takiego zaproponował. Nie ma się co dziwić Teosiowi.

- No to też ja się nie dziwię, ale mam kłopot, bo pułkownik Wrona naciska, żeby Olkiewicza z szeregów usunąć. Więc teraz trzeba zrobić wszystko, żeby Teofil się wykazał w najbliższym czasie, to ja będę miał argumenty za nim.

- Dziękuję w imieniu zespołu, obywatelu pułkownika -
powiedział Marcinkowski.

- Tak, co ty mnie dziękujesz, ty złap tego mordercę jak naj-
szybciej, żebym ja im mordy zatkał sukcesem. A ty, młody -
tu spojrzął na Blaszkowskiego - leć do waszego pokoju po
Olkiewicza, niech no tu przyjdzie w try miga, bo on cały czas
myśli, że jego już sb pogrzebało żywcem. Bo ja jego przy tym
Wronie pułkownika musiałem trochę objechać i kazałem mu
się wynosić i czekać na decyzję w pokoju.

Mariusz poderwał się z krzesła i pobiegł na górę. Nie minę-
ły dwie minuty, gdy w sali pojawili się obaj. Teofil miał mi-
nę, jakby na osekę chciał napluć. Stanął przed pułkowni-
kiem, ale nie spojrzął na dowódcę. Lustrował za to pilnie
czubki swoich schodzonych czarnych butów.

- Więc, słuchaj mnie, Teofil. Ja ciebie dopuszczam do śledz-
twa i ty mnie się w tym śledztwie masz nadzwyczajnie wy-
kazać, proszę ja ciebie. A jak się wykażesz, to będzie dobrze
i jakoś damy radę sobie poradzić z tym pasztetem, któryś
nam wysmażył.

- Tak jest, obywatelu pułkownika!

Żyto wstał i zwrócił się do Marcinkowskiego:

- No to, majorze, kontynuujcie. Do roboty, do roboty.

Ruszył w stronę drzwi. Mijając Olkiewicza, zatrzymał się
przy nim, spojrzął mu w oczy i nachyliwszy się, szepnął tak,
aby nikt nie słyszał: - Jak będziesz jeszcze raz chciał obić

304

mordę jakiemuś esbekowi, to proszę ja ciebie, rób to tak, żeby
nikt nie widział.

-Tak jest, obywatelu pułkownika. Ma się rozumieć, że z pełną dyskrecją złapię tego gnoja Galasia i sobie z nim pogadam. Na osobności.

Pułkownik pomyślał, że to zabrzmiało groźnie, ale potem popatrzył jeszcze raz na Teosia i doszedł do wniosku, że nie zawsze groźby przeradzają się w działania. Tak jak na przykład groźba wystąpienia Czechosłowacji z bloku bratnich państw obozu socjalistycznego.

godzina 8.15

Jaki trup, do cholery?

-Normalny, sztywny jak decha. W śmietniku go znaleźli w sobotę. Ten stróż, co mieszka w tej tam kamienicy, no tej, z tą sznupą z kamienia, powiedział mi, że to nie był miejscowy, ale ktoś nieznan, czyli nietutejszy. I co najdziwniejsze, ten, co tam leżał w tym śmietniku, był zupełnie goły, tak jak go Pan Bóg stworzył. A zabity był przez rozbicie łba, bo ponoć miał czachę wkleśniętą.

Rychu spojrział przez okno samochodu w kierunku, który wskazywał Władziu. Normalna kamienica, jakich wiele na tej ulicy, nie bardziej odrapana od innych, no może tylko nieco ciekawsza na pierwszy rzut oka, bo nad bramą znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca jakąś twarz. Z tej odległości Rychu nie mógł dostrzec szczegółów, ale był pewien, że jest tam rzeczywiście ktoś wykuty w kamieniu. Znał tę kamienicę, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, kogo przedstawia ta płaskorzeźba. Wychował się kilkaset metrów stąd, w okolicach Starego Rynku, i nie raz w dawnych czasach zdarzało

mu się zawędrować na Rybaki, wtedy jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na secesyjne ozdoby kamienic, które rozsiadły się po obu stronach ulicy. Teraz wpatrywał się w ten dom po prawej stronie i zastanawiał się, co mogło się tu wydarzyć. Fakty były bezsporne. W tym budynku mieszkał człowiek, którego on szukał. Domagała był najprawdopodobniej osobą, która napadła na Tunia i zabrała mu pieniądze. Czechu, wysłany na poszukiwania, przypuszczalnie bez trudu znalazł ten adres i pewnie spróbował się spotkać z tym złodziejem. Jeśli doszło do spotkania, to można było założyć, że Domagała oddał pieniądze. Ale w takim razie, gdzie się podział Czechu? Najbardziej zagadkowy był ten trup. Może to ktoś, kto był świadkiem tego, jak jego człowiek chciał odebrać pieniądze i doszło do nieszczęśliwego wypadku w postaci usunięcia świadka. Choć z drugiej strony, to nie bardzo pasowało do Czecha. Owszem, potrafił obić komuś mordę i w ten sposób zmusić do niewtrącania się w nie swoje sprawy, ale żeby zaraz zabijać? Gdyby tym leżącym w śmietniku okazał się Domagała, no to pał go licho. Rychu rozgrzeszyłby Czecha, jeśli ten by przeszarżował podczas przesłuchiwanie podejrzanego. Problem w tym, że zabitym nie był Domagała, bo stróż na pewno by go rozpoznał.

- Na pewno to nie był ten Domagała? - zapytał Władzia, który tymczasem rozsiadł się za kierownicą.

- Ten cieć mówił, że go nie zna, znaczy się, to jakiś gość nietutejszy, czyli że nie może to być ten Domagała.

- No a co z nim? Pytałeś stróża, gdzie on mieszka?

- Jasne, że się zapytałem. No to ten mi powiedział, że w tej

kamienicy, ale nie ma go w chacie i nie wiadomo, gdzie jest, bo on go nie widział od kilku dni, a poza tym to on tu ponoć rzadko przychodzi.

- A pod jakim numerem mieszka?

306

- Pod piątym.

- No to chodź, Władziu, pójdziemy sprawdzić, jak nasz przyjemniaczek sobie żyje.

Wyszli z auta. Do wskazanej przez Rowerowego kamienicy mieli jakieś dwieście metrów. Rychu wołał zaparkować w pewnej odległości od budynku, bo jego nowe auto za bardzo rzucało się w oczy na tle szarej masy fiatów, syrenek i trabantów.

W bramie kamienicy przywitał ich charakterystyczny zapach wilgoci przemieszany ze smrodem moczu. Miejscowi pijacy musieli często korzystać z tego miejsca jak z publicznego szaletu, bo w innych okolicznych kamienicach, aby dostać się do bramy, trzeba było sforsować najpierw drzwi, a tu gości z pełnym pęcherzem przyjaźnie witały puste porządki zawiasy.

- Drugie piętro - powiedział Władziu, wskazując drewniane schody klatki schodowej. Po chwili stali przed odrapanymi drzwiami. Rychu rozejrzał się, uważnie lustrując piętro, na którym znajdowały się jeszcze dwa wejścia do sąsiednich mieszkań.

Na wszelki wypadek zapukał, ale nie usłyszał żadnej reakcji w mieszkaniu pod piątką. Sięgnął więc do kieszeni i wydobył uniwersalny klucz typu yale bez ząbków. W zamek wsunął

cieniutki pasek blachy, a potem powoli wcisnął tam klucz.

Otwarcie zamka patentowego zajęło mu jakieś dziesięć sekund. Po chwili weszli już do środka.

Ciemny korytarz prowadził w głąb. Mieszkanie było środkowe i okna wychodziły na podwórze. Nic więc dziwnego, że w dwóch pokojach i w kuchni panował mrok. Władziu ze swoją tetetką w ręku, a Rychu z rękami zwiniętymi w pięści szybko zlustrowali wszystkie pomieszczenia. Rzeczywiście nigdzie nie było gospodarza. Wyczuwało się za to paskudny

307

smród niesprzątanego od dawna i równie dawno niewietrzonego mieszkania. W tym zatęchłym powietrzu unosił się jeszcze jakiś dziwny zapach, którego żaden z nich nie potrafił początkowo zidentyfikować.

-Tak jakby zgniła słoma pomieszana z acetonem - powiedział Władziu, wchodząc do kuchni.

Rychu stanął w drzwiach, a potem zapalił papierosa. Kuchnia wyglądała jak prawdziwy śmietnik. Płyta kaflowego pieca po lewej stronie zastawiona była różnymi garnkami. Kilka z nich wypełniała jakaś brudnobrązowa ciecz. Na stole pod oknem wałały się wyszczerbione talerze z resztkami jedzenia i puste butelki po winie owocowym. Podobny bałagan był na kredensie, na którego blacie tylko prawdziwy ryzykant mógłby pokusić się o przygotowywanie jedzenia. Wśród całej sterty odpadków uwijały się jak w ukropie paskudne tłuste muchy. Dokładny jak zwykle Władziu otworzył boczne drzwi prowadzące do komórki. Chciał sprawdzić, czy aby tam przypadkiem ktoś się nie ukrywa. Nie było nikogo. Ale nawet

jakby ktoś chciał, to i tak nie miałby najmniejszej szansy wejść do środka. To niewielkie pomieszczenie wypełnione było bowiem niemal po sam sufit workami. Władziu wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i rozciął pierwszy z brzegu worek. Na ziemię posypały się drobne kawałki pogniecionej słomy makowej.

- To od tego tak wali słomą - zawyrokował Władziu, wskazując ręką na swoje znalezisko. - To makuchy zwyczajne są. Tylko na cholerę komuś w domu tyle worków z makuchami? Rychu z papierosem w zębach podszedł do drzwi spiżarki. -- Wygląda na to, że nasz Domagała zajmuje się wytwarzaniem kompotu.

- Jak to kompotu? - nie mógł zrozumieć Władziu. - Kompot to jest przecież z korbola albo ze świętojanek...

308

- Władziu, ty ale durny jesteś. Widać, że nie bardzo się orientujesz w kwestiach narkotykowych. A szkoda, bo coś mi się zdaje, że ta branża ma wielką przyszłość i daje znacznie lepsze perspektywy niż handel złomem.

- Narkotyki to świństwo!

- Masz całkowiłą rację, ale nasz przyjaciel najwyraźniej o tym nie wie i zdaje się, że tu, w tej norze, urządził sobie sympatyczną wytwórnię heroiny, czyli po naszymu kompotu, który można wstrzykiwać sobie dożylnie. Zdaje się, że to, co tam widzisz w tych garach na piecu, to towar gotowy do sprzedaży.

Władziu podszedł do garnków i uważnie przyjrzał się ich nieciekawej, śmierdzącej zawartości.

- Fuj! - Splunął na podłogę z obrzydzenia, bo jako czło-

wiek wrażliwy, nie mógł spokojnie myśleć o zastrzykach, a cóż dopiero o takich, które ktoś robi sobie samodzielnie i jeszcze wstrzykuje sobie w żyły jakąś berbeluchę.

Nagle obaj zamarli. Na klatce schodowej, tuż za drzwiami, usłyszeli jakiś ruch. Władziu zwinnie i cicho jak kot wyszedł z kuchni i zniknął w pokoju po drugiej stronie korytarza.

Rychu nie miał zamiaru się kryć. Spokojnie usiadł na taborecie przy kuchennym stole.

Najpierw rozległ się dźwięk klucza obracającego się w zamku, potem drzwi skrzypnęły i w końcu uderzyły z rozmachem o framugę.

Tylko jeden wszedł, pomyślał zadowolony Rychu i z przyjemnością zaciągnął się dymem papierosa Marlboro.

-Jesteś w domu? - rozległo się pytanie z korytarza. - Chyba czuję tu jakiś dobry tytoń. Palisz malboraski, to znaczy, że ci się dobrze powodzi, a ja, kurwa, ostatnio same pety popalam. Już od soboty cię szukam wszędzie...

Nowo przybyły chciał jeszcze coś powiedzieć, ale go zamurowało. Stanął jak wryty w drzwiach od kuchni, nie mogąc

309

uwierzyć w to, co widzi. Na taborecie siedział sobie jakiś napakowany grubas, uśmiechnięty od ucha do ucha. W pierwszej chwili pomyślał, że śni, bo facet, gdyby go ubrać w austro-węgierski mundur, przypominałby do złudzenia wojaka Szwejka z czeskiego filmu.

-- Niech się pan nie krępuje, panie Domagała, zapraszam do środka.

Gdy Szwejk przemówił, facet chciał się cofnąć, ale nie miał

na to najmniejszej szansy. Coś ogromnego i ciężkiego opadło mu na plecy. Natychmiast stracił równowagę i runął na brudną podłogę. Ktoś z impetem wskoczył na niego i błyskawicznie wykręcił mu rękę do tyłu. Nim zaatakowany zdołał pomyśleć rozsądnie o tym, co się stało, na przegubach zacisnęły mu się zimne obręcze kajdanek. Myślał już, że na tym koniec, gdy nagle ogromnej siły kopniak w bok pozbawił go oddechu. Kilka następnych sprawiło, że stracił kontakt z rzeczywistością.

Władziu podniósł bezwładne ciało i usadził gościa na krześle z oparciem, które ustawił na środku kuchni. Sprawnie rozpiął kajdanki i jeszcze raz zatrasnął je z tyłu krzesła, tak żeby nieprzytomny mężczyzna nie zsunął się na podłogę.

Rychu z aprobatą i w całkowitym milczeniu przyglądał się temu, co działo się przed nim.

-- No dobra, teraz go obudź, musimy trochę pogadać -- wydał polecenie Władziowi. Ten spojrział bezradnie na niego.

Wiedział doskonale, jak pozbawić kogoś przytomności, ale jak do niej przywrócić, to zdecydowanie zbyt poważny problem, który przekraczał jego możliwości.

- Może mu pierdolnąć? - zapytał, nieśmiało spoglądając na szefa.

- Jak go trzepniesz, to mu ryj może odlecieć. Polej go wodą.

310

Władziu, wiele się nie namyślając, chwycił najbliższej stojący garnek i wylał całą śmierdzącą zawartość na głowę faceta. Ten prychnął, jakby właśnie wynurzył się z toni, odkaslnął kilka razy i jeszcze nie całkiem przytomny rozejrzał się wokół.

Zobaczył uśmiechniętą gębę Szwejka i pomyślał, że zwa-
riował kompletnie.

Szwejk jednak nie dał mu szansy na dojście do siebie. Wstał
powoli, cały czas się uśmiechając, podszedł zupełnie blisko
i z rozmachem uderzył go w twarz. Gość na krześle poczuł
słony smak w ustach. Uderzenie nie było bardzo silne, jednak
na tyle mocne, że w prawym kąciku warg pękła skóra.

To jednak całkowicie wystarczyło, aby przywrócić go do
rzeczywistości.

Uśmiechnięty Szwejk usiadł z powrotem na taborecie.

- No to, panie Domagała, pogadamy.

- O czym?

- O moich pieniądzach, kochanieńki.

- O jakich pieniądzach? Nic nie wiem o żadnej forsie.

- Nie obrażaj mojej inteligencji. Razem z jeszcze jednym
gościem, którego na razie nie znam, ukradliście Tuniowi re-
klamówkę z dziennym utargiem z kilku peweksów. Zrobili-
ście głupio, bo zostawiliście masę śladów i jak widzisz, nie-
zbyt trudno było cię namierzyć, a poza tym zrobiliście bardzo
głupio, bo te bejmy należą do mnie. Rozumiesz mnie teraz,
panie Domagała?

- Aleja żadnej kasy nie ukradłem. Nawet nie wiem, o czym
pan mówi.

- Może mu pierdolnąć, żeby sobie wszystko przypomniał -
zapropomował nieśmiało Władziu.

- Spokojnie, kochany, na to jeszcze mamy trochę cza-
su, chyba że pan Domagała będzie się upierał. No więc jak,
będziesz dalej robił ze mnie idiotę?

- Przysięgam się, że nic nie wiem. Ja się nie bawię w takie rzeczy.

- Przestań wreszcie pieprzyć głupoty. Powiedział nam o tobie twój dobry znajomy, Rowerowy, co handluje na łazarzu rowerami.

Ustyszawszy to, przesłuchiwany spuścił głowę. Długie mokre włosy zasłoniły niemal całą twarz. Rychu myślał nawet przez chwilę, że gość stracił kontakt z rzeczywistością, ale on po chwili wyprostował się i spojrział przed siebie.

- Z Rowerowym to się zadaję nie ja, tylko mój brat. A w ogóle to jest jego mieszkanie, a nie moje. Ja tu tylko wleciałem na chwilę, bo myślałem, że się z nim spotkam...

- Pierdolnąć mu, szefie? - zniecierpliwiał się Władziu.

Rychu machnął ręką i wstał z miejsca. Zaczął przyglądać się uważniej przykutemu do krzesła chłopakowi. W kuchni, której okna zalepione były gazetami, panował półmrok, nie widział więc wyraźnie tego, który wpadł w ich sieć. Teraz podszedł bliżej i przekonał się, że on mówi prawdę. Bo rzeczywiście był to chłopak, wyrosnięty, dobrze zbudowany, ale chłopak, mogący mieć co najwyżej dwadzieścia lat, a nie trzydzieści, jak ten, którego szukali.

- Spokojnie Władziu, najpierw on nam po dobroci powie, gdzie możemy znaleźć jego brachola.

godzina 8.50

Włodas Mrowiński się pocił. Pot spływał mu po skroniach i po plecach, a nawet po takich miejscach, o których nie warto wspominać. Szybko przetarł wierzchem obu dłoni czoło,

ale z plecami nie mógł nic zrobić. Gdyby miał możliwość, to normalnie, jak zwykle w takich sytuacjach, najzwyczajniej

312

w świecie włożyłby łapę pod podkoszulek i pogmerałby tam. To zazwyczaj przynosiło ulgę. Ale teraz nie mógł nic zrobić i dlatego czuł się coraz gorzej. Zresztą nie tylko z powodu przepocenia. Pocił się, bo było gorąco, ale też dlatego - a tego nie mógł wiedzieć - że obfita potliwość była reakcją organizmu na brak codziennej dawki płynów pobudzających. Płyny te wlewał w siebie codziennie od ponad trzydziestu lat. Tymczasem od soboty, to jest od dwóch dni, nie przyjął ani grama alkoholu. No i organizm poczuł się oszukany. Zareagował najpierw ociężałością ogólną i kolosalną suchością w gardle jeszcze w niedzielę, a dziś od rana zaczęły się dziwne dreszcze i teraz siódme poty, które niemal zalewały mu oczy. Każda komórka jego ciała domagała się alkoholu, ale na to, niestety, właściciel organizmu nie mógł nic poradzić. I co gorsza, nic nie wskazywało też na to, aby w najbliższym czasie coś się mogło zmienić. Milicja, choć obywatelska z nazwy, nie była tak przychylnie nastawiona do obywateli, by tym zaproszonym do siebie na rozmowy serwować alkohol, choćby nie wiem jak ci zaproszeni cierpieli z powodu jego braku. Gdyby Włodas znał takie słowo, to swój stan mógłby ocenić jako bardzo dyskomfortowy, ale nie znał, więc przekonany był o tym, że czuje się jak dupa wołowa na patelni. Teraz dreszcze już przeszły i największy problem stanowiły dla niego swędzące pod wpływem potu plecy. Wszystko przez te ręce, którymi nie mógł ich sięgnąć, bo miał je skute kajdan-

kami z przodu. Gdyby choć taboret, na którym siedział, miał jakieś oparcie, wtedy mógłby, poruszając kregostupem, jakoś się podrapać. No ale wygodne krzesła nie należały zazwyczaj do standardowego wyposażenia pokoi przesłuchań. Ten, w którym znalazł się Włodas w komendzie miejskiej, nie różnił się od setek innych w całym kraju. Ściany wymalowane do przepisowej wysokości metr czterdzieści szaropopielatą 313

olejnicą, powyżej, aż do sufitu - białą kredową. Podłoga wyłożona ciemnozielonym linoleum. Pod oknem proste biurko z pustym blatem, a na nim jedynym biurowym sprzętem była srebrna lampka na giętym metalowym statywie.

Przed biurkiem postawiono taboret, na którym kilka minut temu posadził Włodasa jakiś sierżant, przykazawszy mu, że ma się nie ruszyć ani na milimetr, bo inaczej dostanie wpierdol.

No i Włodas, zlany potem, ze swędzącymi plecami, które doprowadzały go powoli do rozpacz, siedział spokojnie i sztywno w obawie przed zapowiedzianym wpierdolem.

Męczarnie nieszczęśnika trwały zaledwie piętnaście minut.

W końcu do pokoju wszedł ten sam oficer, z którym Włodas zawarł znajomość w sobotni poranek w swoim mieszkaniu.

-I co, Mrowiński, namyśliliście się już? - zapytał milicjant, siadając za biurkiem.

- Jak Boga kocham, panie władzo szanowny, że już dawno się namyślił. Co miałem się nie namyślić. Ja jestem szczon, że do rany przyłoż, to ze mną można ale wszystko zrobić.

Wszystko powiem, tylko niech pan mnie już odobraczkuje,

bo zaraz wyciągnę tu kopyta, jak się nie podrapię.

Porucznik Zawadzki roześmiał się, a potem podszedł do zatrzymanego i szybko zdjął mu kajdanki. Mrowiński natychmiast zadarł koszulę na plecach i zaczął się drapać tak intensywnie, jakby chciał pozbyć się całej skóry. Po chwili przestał, a ręce, które trzęsły mu się niemiłosiernie, położył na kolanach.

- Bóg zapłać.

- Bóg to ci, Mrowiński, zapłaci, jak staniesz przed Sądem Ostatecznym, a na razie to władza ludowa zapłaci ci za to, coś nawywijał.

- Jak Boga szczerze kocham, nic żem nie nawywijał. Niewinny jestem jak dzieciątko.

314

- No dobra, Mrowiński, przedstawię ci fakty, a potem po-dyskutujemy o twojej niewinności.

- Jeżeli można, to zanim szanowny pan władza przedstawi, to czy nie mógłby mnie pan dać jednego ćmika, bo strasznie mnie się chce zajarać. Od wczoraj fajki w gębie nie miałem, bo dowódca od klawiszy jakoś zawzięty chyba na mnie, bo nawet petów pod cele nie podrzucił, kutafon jeden.

Milicjant znów się uśmiechnął, a potem wydobyl z kieszeni paczkę klubowych i zapałki, po czym położył to wszystko na skraju biurka. Trzęsącymi się rękami Włodas wyciągnął papierosa i zapalił. Przez chwilę na jego twarzy zagościł wyraz błogości. W końcu był najedzony, wyspany, teraz jeszcze mógł się zaciągnąć dymem papierosowym, choć ssanie w żołądku domagającym się wody nie ustąpiło ani na chwilę.

- No, dobra. - Błogi nastrój, w którym powoli zaczynał się

pogrążyć Włodas, przerwał ostry głos milicjanta. - To teraz posłuchajcie, jakie są fakty, a potem powiecie mi, co o tych faktach myślicie. Rozumiemy się, Mrowiński?

Włodas skinął głową na znak, że wszystko rozumie.

- W ostatnią sobotę rano, w śmietniku kamienicy na Rybakach, przypadkiem to ta sama kamienica, do której przyklejona jest oficyna, gdzie mieszkacie, czyli można powiedzieć, że to na waszym podwórku, znaleziono gołego trupa.

- Ooo? - zdziwił się Włodas. - Na moim podwórku?

- Dokładnie, w tym śmietniku, w którym codziennie grzebiesz i szukasz butelek. - Milicjant na chwilę zapomniał o dobrych obyczajach i zwrócił się do aresztanta bez zwyczajowej formy „wy”.

- Ady tam, zaraz szukom, tak ino sprawdzam, bo u nas to flaszek się nie znajdzie. Wiara sama wszystko sprzedaje. Flachy to przy nowych blokach da się znaleźć. Tu to same papudroki mieszkają, co by gównem spod siebie zeżarli, a drugim

315

nic nie dali. W śmieciach ino obierki od pyrów, puszki po śledziach i spleśniały chleb. A wszystko, co się da sprzedać, to sprzedadzą. Menelia, panie władzo, sama, kurwa, menelia. Zawadzki spojrzął na przesłuchiwanego, a potem znów się roześmiał.

- No tak, masz rację, to niezbyt przyjemne miejsce do mieszkania.

- Łe, ale no pewnie, że nie dla normalnych ludzi. Wiara tam nic, ino chleje od rana do nocy. Już dawno bym się stamtąd wyniósł, ino ni ma gdzie. A w nocy to ni ma tam co łązić,

bo flachą po łbie można dostać, albo i nożem pod żebra. I co się dziwić, że tamtego gościa ktoś skroił? Sam se jest winny, nie? Po jaką cholere się pchał na Rybaki nocą?

- A skąd wiesz, że w nocy przyszedł na Rybaki? -- zapytał czujny milicjant.

- No jakże to, szanowny panie władzo, sameś pan powiedział, że go rano znaleźli. No to kiedy niby miał tam przyjść, jak nie w nocy. W dzień jakby dostał pod żebro, toby kto widział i wcześniej by się go odnalazło, nie?

- Niby i racja, no ale powróćmy do faktów.

- No właśnie, powróćmy - poparł go Włodas, sięgając do paczki po kolejnego klubowego. Spojrzał przy tym na porucznika, ale widząc jego przyzwalające skinięcie głową, szybko skorzystał z okazji.

- Trup został znaleziony, a później znaleziono jego ciuchy. I co powiesz na to, że te ciuchy znaleziono w twoim tapczanie? I co najciekawsze, w tym samym miejscu z sierżantem Kwaśniewskim natrafiliśmy na zakrwawiony młotek. Mogę się założyć, że ten młotek to jest narzędzie zbrodni.

- Podrzucili, jak Boga kocham, podrzucili!

-Kto?

- Żli ludzie.

- Jacy źli ludzie?

- A cholera ich wie, ale podrzucili gnoje jak nic.

- No dobra, mówisz, że podrzucili, ale jak w takim razie wytłumaczysz fakt, że na młotku znaleźliśmy twoje odciski palców. Nie uważasz, że to dziwne?

- Prawda, dziwne - potwierdził Mrowiński. - Jak najbar-

dziej dziwne.

- Ty mi tu nie przytakuj, Mrowiński, tylko gadaj zaraz, skąd w twoim tapczanie znalazły się te lompki i ten młotek,

- A skąd ja mogę wiedzieć, panie poruczniku?

- No przecież to twój tapczan jest w twoim mieszkaniu, prawda?

- Łe, no pewnie, że mój. Sam go dostałem od tego Witczaka, co mieszka na parterze, jak se lajsnęli nowe meble. Chcieli go porąbać na podwórku, a drewno na podpałkę, alem się z nim ugadał, że mu postawię flaszkę, jak mi mebel odda, bo szkoda go na porąbanie, no i on mi, znaczy się ten Witczak, nawet pomógł go wnieść na górę, boja wcześniej to miołem ino taką kozetkę...

- Co wy mi tu pierdolicie o tapczanie, Mrowiński. Mów mi o ciuchach i o młotku zaraz, bo jak nie, to inaczej ze sobą pogadamy! - krzyknął porucznik Zawadzki.

Mrowiński aż cały się skulił. Teraz przestraszył się nie na żarty, bo milicjant z łagodnego i przyjemnego rozmówcy zmienił się nie do poznania. Widać było na pierwszy rzut oka, że zaczyna już tracić cierpliwość, a milicjanta, który stracił cierpliwość, należało się bać. Nie raz już Włodas miał do czynienia ze zniecierpliwionym i zdenerwowanym milicjantem. Za każdym razem taki kontakt kończył się dla niego niezbyt przyjemnie, najczęściej siniakami na plecach po milicyjnej pałce. Od razu przypomniał sobie, jak takie pałowanie smakuje, dlatego natychmiast zaczął mówić, byleby tylko

317

oddalić od siebie chwilę, w której zawsze chętni do pracy zo-

mowcy wezmą go w obroty i urządzią mu ścieżkę zdrowia. Nie mógł wiedzieć, że młody porucznik nawet przez moment nie pomyślał, że można by oddać przesłuchiwanego w ręce siepaczy. Zawadzki najpierw zdziwił się, że puściły mu nerwy, a zaraz potem się zawstydził swojej reakcji. Przez sekundę nawet myślał, że powinien przeprosić Mrowińskiego za swój nieprofesjonalny odruch. Nie zdążył. Włodas nagle, pewnie pod wpływem strachu, doznał olśnienia.

-Już wiem, panie władzuchno kochany, jak to było z tym młotkiem, sam go do chaty przyniosłem razem z tymi łompami, bo se pomyślałem, że po jaką cholere się mają zmarnować, jeśli gość przestał ich już używać. A mi to na parę flaszek by wystarczyło, jakbym je gdzie puknął...

- Ale najpierw puknęliście tego człowieka tym młotkiem w łeb, tak że aż się przekręcił.

- Nigdy w życiu, panie poruczniku. Jak Boga szczerze kocham. Jakem się obudził, to tyń już tam siedzioł, znaczy się leżoł.

- To chcecie mi powiedzieć, że obudziliście się, zeszlście na dół do śmietnika i natrafiliście na zabitego?

- Ady tam, panie szanowny. Nie zesłem, bo nie miołem gdzie schodzić. Ja się tam obudziłem przez tego pieprzonego kejtra.

- Co ty gadasz, Mrowiński? - Porucznik nic nie rozumiał. - Jaki, do cholery, kejter?

- No, normalny, taki rudy, zdalasiały, przylecioł do tego śmietnika i mnie obudził, bo jo tam zostałem leżeć jeszcze w nocy skatajony, po tym jak dałem se w tytę.

- Czyli - próbował uporządkować zeznanie Mrowińskiego

porucznik - w nocy wszedłeś do śmietnika...

- Dokładnie, włożyłem tam, żeby się odlać i się wykopyrtnąłem, ajakjużleżołem, to nie dołem rady wstać... A jak już się
318

obudziłem przez tego kejtra cholernego, to zobaczyłem tego, co tam leżało. No i mnie cholera podkuśiło, żeby wziąć mu tyn ancug i papcie, a młotek jak zobaczyłem, to też wziąłem, bo to zawsze się może przydać.

-Więc mówisz, że to nie ty go tym młotkiem sprawiłeś, ale ktoś inny?

- Dokładnie tak, panie poruczniku, ja to bym muchy nie skrzywdził, a co dopiero takiego bulaja, co wyglądał jak klofta. Przecie taki goryl to by mnie jedną łapą rozgniótł, gdzie mnie startować do takiego...

- Czyli jesteś zupełnie niewinny?

- Czysty jak łąza, panie poruczniku.

- No dobra, to teraz spisujemy zeznanie i dam ci już spokój, Mrowiński.

- Czyli że mogę już iść do domu?

- Oczywiście, ale do domu na Młyńskiej.

- Ale panie poruczniku, ja jestem niewinny.

- To dobrze, znaczy, że będziesz w dobrym towarzystwie, bo tam na Młyńskiej sami niewinni siedzą.

Włodas Mrowiński poczuł, że ssanie w żołądku ustępuje miejsca czemuś innemu, czego w pierwszej chwili nie potrafił nazwać. Wydawało mu się, że w jego brzuchu kołacze się cała gromada motyli, które łaskoczą go od środka. Ale wcale nie było to przyjemne łaskotanie. Po chwili już wiedział, co

to jest. To był strach.

godzina 8.55

Teofil Olkiewicz otworzył szafkę w swoim biurku, nachylił się i zajrzał do środka. Wewnątrz nie było żadnych papierów, a jedynie kilka szklanek literatek i dwie butelki bałtyckiej.

319

Jedna była pełna i zamknięta, druga opróżniona do połowy.

Uśmiechnął się na ten widok, po czym sięgnął po tę otwartą.

- No to, panowie, jest okazja, żeby się napić. - Spojrzał po twarzach trzech mężczyzn, którzy oprócz niego znajdowali się w pokoju. Brodziaka nie musiał pytać, ten zawsze chętnie przyłączał się do degustacji. Z Blaszkowskim też sprawa była jasna. On nigdy nie pił w pracy, choć ostatniej soboty na zapleczu pijalni przy Półwiejskiej stanął na wysokości zadania i wychylił kilka kieliszków. O kilka za dużo, jak się później okazało, bo po którymś zasnął na stole. Za to ten wielki, jego kolega ze szkoły, który teraz siedział obok Blaszkowskiego grzecznie na krześle, był całkiem do rzeczy. Sprawnie dotrzymał kroku Teosowi i dzielnicowemu Kaczyńskiemu, a po skończonym piciu wziął pod rękę nieprzytomnego Blaszkowskiego i zabrał go do koszar.

Teraz Teofil spojrzął na niego pytająco, wystarczyła mu jednak tylko chwila, by stwierdzić, że Zalewski skorzysta z okazji z największą przyjemnością.

Wyciągnął więc trzy literatki i rozlał resztkę wódki, napełniając równo trzy naczynia.

- No to, panowie - podniósł szklaneczkę do góry, gdy zostali dwaj chwycili swoje. - Na pohybel Galasowi i za

pomyślność śledztwa - wzniósł toast i zaraz wypił do dna.

- A ty, Blacha, dobrze, że nie pijesz, bo dla nas by było za mało trochę - zaśmiał się Olkiewicz i swoim zwyczajem klepnął się uradowany w kolano.

- Ja, poruczniku, jeszcze dziś mam odruchy wymiotne po tym naszym sobotnim spotkaniu. Tak się strułem, że teraz na samą myśl o wódzie robi mi się niedobrze.

- To piliście w sobotę? - zainteresował się Brodziak, który właśnie wygodnie rozsiadł się w fotelu i położył nogi na blacie biurka.

320

- Ady tam, piliśmy. Wpadłem tam na kielonka do Kajzerki na Półwiejską i wyobraź to sobie, jakeśmy już z dzielnicowym Kaczyńskim trochę posiedzieli na zapleczu, to wychodzimy se razem do kibla, a tam kogo ja widzę na sali? Tych dwóch szczonów z jakimiś melami. Siedzą i piją oranżadę. No to ich wziąłem ze sobą, żeby nie tylko przy oranżadzie siedzieli, ale też coś normalnego wypili. W końcu należało im się za ten Jarocin. Trochę się tam napracowali, tak jak i my, nie?

- No, to niezły przypadek - uśmiechnął się Brodziak. -

A ten twój kumpel Kaczyński to też tam chodzi pić? Myślałem, że dzielnicowemu to nie wypada w swoim rewirze...

- Co tam nie wypada! A jakże, wypada jak najbardziej, bo to jego teren i wszystkich agentów to on musi znać służbowo, żeby wiedział, co tam w trawie piszczy. Ale kulturalnie chodzi pić, nie w sali z chlorami, tylko dyskretnie na zapleczu popija, tak jak my oba w sobotę. Wtedy to myśmy się spot-

kali na ulicy, jak ja do domu szedłem, a on był już po służbie i wracał do chaty. Od rana był przy morderstwie na Rybakach, co tam jednego gościa załatwił ktoś młotkiem, zupełnie jak tę naszą panienkę z Jarocina. I najlepsze, że ona była na golasa, tak samo jak ten trup z Rybaków...

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza. W końcu przerwał ją Blaszkowski.

- W sobotę na Rybakach kogoś zabito młotkiem?

- No, tak mówił ten Kaczyński, sierżant. Ale zabili go chyba w nocy, a rano znaleźli przy śmietniku, znaczy się rano w sobotę.

- Dwie osoby zabite w podobny sposób w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i do tego oba trupy rozebrane do naga - podsumował Mariusz.

- Kto prowadzi tę sprawę z Rybaków? - zapytał Brodziak.

321

- A cholera go wie, był przy tym dzielnicowy Kaczyński, a kto to ciągnie, to nie mam pojęcia, bo mi się kolega nie zwierzał. Gadał tylko, że z jakimś młodym porucznikiem łąził po mieszkaniach, no to chyba będzie ten porucznik z komendy miejskiej.

- Poruczniku, to może byśmy mogli się zorientować w sprawie - zaproponował Mariusz, wskazując na siebie i Zalewskiego. - Sprawdzimy, co i jak, i damy znać, o co chodzi.

Brodziak na moment zatopił się we własnych myślach.

Przed chwilą na naradzie wraz z majorem Marcinkowskim wyznaczyli wszystkim członkom zespołu zadania. Porucznik Adamski jak zwykle miał zająć się papierami, czyli szpera-

niem w aktach i poszukiwaniem podobnych spraw, Albino-
wi Chudeckiemu przydzielono przeprowadzenie rozmów
ze wszystkimi znajomymi zabitej dziewczyny. Nikt nie spo-
dziewał się, że ten trop może dokąś ich doprowadzić, bo
zakładano raczej, że zamordowana była przypadkową ofiarą
kogoś, kogo wcześniej nie znała. Marcinkowski należał jed-
nak do osób nadzwyczaj skrupulatnych, więc wolał sprawdzić
wszystkie tropy. Brodziak miał wybrać się do instytutu pato-
morfologu, żeby uczestniczyć w sekcji zwłok dziewczyny,
chciał się bowiem przekonać, co było bezpośrednią przyczy-
ną jej śmierci. Wraz z nim w sekcji mieli wziąć udział Blaszkowski i Zalewski. Brodziak zamierzał w ten sposób wpro-
wadzić obu młodych milicjantów w tę najmniej przyjemną
część ich pracy. Teraz, przyglądając się im obu, zdecydował,
że nauka może jeszcze poczekać.

- No dobra, wy obaj najpierw sprawdźcie, kto w kome-
ndzie miejskiej zajmuje się sprawą gołego nieboszczyka, a póź-
niej pójdziecie na Rybaki do tej kamienicy i rozpatrzyć się
trochę, popytacie mieszkańców. Nie chodzi mi o konkrety.

Po prostu połączcie tam i przyjrzyjcie się dokładnie temu

322

miejscu. Diabli wiedzą, może na coś ciekawego trafią. - To
ostatnie zdanie powiedział do Olkiewicza, który najwyraź-
niej nie przejął się wcale zamieszaniem, jakie wywołały jego
rewelacje. Zdążył już otworzyć drugą butelkę i właśnie roz-
lewał wódkę do szklanek.

- Obywatelu poruczniku, ja już podziękuję, skoro mam iść
na miasto - powiedział Zalewski, widząc, że Teoś przymie-

rza się do napełnienia trzeciej literatki.

- Łe, no wiadomo, jak służba, to służba, nie ma co myśleć o chlaniu, co nie, Mirek? - Mrugnął znacząco do Brodziaka. Ten uśmiechnął się do Teofila i wyciągnął rękę po swoją porcję. Dziś nic się już więcej nie powinno wydarzyć, więc mogli wypić. Tym bardziej że Mirek postanowił obgadać z Olkiewiczem pewną bardzo istotną kwestię, ale na osobności, jak młodzi już sobie pójdą.

Obaj podchorążowie pożegnali się i zadowoleni z przydzielenia samodzielnego zadania wyszli z pokoju.

Porucznicy zostali sami. Brodziak wstał i podszedł do okna. Spojrzał na paprotkę na parapecie. Kwiatek, który trafił tu, przyniesiony przez sprzątaczkę, rok temu, jakimś cudem przeżył i sprawiał nawet dobre wrażenie, mimo że na początku lokatorzy pokoju nie dawali mu większych szans. Podlewany był, powiedziec by można, dość rzadko, o ile w ogóle za podlewanie można uznać zalewanie resztkami kawy i herbaty ze szklanek po całym dniu pracy. A może to dzięki pe-
tom po papierosach, które Teofil z upodobaniem wciskał do doniczki z ziemią? Mirek odwrócił się i popatrzył na Olkiewicza. Chciał go o coś zapytać, ale nie bardzo wiedział, jak zacząć. W końcu postanowił, że nie warto kluczyć.

- Powiem ci coś, Teoś. Jakżeś przyszedł tu z sb, wtedy, trzynastego grudnia, to ja akurat pracowałem w zespole parę dni.

Byłem zaraz po szkole i jeszcze gównie wiedziałem o pracy

323

w organach. Ci dwaj młodzi wiedzą w tej chwili więcej niż ja w tamtych czasach, bo już uczestniczą w tej robocie, a ja

nie zdążyłem nawet wziąć udziału w śledztwie, tylko od razu zapakowali mnie do tej nyski, pamiętasz, cośmy pojechali za-trzymać kogoś z Solidarności.

- Co nie mam pamiętać, długa noc wtedy była, a skończyli-śmy ją nad ranem w burdelu na Strzeleckiej...

- Nie na Strzeleckiej - poprawił go Brodziak - tylko na Garbarach. Ale nie o to chodzi, bo ja o tym mówię, że my-śmy wszyscy wtedy wiedzieli od razu, że jak cię tu do nas od-komenderowali z sb, to po to, żebyś nam patrzył na ręce. To znaczy, miałeś być wtyka z bezpieki. Ale nikt do ciebie nie miał wtedy pretensji. Wiedzieliśmy, że tak jest, i koniec. A ty szybko żeś się dopasował do nas i nikt nie traktował cię jak esbeka. Ale ja ciebie teraz muszę zapytać i powiedz mi szcze-rze, czyś ty przez ten cały czas musiał donosić do nich o tym, co się u nas dzieje?

Uśmiechnięty od ucha do ucha Teofil Olkiewicz spojrzął na Brodziaka, a potem ponownie napełnił szklanki.

- No, za to, że mnie tu zostawili, musiałem im pisać rapor-ty, ale pisałem o byle czym i dlatego dali mi spokój. Same pierdoły pisałem, czyli na przykład o przebiegu jakichś spraw, które żeśmy tu prowadzili. O ludziach i o tym, co się tu mówi, ani słowa. Odpuścili, bo byłem mało przydatny.

A, i był jeszcze jeden powód. Oni, ci esbecy, nic nie mieli do kryminalnych. Nie potrzebowali, żeby im ktoś coś mówił, co tu się robi. No i odwalili się ode mnie na dobre. I już se myś-lałem, że zapomnieli o mnie, te esbeckie świnię, aż tu masz ci tego Galasia, co żeś go sam sptał w Jarocinie. Oni czemuś chcieli wiedzieć wszystko o tej sprawie i se przypomnieli,

że ja byłem w sb i że nawet to niby jeszcze tam jestem, tyle

że już bez etatu. No i on mnie wziął do siebie i kazał mi

324

raportować, co i jak się w sprawie robi. Że niby mam mu mówić o każdym kroku, a nawet wcześniej, zanim my tego kroka zrobimy, bo jemu nadzwyczajnie zależy, żeby wszystko wiedzieć o tej sprawie, bo on tak powiada, że to nie jest zwykłe morderstwo, że może być z polityką jakoś powiązane. No to jak on mi kazał donosić i nastraszył jeszcze, że jak nie, to on mnie do raportu przed pułkownikiem Wroną postawi, no to ja nie strzymałem. Musiałem mu walnąć w ryło, bo mnie z nerw wyprowadził.

-No to żeś mu słusznie przywalił. Tylko nie rozumiem, czemu te gnoje chcieli wiedzieć, co robimy. Przecież można to było zrobić normalną drogą służbową. Mogli zażądać wglądu w akta i wiedzieliby wszystko, co dzieje się w śledztwie.

-Ady tam, nie do końca by wiedzieli. Dostaliby ino to, co jest w aktach. A jak wiesz, w aktach jest tylko to, co my tam chcemy napisać, znaczy się niewiele.

-To prawda. Jednak nie wydaje ci się dziwne, że esbecja wtrąca się, i co ciekawsze, jeszcze próbuje wpłynąć na nas, żebyśmy wszystko szybko posprząтали? Tak jakby im zależało na pozamiataniu wszystkiego pod dywan. Coś mi tu śmierdzi w tej całej sprawie.

-Wszystko, czego oni się tykają, zaraz przemienia się w śmierdzące gówno.

-Tak czy owak, Teoś, jakbyś chciał, żeby tego kutafona Galasia ktoś nauczył rozumu, to ja z przyjemnością ci po-

mogę. Możemy tę kreaturę dopaść w jakimś ciemnym zaułku i obić mu przykładnie ryja.

- He, he - ucieszył się Olkiewicz. - To ja cały czas o tym myślę, jakby jego, tego parszywca, przykładnie załatwić, ale tak, żeby on wiedział, że to ode mnie, ale żeby nic nie mógł nikomu powiedzieć. Znaczą się, tak niby po kryjomu, ale w sumie jawnie. Trzeba to obmyślić sprytnie.

325

- No to zacznij myśleć, a ja się też rozejrzę swoimi kanałami, jakimi ścieżkami ta gnida chodzi. Nic się, Teoś, nie martw, prędzej czy później go przyuważymy. Choć lepiej by było wcześniej.

Teofil znów napełnił literatki, nie zdążyli jednak wznieść kolejnego toastu urągającego Galasiowi i całej Służbie Bezpieczeństwa.

To niezwykle przyjemne zajęcie przerwał im terkoczący dzwonek telefonu. Teofil, klnąc pod nosem, podniósł niechętnie słuchawkę i warknął do mikrofonu:

- Czego tam?

- Z kim rozmawiać?

- A kto mówi? Jaki Rychu?

godzina 9.00

Mówi Rychu Grubiński, chcę rozmawiać z Mirkiem Brodziakiem.

- Porucznik Brodziak jest w tej chwili zajęty -- usłyszał gburowatą odpowiedź.

- No to niech mu pan powie, że dzwoni Gruby Rychu.

-Jaki Rychu?

- Gruby Rychu! A z kim ja rozmawiam?

- Teofil Olkiewicz. - Rychu momentalnie przypomniał sobie tego niewielkiego grubaska w znoszonym garniturze, o okrągłej twarzy, z zaczeską próbującą niezdarnie ukryć łyse czoło.

- Panie Olkiewicz! Teoś, do cholery, dawaj mi Mirasa, bo sprawa jest gardłowa, i nie pierdol mi tu, że go nie ma, bo go słyszałem...

326

Cisza.

-- Rychu, chłopie, co się wydzierasz! Teoś mnie z byle kim nie łączy, myślał pewnie, że to jakiś pojeb. Wiesz, ilu pojebów do nas dzwoni, i to dzwonią do konkretnej osoby, po nazwisku chcą jakiegoś oficera, a później meldują nam, że na Biedrusku wylądowało ufo...

Rychu stał w budce telefonicznej na rogu Rybaków i Krakowskiej. Zadzwoił do Mirka Brodziaka, swojego starego kumpla, bo w tej sytuacji jedynie on mógł mu pomóc. Rychu właściwie nigdy nie korzystał z aparatów w budkach, ale tym razem sytuacja była krytyczna. Pobiegnął więc do najbliższej i sięgnął po słuchawkę. Okazało się jednak, że nie ma żetonów. Normalnie poszedłby do kiosku i kupił, jednak za bardzo mu się śpieszyło. Na szczęście miał przy sobie zapalniczkę.

W obiegu na rynku były dwa rodzaje zapalniczek, najprostsze jednorazówki krzemieniowe i znacznie droższe z iskrą elektryczną. Te drugie potrafiły współpracować z aparatami telefonicznymi. Wystarczyło tylko wyrwać moduł zapalający, przytknąć go do tarczy w chwili wykręcania numeru, pstryknąć i już można było dzwonić za darmo choćby do Ameryki.

Takie smutne resztki zapalniczek elektronicznych dawało się za grosze kupić na Łazarzu, gdzie w odróżnieniu od oficjalnego sektora handel wychodził naprzeciw potrzebom rynku.

A skoro już stwierdzono, że iskra elektryczna z zapalniczki potrafi spełnić taką samą rolę, jak żeton wpadający do środka automatu, od razu znaleźli się przedsiębiorczy ludzie, którzy skupowali puste jednorazówki, wyciągali z nich iskrowniki, a potem urządzenia takie rozprowadzali na rynku.

Rychu pobiegł do najbliższej budki, bo doszedł do wniosku, że tylko jego najbliższy przyjaciel, który na szczęście pracuje w milicji, może mu pomóc wyjaśnić pewną kwestię. Kwestię tożsamości trupa z Rybaków.

327

- Miruś, musisz mi pomóc.

- Mów, grubasie, o czym rozmawiamy, a ja ci powiem, czy w ogóle istnieje taki temat.

- Na Rybakach znaleziono gołego truposza. Mówi ci to coś?

- Chłopie, nie dość, że mówi, to ja ci powiem, że jestem nawet zainteresowany. Jeśli chcesz mi powiedzieć, że wiesz, z jakich powodów ten sympatyczny człowiek przestał być sympatyczny, a stał się śmieciem w śmietniku, to gadajmy, jak najbardziej.

- Miruś, kurde, ale to nie na telefon. Musimy się spotkać.

Ja cię muszę o coś zapytać, ty mnie daj odpowiedź, a ja ci wszystko wyjaśnię. W końcu jestem twoim tym, no, jak to się tam u was nazywa, tym kontaktem operacyjnym.

- No, jak kontakt operacyjny, to my się spotkamy od razu, bo co będziemy czekać... Powiedz mi, gdzie w tej chwili je-

steś, to ja do ciebie dojadę.

- No, na Rybakach jestem, prawie na Rybakach...

- Jak jesteś na Rybakach, to najbliżej masz na Półwiejską albo na Strzelecką. - Brodziak nie musiał dodawać, że chodzi mu o którąś z pobliskich piwiarni. Obaj wychowani na poznańskim starym mieście, doskonale znali te dwa miejsca.

- Gdzie w takim razie wolisz iść? Mnie jest wszystko jedno.

Mogę tam być za jakieś pół godzinki.

- Strzelecka, niech będzie - zdecydował Rychu. - Za pół godziny.

Grubiński odwiesił słuchawkę, otarł wierzchem dłoni pot z czoła i wyszedł z budki. Spojrzał najpierw na swój samochód stojący tuż przy krawężniku, w którym za kierownicą siedział Władziu, a później jeszcze raz w głąb ulicy Rybaki.

Gdyby nie kierowca, wcale nie zwróciłby uwagi na ten szczegół, który spowodował, że przestraszył się nie na żarty. Mimo

328

że od kilku miesięcy pracował w branży motoryzacyjnej, samochody nie bardzo go interesowały, nawet te zagraniczne. Owszem, handlował nimi, zajmował się naprawami i remontami, lecz nie stanowiły jego pasji. Nie zwracał więc większej uwagi na auta parkujące na ulicach. Za to zwracał na to uwagę Władziu. Kiedy ruszyli spod kamienicy, w której rozmawiali z młodym Domagałą, wystarczyło, że przejechali jakieś sto metrów, a Władziu wyrwał Rycha z zamyślenia.

- Taki sam wozik jak Czecha tu parkuje. Taką samą hondę ktoś sprowadził, i nawet też białą...

- Co żeś powiedział?

- Ta honda z prawej, szefie, to taka jest jak Czecha, taka sama.

- Stój! -- zawołał Rychu, a przestraszony kierowca natychmiast wcisnął pedał hamulca. Auto zatrzymało się gwałtownie, silnik zgasł. Rychu natychmiast otworzył drzwi i wysiadł z passata. Ruszył w kierunku stojącej przy chodniku hondy. Władziu tymczasem włączył silnik, wjechał na chodnik, a potem pobiegł za szefem.

- I co, nie mówiłem, że jest podobny? - zawołał, podchodząc do Grubińskiego, który zastygł pochylony nad szybą auta i wpatrywał się uważnie w jego wnętrze.

- On nie jest podobny.

- Jak nie, szefie! Prawie taki sam wózek, co ja gadam, zupełnie taki sam, jak brat bliźniak.

- On nie jest podobny, bo to jest samochód Czecha...

- Łe, kurde, skąd pan wie?

- Zobacz no, co tam wisi pod lusterkiem. Widzisz to?

Władziu podszedł bliżej i pochylił się do szyby. Przez chwilę spoglądał do środka, aż w końcu się wyprostował i wskazał kciukiem na maskotkę.

- No co? Goła laska z plastiku.

329

- Właśnie, a tę gołą laskę z plastiku Czechu dostał ode mnie na imieniny. To jego auto.

Powrót do domu Domagały zajął im mniej niż dwie minuty. Wewnątrz nie było jednak nikogo. Przesłuchiwany przez nich młody zniknął bez śladu. W powietrzu unosił się jesz-

cze dym z papierosa, świadczący dobitnie o tym, że chłopak wyszedł stąd zaledwie kilka minut temu. Gdyby się pośpieszyli, gdyby zamiast lecieć do budki telefonicznej wrócili tu od razu, mogliby go jeszcze złapać. Wtedy on na pewno doprowadziłby ich do brata. Ale Rychu odpuścił. Nie wiedział dlaczego, ale odpuścił. Pomyślał, że i tak złapie tego starego prędzej czy później. W końcu tu chodziło tylko o kasę. Nagle jednak okazało się, że pieniądze to tylko jedna strona medalu. Te zlekceważone przez Rycha kilkanaście minut temu były dla kogoś tak ważne, że mógł zabić. Czy przez tę kasę zginął jego człowiek? Rychu bezradnie rozejrzał się po brudnej kuchni i wtedy przypomniał sobie o swoim starym kumplu. Teraz tylko on mógł mu pomóc.

godzina 9.05

To jest jego kontakt operacyjny, obywatelu kapitanie. Sam tak powiedział.

- Kurwa, oni mają kontakt operacyjny na Rybakach. Wiedziałem, że wdepnęliśmy w gówno, ale nie przypuszczałem, że aż tak bardzo. To znaczy, że oni za chwilę mogą się dowiedzieć o czymś, czego wiedzieć byśmy nie chcieli, to znaczy, żeby oni nie wiedzieli, się nie dowiedzieli, co my tam...

- Że co nie wiedzieli?

- Nic, cicho, bo myślę.

330

Kapitan Galaś oparł zaciśnięte w pięści dłonie na biurku i spojrzał przez otwarte okno. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Upał panował na zewnątrz, a po plecach

Galasia przebiegły zimne dreszcze. Wszystko miało wyglądać tak pięknie, a tymczasem on od kilku dni mógł tylko z beznamiętną złością przyglądać się, jak wszystko, co wymyślił, co opracował w najdrobniejszych szczegółach, wymyka mu się z rąk i rozłazi w palcach jak góralski sweter z owczej wełny z poważną domieszką waty. Cały skomplikowany plan, który mógł mu przynieść kolosalny sukces operacyjny i pewnie jeszcze awans na majora, brał w łeb. Zaczęło się już w Jarocinie, a teraz dochodziły kolejne niepowodzenia. Najpierw zawiódł wykonawca planu, mimo że został dobrany bardzo starannie i doskonale wiedział, co ma robić. Zrobił coś zupełnie innego: zabił całkiem przypadkową osobę i zniknął. Wtedy na polu namiotowym można było jeszcze zapobiec najgorszemu, posprzątać po cichu i ukręcić łeb sprawie. Można było to zrobić, ale Galaś się spóźnił i znalazł się na miejscu długo po tym, jak pojawiła się tam milicja. Miał nadzieję, że postraszy ich i oni zwiną cały bałagan pod groźbą konsekwencji służbowych, jednak tu znowu nastąpiła nieoczekiwana sytuacja. Gdyby to byli miejscowi milicjanci, toby wystarczyło warknięcie i pogroźenie telefonem do Poznania. Ale niestety, prócz miejscowych zjawili się też faceci z wojewódzkiej. No a oni mieli go najwyraźniej w nosie i wcale nie chcieli z nim gadać. I na koniec ten Olkiewicz, który potraktował go jak śmiecia. Jeszcze wtedy można było po cichu zamieść wszystko pod dywan, ale nie, nic się nie udało. Wszystko przez tę gnidę Olkiewicza. On był wszystkiemu winny i powinien ponieść za to pełną odpowiedzialność.

- Ale mamy nazwisko tego kontaktu, obywatelu kapitanie. -

Rozmyślenia Galasia przerwał sierżant, który obsługiwał

331

specjalną centralkę, za pomocą której dawało się podsłuchiwać wszystkie rozmowy telefoniczne w budynku komendy wojewódzkiej. Oczywiście, nie każdy miał takie możliwości. Teoretycznie na taki podsłuch potrzebna była zgoda samego komendanta wojewódzkiego. Ale kto by się tam przejmował jego zgodą w sytuacji zagrożenia ustroju państwowego.

- Łe tam - machnął ręką Galaś. - Nazwisko tego, co je podał, to musi być fałszywe. Co wy sobie myślicie, Mokrzycki, że do takiego Brodziaka to sobie dzwonią znajomi i informują go o spotkaniu i przy tym podają swoje nazwisko? Oni podają swój kryptonim operacyjny, czyli Grubiński vel Gruby Rychu. A poza tym to zwróćcie uwagę na ich przebiegłość. Ten telefon to odebrał ten gad Olkiewicz, kutas jeden, że niby to normalne, że odbiera niższy stopniem. Odebrał i co mówił? Nie powiedział „halo”, „słucham” albo „dzień dobry, Milicja Obywatelska”. On powiedział „czego tam”. Jak myślicie, ilu ludzi w Polsce mówi „czego tam” do telefonu?

- Pułkownik Wrona tak mówi.

- Kurwa, ale on jest pułkownik i mówi tak do naszej wewnętrznej linii, jak wie, że to telefon jest od nas, znaczy służbowy, a jak dzwonią z miasta, to on mówi grzecznie „halo, słucham”. Ale żeby tak na zewnętrznej linii się odezwać, to on nigdy by tak nie powiedział, bo jest dobrze wychowany. Ja wam powiem, nikt normalny tak nie mówi. Tak mówią tylko chamy do chamów, ale pod budką z piwem, a przez

telefon to obowiązuje etykieta, kultura, kurwa, obowiązuje. A jak on tak mówi, to znaczy, że to nie jest odezwanie, tylko hasło, które znaczy: droga wolna, możesz gadać. I ten gruby gada, rozumiecie, Mokrzycki? On na szczęście powiedział, co i jak, i my teraz wiemy, że trzeba się temu wszystkiemu przypatrzeć z bliska.

332

- No ale po co mieliby szyfrem gadać, obywatelu kapitanie? Tutej, w komendzie, zaszyfrowana gadka? - nie mógł zrozumieć sierżant Mokrzycki.

- Jak to po co? Żeby ci, co podsłuchują, nie mogli zrozumieć, o co chodzi.

- To oni wiedzą, że my ich podsłuchujemy?

- A cholera ich wie, jednak są ostrożni, a to znaczy, że mogą się z tym liczyć, z tym podsłuchiowaniem. Ale jedno jest pewne, jak się liczą, to się spodziewają, a jak się spodziewają, to oznacza, że ta cała ich akcja w Jarocinie nie była wcale przypadkowa. Oni nieprzypadkowo się tam znaleźli. Wiedzieli o naszej akcji i chcieli nam pokrzyżować plany. Trzeba będzie o tym szybko powiadomić pułkownika Wronę. Bo mnie się widzi, że to wcale nie jest tak, że ten Olkiewicz, gad jeden, jest jedynym antysocjalistycznym elementem. Tych elementów tam jest znacznie więcej. Cały ten wydział kryminalny to siedlisko imperialistycznych żmij. Brodziak jest następny. I najgorsze jest to, że oni muszą wiedzieć o naszych planach. Tylko cholera wie skąd.

Galaś aż zaniemówił po dokonaniu tej niezwykle precyzyjnej analizy. Trafił go grom z jasnego nieba. Wszystko

było perfekcyjnie dopracowane. Ale coś nie zadziało tak jak trzeba i zamiast sukcesu wyszło wielkie gównno. I teraz go wreszcie olśniło. Wyszło źle, bo przeszkodzili w tym ci zasańcy kryminalni. A dlaczego przeszkodzili? Bo mieli takie rozkazy. Wiadomo, że bez rozkazu żaden milicjant nie wpadłby na pomysł, żeby pójść na wewnętrzresortowy konflikt.

Gdzieś na górze musiał powstać antysocjalistyczny spisek. I teraz on, kapitan Galaś, jest bliski odkrycia, kto w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Poznaniu postanowił zawiązać antyustrojową organizację.

333

-I co w takim razie teraz, jak już wiedzą? - zapytał sierżant, wrywając z zamyślenia Galasia pogrążonego w twórczej analizie.

- Przede wszystkim jak najszybciej na te Rybaki pojechać, znaleźć tego naszego człowieka i błyskawicznie posprzątać. Bo jak się nam nie uda, to będzie kolosalny gnój. Wykorzystają to przeciw nam i leżymy.

- No ale tam już są nasi ludzie na obserwacji, siedzą tam od wczoraj w tym naszym roburze i mają rozkaz go doprowadzić, jak się tylko pojawi, tego obiektu, kryptonim Hammer.

- Tu teraz nie chodzi o to, żeby go doprowadzić, ale żeby on się już nigdy nigdzie nie odnalazł.

Kapitan Galaś klepnął prowadzącego podsłuch technika akustycznego w ramię i pogładził się po nosie. Po ostatnim spotkaniu z tym draniem Olkiewiczem jego nos nie wyglądał jeszcze dobrze. Ale co tam, myślał Galaś. Przegroda nosowa

niedługo się zagoi, a Olkiewicz do końca swojego zasranego żywota będzie pamiętał jego, Galasia. Taki już los tych, którzy nie wierzą w słuszną sprawę i stają okoniem strumieniowi słusznych przemian i rwącemu prądowi wartko płynącej odnowy. Nie po to towarzysze w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich przygotowywali głośność i pierestrojkę, żeby taki Olkiewicz zatrzymywał wicher historii i słusznej przebudowy. Tym bardziej że w społeczeństwie daje się odczuć pewne niezadowolenie, czego przykładem mogą być wiosenne przerwy w pracy, które, jak się mówi w resorcie, mogą się powtórzyć jesienią na jeszcze większą skalę. A wyjście na jaw faktów związanych ze sprawą, którą on, Galaś, prowadzi, może być wodą na młyn warchołów i ekstremistów, a w konsekwencji wyrządzić niepowetowane straty w wizerunku, jaki przez ostatnie lata budowała Służba Bezpieczeństwa.

IX

godzina 9.30

Bar na Strzeleckiej wypełniony był po brzegi ludźmi. Spragnieni pijacy siedzieli przy stolikach, stali przy barze i nawet w przejściach między stołami. Chociaż piwo lano tu zaledwie od pół godziny, w sali unosił się już ciężki zaduch, który był mieszaniną smrodu niemytych ciał i zapachu piwa niepasteryzowanego, a wszystko to okraszone dymem papierosów popularnych. Ajent, pan Czechu Gielza, nalewał niemal bez przerwy, a jego dwaj pomagierzy, pracownicy baru, co rusz donosili całe naręczna pustych kufli, wyrwanych niemal siłą konsumentom, i wrzucali je do wielkiego zlewu napełnionego brudną wodą

Mimo tłoku jeden stolik, ten najbliższej bufetu, był wolny, a żaden ze stałych bywalców nie śmiał przy nim usiąść. Wszyscy doskonale wiedzieli, że jest to miejsce służbowe, które mieli prawo zajmować pomocnicy ajenta w tych rzadkich momentach, kiedy szef robił sobie przerwę i zamykał kranik, by móc spokojnie zapalić i wychylić kufelek. Nikt się przeciw temu nie buntował, bo wiadomo, ajent też człowiek i musi mieć chwilę wytchnienia, tym bardziej że nie ma możliwości tak jak wszyscy goście pić bez przerwy. On musi bez

335

przerwy nalewać. Właśnie przed chwilą skończyła się taka przerwa i rozpoczęło się nowe lanie.

Stolik opustoszał, ale w tym momencie drzwi baru otworzyły się i do środka wszedł Ryszard Grubiński.

Ajent Gielza, widząc ważnego gościa, uśmiechnął się wylewnie, a potem ponad głowami kłębiących się przy barze piwoszy zawołał:

- Szacuneczek, panie Rychu! Stolik dla pana jest w rezerwacji ciągłej, znaczy się, do służbowego zapraszam. Zaraz Jachu da panu piwko.

Gospodarz rozejrzał się szybko po sali i machnąwszy ręką, przywołał do baru swojego pomocnika. Gdy ten się pojawił, szef sięgnął pod kontuar i wydobyl piękny kufel o pojemności jednego litra. Kilka takich kufli przywiózł mu niedawno kolega z rfn-u. Były zbyt cenne, żeby dawać je byle komu, więc chował je pod ladą dla lepszych gości. A Rychu, doskonale znany wszystkim żyjącym z interesów prowadzonych w okolicy Starego Miasta, był jednym z naj-

lepszych gości, jakich mógł sobie wyobrazić agent baru na Strzeleckiej.

Po chwili na stoliku służbowym przed specjalnym gościem stanął potężny kufel. Wielu spośród pijących przy sąsiednich stołach patrzyło z zazdrością na to ogromne naczynie, jednak żaden z nich nie miał najmniejszej szansy na taką kolejkę.

- No chyba że tu przyjdzie kapitalizm, wtedy litrowe kufle będą w powszechnym użyciu, jak w Niemczech, a w knajpach będzie można wybierać z kilku gatunków piwa - fantazjował pan Czechu, pytany niekiedy przez klientów o specjalne kufle. - Bo co se myślicie, że ja bym nie chciał przez cały dzień łać piwka, żebyście mogli się do oporu nażłopać, i nie chciałbym wam dawać piwa w pięknym szkle?

Pewnie, że bym chciał, ale co mam zrobić, jak tych dużych

336

kufli mam ino sześć, a piwa do lania wystarcza mi na dwie godziny dziennie. Za jakiś czas, gdy tę cholerną komunę szlag trafi, piwo w pięciu gatunkach będzie się łać od rana do nocy - mawiał agent, marząc o świetlanej przyszłości. Ale kto by tam wierzył w takie pierdoły. Wiadomo przecież było powszechnie, że socjalizm w Polsce trzyma się mocno i nic nie zapowiada, żeby w tym kraju mogło się coś zmienić.

Ledwie Rychu zdążył upić trochę pianki, przy stoliku pojawił się Mirek Brodziak. Klepnął Grubińskiego w ramię i wskazał na uśmiechniętego Olkiewicza, który postanowił towarzyszyć mu w spotkaniu.

- Teosia to, zdaje się, znasz dobrze? - uśmiechnął się Mirek, siadając naprzeciw.

- Co mam nie znać - mruknął Rychu, niezbyt zadowolony z pojawienia się Olkiewicza. Poznali się dwa lata temu, w niezbyt miłych dla Grubińskiego okolicznościach. Teofil wówczas aresztował go w restauracji Smakosz w sprawie o morderstwo. Tylko dzięki interwencji Mirka udało mu się wtedy z tego wypłatać. Bo gdyby sprawa „Obcinacza rąk” poszła tymi torami, na które chciał ją wprowadzić Olkiewicz, to Rychu dziś siedziałby w celi we Wronkach z co najmniej dwudziestopięcioletnim wyrokiem za niewinność.

- Dobry, panie Rychu. Musiałem tu wpaść z Mirkiem, bo ten truposz to jak ulał pasuje do naszej sprawy, co myją razem z Mirkiem wyjaśniamy - wytłumaczył swoją obecność Olkiewicz.

-Właśnie. Mamy podobną kwestię na tapecie, więc gadaj, chłopie, o co loto, bo może nam to w jakiś sposób pomóc.

- Szef kazał panom przynieść - wyjaśnił pomocnik ajenta, stawiając przed milicjantami ogromne kufle.

- Szacunek dla szefa - ucieszył się Teofil i natychmiast zanurzył usta w pianie. -- Gadaj pan, panie Rychu.

337

- Jest tak - zaczął swoją opowieść Grubiński. - W sobotę jakieś dwa obszcymury napadły na ulicy na mojego pracownika, co wiózł do mnie gotówkę z pewnej transakcji. Zabrali mu forszę i się rozpułnęli.

- Dużo tego było? - zapytał rzeczowo Brodziak.

- Sporo, całodzienny utarg. Będzie kilka tysiączków zielonych.

- No to poważnie pana szanownego strzelili w ucho - za-

śmiał się Teofil. Ani jemu, ani tym bardziej Brodziakowi nie trzeba było wyjaśniać, o jakiego rodzaju utarg chodzi. Doskonale wiedzieli, w jakiej branży pracuje ich rozmówca.

- Nieźle pomyślane. Napadają na gościa z lewą forszą, bo wiedzą doskonale, że nic nie ryzykują, bo dla Milicji Obywatelskiej nie ma sprawy, skoro kasa jest nielegalna, nie możesz zgłosić szkody. Jedyne, czego się mogą obawiać, to twojej zemsty - podsumował Mirek.

- No właśnie, przecież nie mogłem zgłosić do was, że mnie rąbnęli na kasę. Musiałem sam zacząć poszukiwania i dlatego posłałem na miasto mojego człowieka, Czecha. Znasz go, Miruś, to ten wielki jak klofta szczon z przetrąconą kluką.

-Wiem, widziałem go parę razy u ciebie. I co, odnalazł tych złodziei?

- No właśnie kłopot w tym, że nie mam pojęcia. Jak wyszedł na miasto w sobotę, to do tej pory nie dał znaku życia.

- Mógł se gdzieś zabalować. Zalał mordę i teraz gdzieś dogorywa - zawyrokował obeznany z takimi sprawami Teoś.

- Ale tam! - machnął ręką Rychu. - Jakby zabalował, to miałby przesrane. Moi ludzie dobrze wiedzą, że najpierw obowiązek, a potem dopiero ksiuty. Zresztą Czechu pił tylko w chacie. Do roboty stawiał się zawsze trzeźwy jak niemowlę. Taka była między nami umowa. Masz robotę, masz dobre bejmy, koniec z balowaniem. Bo on wcześniej nieźle

338

chlał i lubił zaszumieć. Już był na najlepszej drodze do puszki albo na Junikowo. Ale w porę się nim zająłem i wyprowadziłem na ludzi. Więc teraz się zdziwiłem, że on nie wraca.

No to wziąłem sprawy w swoje ręce i dość łatwo udało mi się ustalić nazwisko i adres jednego z tych obszcymurów, co mnie obrobili.

- To ktoś, kogo możemy znać? - zapytał Brodziak.

- O ile interesowałeś się miejscowymi narkomanami, to tak. On się nazywa Domagała i mieszka na Rybakach.

Pojechałem tam dzisiaj i odkryłem wytwórnię kompotu dla narkomanów. Domagały nie znalazłem, ale wpadłem na jego młodszego brachola, który nic o sprawie nie wiedział.

Ten młody wyśpiewał mi zaraz, gdzie tego brachola mogę trafić. No i już chciałem jechać na Głogowską, do jednej meliny, gdzie ten szczon się mógł zaszyć, ale nie dojechałem.

Musiałem zadzwonić do ciebie.

- Chcesz, żebyśmy tam pojechali z tobą? - Mirkowi nie bardzo uśmiechało się mieszanie się w prywatne śledztwo kumpla cinkciarza.

- Nie, Miruś, nie w tym rzecz. Ja zadzwoniłem do ciebie, bo na Rybakach stoi sobie auto, którym jeździ Czechu Kinol. Jak zobaczyłem tę jego hondę, to aż mną coś trzepnęło, rozumiesz? Zaraz mi się w łbie zapaliła żarówka. Nie pojawił się u mnie od dwóch dni, jego auto stoi na Rybakach niedaleko domu, gdzie mieszka ten gnojek, co mi rąbnął kasę, a jeszcze na dodatek w kamienicy obok w sobotę znajdują trupa z roztrzaskaną głową. No to mi się to wszystko połączyło w jedno. Bo może ten mój człowiek trafił na tego, co podpieprzył te pieniądze, i się naciął. Klient mógł go sprzątnąć i wyrzucić do śmietnika, nie?

- No, to się składa w kupę jak nic - zawyrokował Teofil. -

To całkiem tak samo, jak ja byłem jeszcze dzielnicowym na

339

Chwaliszewie. Wtedy taka jedna Kaczmarkowa też zabiła tam jednego swojego dziecioka. Niby przez przypadek go zabiła. Później gadała, że ino go chciała prześwięcić, bo narozrabiał w chacie. Ale że była nachlana do nieprzytomności prawie i nic nie kontaktowała, to chwyciła, co miała pod ręką, i mu przyłożyła przez łeb. Na nieszczęście chwyciła pogrzebacz i tym go w łepetynę trzepnęła. A że szczon miał pięć lat, to głowę mu roztrzaskała kompletnie. Tyle że o tym nawet nie wiedziała, bo jak się cicho w chacie zrobiło, to poszła najspokojniej w świecie spać. Dopiero jak się rano zbudziła, żeby się iść odlać, to zobaczyła, że na podłodze leży jej martwy synek, i zamiast kulturalnie zgłosić na milicję, wzięła go zawinęła w koc i zaniosiła do śmietnika. Myślała, głupia, że nikt się nie połapie i że jej się uda wywinąć. Ale nie wzięła pod uwagę jednego, że śmieciarze zanim kubel wywalą do śmieciarki, to najpierw śmieci dokładnie przeglądają, czy aby ktoś przez przypadek czegoś ciekawego nie wywalił. No i oni jak zwykle zaczęli od przeglądu kubłów i znaleźli dzieciaka.

-- Teoś, jak rany, ale co to ma wspólnego z tym, o czym gada Rychu?

-- No jak to co, przecie mówię, że go walnęła, bo ją wnerwiał. Tu też tak mogło być. Przyszedł do chaty ten, no, jak mu tam, Czechu, i zastał tego gościa, co rąbnął te bejmy. No i co gość miał zrobić? Chwycił coś, co miał pod ręką, na ten przykład młotek, i dalej go po łbie. No ale że nie był przygotowany na to, że będzie jakiegoś faceta musiał zabijać, to

zrobił to, co ta głupia Kaczmarkowa. Wywalił go na śmietnik,
bo nie wiedział, co zrobić z ciałem.

-- Mogło tak być - przyznał Teofilowi rację Rychu. - No
i dlatego ja to muszę wiedzieć, kto to jest ten, co mu ten łeb
rozwalili. Znaczy, czy to aby nie jest to ten mój człowiek,
Czechu Kluka - Możemy to zrobić tak. Jedź teraz, Rychu,
340

do chaty i czekaj pod telefonem. Ja się zorientuję, kto w miej-
skiej prowadzi tę sprawę, i postaram się o pozwolenie na
identyfikację zwłok. Ty będziesz je identyfikował.

- Zaraz, Mirek - wtrącił się Olkiewicz. - A na cholerę pan
Rychu ma czekać. Przecież my teraz mamy jechać do Za-
kładu Medycyny Sądowej na Święcickiego, żeby obejrzyć tę
naszą panienkę zatrzaśniętą młotkiem. Możemy pojechać
razem. Nasz spec od krajania truposzy, doktor Malinowski,
pewnie nie będzie miał nic przeciwko temu, że przyprowa-
dzimy gościa do identyfikacji.

- No pewnie nie. - Brodziak zawahał się przez moment. -
Ale nie wiem, czy ten zabity tam jest na pewno.

- A gdzie by miał być gość z rozbitą łepetyną i z podejrze-
niem o morderstwo, znaczy się o zamordowanie? No prze-
cież nikt by onego nie zawiózł na Szkolną czy na Lutycką.
Ino tam mógł trafić. Jak powiemy Malinowskiemu, w czym
rzecz, że mamy klienta, co może nam zidentyfikować zwłó-
ki, to bez proszenia się komendy miejskiej sprawę szybciu-
tko załatwimy, a pan Rychu będzie miał pewność, wte albo
wewte.

godzina 10.00

Zakład fotograficzny na Półwiejskiej był otwarty od dziesiątej. Zalewski miał nadzieję, że film, który zostawił tu w sobotę, będzie już wywołany. Obaj z Mariuszem postanowili, że zanim pójdą na Rybaki, do tego domu, gdzie znaleziono gołego nieboszczyka, najpierw odbiorą zdjęcia. Chodziło o kliszę z Jarocina. Kiedy obaj znaleźli się na miejscu zabójstwa, na polu namiotowym, Mariusz poprosił kolegę, by zrobił kilka fotek gapiom, którzy otoczyli czerwony namiot. Nie liczył

34i specjalnie na to, że może to przynieść jakiś efekt, ale zawsze warto sprawdzić, czy jakiś szczegół z miejsca popełnienia przestępstwa im nie umknął. Zalewski wypstrykał całą orwowską taśmę, czyli powinni mieć do dyspozycji trzydzieści sześć kolorowych zdjęć. Jak się wkrótce okazało, wszystkie, oprócz zbyt mocno naświetlonych pierwszych dwóch, wyszły nadzwyczaj dobrze.

Znudzony tysy fotograf w wieku poprodukcyjnym szukał odpowiedniej koperty prawie dziesięć minut, wyjaśniając obu klientom, że nie on przyjmował kliszę, więc nie musi wiedzieć, gdzie są wywołane odbitki i czy w ogóle je wywołano, skoro film był oddawany do zakładu w sobotę.

- No jak mają nie być wywołane, jak pana kolega mówił, że w soboty się wywołuje i że będą na pewno na poniedziałek rano -- zdenerwował się Blaszkowski.

-- No to jak mój kolega tak mówił, to niech on je wam znajdzie, bo ja nie wiem, gdzie mogą być. W tym pudle są zdjęcia do odbioru, a tu waszych nie ma. - Powiedziawszy to, fotograf rozłożył bezradnie ręce, a potem rzucił kupon z nume-

rem zamówienia na ladę.

-- Panie, ja muszę mieć te zdjęcia na dziś. One są potrzebne w sprawach służbowych - przekonywał Zalewski.

-- To se je służbowo znajdziecie sami.

- A w tamtym kartonie pan sprawdzał? - Mariusz wskazał pudło ze zdjęciami stojące na parapecie.

-- To są fotki, których nikt nie odebrał od dwóch tygodni.

A nowe są w tym kartonie, co mam na ladzie.

- No to sprawdź pan wszędzie, gdzie można, bo my stąd bez zdjęć nie wyjdziemy - nie dawał za wygraną Wiciu.

- No dobra - machnął ręką fotograf, widząc, że ci dwaj młodzieńcy nie dadzą mu spokoju, póki nie dostaną, czego chcą.

Z tymi szczonami to tylko utrapienie. Człowiek mógłby

342

sobie spokojnie siedzieć i czytać gazetkę, to nie, przyłożą tacy i głowę zawracają, zamiast się czymś pożytecznym zająć, pomyślał fotograf Marczak, niechętnie zabierając się do poszukiwań, które uważał za stratę czasu. Jak nie było zdjęć, to nie było, i szlus. No przecież im nie urodzi.

Nie stracił jednak tym razem tego czasu zbyt dużo. Pierwsza koperta, na jaką natrafił, była tą, której szukał bezskutecznie od paru minut.

- O, jest, mówiłem, że musi gdzieś tu być - ucieszył się fotograf. - U nas się jeszcze żadne zdjęcie nie zagubiło. Solidność to dewiza naszego zakładu. Nic nie ginie, nic!

Klienci zapłacili i wyszli na ulicę, a Marczak wrócił do przerwanej ulubionej lektury nekrologów w „Głosie Wielkopolskim”. Zawsze szukał znajomych nazwisk starych kolegów

ze szkoły. Gdy udało mu się kogoś takiego odnaleźć, wpadał w doskonały nastrój, bo potwierdzała się jego teoria, że tylko spokojny tryb życia, dokładnie taki, jak prowadził od lat, bez papierosów i alkoholu, wiedzie do długowieczności. Ale dziś, niestety, na nikogo nie natrafił, i to ostatecznie popsło mu humor, już wystawiony na poważną próbę przez marudnych klientów.

Jakbym miał teleskopowy obiektyw, to można by spróbować dosięgnąć do pysków i byłyby niezłe portreciki. No ale niestety, nie ma szansy, żeby takie cudo kupić - powiedział Zalewski, podając kopertę ze zdjęciami Mariuszowi.

-Trzeba spróbować zamówić taki teleskop od kogoś, kto jeździ do ruskich na wycieczki. U nich można dostać takie rzeczy w sklepach.

-- No coś ty, stary! Ja byłem na wycieczce w Wilnie w zeszłym roku i poleciałem zaraz do sklepu ze sprzętem fotograficznym. Jak tam wpadłem, to myślałem, że dostanę zawału, 343

bo na wystawie sklepowej było wszystko, co tylko mógłbyś sobie wymarzyć: obiektywy, powiększalniki, nawet lornetki. A ceny takie, że aż śmiech brał. No to sobie pomyślałem, że zaraz wykupię pół sklepu. No i mówię, co chcę, a sprzedawca patrzy na mnie jak na kretyna. A ja mu pokazuję obiektyw, nowego zenitha ttl.

- I co? - przerwał mu Mariusz. - Powiedzieli ci, że z wystawy się nie sprzedaje, a na sklepie nie ma towaru?

- Dokładnie, jakbyś tam był, chłopie. Gówno kupiłem, a nie obiektyw.

- Bo jesteś dupa wołowa. Jak ja byłem w osiemdziesiątym czwartym na obozie przyjaźni w Soczi, to sobie kupiłem zenitha E, który też stał tylko na wystawie, a w sklepie nie było.

- Sprzedali ci z wystawy?

- Ale tam, sprzedawca wziął mnie na bok i powiedział, że jak mam dolary amerykańskie, to on mi może sprzedać swój prywatny aparat. A ja, oczywiście, miałem dolce, bo przecież nie pojechałbym do ruskich bez porządnej waluty. No i za dziesięć baksów sprzedał mi aparat niby prywatny, ale zapakowany w karton i pachnący fabryką. Więc jakbyś wtedy umiał pogadać z tym facetem, to wyszedłbyś ze sklepu ze sprzętem.

- No to jestem frajer - przyznał Zalewski.

- Ale nic się nie martw, na szczęście masz kolegę. W Pile w Juventurze pracuje moja kumpela z klasy. Ona zajmuje się organizacją wycieczek do demoludów i jest też pilotem wjazdów do ruskich. Więc ja sprawdzę, kiedy będzie tamjechać, i przywiezie ci, co potrzebujesz. Tyle tylko, że za taki towar bierze prowizję.

- No, zrozumiałe. Musi laska wyjść na swoje po takiej wycieczce i jeszcze na niej zarobić.

344

Usiedli na ławce na niewielkim skwerku, na samym początku ulicy Półwiejskiej. Za ich plecami rozciągało się wzgórze porośnięte chwastami i krzakami. Na jego szczycie widać było ruiny przemysłowych budynków z czerwonej cegły.

- Co to za rudery? - zapytał Zalewski, który zupełnie nie

znał Poznania.

- To jest stary browar.

- Tu się robi to słynne poznańskie piwo?

- No coś ty, chłopie. To jest stary browar. Tu się piwo robiło kiedyś, a teraz to są kompletne ruiny. Tam chodzi wiara chlać jabole, i nic więcej. Powinni już to dawno rozpieprzyć i postawić jakieś nowe bloki, bo ta ruina tylko straszy ludzi.

W centrum miasta taki syf!

- Albo zamiast bloków w tych starych murach można by zrobić knajpę, skoro się już naród przyzwyczał, że spokojnie można się tam napić. Czytałem gdzieś, chyba w „Perspektywach”, że na Zachodzie takie stare poprzemysłowe budynki się odnawia i robi się tam jakieś centra handlowe, knajpy, mieszkania...

- Knajpa w starym browarze? Brzmi niezłe, ale u nas nie-realne. Wiesz, ile trzeba by kasy wyłożyć, żeby z takich starych ruin zrobić coś nowego? Jakby się za to wziął Rockefeller, to może by mu się udało. Ale u nas nie ma ani jednego miliona, za to prawie czterdzieści milionów nędzarzy.

- No dobra - przerwał te rozważania Zalewski. - Zobaczmy, co za nędzarzy mamy tu na tych fotkach.

Przejrzeli pobieżnie wszystkie zdjęcia, jednak na nic ciekawego nie natrafili. Zalewski już chciał schować je do koperty, ale Mariusz go powstrzymał. Wziął jeszcze raz do ręki cały plik i zaczął powoli i dokładnie przyglądać się każdej fotografii. Zdjęcia wyszły wyjątkowo ostre. Widać było, że fotograf dobrze znał się na tym, co robi. Właściwie ustawił

przesłonę i do niej dobrał odpowiedni czas naświetlania. To, że użył do fotografowania enerdowskiej kliszy orwo color, też miało duży wpływ na ich jakość. Postacie były wyraźne i w razie potrzeby dawało się z powodzeniem zidentyfikować każdego z gapiów.

Mariusz, który za pierwszym razem przejrzał zdjęcia dość pobieżnie, dostrzegł wśród nich zaledwie jedną znajomą twarz. Był to chłopak, którego nazywano Michu, a który na jego polecenie pobiegł sprowadzić mundurowych milicjantów do zabezpieczenia miejsca. Ale Michu teraz nie był mu już do niczego potrzebny. Nagle, gdy Zalewski chował zdjęcia do koperty, uświadomił sobie, że na jednym z obrazków jest coś, co przed chwilą przegapił. Nie wiedział, co to jest, ale przecucie było na tyle silne, że musiał jeszcze raz przyjrzeć się fotografiom. Wyrwał je z rąk kolegi i zaczął przeglądać od nowa. Teraz patrzył na nie uważnie. Analizował każdą postać, przyglądał się twarzom. Nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy. Był już w połowie przeglądania, podała kolejne zdjęcie koledze, gdy nagle się zawahał i spojrział jeszcze raz.

- Cholera jasna, popatrz! - wykrzyknął, gdy nagle dojrzał to coś, co sprawiło, że musiał zacząć od początku.

- Co jest? - zainteresował się Wiciu.

- No patrz uważnie na tych gości, widzisz coś?

- Stoją jakieś obszcymury, i tyle. Dwóch punków z czubami, jakieś dwie laski, facet, co wygląda jak Chrystus, i jeszcze jeden siedzi na ziemi, a dalej jakichś trzech klientów w skórach, to pewnie metalowcy...

- Patrz na tego długowłosego Chrystusa.

- Widzę go, chłopie, Chrystus jak Chrystus. Pełno takich brodatych i długowłosych pacjentów się kręciło po Jarocinie.

Hipis jak nic.

346

- Ale popatrz na jego pasek. Widzisz, czym ma związaną tę swoją tunikę? - próbował naprowadzić kolegę na odpowiedni trop. Nie chciał mu zdradzić, do czego doszedł. Chciał, aby Zalewski dostrzegł to sam, by w ten sposób i jego upewnić w przekonaniu.

- A cholera go wie, co to może być. Jak dla mnie, to jest jakiś normalny pasek, tyle że luźny i z lewej trochę mu opada.

- No to zobacz, czemu opada, Wiciu. Widzisz to? Pasek jest niżej, bo ten klient ma coś do paska przyczepione...

- O kurde! Stary, jesteś genialny! Wcale tego nie zauważyłem. Myślisz, że to może być...

Błaszkowski poderwał się z miejsca. Stanął przed Zalewskim i wskazał ręką na zakład fotograficzny po drugiej stronie deptaka.

- Musimy się przekonać, czy mamy rację - zdecydował Mariusz. Ruszyli biegiem.

Gdy Marczak zobaczył w drzwiach zakładu obu młodzieńców, wiedział już, że o spokoju na swojej zmianie może zapomnieć. Nie wiedział jedynie, że tych dwóch może go nie tylko pozbawić radości nicnierobienia, ale jeszcze jego dolce far niente zamienić w koszmar pracy.

Ten mniejszy podszedł do lady i położył na niej kopertę.

Drugi, ten potężnie zbudowany, zamknął drzwi, a wiszącą na

nich tabliczkę z napisem „Otwarte” odwrócił w drugą stronę, zamykając w ten sposób zakład dla innych klientów.

- Co jest, jak pragnę socjalizmu! - krzyknął przestraszony nie na żarty Marczak. Niedawno oglądał film amerykański o napadzie na bank i tam też jeden bandyta przekreślił taką tabliczkę, żeby się goście nie pchali do środka podczas rabowania mienia bankowego. Wystraszył się więc, sądząc, że to napad, tyle że nie bardzo wiedział, co ci dwaj mogliby chcieć stąd zrabować.

347

- Umie pan wywoływać zdjęcia? - zapytał ten, co rzucił kopertę na ladę.

- A co, do cholery, mam nie umieć? Jesteście w maglu czy u fotografa?

- To niech pan natychmiast zrobi odbitkę z ramki numer dwadzieścia z tej tu kliszy.

- Natychmiast to ja mogę zrobić siku, a nie fotkę. To nie fabryka gwoździ. Tu się pracuje artystycznie, znaczy się głową, a nie łapami. Odbitka może być na środę, i to jeszcze zależy od formatu, bo jak ma być jakiś większy, to ja papieru nie mam na stanie...

Błaszowski wyciągnął z kieszeni legitymację służbową i otwartą położył obok koperty ze zdjęciami.

- Milicja Obywatelska prosi o szybką pomoc. To zdjęcie numer dwadzieścia może być dowodem w bardzo ważnej sprawie, więc niech pan nie utrudnia śledztwa. Potrzebujemy odbitki jak największej i jak najbardziej wyraźnej. Da pan radę?

- Czego się nie robi dla władzy ludowej! - odpowiedział Marczak, zadowolony, że napad się skończył, kiedy do akcji wkroczyli milicjanci.

Minęło pół godziny, gdy zielona kotara oddzielająca atelier od sklepu rozchyliła się. Marczak wyszedł z arkuszem w rękę. Rozłożył dopiero co wywołane, jeszcze wilgotne zdjęcie na szklanym blacie lady.

Obaj milicyjni klienci natychmiast pochylili się nad fotografią.

- Ja pierdzielę, stary, miałeś zupełną rację. Jak tyś to zauważył? - Zalewski nie mógł wyjść z podziwu dla spostrzegawczości kolegi.

- A cholera wie. Jakoś tak mi coś przeleciało przed oczami i musiałem do tego wrócić. No i miałem rację. Teraz widać

348

prawie dokładnie, co to jest, ale podejrzewam, że jak damy to zdjęcie do obróbki w naszej technice, to nie będzie żadnych wątpliwości.

Tak naprawdę wszelkich wątpliwości pozbyli się już teraz, patrząc na odbitkę rozmiarów połowy gazety wywołaną przez fotografa Marczaka. Brodaty Chrystus w tunice patrzył zmrużonymi oczami niemal dokładnie w obiektyw. Ale nie to było najważniejsze. To, co przyciągnęło uwagę Mariusza, ten szczegół, który kazał mu jeszcze raz oglądać zdjęcia, to był pasek lekko obwisły po lewej stronie. Zwiślał, bo obciążała go specjalna kabura, w której tkwił lśniący w słońcu młotek.

- A nie poznajesz przypadkiem tego gościa? - zdziwił się

Blaszkowski, przypatrując się twarzy młotkowego.

Teraz dopiero Zalewski oderwał spojrzenie od lśniącego młotka i przeniósł je wyżej.

- No, kurde, jakbym go gdzieś już widział. Może wtedy na polu namiotowym wpadł mi w oko?

- Może i tam go zauważyłeś, ale później też go widziałeś, i to całkiem z bliska. Nawet rozmawiałeś z nim.

Zalewski zmarszczył czoło. Widać było, że zaczyna intensywnie myśleć, jednak nie potrafił odnaleźć tego człowieka w zakamarkach swojej pamięci.

- Kiedy, cholera?

- No dobra, powiem ci, bo ci się zaraz czacha zagotuje - zlitował się nad kolegą Mariusz, widząc, że Wiciu na próżno próbuje skojarzyć tę twarz.

-W małym fiacie, ofiaro losu! To on siedział na miejscu pasażera w maluchu, który przywiózł nas z Jarocina do Poznania, tu, na Rybaki.

349

godzina 10.10

O ja pierdzielę! - zaklął pod nosem Gruby Rychu, gdy sanitariusz ściągnął białe prześcieradło z twarzy nieboszczyka.

Brodziak nie musiał nawet pytać. Na poblądłej nagle twarzy przyjaciela dawało się odczytać wszystko. Ten, który leżał na stole w kostnicy, to człowiek, o którym Rychu mówił mu pół godziny temu. Porucznik przysunął się trochę bliżej i z zainteresowaniem zaczął przyglądać się ranie na głowie nieboszczyka. Ze zdziwieniem zauważył, że jest bardzo podobna do tej, jaką widział u dziewczyny

w Jarocinie.

- Myślę, że to będzie młotek - wyjaśnił doktor Malinowski, widząc, że Brodziak z uwagą patrzy na głowę nieboszczyka.

-Co?

- Zwyczajny młotek do wbijania gwoździ. Podobnie zresztą jak u tej panny. Ale będę miał całkowitą pewność, jak wezmę go na stół - wyjaśnił lekarz. Brodziak znał go od ładnych paru lat i wiedział dobrze, że na jego opiniach, nawet tych wstępnych, można polegać. Malinowski prawie nigdy się nie mylił. W tym fachu pracował już ponad trzydzieści lat i widział niejedną ranę.

- A tej dziewczynie z Jarocina już zdążyłeś zrobić sekcję? - zainteresował się milicjant.

-Jestem już po, no i jeśli mogę, to chciałbym poprosić cię do swojego pokoju. Muszę ci coś pokazać.

Brodziak skinął głową.

- Dobra, już idę, tylko odprowadzę kolegę.

Klepnął Rycha w ramię. Ten wyglądał tak, jakby się dopiero ocknął.

- Chodź na korytarz, nic tu po nas.

- Tak, racja - bąknął Rychu.

350

Wyszli na zewnątrz. Na jednym z krzeseł ustawionych rzędem pod pomalowaną na zielono ścianą siedział Olkiewicz. Nie wszedł z nimi do środka, bo, jak stwierdził, nie może znieść zapachu formaliny, którym przesiąknięta jest cała trupiarnia. Ale tak naprawdę formalina to nie był najważniejszy powód, dla którego jak mógł, unikał oględzin zwłok. Teoś

najwyczejniej w świecie bał się trupów, jednak tę prawdę skrzętnie ukrywał przed kolegami. Pamiętał, jak bardzo dawno temu jego własna babcia powiedziała mu, gdy wyrwał się na ulicy, żeby zobaczyć, jak wygląda człowiek przejechany przez tramwaj, że obcy trup może rzucić urok na tego, który się na niego gapi z ciekawości. Wtedy wziął to sobie do serca i przekonanie o złym spojrzeniu trupa zostało mu do dziś.

Na widok wychodzących z sali Teofil wstał i zgasił papierosa w blaszanej popielniczce.

- No i jak tam ten delikwent, to jest ten sam? - zapytał Brodziaka.

- To jest mój Czechu - wyjaśnił Rychu, siadając na krześle, które przed chwilą zwolnił Olkiewicz.

- No to wszystko nam się zaczyna zgadzać - ucieszył się Olkiewicz.

- Tylko mi się nic, cholera, nie zgadza - warknął Grubiński, zapalając papierosa.

- Rychu, poczekaj chwilkę tu na nas, a my z Teofilem skoczmy do pokoju doktora.

Zostawili Rycha i sami przeszli do końca korytarza, gdzie po prawej stronie mieścił się gabinet Malinowskiego. Drzwi były uchylone, więc weszli bez pukania. Doktor siedział za biurkiem. Brodziak uśmiechnął się, widząc go rozwalonego na krześle. Malinowski miał prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ale był okrągły jak piłka. Ważyć musiał

wyglądu, który natychmiast rzucał się w oczy, był ogromny brzuch. Całość dopełniała okrągła twarz z dodatkowym podbródkiem i krótko przycięte jasne włosy, starannie zaczesane na bok. W swoim białym kitlu wyglądał jak rzeźnik, nie jak lekarz.

- Siadajcie. - Wskazał pulchną ręką stojące pod ścianą na lewo od drzwi fotele, oddzielone od siebie ławą szwedzką przykrytą łowickim kilimkiem z Cepelii.

- Napijcie się kawy? - zaproponował gospodarz.

- Łe tam, kawa - machnął ręką Teofil. -- Kawa z powodu fusów jest szkodliwa dla zdrowia. Ja to raczej tylko czyste napoje, i to dobrze przedestylowane.

Malinowski uśmiechnął się do Olkiewicza. Doskonale wiedział, o co chodzi milicjantowi. W swoim gospodarstwie dysponował niemal nieograniczoną ilością skażonego spirytusu, który wykorzystywano do dezynfekcji. I co najważniejsze, nikt nie kontrolował jego zużycia. Nic więc dziwnego, że większość pracowników zakładu anatomopatologu dobrze znała sposoby odkażania spirytusu. A Malinowski nie dość, że sam odkażał, to jeszcze z tego spirytusu robił znakomite nalewki na miodzie.

I to był ten magnes, który ciągnął Olkiewicza na każde możliwe oględziny zwłok. Malinowski bowiem, podobnie jak Olkiewicz, był miłośnikiem mocnych trunków, więc ich spotkania zawsze kończyły się wypiciem paru kieliszków lekarskiej miodówki.

- No to w takim razie - zadowolony lekarz zatarł dłonie - musicie spróbować mojego ostatniego wyrobu, mojej mio-

dówecki. Mówię wam, panowie, palce lizać!

Otworzył barek w meblościance. Wewnątrz stało kilkanaście flaszek. Sięgnął po pierwszą z brzegu i trzy kryształowe

352

kieliszki. Zaraz rozlał do nich złocisty płyn. Teofil wstał natychmiast i podał kieliszek Brodziakowi.

-W takim razie wypijmy za spotkanie - zaproponował doktor.

- Pierwsza klasa! -- pochwalił nalewkę Olkiewicz, oblizując się ze smakiem. Zadowolony z pochwały Malinowski klepnął się z uciechy w udo.

- No, to na drugą nóżkę -- zaproponował.

Teofil natychmiast podstawił mu swój kieliszek. Brodziak zrobił to samo, ale że nie miał nastroju do biesiadowania, bo w korytarzu czekał przecież Rychu, przeszedł od razu do konkretów.

- No to mów, doktorze, co nam chciałeś powiedzieć o tej dziewczynie.

Malinowski spojrzał na niego jak na świętokradcę, który bezczęści święty ceremoniał. Potem bez słowa napełnił jeszcze raz kieliszki. Wypili w ciszy. Połał po raz trzeci i wtedy dopiero, z pełnym kieliszkiem w ręku, rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

- Słyszeliście kiedyś o Charonie? - zapytał milicjantów.

- No pewnie. To Turcy trzymają tam swoje baby, znaczy się sułtan ma taki charon, gdzie se wybiera panienkę na noc i ciągle może mieć inną - błysnął swą wiedzą Olkiewicz.

- No coś ty, Teoś, to się nazywa harem, a Charon to jest ja-

kiś grecki bóg chyba... - wyjaśnił nieporozumienie Brodziak.

Jednak nie zbiło to z tropu Teofila.

- Harem czy Charon, wszystko jedno, ale prawdą jest, że taki turecki sułtan to se pożyje. Nie musi się z jedną babą całe życie męczyć.

- Charon to przewoźnik, który według wierzeń starożytnych Greków, Etrusków i Rzymian przewoził dusze umarłych przez podziemną rzekę Styks do Hadesu.

353

- Mówiłem, że to jakiś bóg - ucieszył się Brodziak, który kiedyś, jeszcze w szkole, czytał Mitologię Parandowskiego, a dokładniej: zaczął czytać, lecz go znudziła, więc nie miał rzetelnego rozeznania w starożytnym panteonie. - Ale po jaką cholere nam jakiś grecki przewoźnik?

- Starożytni wierzyli, że ich dusze idą po śmierci do Hadesu, jednak żeby tam trafić, musieli przepłynąć przez Styks. Tyle że przewoźnikowi trzeba było zapłacić za tę przewoźową usługę, dlatego każdy ze zmarłych zabierał ze sobą w drogę na tamten świat jednego obola, taką drobną monetę, żeby mógł nią zapłacić Charonowi.

- No fajnie, tylko jak ten zmarły miał tego robola schować? Wkładali mu go do kieszeni? - zainteresował się Olkiewicz. - Przecież oni w tych prześcieradłach, w których łazili, nie mieli kieszeni. Widzieliście ten serial o kulawym cesarzu Klaudiuszu, nie? Oni chodzili w takich białych lompach, jakby z prześcieradeł zrobionych.

- Z przenoszeniem pieniędzy starożytni radzili sobie doskonale - zaśmiał się Malinowski. - Do tego służyły worecz-

ki zawieszane u pasa albo na szyi. Ale na podróż w zaświa-
ty tego jednego obola wkładano zmarłemu w usta, żeby na
pewno miał go przy sobie.

Doktor sięgnął do szuflady biurka, wydobył z niej toreb-
kę foliową i rzucił ją na blat. Wewnątrz widać było monetę.
Zwyczajną złotówkę.

- Myślałem, że to ten robol - Olkiewicz nie krył rozczaro-
wania - a to zwyczajna zeta.

- To jest obol, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Brodziak nachylił się
nad woreczkiem, podczas gdy Teofil skwapliwie wykorzystał
sytuację i po raz kolejny napełnił swój kieliszek.

- To, że ta wasza dziewczyna miała ten pieniążek w ustach.

354

- Łe tam, mogła go zwyczajnie wsadzić se do gęby. - Olkie-
wicz nie przejął się rewelacją, którą przekazał im lekarz.

- Teofil, do cholery, zastanów się, po co by miała to zro-
bić? - zdenerwował się Malinowski. - I przede wszystkim
kiedy? W czasie gwałtu, bo na sto procent została kilkakrot-
nie zgwałcona, czy w czasie jak ktoś zabijał ją młotkiem?

Wtedy miała sobie włożyć tę monetę do ust? Powiem wam.

Nie ona włożyła monetę, tylko ktoś inny. Kto, na to pytanie
może odpowiedzieć badanie daktyloskopijne, bo podejrze-
wam, że na złotówce mogą być odciski palców.

- To się trzyma kupy, doktorze, tylko powiedz mi, po co
ktoś miałby to robić? - analizował sytuację Brodziak.

- Tego nie wiem, ale powiem ci jeszcze jedno. Wszystko
wskazuje na to, że zabito ją, rozbijając jej czaszkę młotkiem.

A wiecie, jak starożytni Etruskowie przedstawiali Charo-
na? Przewoźnik miał w ręku młot, który służył do rozbijania
głów zmarłym.

W pokoju zapadła cisza. Malinowski triumfalnie spojrzął
na obu milicjantów, a potem ponownie napełnił kieliszki
miodówką.

- No to widzi mi się, że szukamy pierdolonego Charo-
na z młotkiem w łapie - z właściwą sobie łatwością pod-
sumował wywód lekarza Olkiewicz i zaraz sięgnął po kie-
liszek.

- A ten drugi z rozbitą głową też miał złotówkę w gębie? -
zapytał Mirek Brodziak.

- Też o tym od razu pomyślałem - uśmiechnął się doktor. -
Sprawdziłem to dziś rano. Nie było tam żadnego pieniążka.

Po chwili Brodziak z ociągającym się Olkiewiczem wyszli
z pokoju lekarza. Gruby Rychu nie czekał na nich. Krze-
sło, na którym siedział jeszcze kilka minut temu, było puste,
a w popielniczce wolniutko dopalał się papieros Rycha.

355

godzina 10.15

Tunio miał dziś pracowity dzień. Mimo potwornego kaca
wstał wcześniej rano i zaraz pognął do miasta pogadać z ludź-
mi. Chciał rozpytać wszystkich znajomych o tego gościa, któ-
ry tak pięknie go przerobił na gotówkę. Postanowił zacząć od
męskiej rozmowy z Rowerowym. Pojechał więc tramwajem
na Łazarz. Był przekonany, że bez problemów znajdzie faceta,
który wziął udział w całej tej pułapce, jaką zastawili na niego
bandyci. Zielony tramwaj numer pięć zatrzymał się na przy-

stanku na wprost szerokiej ulicy prowadzącej na Rynek Łazarski. O tej porze Łazarska gemela tętniła życiem. O ile targ owocowo-warzywny, położony nieco z lewej strony, powoli zamierał, bo świeży towar został już całkowicie wyprzedany, o tyle po prawej stronie rynku handel trwał w najlepsze. W dali widać było kłębowisko ludzi uwijających się jak w ukropie podczas rozlicznych transakcji zakupu i sprzedaży. Tu handlowano wszystkim tym, czego nie można dostać w państwowych sklepach. Ostatnio największym powodzeniem cieszyły się chodnikowe wypożyczalnie wideo. Zasada ich działania była bardzo prosta. Właściciel dysponował kilkudziesięcioma kasetami z filmami, nagranyymi w bardzo kiepskiej jakości, ale oczywiście z polskim lektorem. Wystarczyło kupić pierwszą kasetę i potwierdzić w ten sposób przynależność do takiej wypożyczalni. Następnego dnia można już było, za nieco niższą opłatą, wymienić tę wcześniej kupioną na kolejną, tym razem już ją wypożyczając. Interes taki kręcił się nadzwyczaj sprawnie, bo zapotrzebowanie na filmy z Zachodu, takie jak Rambo czy Conan Barbarzyńca, było ogromne. W końcu ludzie zauważyli, że wystarczy tylko zainwestować w magnetowid, by uniezależnić się od skromnej filmowej propozycji państwowej telewizji.

356

Na Łazarzu sprzedawano, prócz sprowadzanych z Niemiec Zachodnich czy Austrii magnetowidów, telewizorów czy magnetofonów, także zachodni sprzęt agd, zagraniczną żywność, a nawet zachodnią kolorową prasę. Łazarska gemela powoli zaczęła stawać się oknem na kapitalistyczny

świat, przez który coraz szerszym strumieniem wpływał
ożywczy powiew innego, lepszego świata.

Tunio nie interesował się najnowszymi zdobyczami zachod-
niej myśli technicznej. Omijając z daleka chodnikową wy-
pożyczalnię i kilka straganów z elektroniką, pobiegł w stronę
murku, przy którym zazwyczaj handlowano rowerami.

Nowe piękne składaki z bydgoskiego Rometu stały jeden
przy drugim, powiązane ze sobą metalowym łańcuchem.
Sprzedawca zabezpieczał się w ten sposób przed zapędami
amatorów rowerowych przejazdów, którzy bez jego zgody
chcieliby wypróbować jakość oferowanego sprzętu. Łańcuch
rozpiął się dopiero po sfinalizowaniu zakupu. Stoisko
Rowerowego było jak zwykle w tym samym miejscu, byli za-
interesowani klienci, nie było tylko sprzedawcy.

-- To znaczy był rano -- wyjaśnił Tuniovi sąsiad, który obok
handlował używanymi metalowymi klonkami, czyli śrubami,
nakrętkami, rurkami i innymi akcesoriami, co do których
przeznaczenia sam handlarz nie do końca miał pewność.

Teraz sąsiad pilnował mu rowerów, bo facet rano rozply-
nął się w powietrzu. Tunio połąził więc trochę po straganach,
pokręcił się po rynku i w końcu przycupnął koło kiosku
Ruchu, skąd mógł dokładnie obserwować punkt sprzeda-
ży Rowerowego. W końcu jego cierpliwość została nagro-
dzona. Po drugiej stronie ulicy, chodnikiem wzdłuż rzędu
kamienic, Karol Rowerowy biegł w kierunku rynku od Gło-
gowskiej. Tunio wiele się nie namyślał. Ruszył biegiem, cały
czas obserwując Karola. Szybko obliczył w myślach, że ich

drogi powinny przeciąć się na wysokości otwartej bramy szarej kamienicy, tuż przed sklepem spożywczym. W starciu na ringu z Karolem Rowerowym, młodszym od niego o jakieś dwadzieścia lat i zdecydowanie lepiej zbudowanym, Tunio nie miałby żadnych szans. Dlatego musiał użyć sprytu, a czego jak czego, tego akurat staremu handlarzowi walutą nie można było odmówić. Wykalkulował, że powali go siłą rozpędu.

Rowerowy, biegnący lekkim truchtem w stronę rynku, nie zauważył w porę niebezpieczeństwa. Patrzył przed siebie, nie rozglądając się na boki, i to dało zdecydowaną przewagę Tuniovi. Gdy Karol był na wysokości bramy, poczuł nagle, że coś potężnego wali się na niego od strony ulicy i dosłownie zmiata go z chodnika, wbijając w głąb mrocznego przejścia na podwórze. Stracił równowagę i potoczył się po cementowej posadzce. Nim zdążył zrozumieć, co się stało, poczuł, że ta sama siła wali mu się na brzuch. Jęknął głośno, bo kolano napastnika wbiło mu się w żebra. Teraz zdążył już się zorientować, że to nie trąba powietrzna rzuciła go do bramy, ale że padł ofiarą napadu. Ból niemal odebrał mu przytomność, ponieważ kolano Tunia uderzyło go dokładnie w to samo miejsce, gdzie wcześniej, w lesie, uderzył go kolbą karabinu ochroniarz Grubego Rycha.

- Ty gnoju pierdolony! - krzyknął Tunio i wymierzył mu cios pięścią w nos. Nie był to potężny cios bokserski, ale mimo to skuteczny, zadany z pasją, cios, w który Tunio Ząbek włożył całą swoją siłę. W nosie coś chrupnęło, Karol wrzasnął jak zarzynany, a na jego twarzy pojawiła się krew.

-Ty jebany kutafonie! Wystawiłeś mnie tym bandytom!
Zabiję cię! Wypatroszę jak prosiaka! - Mówiąc to, wydobył z kieszeni scyzoryk, szybko otworzył ostrze i przyłożył je do gardła Rowerowego.

358

- Panie Tunio! - Karol wreszcie rozpoznał napastnika i zrobiło mu się lżej na duszy, bo zrozumiał, że to nie żaden poważny bandyta, tylko Tunio Ząbek, który nigdy nie wyglądał na zbyt agresywną osobę. - Panie Tunio, do cholery, czy pan masz wszystkich w domu? Ja już ledwie zipię, a pan mi tu jeszcze dokładasz!

- Mów, gnoju, kto ci kazał mnie wystawić, ino mi giem, bo cię zaraz tym nożykiem przez gardło przejadę.

- Jak pan mnie przejedziesz, to się nic nie dowiesz, a ja już wszystko jak na spowiedzi powiedziałem panu Rychowi, więc nie będę już nawijał makaronu na uszy.

- Rychowi Grubińskiemu? -- zdziwił się Tunio.

- A jakże, temu samemu, co to mnie już rano w sobotę wziął w obroty i mało ten jego pierdolony Władziu mi łba nie odstrzelił. To im wszystko powiedziałem, a jak pan chcesz, to i teraz powiem, ino zejdz pan ze mnie, bo tchu chwycić już nie mogę.

Tunio przez chwilę ' analizował to, co usłyszał od Rowerowego, i chyba musiał uwierzyć w jego słowa, bo schował scyzoryk, a potem wstał z ziemi, dokładnie otrzepując pobrudzone spodnie.

- Jakbyś pan podszedł kulturalnie, to też byśmy mogli pogadać i bym powiedział. Żadna tajemnica.

Karol najpierw odwrócił się na bok, a potem, niezdarnie trzymając się ściany, wstał. Wierzchem dłoni otarł krew spod nosa. Przyjrzał się zakrwawionej ręce i sięgnął po chusteczkę. Nie znalazł jej w kieszeni. Całkiem spokojny już Tunio, widząc jego nieporadne poszukiwania, sięgnął po swoją czerwono-białą w kratkę i podał Rowerowemu. Ten przetarł jeszcze raz nos i rękę.

- Ja już wszystko panu Rychowi powiedziałem, pod groźbą zabicia, więc nic do ukrycia nie mam i nigdy nie miałem.

359

Pan zostałeś wystawiony i ja, owszem, również. Ten, co mi kazał pana zatrzymać w Wuzecie, nie mówił mi nic, w jakiej sprawie pana zatrzymuję, ale mnie obiecał za to kasę. A ino głupi nie posiedziały w knajpie za kilka zielonych. No tom posiedziały, pogadały i tyle teraz mam z tego, że nieprzyjemności i rozbitą klukę...

- A co to za gnój był? - przerwał mu Tunio, zapalając sobie papierosa.

- On się nazywa Domagała i mieszka na Rybakach. A tak na co dzień to jest gość, co robi w prochach, znaczy się w narkotykach.

- Łe, narkotyki, to jakieś paskudne gównno!

- Nie moja sprawa, czy paskudne, czy nie, ja jego nie trzymam za łapę. Jest już duży i se może robić, co chce na swój rachunek. Ale jedno to mu jestem winny na pewno. To, że ten kutas mnie naraził na utracenie życia z ręki Władzia, to całkowicie jego wina i jak pan Rychu jego dopadnie, to ja się ino będę cieszył.

Tunio podszedł do Karola i podał mu papierosa. Uśmiechnął się do niego, ukazując swój złoty ząb. Zaciągnął się dymem, a potem powiedział:

- Najważniejsze w życiu, panie Rowerowy, to jest nie wpaść w złe towarzystwo, bo można źle skończyć. Trzeba se dobrać znajomości, najlepiej z dobrego towarzystwa.

- Ale na rodzinę pan nic nie poradysz. Sama się dobiera człowiekowi do dupy.

- A tu co się, do cholery jasnej, dzieje! - zawołała korpu-lentna kobieta w stylonowym fartuchu, z wiadrem w prawej i mokrą szmatą w lewej ręce.

Weszła do bramy od strony podwórka i zobaczyła dwóch kiepsko wyglądających obcych facetów, więc zareagowała histerycznie.

360

- Ciągnąć mi stąd, pijanice chłelerne, bo Zyburę na łeb wyleję. Już mi stąd, bo milicję zawołam! Na ulicę chlać, a nie do porządnego domu włązić!

Obolały Karol Rowerowy nie wytrzymał. Zbyt wiele tego przedpołudnia zważyło się na niego, by teraz miał pozwolić, żeby jeszcze jakiś babsztyl wydzierał się bezkarnie. Podszedł do sprzątaczkę, wyrwał jej wiadro z ręki i chlusnął jej w twarz całą brudną wodę od zmywania schodów, a puste wiadro założył kobiecie na głowę.

-I było się tak drzeć, staro chorlipo?

godzina 10.40

Mamy go - powiedział podporucznik Grzybek do słuchawki radiotelefonu.

- Kogo? - odezwał się po drugiej stronie linii kapitan Galaś.

- No, tego, co mieliśmy go złapać. Nasz obiekt wpadł w naszą pułapkę.

- Jesteście pewni, że to jest on? - zapytał kapitan Galaś, który nie do końca mógł uwierzyć, że za chwilę skończą się jego kłopoty.

Podporucznik Grzybek odwrócił się i spojrzął na nieprzytomnego mężczyznę leżącego na podłodze robura. Ten samochód to było specjalne auto operacyjne. Na zewnątrz wyglądał jak zwykły dostawczak z metalową budą z tyłu. Dwa boki, dla niepoznaki, miały wymalowany napis „wphw - przewóz żywności”. Ten kamuflaż służył odwróceniu uwagi od ciężarówki, która często parkowała w różnych częściach miasta, wykorzystywana do zadań obserwacyjnych. Z pozoru więc auto wyglądało jak normalny dostawczak, jednak wewnątrz budy różniło się całkowicie od podobnych w tego typu samochodach.

361

Przede wszystkim tylne drzwi i obie burty wyposażone były w niewielkie, podłużne zaciemnione okna. Ze środka można więc było obserwować wszystko, co dzieje się na ulicy, a obserwatorzy byli niewidoczni dla kogoś z zewnątrz.

W środku, pod ścianą z prawej strony umieszczono specjalny stół z radiotelefonem oraz dwa magnetofony szpulowe do nagrywania materiału dźwiękowego z podsłuchu, który natychmiast trafiał do centrali poprzez umieszczoną na dachu kabiny robura antenę. Po lewej stronie zainstalowano niewielki okratowany przedział aresztancki, którego używano sporadycznie, bo ten wóz techniczny wykorzystywa-

ny był bardzo rzadko do zwykłych aresztowań. Gdy ekipa wywiadowców zmuszona była do interwencji i następowało zatrzymanie, najczęściej aresztowaną osobę natychmiast zabierała specjalna aresztańska nyska. Tym razem jednak w akcji na Rybakach uczestniczyło zaledwie trzech funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, gdyż była to operacja ściśle tajna i nie należało włączać do niej większego grona osób. Dwoma doświadczonymi wywiadowcami dowodził podporucznik Ireneusz Grzybek, który dopiero od roku pracował w SB, jednak na swoim koncie miał już zrealizowanych kilka poważnych operacji skierowanych przeciwko ekstremistom z podziemnej Solidarności. Dzięki jego zaangażowaniu udało się zlikwidować nielegalną drukarnię na Wns-ie przy Szamarskiego. Akcją dowodził co prawda kapitan Galaś i to on chodził później w glorii pogromcy drukarzy, jednak większą część żmudnej roboty operacyjnej związanej z inwigilacją podejrzanych wykonał Grzybek i jego ludzie. Kapitan miał do niego pełne zaufanie. Nic więc dziwnego, że to właśnie jemu polecił odnalezienie poszukiwanego obiektu.

Tym razem jednak cała akcja mogła spalić na panewce. Obserwacja mieszkania poszukiwanego powinna była się zacząć

362

o świcie. Niestety, mimo że Grzybek i jego ludzie zameldowali się przed milicyjnym garażem już o czwartej rano, zastali drzwi zamknięte. Nie było dysponenta, który powinien wcześniej przygotować robur i wydać im samochód gotowy do akcji. Ponad dwie godziny zajęło im ściągnięcie odpowiedniej osoby. Wkrótce jednak okazało się, że robur nie

jest wcale przygotowany. Dysponent rozłożył bezradnie ręce, a potem pokazał Grzybkowi wszystkie dzisiejsze rozkazy wyjazdu. Tego, który miał przekazać im wóz obserwacyjny, brakowało, a bez takiego dokumentu wyjazd ekipy był niemożliwy.

-Jak zwykle w takich wypadkach ktoś czegoś nie dopilnował, a papier pewnie gdzieś utknął w kancelarii - denerwował się porucznik Grzybek, który zdawał sobie sprawę z tego, że przez to zamieszanie może się okazać, że nic nie wyjdzie z ich starań. O ósmej przyszła do pracy kierowniczką działu dyspozytury i dopiero ona po niemal trzydziestu minutach zdołała odnaleźć zamówienie na robura. Leżało na biurku jej podwładnej. Wczoraj zapomniała przekazać je dalej.

Teraz, gdy papiery trafiły do kolumny transportowej, wystarczyło jeszcze tylko poczekać godzinę na przygotowanie auta do wyjazdu. Tankowanie w stacji benzynowej na dziedzińcu komendy, które też mogło się odbyć dopiero po okazaniu ważnego rozkazu wyjazdu, było już tylko formalnością. O dziesiątej ekipa inwigilacyjna wyjeżdżała do miasta z sześciogodzinnym opóźnieniem.

Na szczęście wszystko udało się znakomicie, pomyślał podporucznik Grzybek, spoglądając na delikwenta leżącego na podłodze aresztanckiego przedziału.

-Wygląda tak jak na zdjęciu, obywatelu kapitanie. Ale nie zdążył potwierdzić tożsamości sam, bo musieliśmy go obездwadnić i chwilowo jest bez przytomności.

363

- A dowód jakiś ma przy sobie? - zapytał przytomnie ka-

pitan Galaś.

- Melduje, że nie ma, ale jak na moje oko, to jest on, taki łapciuch z długimi włosami. No i mieszkanie się zgadza, bo do tego lokalu, co mieliśmy go pilnować, on właśnie wchodził, jak myśmy go zdjęli. Jak zaczął odkluczać drzwi, to my go wtedy...

Zaparkowali swojego robura na wprost wejścia do kamienicy, gdzie mieszkał człowiek, którego chcieli dopaść. Najpierw jeden z wywiadowców, sierżant Wojtasik, przebrawszy się dla niepoznaki w roboczy kombinezon, z montera torbą powieszoną na ramieniu, poszedł do mieszkania sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Po chwili wrócił i zameldował Grzybowski, że lokatora nie ma, a lokal jest pusty. Sprawdził to dokładnie, bo dostał się do środka i obszedł wszystkie kąty. Nie zastał nikogo. Możliwe więc, że ten, kogo szukali, mógł już stamtąd zniknąć na dobre. Galaś kazał im zacząć obserwację od wczesnego ranka, bo dostał skądś cynk, że tego dnia facet ma się w mieszkaniu pojawić, dlatego tak ważne jest, by nie przegapili okazji i by obserwacja trwała od świtu. Tymczasem bałagan w papierach zabrał im ponad pięć godzin. W tym czasie wszystko mogło się wydarzyć. Dlatego podporucznik Grzybek był wściekły. Znowu chciał się wykazać, a tu taka wpadka. Postanowił jednak nie mówić Galasiowi ani słowa o tym, że na miejsce przyjechali zbyt późno. Co robić?, myślał. Albo facet się pojawi i będzie dobrze, albo poczekamy do nocy i wrócimy z pustymi rękami.

Rozsiadł się wygodnie na rozkładanym krześle wewnątrz wozu i zatopił się w lekturze „Trybuny Ludu”. Przy oknie,

z którego widać było bramę kamienicy, zasiadł Wojtasik, natomiast chorąży Konewka stał na ulicy. Oparty o ścianę naprzeciw obserwowanego budynku bacznie przyglądał się

364

wszystkim przechodzącym. Gdyby wśród przechodniów pojawił się ktoś, kto by przypominał osobę namierzaną, miał natychmiast podejść do robura, uderzyć dwa razy pięścią w ścianę pojazdu i nie czekając na posiłki, ruszyć za obiektem. Na to hasło powinien wyskoczyć z auta Wojtasik, a za nim Grzybek. Podporucznik miał ubezpieczać, podczas gdy dwaj podkomendni będą obezwładniać mężczyznę. Wszyscy znali swoje obowiązki, więc akcja nie mogła się nie powieść. Dla nich, doświadczonych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, to zadanie było jak bułka z masłem. Ale żeby wszystko zagrało, potrzebny był jeszcze tylko ten, na którego polowali. Musieli czekać.

Grzybek dostrzegł go pierwszy. Zupełnie przypadkowo. Spojrzał przez okno, bo akurat wstał, żeby sięgnąć po popielniczkę stojącą na blacie stołu technicznego. Wojtasik go nie widział, bo lustrował akurat przeciwległy kraniec ulicy. Na szczęście Grzybek miał nosa. Mała figurka zbliżającej się postaci rosła w oczach. Szedł spokojnie wolnym krokiem od strony Strzeleckiej. Porucznik upewnił się, czy to aby na pewno ten, którego szukają. Przyjrzał mu się przez lornetkę, a później to, co zobaczył, porównał z fotografią. Nie było wątpliwości, poszukiwany Domagała zmierzał w kierunku bramy kamienicy. W tym momencie rozległy się dwa uderzenia w burtę ciężarówki. Konewka też go wypatrzył. Teraz

przystępował do akcji.

Wojtasik natychmiast wyskoczył z ciężarówki, a porucznik za nim. Jednak nie pobiegł na drugą stronę ulicy. Zgodnie z instrukcją numer dwadzieścia dwa łamane przez osiemdziesiąt, opisującą szczegółowo sposób zatrzymania inwigilowanego obiektu, stanął przy samochodzie, obserwując teren. Jego ludzie weszli do bramy w kilka sekund po tym, jak w jej wnętrzu zniknął obiekt. Dopiero wtedy podporucznik

365

Grzybek podszedł do kamienicy i stanął w bramie, uważnie lustrując okolicę.

Cała akcja trwała zaledwie minutę. Po chwili przed Grzybkim przeszło trzech mężczyzn. Dwaj podtrzymywali pod rękę trzeciego, który ledwie trzymał się na nogach, a właściwie wcale się nie trzymał. Szorował trampkami po chodniku. Widząc to, Grzybek natychmiast przebiegł na drugą stronę ulicy i szeroko otworzył boczne drzwi robura. Zaraz przy aucie pojawili się dwaj funkcjonariusze z zatrzymanym. Przekazali go Grzybkowi, który schwycił pojmanego pod ramiona i wciągnął do auta. Już za chwilę facet leżał z kajdankami na rękach w przedziale aresztanckim, a podporucznik przez radiotelefon mógł zameldować Galasiowi o sukcesie akcji.

- Dobra, Grzybek, no to teraz jazda do lokalu numer dziewięć, powtarzam, lokal numer dziewięć. Jak się obudzi, tam go wstępnie przesłuchacie. I nie musicie się pierdolić z nim wcale. To już nie jest nasz człowiek. To jest renegat i zdrajca, któremu coś się we łbie pomieszało. Pytajcie go ostro, a jak przyjadę wieczorem, chcę mieć już jakieś wstępne zeznania.

-Tak jest, obywatelu kapitanie!

-Aha, i jeszcze jedno, Grzybek. Pamiętajcie, że to jest akcja ściśle tajna, więc niczego nie protokołujemy. Żadnych papierów, a to znaczy, że macie zapamiętać, co powiedział, i mi to powtórzyć.

Galaś skończył rozmowę i położył słuchawkę radiotelefonu na konsolę. Rozluźnił krawat i sięgnął po butelkę wódki, którą trzymał w szafie na specjalne okazje. Nalał sobie do szklanki, potem położył nogi na biurku i zapalił papierosa. Cholera, pomyślał, wypijając pierwszy łyk alkoholu, zdaje się, że mam więcej szczęścia niż rozumu. Akcja o kryptonimie „Mocne uderzenie”, która nie powiodła się w Jarocinie, nareszcie dobiegała końca. To znaczy, teraz kończyło się

366

sprzątanie po akcji. Trzeba było sobie tylko jeszcze odpowiedzieć dziś na pytanie, dlaczego się nie udało. Ale to wyjaśni się do wieczora. A później ten, który tę odpowiedź zna, i jednocześnie ten, który wszystko spartolił, zamilknie na zawsze.

Niestety, nie będzie awansu i nagrody, ale będzie choć spokój.

Nikt nigdy się o niczym nie dowie. Tak jakby nic się nie stało.

Jakby w ogóle nikt nigdy nie planował „Mocnego uderzenia”, akcji, która mogła zmienić bieg historii.

godzina 10.45

Z tą taksówką to mieli dużo szczęścia. Najpierw wszystko zaczęło się pechowo. Kiedy zorientowali się, że facet ze zdjęcia to ten sam człowiek, który przywiózł ich do Poznania małym fiatem i wysadził na podwórku na Rybakach, natychmiast ruszyli biegiem w kierunku tamtej kamienicy. Gdy tylko wbiegli

na tę ulicę, zobaczyli dziwną scenę, jak dwóch mężczyzn ciągnie trzeciego, a potem szybko ładują go do budy spożywczego robura. Od razu rozpoznali tego ciągniętego. To był ich człowiek z fotografii. Po chwili już prawie dopadli samochodu. Chcieli go zatrzymać, jednak ciężarówka ruszyła pośpiesznie w kierunku Strzeleckiej. Zalewski zdążył nawet dobiec do auta. Zrównał się z nim na chwilę i z całej siły uderzył w bok budy. Miał nadzieję, że się zatrzyma. Ale kierowca najwyraźniej wcale go nie zauważył, a uderzenie w burtę musiał wziąć za normalny dźwięk, jaki to ernerdowskie auto wydaje podczas ruszania z miejsca. Wrzucił tylko wyższy bieg, silnik głośno zaryczał i robur pomknął przed siebie, pozostawiając dwójkę ścigających go mężczyzn na środku ulicy.

- Cholera jasna, Mariusz, co to było?

- No, samochód do przewozu artykułów spożywczych.

367

- Ja mówię o tych facetach. Oni tak wyglądali, jakby tego z długimi włosami aresztowali albo cholera wie co, ale na pewno było to dziwne.

- Tylko że aresztowanie to chyba inaczej się odbywa i nikt, kto aresztuje jakiegoś faceta, nie wsadza go do towarowej ciężarówki.

W tym momencie tuż przy nich zatrzymał się biały fiat 125p z kogutem taxi. Z samochodu wysiadł niewielki mężczyzna w beżowym garniturze. W pośpiechu mało nie przewrócił stojącego bliżej jezdni Mariusza.

- Co tu, kurwa, tak stoicie? - warknął, błysnąwszy złotym zębem. - Do roboty się brać, a nie wystawać na ulicy! - Po-

wiedziawszy to, pobiegł w kierunku kamienicy, z której niedawno wyprowadzono długowłosego chłopaka.

Ten krzykliwy jegomość nie bardzo ich obszedł. Natychmiast jednak zainteresowali się taksówką. Decyzja była błyskawiczna. Nim kierowca zdążył ruszyć, Blaszkowski otworzył tylne drzwi i wpakował się do środka. Zalewski obiegł auto i po chwili siedział tuż obok kolegi.

- Gdzie? - odezwał się do nich chudy taksówkarz ubrany w biały podkoszulek.

- Prosto - wyjaśnił mu Mariusz. - Tak jak ten dostawczak. - Wskazał niknącego w głębi ulicy robura.

- Gdzie się pchacie, pytam? Nigdzie nie jadę. Skończyłem już robotę i zjeżdżam, więc wypadka z taryfy, bo już jestem po robocie.

Zalewski spojrział na kolegę, a gdy dostrzegł w jego oczach aprobatę, pochylił się trochę w kierunku opryskliwego taksówkarza. Położył mu swoją wielką rękę na ramieniu, ścisnął je, a potem powiedział:

- Ta taryfa, kochanieńki, pojedzie tam, gdzie chcemy. Pojedzie z tobą albo bez ciebie, ale zapewniam cię, że pojedzie.

368

Mariusz wyciągnął legitymację służbową i machnął nią przed oczami zdziwionego i przestraszonego gbura.

- Ruszajcie, obywatelu, natychmiast! Auto przejmujemy do naszej dyspozycji.

- Łe, no to, panowie, trzeba było tak od razu gadać, że wyszkieły. Ja tam zatargów z milicją żadnych nie chcę. Jak trzeba, to się jedzie, i szlus.

Wrzucił jedynkę i ruszył bez dalszego szemrania. Na wysokości Starego Rynku, gdzie Strzelecka przechodziła w Walki Młodych, dostrzegli ciężarówkę.

- Widzi pan tego dostawczaka? - Blaszkowski wskazał samochód wspinający się z mozołem pod wznoszącą się w górę ulicę.

- Co mam nie widzieć tej krowy. Jasne, że widzę.

- No to jedź pan tak, żeby go nie zgubić.

- No panie, jak ja bym miał zgubić tego żółwia? Przecież on więcej jak sześćdziesiątkę nie wyciągnie. Możemy jechać za nim bez większego problemu.

-Tylko nie za blisko, żeby się tamci nie zorientowali, że mają ogon -- upomniał taksówkarza Blaszkowski.

Robur skręcił w prawo, w Marcinkowskiego, minął Muzeum Narodowe, pocztę i rząd kamienic, by w końcu skręcić w Solną. Taksówka trzymała się w bezpiecznej odległości.

Ciężarówka przejechała pod wiaduktem kolejowym i skręciła w prawo, pozostawiając za sobą majestatyczne schody prowadzące do obelisku z czerwoną pięcioramienną gwiazdą, wzniesioną dla upamiętnienia bohaterstwa czerwonoarmistów poległych w walkach o Poznań. Po przejechaniu około kilometra robur skręcił w lewo, w uliczkę między willami, które rozsiadły się na stokach cytadeli.

- Gdzie ten cholernik się tam pcha? Tam już nic nie ma, ino te stare forty porozpieprzane przez ruskich - zdziwił się

369

im

pan Gienas, taksówkarz, który przed chwilą przedstawił

się obu milicjantom.

- Niech pan wjedzie w tę uliczkę, to zobaczymy - odpowiedział mu Blaszkowski.

Fiat przeciął oś jezdni i zatrzymał się na samym początku ulicy, bo okazało się, że przy jej końcu stoi robur. Z tej odległości widać było tylko jego tył, bo cała ciężarówka wjechała na podwórko posesji.

Mariusz błyskawicznie podjął decyzję.

- Wiciu, jedziesz z panem Gienasem na komendę i meldujesz, co i jak, Brodziakowi. Ja tu zostanę i postaram się sprawdzić, co tutaj się dzieje.

- No co ty? Powinienem zostać z tobą, bo cholera wie, co się może zdarzyć. Przyda ci się ktoś silny. - Zalewski w wymowny sposób poklepał się po bicepsie. - Pan Gienas może pojechać do Brodziaka i go tu sprowadzić.

-Jakby co, to się pojedzie - rzucił obojętnie pan Gienas.

Blaszkowski szybko rozważył propozycję kolegi. Oczami wyobraźni zobaczył pana Gienasa odbijającego się od okienka dyżurki w komendzie. Może minąć nawet godzina, zanim oficer służbowy łaskawie go wysłucha i powiadomi porucznika. A tu trzeba działać szybko i zdecydowanie.

W grę wchodził tylko Zalewski.

- Dzięki, stary, ale dam radę sam, a ty musisz wyjaśnić Brodziakowi, o co biega, bo pan Gienas wtajemniczony w sprawę nie jest.

- No dobra, wodzu - dał za wygraną Zalewski. - Ty tu rządysz, a ja lecę na komendę. Panie Gienas, do wojewódzkiej, ale w tempie, bo sprawa, jak pan widzisz, paląca.

- Robi się, poruczniku, będziemy raz dwa.

Mariusz wysiadł z auta. Po chwili fiat zniknął za zakrętem. Na ulicy było zupełnie pusto. Postać jeszcze chwilę przy
370

pierwszej willi, rozglądając się uważnie, ale nic nie wzbudziło jego niepokoju. Powoli ruszył. Minął następną willę. Wszystkie domy zbudowane były w stylu wczesnego Gierka. Przesadziste bryły różniły się między sobą tylko układem okien i rozmieszczeniem balkonów i tarasów. Podobnie wyglądała też trzecia willa, ostatnia w rzędzie. Robur zajął cały niewielki podjazd do garażu. Był jednak za duży, by zmieścić się w całości. Przynajmniej na metr jego tył wystawał na ulicę. Mariusz obszedł auto i ruszył wzdłuż metalowego płotu. Za chwilę skończyła się droga, a dalej prowadziła w górę tylko wydeptana przez ludzi i psy ścieżka do ruin cytadeli.

Wspiął się na tę ścieżkę, jednak zaraz zszedł z niej na prawo, by pod osłoną rosnących wszędzie krzaków dostać się na boczny skraj ogrodu należącego do posesji. Po chwili znalazł się na miejscu. Stamtąd widać było doskonale boczną ścianę budynku z jednym oknem, wychodzącą na tę część ogrodu. Mariusz uważnie zlustrował całe otoczenie. Okazało się, że od płotu można się dostać pod sam dom, nie będąc widzianym przez potencjalnego obserwatora, który usadowiłby się w oknie. Wszystko dzięki kępom krzaków bujnie rozrośniętym na trawniku. Kiedyś pewnie ozdobne, dziś zaniedbane i od dłuższego czasu nieprzycinane, stanowiły naturalną osłonę dla każdego, kto chciałby niepostrzeżenie dostać się w pobliże domu. A Mariusz właśnie tego chciał. Bez większych

trudności przeskoczył przez płot i po chwili był już pod murem. Pokryty łuszczącą się olejną farbą parapet znajdował się mniej więcej na wysokości czubka jego głowy. Rozejrzał się dookoła. Kilka metrów dalej był taras, który wychodził na tylną część ogrodu. W pobliżu Blaszkowski dostrzegł kilka ułożonych w stosik cegieł. Postanowił, że weźmie dwie i zrobi z nich podwyższenie, które pozwoli mu zajrzeć do środka. Po cichu przeszedł kilka kroków w tamtym

371

kierunku. Gdy doszedł do tarasu, przykucnął, żeby go nikt nie zauważył. Wsunął się do wnęki, w której były cegły i jakieś ogrodnicze rupiecie. W tym momencie drzwi prowadzące na taras otworzyły się. Słychać było wyraźnie kroki kogoś, kto powoli obchodził teren. Tuż nad głową Mariusza kroki ucichły. Ten na górze przystanął. Po chwili Blaszkowski zobaczył w trawie przed sobą niedopałek, który spadł z góry. Facet skończył palić i wolno ruszył w stronę domu.

- No i jak tam? - zapytał ktoś na górze.

- Normalnie, cisza i spokój, szefie. To najlepsze miejsce pod słońcem, bo tu się nikt nigdy nie kręci - odpowiedział ten nad Mariuszem.

- W porządku, to chodź do piwnicy, bo coś mi się widzi, że ten klient już się powinien obudzić.

Piwnica, podchwycił ukryty pod tarasem milicjant. Okienko do piwnicy jest tam, pod tym oknem, pod którym chciałem ustawić swoje podwyższenie. Ale bym wpadł jak śliwka w kompot. Ci na dole zaraz by zobaczyli moje nogi. Zostawił więc cegły w spokoju i wyszedł spod tarasu. Po chwili był już

przy niewielkim okratowanym okienku ze zbitą szybą, które osadzono dziesięć centymetrów powyżej poziomu wąskiego chodnika opasującego cały budynek. Mariusz położył się na betonie i zajął do środka.

W pomieszczeniu było ciemno i niewiele dawało się dostrzec. Po chwili, gdy wzrok przyzwyczał się już do ciemności, Mariusz zaczął rozróżniać pojedyncze kształty. Z prawej strony znajdowały się jakieś półki, z lewej chyba drzwi, a na środku stało krzesło. Nie od razu je zauważył. Najpierw wydawało mu się, że to jakaś sterta starych gratów, jednak kiedy zaczął się uważniej wpatrywać, rozpoznał mebel i siedzącego na nim człowieka. Wtem drzwi otworzyły się i do piwnicy wpłynęła smuga światła, które wyraźnie oświetliło postać

372

siedzącą na krześle. To był ten, którego szukali, długowłosego chłopaka z malucha i z Jarocina. Nie poruszył się, gdy drzwi się otworzyły. Głowę miał opuszczoną na pierś, długie włosy zasłaniały twarz. Chyba jest nieprzytomny, pomyślał Mariusz. Zauważył też, że ręce ma związane z tyłu i dlatego nie spada z krzesła.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna ubrany w roboczy kombinezon. Za nim pojawił się drugi, w garniturze.

-- No to co, obudzimy naszego pacjenta. Trzeba zacząć zabawę -- oznajmił ten w marynarce.

-Jak trzeba, to trzeba - odpowiedział mu robotnik. Podszedł do półki na przeciwległej ścianie i ściągnął z niej długą białą pałę.

Mariusz dobrze znał to narzędzie, bo gdy jeszcze służył

w zomo, identyczny sprzęt ponadmetrowej długości dostał do ręki, kiedy jego kompanię kierowano do rozpędzania demonstracji. Był na takiej akcji tylko raz w życiu, a pały użył wtedy nie do rozgania manifestantów, ale do walki ze swoim znenawidzonym dowódcą, kapralem Fikiem. Wiedział jednak doskonale, że uderzenie pałką jest wyjątkowo bolesne.

Ten w kombinezonie spokojnie podwinął rękawy, włożył dłoń w pętlę rzemienia, potem sprawnym ruchem rozkołysał pałkę na przegubie i szarpnął gwałtownie, tak że jej rękojeść sama wskoczyła mu w dłoń.

Pierdolony specjalista, pomyślał Blaszkowski na widok sztuczki, którą zaprezentował mężczyzna. Tak uzbrojony, stanął za plecami siedzącego na krześle. Nagle wziął potężny zamach i pała ze świstem wylądowała na karku chłopaka. Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Cios był tak mocny, że krzesło przewróciło się do przodu, a bity uderzył czołem w podłogę.

373

- Konewka, kurwa, bo go zabijesz, zanim coś powie! --

krzyknął ten w garniturze.

- Obywatelu poruczniku, ten pierwszy strzał to tak, żeby wiedział, że żartów nie ma. A teraz to już będzie delikatnie, po ojcowsku, w bebechy.

Mariusz jak rażony gromem odskoczył od okna. Usiadł na chodniku oparty plecami o chropowaty mur domu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ten w kombinezonie nazwał tamtego drugiego porucznikiem. Ci faceci byli więc najprawdo-

podobniej z milicji. Choć raczej nie z jego resortu. To musieli być esbecy. Cholerni esbecy, którzy już od samego początku przeszkadzali w ich śledztwie, a teraz znaleźli się nawet krok przed nimi, bo w jakiś sposób udało im się namierzyć tego chłopaka. Nie mógł tylko zrozumieć, o co toczyła się cała ta gra. Jeśli chodzi o to, co robił on sam, a oprócz niego Brodziak i Olkiewicz, wszystko było zupełnie jasne i proste. Ich cel to ujęcie mordercy dziewczyny, natomiast sb robiła coś, czego on nie potrafił zrozumieć. Bo skoro złapali tego faceta, to chyba powinni go oddać milicji. Oni tymczasem ukrywali kogoś, kto, być może, jest mordercą. Trzeba o wszystkim powiedzieć jak najszybciej Brodziakowi. On już będzie dobrze wiedział, co zrobić w tej sytuacji. W tym momencie poczuł się zupełnie bezradny, sprawa całkowicie go przerosła.

Postanowił, że wróci tą samą drogą, którą przyszedł, osłonięty przez krzaki. Podniósł się z chodnika, już chciał w nie skoczyć, gdy wtem coś uderzyło go w plecy. Siła była tak ogromna, że Mariusz stracił równowagę. Padł na trawnik, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Czuł tylko, że musi jak najszybciej stamtąd uciekać. Chciał się poderwać i puścić pędem przed siebie, gdy kolejny potężny cios spadł mu na głowę.

Rozdzierający ból przeszył całe ciało. Potem poczuł, że zapada się gdzieś głęboko, w jakąś czarną dziurę. Chciał jeszcze

374

zawołać tatę, żeby mu pomógł, żeby go wyciągnął, jak wtedy, na wakacjach na wsi, kiedy wleciał do studni. Wówczas na szczęście wpadł tam razem z wiadrem przyczepionym na łańcuchu. Trzymał się go kurczowo i to go uratowało. Prze-

rażony krzyczał, wołał, płakał, aż w końcu go usłyszano.

Ojciec zszedł po kregach na dół, wsadził mu nogi do wiadra, a wujek powoli wciągnął go na górę. Wtedy przeżył, bo mógł krzyżeć. Teraz nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku, a ojca nie było w pobliżu.

rozdział

X

godzina 10.50

Kto to, kurwa, jest? - Grzybek nie wiedział, co teraz powinien zrobić. Jakiś szczon najprawdopodobniej widział, jak oni przesłuchują swój obiekt przesłuchania. A tego nikt nie powinien widzieć. To, co działo się w piwnicy, to najwyższa tajemnica. A ten tu, co leży teraz bez przytomności na trawniku, tę tajemnicę odkrył. Nieważne, że pewnie nie wiedział, o co chodzi. Nikt nie powinien wiedzieć, co tu, w tej willi, się dzieje, a ten wiedział i dlatego leży teraz z rozwalonym łbem na trawie. Grzybek jednego był pewien. Na pewno kapitan Galaś nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że ktoś zakradł się na posesję i zobaczył, co się tu w środku dzieje.

Bo co do tego, że on coś zobaczył, Grzybek nie miał wątpliwości. W końcu przyłapał go, jak zaglądał przez okienko do piwnicy dokładnie w chwili, gdy Konewka rozłożył na podłodze tego hipisa. Na szczęście on, porucznik Grzybek, wykazał najdalej idącą przezorność i w momencie zadania ciosu nie patrzył na padającego na ryj delikwenta, ale wytrenowanym odruchem zerknął w okienko, czyli jedyne miejsce, skąd nadejść mogło jakieś niebezpieczeństwo. No i nadeszło, bo porucznik błyskawicznie wychwycił ruch za oknem. Kto

inny pewnie mógłby pomyśleć, że to zadrżała gałąź albo kot przelazł koło domu, ale nie Grzybek, który był nie lada wiadownicą. Jemu każdy ruch wydawał się podejrzany, dlatego natychmiast pobiegł na górę, zabierając ze sobą nic nierozumiejącego Konewkę. W sytuacjach kryzysowych wolał mieć blisko siebie kogoś, kto potrafił przypierdzielić. A Konewka umiał koncertowo. Chłopak właśnie podnosił się z chodnika, gdy wyszli przed front domu. Zauważyli od razu, że przyłapani nie bardzo wie, co ma ze sobą począć. Najwyraźniej był w szoku. No i ten szok wykorzystał Grzybek. Wystarczyło, że wykonał przyzwalający gest głową, a Konewka już wiedział, co ma robić. Gdy intruz się wyprostował, wielka pała spadła mu na plecy. Drugi cios odebrał mu przytomność.

- Ja se myślę, że ten szczon to jakiś złodziej, co chciał obrobić tę chatę - powiedział Konewka, przyglądając się leżącemu. -- No bo po co by się tu fatygował. Musiał filować tę chatę, bo mu się zdawało, że jest opuszczona, no i będzie łatwy łup. Przyłazł tu, zobaczył, co się dzieje w piwnicy, i zzieleniał. To dlatego myśmy go trafili. Bo jakby to był ktoś inny, nie żaden złodziej, toby go tu nie było zaraz, jakżeśmy go zobaczyli.

Konewka ma rację, przekonywał sam siebie Grzybek. Tak naprawdę nie zastanawiał się nad logiką wydarzeń. Jedyne, co go w tej chwili interesowało, to opinia kapitana Galasia, a ta na pewno nie byłaby przychylna, jeśliby jakiś złodziejaszek miał pokrzyżować im plany.

- Nie ma co się pierdolić z jakimś śmieciem. Jak się tu przypałętał, to trzeba go unieszkodliwić jak tego długowłosego.

- To co, bierzemy go do piwnicy? - Konewka nie analizował rozkazów. On był zawsze gotowy.

- A, dawaj go, kurwa, do środka, zobaczymy, kto on jest, ale tak naprawdę to chuj mnie to obchodzi. To jest nikt i do tego jeszcze przeszkadzający.

377

Konewka zarzucił sobie nieprzytomnego na plecy i ruszył w kierunku wejścia do domu. Grzybek natomiast postanowił, że o całej sprawie musi poinformować kapitana Galasia. W końcu to on jest szefem, niech decyduje, co w tej sprawie robić. Kiedy Konewka schodził po stromych schodach do piwnicy, porucznik poszedł do salonu, gdzie zainstalowano bezpieczny telefon połączony bezpośrednim kablem z komendą, jednak nie dało się nim dodzwonić do miasta. Zresztą cały ten dom był atrapą normalnego domu. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zwykłego, porządnie urządzonego mieszkania, jednak gdy przyjrzało mu się uważniej, można było zauważyć, że pozbawione jest tego, co najważniejsze - duszy. Nie dawało się w nim dostrzec normalnych śladów życia. Były meble, na półkach stały książki, był nawet kolorowy telewizor marki Rubin i wieża stereo Diory, ale to wszystko pozbawione śladów, jakie na sprzętach zostawiają mieszkańcy. Brakowało przede wszystkim kwiatów, a poza tym drobnych sprzętów, jakichś bibelotów, zdjęć oprawionych w ramki, figurek, pamiątek, jakie przywozi się znad morza, po których można natychmiast rozpoznać, kim są i jaki mają gust właściciele mieszkania. Bo to mieszkanie nie miało właścicieli. Rodzina, która wybu-

dowała ten dom, wyjechała kilka lat temu do Niemiec, zmuszona do emigracji przez sb. Lokatorzy zabrali to, co udało się wpakować do poloneza, który łaskawie pozwolono im zachować. Meble, jak i cały dom musieli zostawić. W ten sposób bezpieczeństwa, wbrew wszelkiemu prawu własności, przejęła budynek. Bo kto by się tam przejmował prawami ludzi oskarżonych o działalność antypaństwową. W końcu powinni się cieszyć, że nie trafili do więzienia, a socjalistyczne państwo w swej łaskawości pozwoliło im wynieść się z kraju, na którego szkodę działali. W tak zdobytej willi stworzono tajny

378

lokal wykorzystywany do tajnych operacji, choćby takich jak ta dzisiejsza.

Grzybek usiadł w wygodnym fotelu, obitym czarną imitacją skóry i sięgnął po czerwoną plastikową słuchawkę aparatu zainstalowanego na niewielkim drewnianym stoliczku. Nie musiał wykręcać numeru. Samo podniesienie słuchawki dawało natychmiastowe połączenie.

- Centrala, słucham - odezwał się miły głos pani Mariolki, młodej telefonistki o płomiennych włosach, na której widok Grzybkowi zawsze robiło się gorąco. Nieraz wyobrażał sobie, co mógłby wyczyniać z Mariolką w łóżku, jeśli los okazałby się dla niego łaskawy. Szczególnie podobał mu się jej tyłek, jędrny i wielki, zapakowany zazwyczaj w obcisłe dżinsy. Ale na fantazjach cała sprawa się kończyła, bo gdy tylko zdarzała się sytuacja, że znalazł się z Mariolką sam na sam, całkowicie tracił pewność siebie. Podobnie pewność siebie tracił w obecności kapitana Galasia. Tak naprawdę dobrze i pew-

nie czuł się jedynie podczas akcji. Ciekawe, że wtedy zawsze wiedział, co ma robić, oczywiście, jeśli tylko miał odpowiednie instrukcje od szefa.

- Dziewiątka, Grzybek, z kierownikiem proszę.

- Łączę - odpowiedziała Mariolka, która nie miała zielonego pojęcia, że ten po drugiej stronie linii nocami marzy o jej tyłku. Zresztą co ją to mogło obchodzić, skoro kapitan Galaś łąpał ją za ten tyłek codziennie w pracy, a i niekiedy po pracy, jak tylko udawało mu się wyrwać z domu pod pretekstem wieczorno-nocnej akcji.

- Galaś - odezwał się Galaś ze swojego biura.

- Grzybek - odezwał się Grzybek z fotela.

- Co jest?

- Kłopot.

- Rodzaj?

379

- Wtargnięcie z zatrzymaniem.

- Kiedy?

- Pięć minut temu.

- Rozpoznanie?

- Na razie brak.

- Rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza na linii. Najwyraźniej kapitan analizował sytuację. Po minucie się odezwał.

- Sprzątamy wszystko.

- Tak jest!

- Jadę do was - powiedział Galaś i przerwał rozmowę.

Jak to dobrze, że ma się nad sobą odpowiedzialnego szefa,

pomyślał porucznik Grzybek. Kapitan Galaś zawsze wiedział, co zrobić w trudnych sytuacjach. Tym razem też na pewno będzie wiedział. Tego Grzybek mógł być pewny, a Galaś mógł być pewny Grzybka.

godzina 11.15

No to podsumujmy, co mamy w tej chwili, panowie - zaczął major Marcinkowski ostatnią odprawę przed swoim urlopem.

W sali konferencyjnej, przy długim stole przykrytym zielonym sukniem, siedziało sześciu milicjantów zaangażowanych w śledztwo. Szef zespołu o czternastej trzydzieści miał pociąg do Kołobrzegu, liczył więc na to, że szybko upora się ze wszystkimi kwestiami związanymi z prowadzonym śledztwem i oficjalnie będzie mógł przekazać dowództwo Brodziakowi.

Chciał jednak jeszcze przed wyjazdem sprawdzić szczegóły, by mieć pewność, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- No, Mirek - zwrócił się do Brodziaka - referuj, jak wygląda sytuacja.

380

Porucznik zgasił papierosa w popielniczce z luksfery, wypił tyk kawy ze szklanki z ciemnego, peweksowskiego duraleksu i zaczął podsumowanie, wymieniając po kolei poszczególne fakty.

- Najpierw gwałt zbiorowy na polu namiotowym, później morderstwo za pomocą młotka. Sprawcy gwałtu są już pod kluczem, jednak można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że nie oni dokonali morderstwa. W tej chwili są głównymi podejrzanymi i nie można wykluczyć na sto procent, że to nie jest któryś z nich. Ale ja bym raczej przy-

puszczał, że właściwym sprawcą jest ten facet od młotka.

Ten, którego widział Teofil i któremu młotek zabrał w knajpie w Jarocinie. Ten młotek już został wysłany do analizy, więc za kilka dni powinniśmy wiedzieć, czy to jest narzędzie zbrodni. No i mamy coś jeszcze, tę monetę, którą doktor Malinowski znalazł w ustach dziewczyny. Na niej mogą być odciski palców mordercy.

- O co chodzi z tą monetą? - zapytał kapitan Leszczyński, który w Jarocinie badał miejsce znalezienia ciała dziewczyny. Mimo że bardzo skrupulatnie przeprowadzał oględziny, nie wpadł na to, żeby zajrzeć zabitej do ust.

- Malinowski znalazł pieniądze podczas sekcji - wyjaśnił Brodziak. - I do tego dodał jeszcze mit o Charonie, starożytnym przewoźniku dusz, co to za przewiezienie przez Styks, czyli taką rzekę, co płynie w Hadesie, krainie umarłych, brał jednego obola, to znaczy jedną monetę. A starożytni Grecy wkładali taki pieniądz do ust swoim zmarłym. Więc doktor mówi, że ten, co zabił, może sobie myśleć, że jest takim przewoźnikiem, i dlatego włożył tę monetę, i dlatego na niej mogą być odciski jego palców.

- No to musimy tylko znaleźć tego gościa od młotka i sprawa załatwiona - ucieszył się Olkiewicz, który nie mógł już

38i

wysiedzieć na miejscu po porannej dawce miodówki wypitej z Malinowskim. Zebrania nudziły go straszliwie, a to dzisiaj szczególnie, bo myślał już tylko o tym, by wyjść z tej zadymionej sali i skoczyć gdzieś do miasta czegoś się napić. - Roześle się ten portret pamięciowy, co to ja jego musiałem zrobić,

po wszystkich komendach i chłopaki prędzej czy później one-
go chwycą. A wtedy się ino porówna odciski palców i już pta-
szek jest nasz - spróbował podsumować coraz bardziej znie-
cierpliwiony Olkiewicz. Niestety, Brodziak ciągnął dalej.

- Sprawdziliśmy też od razu u Malinowskiego sprawę za-
bitego na Rybakach, który podobnie jak nasza dziewczyna
był rozebrany do golasa, a łeb miał rozbity młotkiem, jednak
tu możemy śmiało stwierdzić, że jedno z drugim nie ma nic
wspólnego.

- Skąd ta pewność? - zapytał Marcinkowski.

- Facet nie miał w ustach monety, a poza tym wiem, dla-
czego go zabito. Wyjaśnię ci to, Fred, po zebraniu.

Marcinkowski skinął głową.

- Najważniejsze jednak - ciągnął Brodziak - że mamy tych
klientów, którzy zgwałcili dziewczynę, bo to oznacza, że każ-
demu z góry, kto będzie pytał o wynik śledztwa, możemy dać
odповідź, że podejrzani są już zamknięci. Myślę, że taki ra-
port mogę już napisać dla pułkownika. Stary się ucieszy, a my
będziemy mieć spokój w dalszych działaniach.

- No to ja cię poproszę o taki raport, żeby jak najszybciej
pułkownik Żyto miał go na biurku - zadowolony z efektów
śledztwa Marcinkowski uśmiechnął się do Brodziaka, potem
spojrzał na Olkiewicza.

- Teofil, zajmiesz się rozesłaniem portretu pamięciowego
po wszystkich komendach. Sam też miej oczy otwarte, po-
chodź po różnych miejscach, gdzie by można znaleźć tego
Charona. W końcu ty jedyny z nas wszystkich go widziałeś.

Drzwi do pokoju narad otworzyły się i do środka energicznie wszedł podchorąży Zalewski. Rozejrzał się wokół i wśród siedzących dostrzegł Brodziaka. To jego, według wytycznych Blaszkowskiego, miał zawiadomić, ale zauważył też majora Marcinkowskiego, więc podszedł do niego.

- Obywatelu majorze, podchorąży Zalewski...

- A gdzie zgubiłeś Blachę? - zaśmiał się Olkiewicz, który jak zwykle odezwał się bez pozwolenia dowódcy. Pewnie gdyby na miejscu Marcinkowskiego był ktoś inny, Teofil dawno nauczyłby się dobrych manier i siedział cicho jak mysz pod miotłą, ale Fred Marcinkowski nic sobie nie robił z takich pozaregulaminowych wyskoków. Zalewski nie zamierzał jednak wdawać się w rozmowę z Olkiewiczem. Znał dobrze swoje miejsce w szeregu.

- Obywatelu majorze, myśmy go znaleźli z Blaszkowskim! - zameldował, nie kryjąc przy tym radości.

- Kogo znaleźliście?

- Młotkowego!

- Gdzie? -- Brodziak zerwał się z miejsca. -- Tu w Poznaniu?

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Znaczy się, najpierw na fotce, a potem na miejscu pod domem na tej ulicy Rybackiej.

- Na jakiej fotce? Mów po kolei i dokładnie.

- Tak jest, dokładnie - ucieszył się Zalewski. - Mamy go, tyle że złapali go jacyś faceci, ale wiemy, gdzie go trzymają. Marcinkowski kazał mu usiąść i opowiedzieć wszystko po kolei i dokładnie. Wiciu opróżnił najpierw stojącą na stole butelkę poczynianki, a potem, złapawszy oddech, zaczął

opowieść. Wyjaśnienie wszystkiego nie zajęło mu nawet pięciu minut.

- Gdzie są te zdjęcia? - zapytał Brodziak, gdy chłopak skończył.

383

- Mam je tu. - Wydobył kopertę z tylnej kieszeni dżinsów i szybko położył fotografie na stole. Najważniejsze zdjęcie z tym młotkowym i powiększenie młotka oddzielił od reszty. Olkiewicz, gdy usłyszał o młotkowym, podszedł bliżej. Przez chwilę przypatrywał się obu zdjęciom.

- No i co, Teofil? To ten? - zniecierpliwiał się Brodziak, któremu szkoda było każdej minuty.

- Wygląda jak ten, co to go wdziałem, ale cholera jego wie.

Tam, w tym Jarocinie, to całe masy takich z długimi włosami były - wyjaśnił niepewnie, mając jeszcze resztki nadziei, że może uda się w ten sposób odwieść kolegów od wyjazdu na cytadelę. Misterny plan napicia się w jednej z pobliskich knajp właśnie brał w łeb, bo na zdjęciach był ten sam facet, któremu on odebrał młotek. Liczył więc, że swoją niepewnością co do jednoznacznej identyfikacji odwiedzie ich od pomysłu wyjazdu. Spojrzał na Brodziaka i dostrzegł w jego oczach ten charakterystyczny błysk, który pojawiał się zawsze, kiedy Mirek zapominał o piciu, jeśli pochwycił właściwy trop śledztwa. Wszystko stracone, pomyślał. Trzeba to prędko załatwić, nie ma innego wyjścia. Im szybciej tam pojedziemy, tym szybciej skończymy całą sprawę, przekonywał sam siebie. Wydobył z wewnętrznej kieszeni marynarki okulary, założył je na nos, a potem jeszcze raz pochylił się nad zdjęciami. Cała uwaga

wszystkich siedzących w sali skupiła się na nim.

- No dobra, to jest on, znaczy się ten sam, co mu jego młotek zabrałem - przyznał zrezygnowanym tonem Teofil.

Marcinkowski spojrzał na Brodziaka, a potem na Olkiewiczza.

- Bierzmy się do roboty, bo Blaszkowski tam na nas czeka.

Trzeba chłopakowi pomóc.

Wydobył z paczki papierosa i włożył go do ust. Na pociąg o czternastej trzydzieści nie miał raczej szans się załapać, ale 384

siedemnasta dwadzieścia pięć była całkiem realna. Oczywiście, jeśli się pośpieszą.

GODZINA 11.45

Usłyszał krzyk, potem kilka kroków na betonowej posadzce i głucho uderzenie, którego odgłos utonął w kolejnym, tym razem rozpaczliwym krzyku.

Początkowo nie mógł zrozumieć, gdzie jest. Otworzył oczy, ale wokół było zupełnie ciemno. Przestraszył się nawet, że stracił wzrok, jednak po chwili, gdy spojrzenie przyzwyczaiło się do ciemności, zaczął dostrzegać jakieś kształty. Rozejrzał się i wtedy ujrzał cieniutką poziomą smugę światła. Zorientował się, że to światło wpada tu z jakiegoś sąsiedniego oświetlonego pomieszczenia. To stamtąd dochodził odgłos kroków i te krzyki. Przypomnił sobie w końcu chłopaka na krześle w piwnicy. Pewnie on się tak wydziera, pomyślał, a ci faceci leją go pałą. I pewnie ja też dostałem tą pałą przez łeb i straciłem przytomność. A oni musieli przynieść mnie do tej piwnicy i zamknąć w pomieszczeniu obok.

Chciał wstać, ale okazało się, że ręce ma skute na plecach kajdankami, nogi również. Był więc kompletnie bezradny i bezbronny, całkowicie zdany na łaskę tych oprawców.

Znów krzyk zza drzwi.

- Czego ode mnie chcecie? -- wrzasnął chłopak.

- Zamknij się! Już niczego nie chcemy - odpowiedział mu spokojny, twardy męski głos.

Potem słychać było kolejne ciosy, zadawane raz za razem.

Trwało to może z pięć minut, aż do chwili, kiedy bity przestał krzyczeć. Zapadła kompletna cisza.

- No i co jest? - zadał pytanie nowy głos.

385

- Już jest kompletnie rozjechany. Nie krzyczy nawet. Jak go będę dalej lał, to zaraz wyciągnie kopyta!

- Dobra, daj już spokój. Poczekamy na kapitana.

- A co z tym drugim, przesłuchujemy go?

- Po jaką cholere. Przecież on nie ma nic wspólnego ze sprawą. To jest tylko niewygodny świadek, którego trzeba sprzątnąć razem z tym tutaj.

Usłyszawszy to, Mariusz zaczął się szarpać, jednak po chwili stwierdził, że to nic nie da. W końcu zrozumiał, że jedyną jego szansą jest Zalewski. Wierzył, że Wiciu zorganizował odsiecz i za chwilę wszyscy tu będą.

Kapitan Galaś rozejrzał się dookoła, ale na ulicy nie dostrzegł niczego niepokojącego. Gdyby ktoś obserwował dom, to byłby widoczny jak na dłoni. Mimo to fakty były takie, że ktoś wtargnął na ich teren, a to nie wróżyło niczego dobrego. Trzeba natychmiast podjąć decyzję. Galaś przemyślał

wszystkie za i przeciw i doszedł do wniosku, że rozwiązanie jest tylko jedno. Muszą wszystko jak najszybciej posprzątać i udawać, że nic się nie stało. Jego agent, który miał wykonać zadanie w Jarocinie, nie dość, że go nie wykonał, to jeszcze narozrabiał tak, że do dziś są problemy. Jedno jest pewne: nie można dopuścić, żeby ten kretyn dostał się w ręce milicji, bo wszystko zaraz wyszłoby na jaw: cała akcja i rola, jaką pełnił w niej on i jego ludzie. A ten, który to widział, przez własną głupotę wdepnął w gówno. Nie można mu pozwolić odejść. Początkowo Galaś chciał porozmawiać z tym Domagałą, żeby zrozumieć, co się stało, ale teraz stwierdził, że to i tak nie da, bo co mu może powiedzieć ten przesiąknięty narkotykami typ. Jedno wiedział na pewno. To przez niego wzięty się wszystkie kłopoty, a co gorsza, milicjanci nie przez przypadek mówili ze swoim informatorem o Rybakach. Oni byli

386

na tropie i mogli wszystko skomplikować. Trzeba się spieszyć, zdecydował. No i jeszcze nauczka na przyszłość, w żadnych działaniach nie posługiwać się ćpunami, bo to . | ludzie o zrytych łbach, którym nie można zaufać.

Przycisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Wszedł wąskim korytaryżem wprost do salonu. Grzybek siedział w fotelu, czytał „Express Poznański”, a Konewka leżał na sofie z ręką pod głową, wpatrzony w telewizor, w którym o tej porze nadawano wykłady Politechniki Telewizyjnej. Nudne to było jak diabli, ale przynajmniej można było na coś oko zawiesić. Gdy zauważyli Galasia, natychmiast poderwali się na równe nogi.

- A gdzie jest sierżant Wojtasik? - zapytał Grzybka.

- Melduję, że w ogrodzie kopie.

- No dobra, to teraz powiedzcie mi, co się stało - zażądał Galaś zdecydowanym tonem, siadając w fotelu. Jego podwładni nadal stali, a on nie powiedział im, że mogą usiąść.

- Jakżeśmy zaczęli badanie tego pacjenta, to ja nagle zauważyłem jakiś ruch za okienkiem od piwnicy. No to zaraz pobiegliśmy z Konewką na zewnątrz, a tam taki młody szczon, może ma ze dwadzieścia lat, chciał prysnąć, ale Konewka mu przywalił dwa razy pałą i tamten padł. No to żeśmy go wzięli do piwnicy i teraz leży tam skuty.

- Ma jakieś dokumenty?

Grzybek i Konewka spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie pomyślał o tym, żeby go przeszukać.

- Nie sprawdzaliśmy, ale bo i po co - wyjaśnił porucznik. - To pewnie jest jakiś złodziej, co się tu zakradł, bo chciał obrobić chatę. Kto inny by mógł się tu kręcić i włazić do cudzego ogrodu?

- No to całe szczęście, żeście go zauważyli - pochwalił ich Galaś.

387

Drzwi prowadzące na taras i dalej do ogrodu otworzyły się i do pokoju wszedł Wojtasik. Zobaczywszy kapitana, wyprężył się i zameldował:

- Obywatelu kapitanie, wszystko przygotowane.

- Dobra. - Galaś poderwał się z fotela. - No to idziemy zakończyć całą sprawę.

To ten dom, ostatni po prawej stronie. Tam, gdzie wystaje

paka robura, do którego wciągnęli tego chłopaka - wyjaśnił Zalewski, wskazując na posesję. - Nie rozumiem tylko, czemu nie ma nigdzie Blachy. Powinien gdzieś się tu pętać. Chyba że poszedł w te krzaczory za domem i stamtąd obserwuje wszystko.

- Spokojnie, zaraz się znajdzie - uspokoił go Marcinkowski. - Podjeżdżamy po cichutku jeden dom wcześniej. Mirrek i Zalewski wysiadacie i idziecie do tych krzaków tam, pod górę. Stamtąd musicie jakoś przedostać się przez płot do ogrodu i będziecie blokować drogę ucieczki w kierunku cytadeli. Ja z porucznikiem Chudeckim idziemy do ogrodu sąsiadów i z drugiej strony wchodzimy do środka, pewnie od strony tarasu. W tym czasie Grzechu Kowal zajeżdża nyską drogę roburowi, blokując go na podjeździe, i razem z Teofilem wchodzi do środka. Sprawdzamy teraz nasze zegarki, początek akcji za pięć minut, dokładnie o jedenastej pięćdziesiąt pięć. Teraz u mnie jest jedenasta pięćdziesiąt. Wszyscy ustawili dokładny czas, zgodnie z podanym przez majora.

Najpierw z auta wyszli Brodziak i Zalewski. Obaj spokojnym krokiem pokonali stumetrowy dystans między samochodem a lasem. Po chwili Marcinkowski z Chudeckim zniknęli na posesji graniczącej przez płot z tą, która ich interesowała.

388

ZATRZYMAJ SIĘ!

- To co, Grzechu, ty wejdiesz pierwszy, a ja zaraz za tobą, żeby cię ubezpieczać. - Teofil próbował nadrobić niepokój

dziarską miną. Nie bardzo lubił tego rodzaju akcji. W końcu nigdy nie wiadomo do końca, na co można się w takim domu natknąć. Mogli w nim być jacyś uzbrojeni ludzie, a w tłoku i w nerwach o wystrzał wcale nie jest trudno. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi i nigdy nie wiadomo, kogo taka kula może trafić.

- Spoko, Teoś - uśmiechnął się do niego potężny kierowca, wyciągając spod siedzenia kałasznikowa ze składaną kolbą. Od czasu ubiegłorocznej strzelaniny na Łazarzu, podczas której kula otarła mu się o skroń i zabrakło dosłownie paru milimetrów, by przeorała mu czaszkę, Grzechu Kowal pożegnał się ze swoim służbowym pistoletem i pobrał z magazynu kałacha. Z takim sprzętem czuł się o wiele bezpieczniej.

- Dobra, Teoś, ja wchodzę i jakby co, jak zobaczę tylko jakąś uzbrojoną łapę wyciągniętą w naszą stronę, kropię tym rozpylaczem po wszystkim, co się rusza.

Teofil uspokoił się nieco po zapewnieniach kolegi. W końcu Kowal był tak wielki, że idąc przodem, stanowił świetną żywą tarczę. Tarcza Olkiewicza spojrzała na zegarek i wrzuciła jedynekę. Auto potoczyło się wolno do przodu i zahamowało na podjeździe, blokując drogę wyjazdu.

Kowal odbezpieczył karabin, a Teofil zrobił to samo ze swoją starą tetetką. Ruszyli bez słowa. Po chwili stali przed drzwiami willi. Do wejścia zostało im sześćdziesiąt sekund. Ja pierdołę, co to jest? - zaklął Zalewski, który o mało nie skręcił karku. Przed chwilą z łatwością pokonali ogrodzenie od strony stoku cytadeli. Zlustrowawszy uważnie cały ogród, zauważyli, że najdogodniejszym podejściem pod dom

jest droga prowadząca wzdłuż krzaków porastających gęsto

389

środek ogrodu i dochodzących niemal do samego budynku.

Brodziak z pistoletem w ręku ruszył pierwszy, a za nim skokami posuwał się Zalewski. W połowie drogi postanowili się rozdzielić. Porucznik pokazał młodemu, że ma odejść trochę na lewo od niego, tak żeby mogli zejść dom z dwóch stron. Zalewski natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Przebiegł dwa metry i rzucił się szczupakiem w wolną przestrzeń między krzakami. Jednak nie mógł wiedzieć, że w miejscu, które wybrał na miękkie lądowanie, nie ma trawy, jest za to głęboka, świeżo wykopana dziura. Wpadł do środka, tłukąc się boleśnie. Zaraz jednak podniósł się i wygramolił się z jamy. Spojrzał na nią z góry – wyglądała jak przygotowany do pochówku grób.

- Co tu się, do cholery, dzieje? Ktoś tu chyba szykuje jakiś pogrzeb. - W tym momencie przypomniał sobie o Blaszkowskim, który przecież gdzieś tu powinien być. Zerknął jeszcze raz na grób i nagle zrobiło mu się zimno.

Wychylił głowę zza krzaków i spojrzał w prawo, w miejsce, w którym powinien być Brodziak. Był tam. Lufą pistoletu wskazał boczne drzwi, które zapewne prowadziły do bocznej klatki schodowej. Mogła to być droga i do piwnicy, i na piętro. Musieli więc zdecydować, gdzie iść. Najrozsądniej byłoby, gdyby ruszyli do piwnicy, bo górę sprawdzą pozostali.

Zalewski spojrzał na zegarek, zostało trzydzieści sekund.

Mamy wejście od tarasu. - Marcinkowski wskazał Chu-

deckiemu palcem uchylone drzwi. - Przełazimy przez płot i biegiem pod taras.

Mieli przed sobą jakieś pięć metrów pustej przestrzeni i potem już taras. Marcinkowski pobiegł pierwszy. Z odbezpieczonym pistoletem przykucnął przy murze, a potem przywołał Chudeckiego. Ten po chwili znalazł się koło majora.

390

-Co teraz zrobimy? - porucznik spojrzał niepewnie na dowódcę. Widać było na pierwszy rzut oka, że się boi, dotychczas nie brał ani razu udziału w akcji, w której trzeba było używać broni. Zresztą zastanawiał się cały czas, czy aby na pewno robią słusznie, nachodząc czyjś dom bez nakazu rewizji. Przecież każde takie wtargnięcie powinien zaakceptować prokurator. Tymczasem ten jego dowódca, Marcinkowski, nawet nie zadzwonił do prokuratury przed akcją. Więcej jeszcze, nie powiadomił szefa, pułkownika Żyto. A teraz bez żadnych zezwoleń, z bronią w ręku, szykują się jak bandyci do napaści na jakichś spokojnych ludzi. Być może tu wcale nie mieszkają porywacze, tylko zwykli porządni obywatele. Gdyby jemu przyszło decydować o takich sprawach, to on, porucznik Albin Chudecki, znany ze swych głębokich analiz sytuacyjnych, najpierw załatwiłby wszystkie formalności, później wysłał patrol na rozpoznanie terenu, sporządziłby szkic sytuacyjny, a dopiero potem, po otoczeniu domu przez kordon milicyjny, wezwałby tych, którzy są w środku, do wyjścia na zewnątrz. Wszystko zgodnie z prawem i bez zbędnego narażania ludzi, no i siebie samego, oczywiście. A wszystko to na dodatek na podstawie niepewnego mel-

dunku jakichś dwóch milicyjnych praktykantów, którzy nie mają pojęcia, jak wygląda prawdziwe porwanie. To, że ktoś kogoś wrzuca do samochodu, jeszcze niczego nie dowodzi.

Z zamyślenia wyrwał go Marcinkowski.

- Idziemy pod drzwi - wydał polecenie. - Ja wchodzę pierwszy, a ty mnie ubezpieczasz. Jak zobaczysz kogoś z bronią w ręku, najpierw strzelaj, a później się pytaj, o co chodzi, jasne?

- Jak to, a strzał ostrzegawczy w powietrze?

- Ostrzegawczy może być twoim ostatnim strzałem w życiu.

391

Po cichu wpełzli na taras i przycupnęli pod oknem, tuż przy uchylonych drzwiach.

-- Dwadzieścia sekund - szepnął Marcinkowski.

Charon leżał skulony na podłodze. Jeszcze przed chwilą bolało go dosłownie wszystko. Ból rozsadzał mu czaszkę i cały brzuch. Jednak to właśnie ten ból sprawił, że ocknął się przed chwilą. Otworzył oczy i ból minął. Był teraz zupełnie spokojny. Czekał na to, co powinno się zaraz wydarzyć. Czuł się nawet szczęśliwy, bo wiedział, że za chwilę wszystko to może się skończyć. Żał mu było tylko tych głupców, którzy się nad nim pastwili. Nie wiedzieli, co robią. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie wiedzieli też najważniejszego, że w ten sposób pomagają mu zrzucić to niewygodne ciało śmiertelnika, który tylko przypadkiem znalazł się tutaj, wśród ludzi. On jeszcze niedawno też nic na ten temat nie wiedział i był normalnym chłopakiem zaczytującym się grec-

ką mitologią. To okazało się tą pierwszą wskazówką, która pozwoliła mu odkryć siebie na nowo. A później nastąpił moment przejścia, chyba na wiosnę, podczas którejś z imprez. Wstrzyknął sobie wtedy zbyt dużą dawkę kompotu. Mało wtedy nie umarł, znalazł się w stanie krytycznym w szpitalu, ale jakoś go odratowali. Zupełnie niepotrzebnie, bo podczas tego odjazdu zrozumiał, kim jest naprawdę i jakie jest jego prawdziwe przeznaczenie. Potem wracał do swego prawdziwego ja za każdym razem po wstrzyknięciu działki. Robił to coraz częściej, bo wtedy mógł obcować z prawdziwą rzeczywistością, a nie tą, która otaczała go na tych szarych i brudnych ulicach.

Teraz, leżąc na brudnej i śmierdzącej podłodze, zalanej krwią i jego własnymi wymiocinami, mimo bólu czuł się szczęśliwy, bo odkrył, że i bez narkotyków może zbliżyć się do

392

przeistoczenia. Gdy stracił przytomność, zobaczył ogromny czarny tunel, który natychmiast rozpoznał. Widział go już wcześniej nie raz. To było zejście do Hadesu, a na jego końcu zaczynały się brzegi Styksu. Tam powinien się znaleźć) tam miał swoje zadanie do wykonania. Dlatego teraz czekał, aż ten, który go bił, przyjdzie jeszcze i pomoże mu ruszyć w drogę. Szkoda tylko, że ten głupiec nie wie, jaką rolę wyznaczył mu Charon. Nie wie, że został oszukany, ale czego można się spodziewać po zwykłych śmiertelnikach.

Usłyszał kroki i uśmiechnął się w duchu. Już idę w swoją drogę. Zaraz tam będę. Zaraz zacznę na nowo swoją pracę.

- No, śmierdzieliu, zawiodłeś mnie, a ja nie wybaczam ni-

gdy. Gdybyś zrobił wszystko tak, jak ustaliliśmy, nie byłoby dziś problemu i nadal mógłbyś sobie spokojnie ćpać, ale niestety, okazało się, że jesteś tylko zasranym ćpunem. Wiesz co, Grzybek, ja sobie myślę, że pozbywając się takiego gówna, robimy przysługę społeczeństwu.

Grzybek trochę niepewnie skinął głową. Nie bardzo mu się podobało to, co chciał zrobić kapitan, ale to w końcu on jest dowódcą i wie lepiej.

- Dobra, dawaj tego starego visa.

Grzybek wyciągnął z kieszeni niezarejestrowany pistolet, który jakiś czas temu podczas akcji skonfiskowali jakiemuś przestępcy. Na wszelki wypadek Galaś wolał się zabezpieczyć i nie używać swojej służbowej broni.

Zarepetował pistolet i wymierzył w głowę leżącego. I wtedy zobaczył, że ten na podłodze uśmiecha się, jakby sobie z niego drwił.

- Skurwiel - syknął Galaś przez zęby i pociągnął za spust.

Huk wystrzału wypełnił niemal cały dom.

O kurwa - jęknął major - ktoś strzelił! - Błyskawicznie zerwał się na równe nogi i wpadł do pustego salonu. Chudecki skoczył za nim i natychmiast przewrócił się, potknąwszy się o dywan. Jak długi rozłożył się na podłodze, a pistolet wypadł mu z ręki i wleciał pod meblościankę. Rozejrzał się, spanikowany, wokół, ale majora nie było już w pokoju. Jak mam go ubezpieczać, jak nie mam, kurwa, broni, przeleciało mu przez głowę. Szybko więc podczołgał się do mebla i zaczął ręką przeszukiwać miejsce, w którym powinna leżeć jego tetetka.

Marcinkowski tymczasem wybiegł na niewielki korytarzyk i tu wpadł na Grzecha Kowala z kałasznikowem w ręku. Zza jego pleców wychylał się wystraszony Olkiewicz, który rozglądał się bacznie dookoła.

Usłyszeli jakiś ruch na dole, więc decyzja mogła być tylko jedna.

- Teofil, ubezpieczasz górę, Grzechu, ze mną do piwnicy. -

W tym momencie pod nimi rozległ się potężny huk, ale nie był to kolejny strzał.

W chwili gdy padł strzał, Zalewski zerwał się na nogi i wielkimi susami przesadził dystans dzielący go od bocznych drzwi. Po sekundzie dobiegł do niego Brodziak. Szarpnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Nie było co się długo zastanawiać. Zalewski wziął rozbieg i runął na przeszkodę.

Pomalowane na zielono drzwi z podwójnej dykty, wzmocnione sosnową deską, rozleciały się w drzazgi, a milicjant wyładował na podłodze przyziemia. Brodziak nie czekał, przeskoczył nad nim i wbiegł na schody prowadzące w dół do piwnicy. Wpadł do niewielkiego przedsionka, w którym stał jakiś facet. Jeden cios wyprowadzony prosto w szczękę rozłożył zaskoczonego na ścianie. Napastnik natychmiast przestał zawracać sobie nim głowę. Pobiegł dalej. Ogłuszony

394

uderzeniem mężczyzna nie zdążył jeszcze upaść na podłogę, gdy Zalewski, który właśnie przesadził dwoma skokami schody, na wszelki wypadek kopnął go z całej siły i pognął za porucznikiem.

Znaleźli się w niewielkiej zagraconej piwniczce. Brodziak

natychmiast zauważył leżące na podłodze zwłoki chłopaka. Błyskawicznie ocenił sytuację. Za drzwiami po lewej paliło się światło. Ktoś tam był. Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Zalewski podobnie jak pierwsze drzwi, i te pokonał, używając siły rozpędu. Z trzaskiem wtargnął do środka i potoczył się po posadzce. Upadając, zauważył trzech mężczyzn. Jeden z nich miał w ręku pistolet. Zalewski obrócił się jak szczupak na plecy, mierząc do tego uzbrojonego. Przeszkoda, na jakiej się zatrzymał, zajęczała. To był Blaszkowski, którego całym ciałem zasłonił Zalewski.

Galaś zamarł z pistoletem w ręku. Ten ułamek sekundy wykorzystał Brodziak. Niemal bez mierzenia posłał kulę w uzbrojoną rękę. Nie spudłował. Pistolet upadł na ziemię, a trzymający go jeszcze przed momentem esbek przewrócił się na stertę węgla.

Grzechu Kowal, który korzystając z zamieszania, błyskawicznie powalił ciosem w szczękę tego, który stał najbliżej drzwi, teraz rzucił się w kierunku trzeciego. Nie musiał do niego strzelać. Konewka, widząc, co się dzieje, od razu podniósł obie ręce do góry.

- No co tam, Blacha? - Zalewski mrugnął do ciężko przestraszonego kolegi. - Już się witałeś ze świętym Pietrem?

-- Byłem blisko - potwierdził Mariusz.

Do składziku wbiegł major Marcinkowski. Stał w drzwiach piwniczki i rozejrzał się wokół. Natychmiast rozpoznał Galasia i zły błysk pojawił mu się w oku. Za jego plecami rozległo się człapanie, a potem pojawił się porucznik

Olkiewicz. Zjrzał do środka, zobaczył skutego Blaszkowskiego, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na leżącym na węglu Galasiu.

- Łe, tej, no niech mnie drzwi ścisną, ale to jest nasz dzielny kapitan Galaś z przetrąconą łapą - ucieszył się jak dziecko Teofil Olkiewicz.

godzina 12.15

Teoś siedział w fotelu przed telewizorem. Ten rubin to w porównaniu z jego peweksowskim sonym straszliwe gównno, pomyślał. Kolory nie mają prawie nic wspólnego z naturą. Przekonał się już o tym wiele razy, bo u kilku jego znajomych były właśnie rubiny i w zależności od sztuki jedne miały wszystkie kolory w odcieniach różu, inne zieleni, a jeszcze inne błękitu. Ten, w który wpatrywał się teraz, był chyba wyjątkowy, bo po raz pierwszy widział telewizor z dominującym kolorem żółtym. Wykładowca Nauczycielskiego Uniwersytetu Radiowo-Telewizyjnego, objaśniający na tablicy jakieś zadanie z fizyki, miał żółtą twarz i do tego jeszcze żółty fartuch, który w naturze zapewne był biały.

- Patrzcie, jaki żółty odbiór - ucieszył się Teofil, ale ani Brodziak, ani Marcinkowski nie zwrócili na niego uwagi. Od paru minut omawiali niezwykle ważną kwestię: jak wybrnąć z tej sytuacji, zachowując twarz.

Bo sytuacja naprawdę była nie do pozazdroszczenia. Znajdowali się w tajnym lokalu sb i jak ich zapewniał wydzierający się Galaś, przerwali tajną akcję bezpieczeństwa. Nie wydierał się jednak zbyt długo. Teofil z przyjemnością strzelił go w pysk i kapitan umilkł. Marcinkowski zostawił esbeków pod stra-

żą, którą sprawował Grzechu Kowal wraz z Chudeckim,

396

natomiast Blaszkowskiego i Zalewskiego posłał na zewnątrz, aby trzymali straż przed domem, bo nigdy nie wiadomo, czy coś się jeszcze nie wydarzy. Sam z Olkiewiczem i Brodziakiem poszedł na górę, żeby zastanowić się nad sytuacją.

Tak więc z jednej strony mieli przerwana akcję z trupem gościa, który był przez nich poszukiwany w sprawie morderstwa. Wszystko wskazywało na to, że chłopaka zastrzelił Galaś. Potem ten sam Galaś chciał zastrzelić 'niewygodnego' świadka, czyli Blaszkowskiego.

-- Musimy wiedzieć, o co tu chodzi, zanim podejmiemy jakieś decyzje - zdecydował major.

-Tylko że ten pieprzony Galaś nie chce nic powiedzieć!

Brodziak już próbował go wypytać, ale esbek milczy jak zaklęty.

-Teofil, Mirek, słuchajcie. Mamy jedyną i niepowtarzalną szansę, żeby dowiedzieć się, co tu się stało i dlaczego. Ale musimy to zrobić tu i teraz, bo później będzie za późno.

Mamy łobuza w rękach!

Brodziak uśmiechnął się radośnie i klepnął majora w kolano.

- Masz jaja, majorze. - Podniósł się i spojrzał na Olkiewicza. - Teoś, chyba masz jakieś rachunki do wyrównania z panem Galasiem?

Teofilowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zresztą wykład z dynamiki znudził go tak bardzo, że teraz z przyjemnością wstał, by oddać się o wiele przyjemniejszemu

zajęciu.

Zeszli po schodach na dół. Grzechu Kowal siedział z kałasz-
nikowem w ręku na krześle na środku pomieszczenia. Pod
oknem oparty o ścianę stał porucznik Chudecki. W kącie
nadal leżało ciało zabitego chłopaka, a pod przeciwległą ścia-
ną siedzieli czterej esbecy. Galaś nie wyglądał najlepiej, był
397

blady jak ściana albo nawet jak bandaż, który ciasno ścisnął
jego przestrelone przedramię.

- Jak tam się mają nasi bandyci? - zapytał Brodziak, wcho-
dząc do piwnicy.

- Grzeczni jak baranki - uśmiechnął się Kowal.

- My nie bandyci, ale milicjanci -- zdenerwował się Grzy-
bek.

- Milicja to my, a wyście są jak wrzody na dupie całego
resortu - odpowiedział mu Olkiewicz.

- Poruczniku Chudecki, weźcie tych dwóch na górę, do
majora, na przesłuchanie, a my tu pogadamy sobie trochę
z panem Galasiem.

Chudecki natychmiast wydobył z kabury pod marynarką
swoją pistolet i machnął nim przed oczami Grzybka.

- No dalej, idziemy! - krzyknął groźnie.

Esbecy posłusznie ruszyli po schodach.

- Grzechu, bądź tak uprzejmy i posadź kapitana na tym
krzeselku, musimy sobie trochę pogadać.

Galaś usiadł, podtrzymywany przez Kowala.

- Chcę natychmiast skontaktować się z pułkownikiem

Wroną - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Spokojnie, kochaniutki, niedługo się skontaktujesz, ale najpierw powiesz nam wszystko o tym, co tu robiliście i dlaczego, i o tym, po co zabiłeś naszego podejrzanego i czemu chciałeś zabić naszego kolegę.

- Gówno wam powiem! To ściśle tajna akcja prowadzona przez Służbę Bezpieczeństwa. Wszyscy pójdziecie siedzieć za utrudnianie nam pracy. Już ja się o to postaram.

- Na razie to ja się postaram o to, żebyś zaczął gadać - powiedział Brodziak i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Galaś spadł z krzesła na podłogę, ale po chwili znów się na nim znalazł, usadowiony przez Kowala.

398

- Trzeba by go jakoś przywiązać, bo nam co chwila będzie zlatywał - zauważył praktyczny jak zwykle Olkiewicz. Sięgnął po kajdanki i skuł mu ręce z tyłu, za oparciem krzesła, nic sobie nie robiąc z tego, że uraża mu przestrzelone przedramię. Podczas krępowania zauważył, że pod ścianą leży ogromna zomowska pałka. Wziął ją do ręki i machnął kilka razy w powietrzu.

- Łe tej, mamy nawet fachowy sprzęt do przesłuchiwania. Galaś zadrżał na widok pały. Wiedział, że nie wytrzyma bicia, bo jak już dawno zauważył, jest bardzo mało odporny na ból. Jediną jego szansą było przestraszenie tych ludzi.

- Pułkownik Wrona was wszystkich wypierdoli z milicji i jeszcze wsadzi do więzienia, zobaczycie, wy skurwiele! Całą sb postawię przeciw wam na nogi. Będziecie mieć przejebane jak w czołgu, wy świńskie ryje, będziecie mnie jeszcze błagać na kolanach...

Teofil podszedł bliżej i trzasnął go na odlew w twarz otwartą dłonią. Galaś zamilkł, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Widziałeś, jak pyskuje - powiedział do Brodziaka. - Chyba ma pory już całe obesrane ze strachu. Coś mi się widzi, że szybko nam pójdzie, bo to cienki Bolek jest. A ty, gnido esbecka, swoją Wroną nas nie strasz, bo na razie to my jesteśmy po stronie prawa, a tyś jest zwykły morderca, rozumiesz?

- Dobra, Teoś, nie ma co tracić czasu. Grzechu, zamknij drzwi, żeby się nie niosło po chacie - rozkazał Brodziak, podwijając rękawy koszuli. - Daj, Teoś, tę pałkę. Pogadamy sobie trochę, co nie, Galaś?

399

godzina 12.35

Jakbyśmy się nie pośpieszyli, tobyś tu dziś spokojnie sobie leżał przysypany warstwą ziemi, z przestrzeloną łepetyną. -- Zalewski splunął na dno dołu, który esbecy przygotowali dla swoich dwóch ofiar. Mariusz spojrzął pod nogi i nagle zrobiło mu się zimno. Przed oczami stanęła mu cała ta sytuacja sprzed kilkadziesiąt minut. Najpierw był strzał za drzwiami, a potem do składziku węgla, w którym on leżał zupełnie bezsilny, weszli dwaj faceci. Za drzwiami stał jeszcze jeden. Zapalili światło i wtedy ich zobaczył. Wszedł ten w garniturze, którego widział przez okienko, i drugi, z pistoletem w ręku. Mariusz poznał go od razu. To był ten Galaś z sb, którego spotkał wcześniej w Jarocinie. Galaś spojrzął na niego i też go rozpoznał.

- Kurwa mać, to jest milicjant - powiedział do Grzybka.

- O ja pierdolę - jęknął porucznik.

- Co ty tu, kurwa, robisz, gnoju? - zapytał go kapitan.

- Śledzę bandę morderców - odpowiedział Mariusz.

- No to długo już nie pośledzisz. - Esbek wysunął dłoń z pistoletem w kierunku jego głowy.

W tym momencie gdzieś w głębi piwnicy rozległ się jakiś trzask, a zaraz potem drzwi do składziku rozleciały się i do środka wpadł Wiciu Zalewski. Przetoczył się po podłodze i całym swoim ciężarem przygniótł Blaszkowskiego.

W tej samej chwili rozległ się strzał i Galaś przewrócił się na stertę węgla. Jego pistolet przeleciał nad Zalewskim, wyrznął w głowę Mariusza i spadł na posadzkę tuż przy jego twarzy.

O, prawdziwy vis, pomyślał Blaszkowski i się rozpłakał. Po chwili sierżant Kowal zdjął mu z rąk i nóg kajdanki, później wziął go na ręce i zaniósł schodami na górę. Położył go

400
ostrożnie na kanapie, a potem wyciągniętą z kieszeni chusteczką otarł mu zażawione oczy.

-- Panie sierżancie... -- Mariusz chciał coś powiedzieć, ale Kowal wszedł mu w słowo.

-- Nic się nie martw, dzieciaku, łzy to normalna sprawa nawet dla facetów. Znam to, puściły ci nerwy, byłeś przecież o krok od najgorszego. Powiem ci coś w tajemnicy. Wtedy, w zeszłym roku, jak ten kolejarz strzelił mnie w łeb i lekarz w szpitalu powiedział mi, że miałem więcej szczęścia niż rozumu, bo kula przelazła tylko po skórze, to se pomyślałem, że mam cholernego farta. A później, jak on już poszedł i zostałem sam, to się normalnie rozpłakałem. Nikt o tym nie

wie, ale każdego może to trafić.

-- Poważnie? -- Mariusz nie mógł uwierzyć. Płaczący Kowal to niewiarygodne. Ten ogromny twardziel zareagował dokładnie jak on.

-- Poważnie, chłopaku. No, to teraz widzisz, że to normalne. Tylko nie mów o tym nikomu, zgoda?

-Jasne!

W pokoju pojawił się Zalewski. Podszedł do leżącego Mariusza, przyjrzał mu się uważnie, a potem uśmiechnął się szeroko.

-- No, co się tak gapisz? Żyję i żyć będę jeszcze trochę, też dzięki tobie!

-- E, co tam. - Zalewski machnął ręką. - Major kazał mi zobaczyć, w jakiej jesteś formie, i wziąć cię trochę na powietrze, jak dasz radę.

Od strony cytadeli zerwał się lekki wiatr, który poruszył liście na drzewach porastających stok, a na niebie pojawiły się skłębione chmury. Upalny Poznań czekał na zmianę pogody i deszcz, który zmyłby kurz z ulic i chodników, a te

401

chmury, przygnane przez wiatr, mogły być zwiastunem takiej zmiany.

- Chyba będzie padać - powiedział Mariusz, patrząc w niebo.

- To dobrze, nie? - uśmiechnął się Zalewski.

- Zdaje się, że mamy koniec śledztwa. Jeśli odciski palców z monety zgadzają się z tymi z ręki tego chłopaka, to jesteśmy w domu.

- Brodziak powiedział, że będziemy to wiedzieć jeszcze dzisiaj i dziś też dostaniemy ekspertyzę w sprawie młotka, tego, co Olkiewicz zabrał mu w Jarocinie.

- Nie rozumiem tylko jednego - zastanawiał się głośno Blaszkowski - dlaczego ten chłopak ją zabił.

- A kto by tam zrozumiał ćpuna - rozstrzygnął Wiciu Zalewski.

godzina 13.30

Pułkownik Żyto usiadł w fotelu naprzeciw Freda Marcinkowskiego. Przed chwilą radiowóz przywiózł go z komendy pod dom koło cytadeli. Zdziwił się bardzo, dowiedziawszy się, że sb ma do dyspozycji taki lokal albo właściwie miała, bo po dzisiejszej akcji to ściśle tajne miejsce zostało zdekonspirowane i można było w nim urządzić co najwyżej przedszkole milicyjne, a nie tajną bazę operacyjną. W rozmowie telefonicznej Fred opowiedział mu wszystko, co się wydarzyło, dlatego Żyto kazał im zostać w tej willi i postanowił, że sam przyjedzie na miejsce.

- No to mamy tu niezły pasztet, Fred. A co mówi ten pierdolony Galaś?

402

- Że to tajna akcja sb i chce rozmawiać tylko z pułkownikiem Wroną.

- No to porozmawia, bo tego Wronę, proszę ja ciebie, będziemy musieli tu wezwać, żeby zobaczył, co nawywijali jego ludzie. Szkoda tylko, że nie dowiemy się, o co tym bydlakom chodziło. Jak ich znam, to zaraz nabiorą wody w usta, proszę ja ciebie, i nic nam nie powiedzą, tylko jeszcze bardziej będą

chcieli zamydlić cały obraz sytuacji.

Marcinkowski uśmiechnął się tajemniczo i spojrzał z błyskiem w oczach na swojego szefa.

- My już wiemy, pułkowniku, wszystko! Galaś nam wyśpiewał.

- Nie może być - zdziwił się pułkownik. - Powiedział, co to za heca z tym porwaniem i zabiciem?

- Powiedział.

- Sam, z własnej woli, proszę ja ciebie, powiedział?

- No, Teofil z Mirkiem go przekonali. - Pułkownik roześmiał się głośno. Doskonale wiedział, w jaki sposób ci dwaj mogli przekonać Galasia. Tym bardziej spodobało mu się to, że uczestniczył w tym Olkiewicz, którego jeszcze niedawno ten Galaś chciał wyrzucić z milicji.

- No to mów, o co w tym wszystkim chodzi, żebym ja, proszę ja ciebie, miał dla tego Wrony mocne argumenty.

Marcinkowski wyciągnął z paczki papierosa i zapalił. Nie częstował szefa, bo jego zwierzchnik już dawno temu rzucił palenie, twierdząc, że papierosy szkodzą, a on chce umrzeć zdrowszy.

- Akcja wymyślona przez Galasia - zaczął opowieść Fred - miała kryptonim „Mocne uderzenie”. Galaś stworzył misterny plan, który miał pomóc wprowadzić w kraju porządek.

Według niektórych myślicieli z sb należało go wprowadzić

403

siłą. Dochodziły do nich bowiem alarmujące informacje, że po wakacjach w najważniejszych zakładach kraju zaczyną się

znowu strajki. Galaś chciał rozniecić iskrę, która zdetonuje beczkę z prochem. Tą iskrą miał być ten chłopak, co teraz leży w piwnicy z przestrzeloną głową, sb szukała narkomana, który za pieniądze zgodzi się zrobić wszystko. I znalazła. Facet miał przyjechać do Jarocina i zabić kogoś bardzo popularnego. Padło na takiego wariata, on się nazywa chyba - tu Fred spojrzął do swojego notatnika, gdzie zapisywał istotne szczegóły -- nazywa się Jerzy Owskiak, to taki pajac, co robi różne happeningi, a ostatnio na festiwalu zakładał Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników. Więc Galaś wymyślił sobie, że tego Owsiaaka mógłby zabić na oczach całego jarocińskiego tłumu ten chłopak. Najlepszy był pomysł z młotkiem. To też wymyślił Galaś. Młotek miał całkowicie odsunąć podejrzenia, że to prowokacja sb, bo bezpieka raczej nie posługuje się takimi narzędziami. Młotka mógł użyć przecież tylko wariat. Jeśli by się to udało, to tłum rzuciłby się na zabójcę i na pewno by go rozszarpał na kawałki. Doszłoby do gigantycznej bójki i wtedy interweniowałaby milicja. A każda taka interwencja skończyłaby się wielką wojną milicji z młodzieżą. Niech sobie pan wyobrazi te kilkanaście tysięcy młodych ludzi walczących z milicją. Zjechałoby zomo i zrobiło pacyfikację, i wtedy padłyby strzały, które w tłum oddaliby ludzie Galasia.

Żyto otarł pot z czoła swoją wielką chustką. To był naprawdę szatański plan, który mógł się zrodzić tylko w chorym umyśle jakiegoś szaleńca, a ten Galaś na wariata przecież nie wyglądał.

- Są ranni, zabici, pobici przez zomo, aresztowani - ciągnął

dalej Fred. - Reszta rozjeżdża się po całej Polsce, bo przecież są tu dzieciaki z całego kraju, które roznoszą informacje do-
404

słownie wszędzie o brutalnej pacyfikacji i zabitych. Nastroje się radykalizują, bo przecież nie chodzi tu o bicie robotników, ale o strzelanie do dzieci. Ludzie wychodzą na ulice. Dochodzi do zamieszek, które pacyfikuje milicja i wojsko. Mamy powtórkę stanu wojennego i jednocześnie umocnienie władzy.

-Jak to się stało, proszę ja ciebie, że się nie udało? - zapytał cicho pułkownik, przerażony pomysłem Galasia.

- Chłopak nawalił. Galaś dał mu narkotyki i pieniądze, więc był przekonany, że wszystko się uda. Ale chłopak przed przystąpieniem do akcji postanowił zrobić próbę generalną. Wybrał bezbronną, nieprzytomną ofiarę i roztrzaskał jej głowę. Potem zameldował Galasiowi, że to zrobił i że może załatwić tego Owsiaaka. Wtedy Galaś, widząc że ma do czynienia z wariatem, powinien był wszystko przerwać, ale okazał się zbyt zaślepiony swoim genialnym planem. Kazał chłopakowi przystąpić do akcji. Akcja jednak nie wypaliła, bo młotkowy zniknął. Może się przestraszył, zaćpał albo coś jeszcze. Jedno jest pewne: nie udało się skrzesać iskry i beczka nie wybuchła. Pozostał za to bałagan po nieudanej akcji. To dlatego Galaś chciał za wszelką cenę przejąć śledztwo w Jarocinie i pewnie zatrzeć ślady. Ale tam doszło do spięcia z Brodzikiem i Teofilem, który obił mu głowę. Nie zdołał nic zrobić, więc najważniejszą sprawą, którą musiał załatwić, było znalezienie i sprzątnięcie chłopaka, aby nie dostał się w nasze ręce.

No i prawie by mu się udało, gdyby nie Blaszkowski i ten jego kolega Zalewski.

-- No to, proszę ja ciebie, musimy to piwo nawarzone przez sb jakoś wypić. Rozumiesz, że musimy zrobić wszystko, żeby ta sprawa nie wyszła na jaw. Jakby się to rozniosło, proszę ja ciebie, co te gnoje przygotowały, to mogłaby być katastrofa.

405

- Rozumiem, o co chodzi, pułkownik. Sprawę już przemyślałem. Wygląda to tak: dzięki współdziałaniu sb i mo udało się ująć zabójcę dziewczyny zamordowanej w Jarocinie. Niestety, zabójca został zastrzelony podczas próby ucieczki. Tak to przedstawię w swoich raportach Galaś i Brodziak. Nie będzie skandalu, nie będzie sprawy, ale coś za coś.

Na sprzątnięcie wszystkiego pod dywan Marcinkowski musiał się zgodzić, bo sprawa była zbyt poważna i jeśli nie tu i teraz, to i tak za chwilę by zrobiono to na wyższym szczeblu, z tym że wtedy skutki takiego odgórnego tuszowania mogłyby dotknąć wszystkich milicjantów zaangażowanych w śledztwo, a Fred nie był samobójcą.

- Znaczy się co, proszę ja ciebie?

- Nie ma sprawy Olkiewicza, sb wycofuje raport Galasia w sprawie pobicia i nikt już nie mówi o zawieszaniu go.

- Myślę, że damy radę wymusić na Wronie bez problemu to wycofanie.

- I druga rzecz, ten Galaś ma zniknąć z sb.

Pułkownik Żyto uśmiechnął się radośnie.

- Co ty myślisz, Fred, że ja bym gadowi pozwolił chodzić

jeszcze po naszych korytarzach? To będzie, proszę ja ciebie, główny mój warunek dla Wrony.

Po chwili pułkownik Żyto podniósł słuchawkę telefonu, za pomocą którego można było się połączyć bezpośrednio z centralą sb w komendzie wojewódzkiej. Po drugiej stronie natychmiast odezwała się pani Mariolka.

- Dzień dobry - odezwał się Żyto.

- Słucham?

- Z pułkownikiem Wroną.

- A kto mówi?

- Pułkownik Żyto.

- Jaki pułkownik Żyto? - zdziwiła się telefonistka.

406

- Łącz, dziecinko, i nie gadaj, proszę ja ciebie.

Zapadła cisza. Po chwili męski głos rozległ się w słuchawce.

- Kto mówi? - zapytał Wrona. Na taką chwilę Żyto czekał od dawna. Wreszcie mógł zatriumfować nad swoim odwiecznym oponentem, bo dotąd w każdym starciu między wydziałem dochodzeniowo-śledczym a bezpieczeństwem przegrywał sromotnie, sb była wszechwładna, do dzisiaj!

- Nie wiedziałem, proszę ja ciebie, że sb ma taką ładną willę na cytadeli.

Znowu cisza w słuchawce.

- Mogę cię po niej oprowadzić - warknął nie swoim głosem pułkownik Wrona.

- A, to świetnie, proszę ja ciebie, bo gospodarujący tu dziś kapitan Galaś trochę zaniemógł. Może byś tu wpadł na

chwilę? Pogadamy.

godzina 16.30

Pukanie do drzwi obudziło Teofila, który przed godziną zasnął w fotelu przy swoim biurku. Rozejrzał się dookoła i zdziwił, że w pokoju jest sam, jednak zaraz przypomniał sobie, że przecież został tu celowo. Po opiciu wraz z kolegami pomyślnego zakończenia śledztwa postanowił, że nieco dłużej zostanie w biurze. Przypomniało mu się bowiem, że ma tu jeszcze schowaną ćwiartkę jarzębiaku. Uznał, że nie warto zostawiać jej do jutra.

Pukanie się powtórzyło.

-Wejść - warknął Olkiewicz, chowając pod biurko opróżnioną butelkę. Do pokoju wszedł podoficer na służbie i zameldował, że ma jakąś ekspertyzę. Teofil odebrał kopertę,

407

a potem machnął na kaprala, że może już iść. Położył ekspertyzę na regale, nie zaglądając do środka, i zapalił papierosa. Ekstra mocne bez filtra to jego ulubiona marka. Nieważne, że śmierdziały jak kopcący się siennik. Najważniejsze, że są mocne, powtarzał Olkiewicz, kiedy koledzy dawali mu do zrozumienia, że powinien przerzucić się na coś mniej cuchnącego. Popatrzył na pustą butelkę po jarzębiaku i postanowił, że nie ma co kończyć za wcześnie tego sympatycznego dnia. Tyle się w końcu wydarzyło. Miał jeszcze w pamięci minę Galasia, który wychodził z willi wyprowadzany przez swoich podwładnych. Wyglądał jak wrak człowieka. Nie dość, że był porządnie obity, do czego w dużej mierze przyczynił się Teofil, to jeszcze przegrał z kretelem na całej linii.

Pułkownik Żyto oznajmił Olkiewiczowi, że kapitan Galaś wycofuje swój raport o pobiciu w Jarocinie i odtąd nie ciąży już na nim żadne zarzuty, a sprawa dyscyplinarna zostaje zakończona. Teofil był nawet skłonny przypuszczać, że Galaś postradał zmysły, bo gdy z piwnicy wynoszono na noszach trupa tego chłopaka, ciało zsunęło się na podłogę wprost pod nogi esbeka. Ten stał przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w martwą twarz, a potem zaczął się śmiać, zupełnie jak oszalały. Dopiero Grzechu Kowal przywrócił go do porządku, uderzając go swoją wielką łapą w plecy.

Kiedy Olkiewicz wrócił do komendy, Żyto kazał zebrać się całemu zespołowi w sali konferencyjnej. W tym czasie Blaszkowski oddał odciski zdjęte z palców zastrzelonego hipisa do analizy. Miały zostać porównane z tymi z monety znalezionej w ustach dziewczyny z Jarocina. Żyto poprosił telefonicznie technika od badań daktyloskopijnych, żeby zajął się porównaniem natychmiast.

Czas oczekiwania na ekspertyzę postanowił wykorzystać na przedstawienie wszystkim zainteresowanym, jakie są ustalenia z pułkownikiem Wroną. Nikt nawet się nie zdziwił, że

dobito targu, nikomu nie przyszło też na myśl, że właśnie dokonano na ich oczach brudnego szwindlu. Każdy wiedział, że tak trzeba, bo gdyby to nagłośniono, stracić mogli wszyscy, a na pewno nikt by niczego nie zyskał. Chodziło przecież o dobre imię całego resortu, które na pewno by ucierpiało, gdyby ta cała brudna sprawa wyszła na jaw.

Jeden tylko Brodziak nie mógł powstrzymać się od zjadli-

wego komentarza:

- Jak zwykle te esbeckie świny narozrabiały, a my musimy za nich sprzątać.

Żyto chciał mu coś odpowiedzieć, ale na szczęście z kłopotu wybawił go Blaszkowski, który z wypiekami na twarzy wpadł do środka. Podszedł do pułkownika i podał mu koperkę. Dowódca przekazał ją Marcinkowskiemu, tłumacząc, że nie ma ze sobą okularów do czytania. Major szybko wydobył ze środka niewielką kartkę. Zaledwie rzucił na nią wzrokiem i zaraz na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

-No, panowie, chciałem powiedzieć, że gratuluję wam wszystkim porządnej roboty. Ekspertyza potwierdza bez żadnych wątpliwości, że odciski z monety są takie same jak te pobrane od denata. Mamy więc naszego mordercę.

Mieli mordercę, tyle że nie mieli człowieka. Najważniejsze jednak, że sprawa została zakończona w niemal ekspresowym tempie. Co prawda, czekali jeszcze na ekspertyzę dotyczącą narzędzia zbrodni, czyli młotka, który Teofil zabrał w Jaroci- nie temu chłopakowi. Ale to w końcu już tylko drugorzędna kwestia. Sprawy potoczyły się nadzwyczaj pomyślnie i dzięki temu zaraz po zebraniu major Marcinkowski mógł pożegnać się ze wszystkimi i spokojnie pojechać do rodziny nad Bałtyk. Cała papierkowa robota spadła teraz na Brodziaka, który jednak wcale nie zamierzał od razu zabierać się do pracy.

409

Najpierw zaprosił wszystkich na małą wódeczkę do swojego pokoju, bo w końcu było co opijać.

Po godzinie i wypiciu trzech butelek żytniej z kłoskiem,

które załatwił w bufecie sierżant Kowal, całe towarzystwo rozeszło się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Został tylko Teofil, który postanowił dopić w samotności swoją małą flaszkę jarzębiaku. Został, wypił i zasnął znudzony po dniu pełnym emocji.

Teraz, gdy już całkiem się rozbudził, wstał wreszcie z biurka, położył na blacie swoją starą, mocno już sfatygowaną teczkę, w której zawsze nosił do pracy sznytki i coś do picia, zamknął ją na dwa automatyczne zamki, zastanawiając się jednocześnie, czy aby przypadkiem nie wpaść jeszcze na jakieś małe piwo na Półwiejską. Ostatecznie coś mi się od życia należy, pomyślał i podjął jedyną słuszną decyzję. Naraż coś sobie przypomniał. Spojrzał na stertę papierów zalegających na regale. Na wierzchu leżała koperta, którą przed chwilą przyniósł kapral. Odłożył teczkę, wziął do ręki kopertę, otworzył ją i chciał przeczytać, ale uświadomił sobie, że aby to uczynić, musiałby założyć okulary, a te leżały w etui na dnie teczki.

Otwierać teczkę, żeby przeczytać jakiś papier. Łe tam. Jutro się przeczyta, pomyślał chorąży Olkiewicz i położył ekspertyzę na blacie swojego biurka. Otworzył drzwi i poczuł, jak przeciąg rozwiął mu starannie ułożoną zaczeskę.

Gdyby się odwrócił, zobaczyłby, że powiew powietrza zwiął z blatu kartkę i zaniósł ją pod regał ze szpargałami. Kartkę, na której napisano, że młotek poddany ekspertyzie nie był narzędziem zbrodni, za to drugi z analizowanych młotków, ten przysłany z Komendy Miejskiej w Poznaniu, idealnie pasuje do ran zadanych w Jarocinie i na

Rybakach.

410

Ale Teofil się nie odwrócił. Zamknął pokój i poszedł w głąb korytarza, zastanawiając się, czy może jednak nie zrezygnować z piwa na korzyść czegoś mocniejszego.

godzina 17.23

Podstawiany pociąg pośpieszny z Poznania do Kołobrzegu przez Rogoźno, Oborniki, Piłę wjedzie na tor przy peronie szóstym. Planowy odjazd pociągu... - Megafony Dworca Głównego w Poznaniu rozbrzmiały znudzonym głosem niewyraźnie mówiącej spikerki. Pociąg jest podstawiany, więc powinien odjechać punktualnie, pomyślał Mariusz Blaszkowski, który wybierał się do rodziców do Piły. Pół godziny temu pożegnał się ze swoim przyjacielem Wiciem Zalewskim, który zmierzał do rodzinnej Ostródy. Wolne mieli jeszcze do końca tygodnia, a w poniedziałek rano powinni zameldować się w szkole w Szczytnie.

Na brudnym i szarym peronie, pełnym petów, papierów i po tłuczonych butelek po piwie stało niewielu pasażerów. Było ich zdecydowanie mniej niż gołębi, które uwijały się wśród śmieci, szukając resztek jedzenia pozostawionego przez podróżnych. Mariusz przyglądał się białemu gołębiowi bez jednej nogi, który za nic nie mógł się przebić przez furkoczącą ciżbę swoich współbraci wydzierających sobie z dziobów spory kawałek bułki. Bitwa była zacięta, a kawałek pokarmu coraz gdzieś niknął. W końcu, pochwycony przez któryś z dziobów, wyleciał w górę i opadł prosto pod łapkę jednonogiego. Ten błyskawicznie pochwycił bułkę i wzbił się

do lotu, a potem zniknął ponad dachem peronu.

Cierpliwość popłaca, pomyślał Mariusz Blaszkowski, któremu ten gołąb przypominał jego samego. Wśród zomowców

411

był jak ten ptak bez nogi. A oni wszyscy jak te kłębiące się gołębie, walczące o kęs bułki.

Każdy myślał tylko o sobie i walczył ze wszystkimi dookoła.

On cały czas stał z boku i czekał na swoją okazję. I w końcu się doczekał. Przeszedł z zomo do zespołu Marcinkowskiego i w bardzo krótkim czasie udało mu się już uczestniczyć w kilku poważnych śledztwach. Co więcej, to, które zakończyło się dzisiaj, to tak naprawdę było jego śledztwo. On je zaczął i on je skończył. Co prawda przy pomocy kolegów, podobnie skutki kajdankami i bliski śmierci, to jednak rozwiązanie, mimo że szło na konto prowadzącego śledztwo, czyli Brodziaka, należało do niego.

Wszyscy o tym dobrze wiedzieli, a sam major Marcinkowski pogratulował jemu i Wiciowi Zalewskiemu. Ale najważniejsze było to, co powiedział na koniec ich krótkiej rozmowy: że obaj, gdy skończą szkołę, mogą się meldować u niego w Poznaniu. To było dopiero coś. Już widział, jaką minę zrobi tata, gdy się dowie o wszystkim. Pewnie jak zwykle nie będzie potrafił okazać tego wprost, ale on dobrze wiedział, że ten stary gliniarz będzie z niego dumny. Mama, jak zawsze pełna obaw, powie, żeby uważał, bo nawet w milicji można wpaść w złe towarzystwo, a siostra...

No właśnie, ta jego siostra, która wtedy w Jarocinie wykrzyczała mu prosto w twarz, jakim to obciachem dla niej jest po-

kazywać się z milicjantem. Trzeba będzie z nią pogadać. Tak naprawdę chyba za mało ze sobą rozmawiają. Zbyt szybko dorosła i zaczęła mieć własne poglądy na wiele spraw, a on nigdy nawet nie pomyślał, że powinien jej wytłumaczyć, dlaczego poszedł do milicji i co w tej milicji robi.

Muszę ją zacząć traktować jak dorosłą, postanowił, gdy pociąg powoli zaczął wtaczać się na peron.

epilog

poznać

dwa tygodnie później

No, powiem ci, stary, że naprawdę odkułeś się. Teraz żeś jest bamber na swoim, a nie jakaś pierdoła z Gadek - pochwalił przyjaciela Mirek Brodziak. Nowe gospodarstwo Rycha Grubińskiego, ten porządny zakład samochodowy i ogromna willa, zrobiły na nim wielkie wrażenie. Pomyślał, że on pewnie nigdy nie osiągnie tego, do czego doszedł jego kumpel z podwórka. Miał już trzydzieści pięć lat, a nie dorobił się nawet własnego kąta. Mieszkał od kilku lat w mieszkaniu swojej dziewczyny i jakoś nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że czas najwyższy, żeby mieć własny kąt. A Rychu, który był człowiekiem mocno stąpającym po ziemi, myślał niezwykle praktycznie. Zawsze zdobywał to, co było mu potrzebne. Inna sprawa, jakimi drogami do tego dochodził. Jednak Mirek, mimo że pracował w milicji, nie potrafił zdobyć się na potępienie przyjaciela. Dobrze zdawał sobie sprawę, że obaj niewiele różnią się od siebie i niewiele brakowało, a teraz obaj robiliby dolarowo-samochodowe interesy. Decyzję za Mirka podjęła jego o trzy lata starsza siostra, która

uparła się, że brat nie pójdzie razem z Rychem do zawodówki, tak jak to sobie zaplanował, ale do ogólniaka. Wtedy ich

413

drogi zaczęły się rozchodzić. Rychu został na ulicy, a Mirek wybrał pracę w milicji.

-Trzeba mieć takie swoje miejsce, do którego można zawsze wrócić - powiedział Rychu, rozlewając do dwóch szklanek ogromne porcje peweksowskiego johnniego walkera. Usiedli w dwóch ogromnych skórzanych fotelach przy stole ze szklanym blatem. Rychu otworzył drewnianą kasetkę i podsunął ją Mirkowi.

-Prawdziwe kubańskie cygara. Wiesz, że liście tytoniu, z których zrobione są te cygara, Kubanki zwijają na własnych udach?

-Więc na ten cudowny zapach składa się też pot pięknych murzyńskich niewolnic - zażartował Brodziak, wachając cygaro.

-Coś ty, chłopie, tam nie ma niewolnictwa od dawna. Tam, tak jak u nas, jest socjalistyczna równość i ogólne szczęście, mimo chwilowych braków w zaopatrzeniu.

Zapalili, a po paru chwilach pokój wypełniły kłęby aromatycznego dymu.

-Jak tam twoje śledztwo z facetem od młotka? - zapytał Rychu.

Mirek upił niewielki łyk whisky, zaciągnął się dymem, a potem odpowiedział:

-Jak zwykle zakończyło się wielkim sukcesem, morderca co prawda nam się wymknął, ale na szczęście na tamten świat.

- Hm. - Rychu wypuścił z ust kłąb dymu.

- Co, hm?

- Nic, tak tylko sobie mówię.

-Aha. A jak tam twoja sprawa z Czechem? Pytałem o to w miejskiej. Sprawę prowadzi taki młody podporucznik Zawadzki. On mi mówił, że mają tego mordercę, że to jakiś szuszfol, co mieszkał w tej kamienicy na Rybakach.

!IM

Nazywa się Włodas Mrowiński. Złapali go jeszcze tego samego dnia. Miał w domu wszystkie lomy, które ściągnął z zabitego, i jeszcze na dodatek młotek ze śladami krwi, no i z odciskami palców.

Rychu spojrzał na Mirka i uśmiechnął się tajemniczo.

- Jest pewny, że to on jest mordercą?

- Pewny to mogę być tylko tego, że kiedyś umrę i że tylko socjalizm może zapewnić szczęście ludu pracującego miast i wsi. Ale co do tego Mrowińskiego, to wskazują na niego wszystkie dowody.

- Hm. - Rychu znowu odezwał się w ten sam sposób.

- No co tak hymkasz, mów, o co ci chodzi.

Grubiński dopił resztkę whisky, dolał sobie kolejną porcję, a potem popatrzył z uśmiechem na Mirka.

- Pamiętasz, jak ci wtedy mówiłem, że ktoś obrobił mnie z forsy?

- No, pamiętam.

- Dokładnie to nie mnie obrobił, ale mojego człowieka, co miał mi tę forszę dostarczyć. To Tunia Ząbka obrobili, znasz go, nie?

-To ten ze złotym zębem - przypomniał sobie Brodziak śmiesznego, niepozornego jegomościa, który odbierał codziennie utarg od cinkciarzy Rycha.

- No, to właśnie ten Tunio tak się tą sprawą przejął, że postawił sobie za punkt honoru znalezienie tych pętaków, co go załatwili. Ja też rozesłałem informacje na miasto, że szukam takiego i takiego gnojka, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu, mimo żeśmy ustalili dokładnie, kto to zrobił, gdzie mieszka, gdzie się kręci. Ale tego nigdzie nie było. Zapadł się jak kamień w wodę. Ale ten skurczybyk Tunio nie dawał za wygraną i wyobraź sobie, że znalazł ich, bo tych, co go obrobili z bejmów, to dwóch było. Namierzył ich, jak

415

któregoś dnia przyjechali do mieszkania na Rybakach, do tego, w którym byłem wtedy, jak do ciebie dzwoniłem. Wtedy nie zastałem w nim najpierw nikogo, a później wpadł mi w ręce młodszy brat tego, którego szukałem. Taki sam ćpun jak i ten starszy, tylko, jak się okazało, mniej groźny. Puściłem go wtedy, bo nie on był mi potrzebny. Ten, co ja go potrzebowałem, wrócił do chaty prawie dwa tygodnie później, żeby wywieźć stamtąd zapas słomy makowej. Używają tego świństwa do produkcji kompotu.

- Wiem, do czego się tego używa -- uśmiechnął się Brodziak, który teraz musiał sobie dolać. Opowieść stawała się coraz bardziej interesująca.

- Mieli pecha, bo Tunio czekał już na nich. Od kilku dni, noc w noc, warował pod tym domem, a z nim czekali też moi ludzie. Poczekali, aż tamci wyjdą z domu na podwórze, i wy-

jęli ich jak pisklaki z gniazda.

-I co z nimi zrobisz?

- No, a jak myślisz? Gdyby tylko chodziło o kradzież, toby dostali przykładowy wpierdol, połamałoby im się ręce i nogi, innym ku przestrodze, że cudzego się nie rusza...

- Chyba ich nie pozabijałeś? - zdenerwował się Mirek.

- Spokojnie, Miruś, nie gorączkuj się, daj powiedzieć.

-Mów.

- Moi chłopcy wzięli ich w obroty i zaraz się potwierdziło, że całą sprawę wymyślił ten Gała. No to teraz musieliśmy się jeszcze dowiedzieć, który z nich załatwił Czecha. No i okazało się, że to znowu Gała był tym, który trafił Czecha w łeb młotkiem, jak Czechu przyszedł tam z nim pogadać. Tylko to wszystko powiedział nam nie Gała, ale jego koleś i pomocnik, co się nazywa Pietia. No tośmy temu Pietii podziękowali grzecznie, czyli dostał porządny wpierdol, i go żeśmy puścili, żeby wszystkim rozpowiedział, że nie kalkuluje się

416

napadać na moich ludzi. Wtedy wzięliśmy w obroty Gałę. Ale był skurwiel twardy. Na szczęście okazało się, że jest na głodzie, więc się go trochę przytrzymało, aż zaczął wariować bez tych narkotyków. No i to był ten moment, jak zaczął śpiewać, bo ja poszedłem do niego z dwoma strzykawkami. Jedna była malutka, taka tylko, żeby poczuł się lepiej. Wziął ją od razu. To ja mu gadam tak: mów po kolei, a jak ładnie opowiesz wszystko w zgodzie z prawdą, to dostaniesz drugą. No i zaczął jak na spowiedzi, jak obiecał. Chcesz Miruś wiedzieć, co powiedział?

- No pewnie, gadaj - niecierpliwił się Brodziak, a Rychu wstał, podszedł do telewizora, włączył go pilotem, a potem wsunął do magnetowidu kasetę wideo.

- Rychu, nie czas na ksiuty, filmy sobie pooglądamy kiedy indziej, teraz gadaj dalej...

- Kupiłem jakiś miesiąc temu kamerę wideo, nawet nie bardzo wiedziałem, na cholerę może mi się przydać. Ale nadarzyła się okazja do zrobienia filmu. No i zrobiłem. Popatrz... Brodziak spojrział na ekran. Zobaczył długowłosego chłopaka z brodą przypominającego wyglądem sponiewieranego Chrystusa. Był jak wierna, tylko nieco starsza kopia tego, którego Galaś zastrzelił w esbeckim lokalu. Siedział na krześle i cały się trząśł. W końcu, po jakiejś minucie, drgawki przeszły. Uspokoił się, a na jego twarzy pojawił się dziwny spokój. Przymknął powieki i zaczął mówić opanowanym głosem.

- Ten esbek, co się nazywał Galaś, powiedział mi, że dostanę tysiąc dolców i towaru, ile będę chciał. Zresztą od razu dał mi na próbę działkę. Potem spotykaliśmy się codziennie, a on mi gadał, co mam zrobić. Kazał pojechać do Jarocina na festiwal i tam załatwić młotkiem takiego jednego Owiaka, tak, żeby wszyscy to widzieli, na koncercie miałem to zrobić i potem spierdalać błyskawicznie. No to tam pojechałem

417

z bracholem. Galaś dał mi dwa młotki, jeden mniejszy, a drugi większy, żebym se wybrał, a do tego takie kabury do paszków, żebym se niby dla szpanu mógł go nosić u paska, jak się nosi finki. No to jeden nosiłem ja, a drugi dałem młodemu. On nic nie wiedział, o co chodzi, tylko żeśmy tam se razem

ćpali, bawili przy niezłej muzyce i było czadowo. A potem, chyba na koniec imprezy, znaczy festiwalu, jakoś tak wieczorem, mój brachol przyleciał do mnie i powiedział, że jacyś skini zgwałcili jakąś dziewczynę. No to poszłem z nim, żeby zobaczyć, ale ona była już w tym namiocie sama i chyba nawet nie żyła, no to ja wziąłem ten młotek, żeby wypróbować, jak to jest, jak się tak kogoś młotkiem wali w łeb. No to ją trzasnąłem, a ona otworzyła oczy i zaczęła krzyczeć, to spanikowałem i jeszcze raz ją walnąłem, a potem jeszcze kilka razy, aż przestała krzyczeć. A jak to już zrobiłem, to się przestraszyłem i chciałem uciekać, tylko że wziąłem jeszcze działkę dla uspokojenia i poszłem na koncert, żeby się wyluzować, ale ten Galaś tam jakoś mnie dorwał i kazał mi zrobić to, co mi kazał wcześniej. No to ja mu powiedziałem o tej dziewczynie w czerwonym namiocie i że spanikowałem, a on mi na to, że mam się brać do roboty i robić swoje, a on już tę sprawę z dziewczyną załatwi. Puścił mnie, bo ja powiedziałem, że zrobię tak, jakżeśmy się umawiali, ale uciekłem. Olałem tego esbeka i jego dolce. Zresztą i tak miałem już nagrąną inną robotę. Żeśmy z kumplem wymyślili, żeby obrobić gościa, co przewozi kasę z utargu cinkciarzy. To się udało bez żadnych problemów. Zabraliśmy bejmy i żeśmy się stlenili. To było łatwiejsze niż zabicie kogoś. No i jak na następny dzień wróciłem w nocy do domu, to zaszedł mnie jeden taki wielki facet, co se myślał, że mi tę kasę może odebrać, ale ja się nie dałem, bo jak mnie chwycił, to ja wyciągnąłem ten młotek, co go jeszcze miałem, i przyłożyłem mu

w łeb. No i on padł, to ja jemu jeszcze poprawiłem. A potem z kumplem żeśmy go wyrzucili do śmietnika i tyle.

- A co jest z tą forszą, którą ukradliście? - padło pytanie zza kadru.

- Jest u mnie w domu pod podłogą w kuchni.

Film się skończył. Rychu wyłączył telewizor. Wziął do ręki butelkę i rozlał resztę złocistego płynu do obu szklanek.

- Co się z nim stało? - zapytał oszołomiony Brodziak.

- Dostał tę swoją obiecaną działkę.

- I co dalej?

- Szukaj go na dworcu pkp. Tam go kazałem wysadzić i dać mu pełną strzykawkę.

- A co zrobisz z kasetą?

- Jest twoja, Miruś, możesz zrobić z nią, co tylko chcesz.

Masz tu dowód, że ten Mrowiński siedzi za niewinność.

Brodziak wyjął kasetę z magnetowidu i schował ją do pudełka. I mam też haka na Galasia, gdyby jeszcze kiedykol-

wiek próbował podnieść łeb, pomyślał zadowolony Mirek.

Dwaj milicjanci na Dworcu Głównym w Poznaniu, jak zwyk-

le w nocy, szczególnie przypatrywali się podróżnym, którzy

spali w poczekalni. Wszystkie światła były zapalone, więc

dzięki temu mogli dokładnie przyglądać się śpiącym. Dziś

nikt nie wzbudził ich podejrzeń. Już mieli wyjść, by zbadać

przejście podziemne w poszukiwaniu społecznie nieprzysto-

sowanych podejrzanych elementów, gdy jeden z nich zauwa-

żył długowłosego młodego człowieka. Siedział na krzeselku

zgięty wpół.

Cholerni hipisi, pomyślał milicjant i podszedł do niego.

Zawsze było warto spróbować wylegitymować takich gości,
a potem zatrzymać, choćby po to, żeby się wykazać statysty-
ką zatrzymań. Bez większych ceregieli szarpnął chłopaka za
419

ramię, a wtedy tamten nieoczekiwanie zsunął się na podłogę.
Milicjant pochylił się nad nim, próbując go ocucić, ale długo-
włosy nie dawał oznak życia.

Przybyły na miejsce lekarz pogotowia stwierdził zgon. Na
jego przegubach odkrył wiele śladów po nakłuciach. Wy-
jaśnił milicjantom, że facet był pewnie narkomanem i naj-
prawdopodobniej przedawkował.